

# ANTTI TUOMAINEN



NAJGOŘETSZA  
PLAŽA  
W FINLANDII

KOMEDIA KRYMINALNA

ALBATROS

ZBRODNIA, SEKS I KŁAMSTWA.

ANTTI TUOMAINEN, WEDŁUG „TIMESA” NAJZABAWNIEJSZY  
PISARZ EUROPY, POWRACA Z WYBUCHOWĄ MIESZANKĄ  
THRILLERA I CZARNEJ KOMEDII.

Pomyślcie, że Tarantino kręci Fargo połączone ze Słonecznym patrolem, podlewa to fińską wódką, żeby nieco podnieść temperaturę (bo 13°C to trochę mało na kostium kąpielowy), i przyprawia muzyką Springsteena, a wtedy... jeśli wysilicie wyobraźnię...

TYLKO PO CO WŁAŚCIWIE SIĘ WYSILAĆ?

NIE LEPIEJ OD RAZU WYBRAĆ SIĘ NA NAJGORĘTSZĄ, PLAŻĘ  
W FINLANDII?

Fińskie Palm Beach. Właśnie to marzy się właścicielowi ośrodka wypoczynkowego w nadmorskim sennym miasteczku. Niestety, morderstwo, do którego tam dochodzi, może pokrzyżować mu plany.

Policyjny detektyw z Helsinek zostaje wysłany na miejsce przestępstwa. Działając pod przykryciem, ma użyć wszelkich możliwych środków, by dowiedzieć się, co stało się w kurorcie. Nie wiadomo tylko, czy jego przełożeni za „środek” dopuszczalny uznają romans z główną podejrzaną.

Tymczasem nikt nie może się oprzeć najgorętszej plaży Finlandii. Zwłaszcza zabójcy!

# ANTTI TUOMAINEN



## NAJGOREŃSZA PLAŻA W FINLANDII

Z fińskiego przełożyła  
Bożena Kojro

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

## ANTTI TUOMAINEN

Fiński pisarz, autor ośmiu powieści kryminalnych, których tłumaczenia ukazały się w 27 krajach. Zanim poświęcił się karierze literackiej, pracował w agencjach reklamowych jako copywriter. Debiutowej w 2006 r. Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu wydana w 2011 r. powieść **Uzdrowiciel**, która zdobyła tytuł Najlepszej Fińskiej Powieści Kryminalnej i była nominowana do prestiżowej skandynawskiej Nagrody Szklanego Klucza.

Powieść **Czarne jak moje serce** została uznana przez fińskich czytelników za najlepszy kryminał ostatniej dekady, a **Człowieka, który umarł** nominowano do trzech ważnych europejskich nagród literackich: Prix du Polar Europeen, Petrona Award i Last Laugh Award.

*Tego autora*

UZDROWICIEL  
CZARNE JAK MOJE SERCE  
KOPALIŚMY SOBIE GRÓB  
CZŁOWIEK, KTÓRY UMARŁ  
NAJGORĘTSZA PLAŻA W FINLANDII

Tytuł oryginału:  
PALM BEACH, FINLAND

Copyright © Antti Tuomainen 2017  
All rights reserved  
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Bożena Kojro 2020

Redakcja: Joanna Popiołek

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Like Publishing Ltd.

Projekt graficzny okładki polskiej: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-991-0

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub*

*w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

## Spis treści

O książce

O autorze

Tego autora

Dedykacja

–

Motto

Część I. Marzenia

–  
Dwa tygodnie później

1

2

3

4

5

6

7

8

Część II. Realizacje

1

2

3

4

5

6

7



- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22

### Część III, Rezultaty

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9

Pięć tygodni później

-

Przypisy

*Anu, jesteś najlepszą siostrzyczką na świecie*

Uwaga!

Wszystko, co zostało tu opisane, opiera się na prawdziwych wydarzeniach i autentycznych postaciach. Niczego nie zmieniono.  
W Finlandii zawsze świeci słońce.

*GROUCHO: Then let's get down to business. My name is Spaulding.*

*CHANDLER: Roscoe W. Chandler.*

*GROUCHO: Geoffrey T. Spaulding.*

*CHANDLER: What's the „T” stand for? Thomas?*

*GROUCHO: Edgar.*

Bracia Marx w filmie *Animal Crackers* (Sucharki w kształcie zwierząt)

Nie przeczuwają śmierci, a już zgotowana wisi nad nimi...

Homer, *Odyseja* (przeł. Lucjan Siemieński)

CZEŚĆ I  
**MARZENIA**

To był wypadek, niefortunne przypadkowe zdarzenie. Zostało spowodowane nieporozumieniem, brakiem synchronizacji między popchnięciem a pociągnięciem. Dlatego złamał się kark i rozległ się dźwięk przypominający pęknięcie suchej deski.

Spotkali się naprzeciwko tablicy. Kari „Chico” Korhonen pojawił się pierwszy. Starał się sprawiać wrażenie, jakby na nikogo nie czekał, co było potwornie trudne. Co jakiś czas patrzył na tablicę, udając, że dopiero ją ujrzał, że właśnie przechodził obok i rozglądał się. Zrobił dziesięć kroków w stronę brzegu, odwracając głowę w prawo.

PALM BEACH FINLAND

*It's the hottest beach in Finland.*

Zawrócił, jakby o czymś zapomniał, i znów zrobił dziesięć kroków w stronę miasta z głową zwróconą w lewo.

PALM BEACH FINLAND

*It's the hottest beach in Finland.*

Zdaniem Chica zmianę, jaka tu nastąpiła, można było przyrównać do pojawienia się kolorowej telewizji. Jorma Leivo, nowy właściciel wioski urlopowej, przekręcił wielki barwny przełącznik. W ciągu dwóch miesięcy z dawnego ośrodka Milutkie Wczasy wyłoniła się Palm Beach Finland, jakby z szarego niczym ziemia jaja wyklął się nagle bajecznie kolorowy, dźwięcznie śpiewający ptak.

Chico uważał, że nowe barwy – turkusowy, jasnoniebieski, różowy, jasnozielony – są ładne. Cała miejscowość, której Jorma Leivo także nadał nową nazwę, jarzyła się i lśniła – budynki na plaży, restauracja, domki gościnne, przebieralnie, sklep, wypożyczalnia desek windsurfingowych, a nawet pizzeria. Wszystko pyszniło się nowością, pokryte grubą warstwą farby. Nawet tablica o rozmiarze dwadzieścia na pięć metrów wprost biła w oczy neonowym kolorem oraz przypominającymi kolumny literami i hasłem. Stała w takim miejscu, że widać ją było zapewne aż w Tallinie. Piaszczystą plażę wypełniały pstrokate parasole przeciwsłoneczne w tych samych jaskrawych barwach, chociaż niektórzy mogli mieć wątpliwości co do tego, czy

w ogóle są tu potrzebne. Wiejący bez przerwy wiatr i lodowata woda sprawiały, że plażowe leżaki ciągle świeciły pustkami. Po tej stronie miasta brzeg ogradzały stojące w szeregu okazałe drzewa, obok których Chico chętnie przechodził. Były to palmy, nowo posadzone, z plastiku, ale jednak palmy.

Życie się zmieniało, dopiero się zaczynało.

Bo cóż innego to wszystko mogłoby oznaczać?

I co może oznaczać spotkanie z Jormą Leivem?

Po raz pierwszy spotkali się wtedy, gdy Chico został przyłapany na drobnej kradzieży. Zwykły wypadek przy pracy. Najpierw obserwował zmierzającą chwiejnym truchtem do wody otyłą kobietę, a potem podszedł łukiem do jej torebki, zabrał kilka kuponów lunchowych i wrócił na wieżę ratowniczą, gdzie czekał już Jorma Leivo. Ten nie słuchał jego wyjaśnień o nagłym kryzysie finansowym i problemach wynikających z sezonowych cen, lecz szybko oświadczył, że przydałby mu się taki przedsiębiorczy, przejawiający własną inicjatywę człowiek jak Korhonen. Gdy jeszcze dodał, że jak ktoś sięga po dziesiątki, to może nie zauważyć tysięcy, Chico pomyślał, że otwierają się przed nim wrota i że wszystko zależy już tylko od drobiazgu. Czytał różne biografie i wiedział, jak Eric Clapton i Bruce Springsteen...

– Przepraszam.

Chico odwrócił się i ujrzał brązowe oczy Robina.

– Czemu przepraszasz?

Przyjaciół patrzył na niego, jego głowę pokrywał milimetrowy czarny dywanik. Trudno było stwierdzić, gdzie zaczyna się broda, a gdzie włosy, i gdzie dokładnie znajduje się twarz. Nic nie wskazywało również na to, że Robin jest kucharzem i pracuje w jasnoniebieskiej nadbrzeżnej restauracji, zwanej dawniej Rantarysä, a obecnie Beverly Hills Dining.

– Pomyślałem, że tak się mówi, kiedy ktoś się spóźni albo gdybyśmy chcieli pokazać, że spotykamy się tu przypadkowo, jakbyśmy się nie znali. Wtedy ja mógłbym zapytać: Przepraszam, która godzina?

– Ale przecież musisz wiedzieć, która godzina, jeżeli uważasz, że jesteś spóźniony – oznajmił Chico. – No i my się znamy. Leivo powiedział, że to spotkanie jest *top secret*, więc postanowiłem, że nie będziemy się rzucać w oczy, zastosujemy się do rozkazu szefa.

Robin zwrócił głowę w stronę brzegu, a potem spojrział na miasteczko.

– Nikogo nie widzę ani nikt mnie nie widzi. Możemy iść.

Chico pomyślał, że chociaż kolega nie ma wszystkich klepek, to jednak można mu zaufać. I przyjaźnił się z nim od dziecka. Jeśli zna się kogoś całe życie, to tak jakby znało się go od podszewki, prawda? Była za siedem siódma, gdy ruszyli na spotkanie z właścicielem ośrodka.

Jorma Leivo przypominał – ze względu na fryzurę i oczy – znanego z filmów wynalazcę: miał łysy czubek głowy, a po bokach jasne, kręcone włosy sterczące na wszystkie strony; niebieskie oczy patrzyły z takim natężeniem, że ten, komu się przyglądały, musiał odwracać wzrok. Jego ubranie przywodziło na myśl stroje, które Chico pamiętał z dzieciństwa. Szef nosił mocno wywatowaną na ramionach, białą jak śnieg marynarkę, a pod nią jaskraworóżową koszulę. Obficie się pocił i przemawiał głębokim, łagodnym i zapraszającym głosem. Chico uznał, że sprawia on wrażenie światowca i biznesmena. Wszystko dobrze się zapowiadało.

– To nic poważnego – oświadczył Leivo, spoglądając na przemian na jednego i drugiego. – Trzeba stłuc jakieś okno, przewrócić beczkę na deszczówkę, może szopa w ogrodzie spłonie, ktoś ukradnie rower, ktoś nasika do skrzynki pocztowej. Sami coś wymyślcie. Niech to będą rozmaite szkody. Najlepiej codziennie. Najlepiej, jeśli po jednej szkodzie będzie następna, jeszcze większa. Wiecie, o co mi chodzi. O taką ostro wznoszącą się krzywą. Coraz wyżej i wyżej.

Chico milczał.

– Muszę mieć willę i działkę na własność w ciągu miesiąca – kontynuował Leivo. – Im szybciej to się stanie, tym lepiej. Miesiąc to ostateczny termin. Zaczniecie dzisiaj. Jakież pytania?

Chico próbował sprawiać wrażenie, jakby prowadził takie rozmowy od zawsze. Przechylił się swobodnie do tyłu i założył nogę na nogę.

– Jesteśmy w tej branży zawodowcami... – zaczęła, ale nie zdążył nic dodać, bo Leivo mu przerwał.

– W jakiej branży? – zapytał.

Chico spojrzał na niego. Musi za wszelką cenę dokończyć zdanie, ponieważ dopiero na drugie pytanie miał gotową odpowiedź. I teraz...

– To poufna informacja – usłyszał z boku. Był to Robin, który swoim zwyczajem mówił, jakby w środku kręciła mu się taśma z przypadkowo nagranyimi zdaniami. Leivo spojrzał na niego i cofnął się. Wydawało się, że chce zapytać, co Robin ma na myśli. Na to nie można było pozwolić. Chico musiał zawrócić ciężarówkę znad skraju przepaści.

– Jakie wynagrodzenie przewiduje pan za tę pracę? – spytał.



Spojrzenie Leiva zwróciło się ponownie na niego.

– Pan?

– Powiedziałem „pan”, bo pomyślałem, że jednak jesteś naszym przełożonym.

– Teraz mówisz mi na ty.

Chico zastanawiał się przez chwilę.

– Trudno rozmawiać o mówieniu na ty z kimś, do kogo mówi się pan – powiedział i zaraz pożałował swoich słów. – I na odwrót chyba też.

Leivo oparł się dłońmi o brzeg stołu, raz po raz zginał i prostował palce.

– Potraktujemy to nieoficjalnie. Jestem waszym szefem tylko wtedy, kiedy ty pracujesz jako ratownik – oznajmił, patrząc najpierw na Chica, a potem na Robina – a ty jako kucharz. I jeszcze raz podkreślam, że to nie wchodzi w zakres waszych oficjalnych obowiązków.

Chico wyczuł zapach świeżej farby pokrywającej ściany. Przez chwilę w pastelowym, różowym pokoju panowała głęboka cisza.

– Płacę tylko za wyniki – oświadczył Leivo. – Wynagrodzenie wynosi pięć tysięcy euro.

Chico zmienił pozycję i znów założył nogę na nogę, tym razem na odwrót. Marzył o dwóch rzeczach: żeby nie można było po nim poznać, ile ta suma dla niego znaczy – a znaczyła wszystko – oraz żeby Robin się nie odezwał.

Pomyślał także, że czterdziestka nie będzie jednak oznaczała dla niego końca świata. Jeszcze przyjdzie na to czas. Ma dopiero trzydzieści dziewięć lat, ale co to znaczy? Nic. W przyszłym roku o tej porze będzie działał pełną parą. Eric Clapton ma siedemdziesiątkę. B.B. King występował w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat. A on, Chico, w przyszłym roku wyda debiutancką płytę, będzie grał w klubach, w halach sportowych, na stadionach, będzie sprzedawał swoje T-shirty. Spotka Erica, zanim skończy pięćdziesiąt lat, i przy tej okazji mówiącą po angielsku wytatuowaną kobietę z lśniącymi piersiami...

– Rozsądna propozycja – powiedział.

– Oczywiście musicie się podzielić – dodał Leivo. – Ta suma jest na was dwóch.

– Pięć tysięcy podzielone przez dwa to dwa tysiące pięćset – stwierdził Robin.

Dwa tysiące pięćset euro nie wystarczy na nową, oryginalną, pierwszorzędną gitarę Les Paul, zauważył Chico w duchu. W każdym

razie nie na ten model, który wypatrzył w sklepie z instrumentami. Taki, który chciał mieć koniecznie.

– To wasza sprawa, jak się podzielicie pieniędzmi – oznajmił Leivo. – Ważne jest, żebyśmy się bezwzględnie zrozumieli. Tej rozmowy między nami nigdy nie było. Nigdy nie zrobiliście tego, cokolwiek zrobicie. Ja nic o tym nie wiem. Nigdy wam niczego nie zapłaciłem, nigdy nie dostaliście ode mnie żadnych pieniędzy. A teraz koniec spotkania.

Leivo wstał, lecz Chico nadal siedział. Szef spojrzał na niego jakby nieco zniecierpliwiony.

– Czy coś jest niejasne?

– W takich sytuacjach płaci się chyba jakąś zaliczkę – zasugerował Chico.

– Bez wyników?

Chico zerknął na Robina. Ten wpatrywał się w swoje kolana. Na szczęście nadal siedział.

– Zaliczka jest jakby zobowiązaniem – oświadczył Chico i poczuł lekką dumę ze swoich słów.

Leivo przez chwilę milczał, a potem wyciągnął z górnej kieszeni marynarki portfel.

– O jakim zobowiązaniu teraz mówimy? – spytał.

Chico starał się ukryć, jak małe doświadczenie ma w rozmawianiu o dużych sumach.

– Pięćset – zaproponował. – Na głowę.

– Dobrze – zgodził się Leivo i gdy triumfujący Chico niemal roześmiał się w duchu, dodał: – Płacę sto na głowę i umowa stoi.

Wyciągnął z grubego zwitka znajdujące się na wierzchu pięćdziesiątki, a potem podał je rozmówcy ponad stołem. Chico działał instynktownie. Wstał z krzesła i chwycił pieniądze. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że widok pieniędzy go podniecił. Właśnie tak na niego działały i nic nie mógł na to poradzić.

Banknoty były lekko wilgotne.

Willa znajdowała się na końcu wspaniałego cypla otoczonego piękną piaszczystą plażą. Z lewej strony jego brzeg łagodnie zakręcał i kończył się rozległym i gęstym lasem, za którym znajdował się niewidoczny teren ośrodka wczasowego, czyli Palm Beach Finland. Chico wiedział, że Jorma Leivo podpisał już umowę na zakup zalesionej działki. On i Robin

leżeli właśnie na brzuchach pod sosnami i spoglądali na dom. Zrobiło się ciemno.

- Co ten Leivo ma do Olivii? – spytał cicho Robin.
- Chyba nic – odparł szeptem Chico.
- Czemu chce, żebyśmy nasikali do jej skrzynki na listy?
- Nie będziemy sikać do żadnej skrzynki na listy.
- To co zrobimy?

Chico nie zdążył odpowiedzieć. Na parterze zapaliło się światło.

To Olivia wróciła do domu. Gwoli ścisłości, wróciła do domu już dwa miesiące temu, zaraz po śmierci ojca, który doznał rozległego ataku serca w kajaku, a potem spłynął popychany wiatrem na kąpielisko dla dzieci i siedział tak – strasząc maluchy – skulony, z wiecznym uśmiechem zastygłym na twarzy i wiosłem w nieruchomej ręce. Ktoś zrobił mu wtedy zdjęcie, Chico też je widział. Następnego dnia po śmierci ojca Olivia Koski wróciła do swojego rodzinnego miasta i postanowiła w nim zostać. Nadal była samotna.

W oknie budynku pojawiło się światło, a na ścianie pokoju ludzki cień.

Chico nie należał do ludzi działających bez planu. Wygrzebał z ziemi spory kamień i pokazał go Robinowi. Ten zrozumiał i też chwycił kamień. Chico wyjaśnił mu, na czym polega jego plan, który prawdopodobnie wymyślili już jaskiniowcy – zamach, rzut i ucieczka. Chico miał policzyć do trzech. Na dwa Robin podniósł rękę, a on zaraz po nim, wybiegli z lasu do ogrodu i jednocześnie rzucili kamieniami. W oświetlonym oknie na parterze zabręczała rozbita szyba. Chico i Robin okrążali właśnie róg domu, kierując się w stronę pogrążonego w mroku lasu, gdy to usłyszeli. Połączenie wycia, okrzyku bólu i piskliwej prośby o pomoc. Zatrzymali się i stanęli niczym słupy soli w ciemnym ogrodzie. Znów rozległ się krzyk.

– Szkoda, że nie nasikaliśmy do skrzynki na listy – wyszeptał Robin. – Nikogo nic by nie bolało i byłoby wesoło.

Chico próbował zebrać myśli. Jego plan tego nie przewidywał.

– Musimy... – zaczął, ale nie wiedział, co powiedzieć. Coś powinni zrobić. Cokolwiek. – Musimy się upewnić, że nikomu nic złego się nie stało.

Znów usłyszeli krzyki, a na dodatek jakiś stukot i uderzenia.

Odwrócili się, wyszli cicho z domu i zbliżyli się do schodów na werandę, wspięli się na nie i otworzyli drzwi. Sprawiająca przyjemne

wrażenie weranda ze znajdującą się na niej sofą była pusta. Dźwięk dochodził z głębi domu. Chico wszedł dalej, a Robin podążał tuż za nim.

Zaopatrzone w okienko wewnętrzne drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Chico wzdrygnął się i zacisnął zęby. Zatrzymał się, czując, że Robin niemal dotyka go swoim ciałem. Światło padało z prawej strony i Chico zauważył charakterystyczne dla kuchni szafki i meble. Nadstawił uszu, ale nic nie usłyszał. Żadnego dźwięku, stukotu, uderzenia. Przeszedł dalej, w stronę drzwi, przystanął przy futrynie i zajrzał do środka.

Wykładana kaflami podłoga, blat z ciemnego drewna, szafki kuchenne, rozbite okno. A nade wszystko krew. Krew i okruchy szkła. Wszędzie. Kałuża krwi pod oknem, tu i ówdzie rozpryski i plamy. Na białych drzwiach lodówki gruba czerwona krecha. I strużka krwi prowadząca...

Tutaj.

Chico poczuł na wargach mikser. Zdał sobie sprawę, że się przewraca, próbował utrzymać się w pionie, ale jego nogi znajdowały się nie tam, gdzie sądził, więc tylko się zakołysał.

Przewracał się na plecy, widząc najpierw jasne, a później ciemniejące obrazy niczym w komiksie: czarne długie włosy, zakrwawioną twarz i szczupłą sylwetkę Olivii w czarnych dżinsach i czarnej koszulce polo, białą plastikową obudowę miksera z odbitym światłem okrągłej kuchennej lampy.

W końcu runął na podłogę i dostrzegł Robina, który zajrzał do kuchni, podobnie jak on przed chwilą, i tak samo dostał mikserem, ale w bok głowy, więc upadł w progu na kolana, jakby błagał o możliwość wejścia do środka.

Chico się zdziwił i jednocześnie rozgniewał; przecież martwili się o Olivie, przyszli sprawdzić, czy nie stała się jej jakaś krzywda, a w zamian za to dostają, cholera, w mordę. Usłyszał kroki, domyślił się, co zaraz nastąpi, lecz nie zdążył zareagować. W polu widzenia migotały mu nadal wielkie, czarne, zasłaniające wszystko sześciany. Cios mikserem przypominał uderzenie niedźwiedzią łapą: był bolesny i ogłuszający.

– Przyszliśmy pomóc – jęknął Chico.

Ale Olivia go nie słuchała. Mikser znów wzniósł się wysoko i opadł szybko. Mimo uderzenia Robin utrzymał się w pozycji klęczącej. Chico poczuł, że jego ucho ogarniają płomienie, a w głowie dzwonią dzwony.

Trzeba było opanować sytuację.

Chwycił za brzeg stołu i podźwignął się. Ciemna postać zbliżała się do niego. Chico zanurkował i złapał Olivię za uda, tak że straciła równowagę. Zawołał do przyjaciela, żeby mu pomógł, i oboje przewrócili się w jego stronę. Robin zaatakował. Olivia wypuściła mikser i upadła brzuchem na podłogę. Chico trzymał ją nadal za nogi, a Robin chwycił jej głowę tak, że znalazła się pod jego pachą. Chico kazał mu uklęknąć i sam też to zrobił. Kobieta była lekka, no i wreszcie będzie jakiś pożytek z uporu przyjaciela, bo ten na pewno nie poluźni uchwytu.

Wymyślił trzeci już tego wieczoru plan: wyniosą Olivię do ogrodu, na świeże powietrze, porozmawiają z nią, ustalą wszystko, Chico był gotów zapłacić za rozbite okna. Pieniędzy im starczy, chociaż odszkodowanie stało oczywiście w sprzeczności z zamiarami Jormy Leiva, ale...

Chico krzyknął do Robina, że nie mogą teraz uciec, bo Olivia ich zna. Wyglądało na to, że kolega to zrozumiał.

Podnieśli się z trudem; trzymana przez nich kobieta wiła się, szarpała, kopła. Chico zapałł się nogami i zawołał do Robina, żeby pomógł mu ją wynieść na zewnątrz.

Przyjaciel pokiwał głową i odwrócił się, żeby stanąć wygodniej. Chico postąpił podobnie, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, dał sygnał do działania i dźwignął kobietę. Kałuża krwi, w której chwilę temu znajdowała się twarz Olivii, a w której teraz stał on w swoich adidasach, była świeża, więc się poślizgnął i upadł na plecy, instynktownie wzmacniając uchwyt. W tej samej chwili Robin, trzymający głowę Olivii pod pachą, pociągnął ich w stronę drzwi.

Rozległ się trzask przypominający pęknięcie suchej deski. Olivia zawisła bezwładnie. Robin nadal ciągnął ją za głowę, chcąc wyjść do ogrodu. Chico, trzymając kobietę za nogi i szamocząc się w kałuży krwi, krzyknął do Robina, żeby się zatrzymał. Potem kazał mu puścić Olivię i sam też zwolnił uchwyt. Kobieta osunęła się na podłogę.

Ukląkł, a Robin przystanął w progu.

– Nigdy jej takiej nie widziałem – powiedział.

Chico uznał to za oczywiste. Ostrożnie przesunął się na czworakach bliżej przyjaciela. Ciemne włosy leżącej na ziemi Olivii zsunęły się z jej pociągłej twarzy, otartej rękawem koszuli na tyle, że można było rozpoznać rysy. Skóra sprawiała wrażenie dziwnie białej i niezwykle napiętej, a wpatrujące się intensywnie w listwę przypodłogową oko

miało jasnoniebieski kolor. Ucho było małe, wąsy rzadkie, a skąpa kozia bródka przypominała czarny pędzel.

Chociaż raz Robin miał rację. Chico także nigdy nie widział takiej Olivii. Z tej prostej przyczyny, że to nie była Olivia.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

# 1

Ludzie, którzy borykali się z wyzwaniem i bólami związanymi z rozwodem, chcieli najwyraźniej dzielić się swoimi doświadczeniami, opowiadać o tym, co im się przydarzyło, jak przez to wszystko przeszli.

Jan Nyman czuł się źle w takich sytuacjach: nie mógł powiedzieć szczerze, że ten temat go nie interesuje, chociaż faktycznie go nie interesował, nie sądził także, aby rozwód wymagał specjalnych umiejętności, które pozwalały przetrwać, nie mógł też powiedzieć o Tuuli nic złego. Wprost przeciwnie. A teraz, gdy szef, który wezwał go do siebie i już przez telefon wydawał się spięty, kiedy podkreślał: „Nie idź przez kafenię”, „Nie zaglądaj na swoje biurko, tylko przychodź od razu do mojego gabinetu”, zaczął opowiadać pewną historię, pozostało mu jedynie czekać.

– Byliśmy z Maiju na tygodniowym obozie terapeutycznym – powiedział Muurla na początek, dając do zrozumienia, że oczywiście on też, jak można się domyślać, ma doświadczenie w kwestii rozwodu. – Żeby nasz związek zaczął funkcjonować. Oprócz nas było tam jeszcze sześć innych par małżeńskich, tacy ocierający się o rozwód ludzie, którzy powinni bez wątpienia uciec jak najszybciej od siebie w przeciwnych kierunkach, a nie robić niczego wspólnie, nawet nie czekać razem na autobus, nie mówiąc o pobycie w lesie i rozdrapywaniu ran na nowo. No więc jedziemy cholernie długo samochodem do jakiegoś gospodarstwa rolnego, przez całe czterysta dwanaście kilometrów krzyczymy na siebie, a potem panienki otwierają się zaraz przy powitalnej okropnie śmierdzącej herbatce z huby, opowiadają wszystkim o swoim życiu seksualnym, jak to jakiemuś Jariemu nie staje, więc musiałam się puścić i było mi z tym dobrze, faceci siedzą dokoła z czerwonymi uszami, chata się trzęsie, herbatka stygnie. Ten obóz prowadził taki jeden człowiek, mówił miękkim głosem, nie chodził z innymi facetami do sauny. Myślałem, że chce zachować autorytet. Że chce trzymać dystans wobec klientów. Jednocześnie obserwował nas,



gapił się i wyglądało, jakby tracił cały czas nadzieję, że coś z nas będzie, twarz mu czerwieniała, zaciskał wargi, pulsowała mu żyła na skroni. Nie był zadowolony, że mężczyźni grają w siatkówkę. Stał daleko w krzakach, nie podchodził w pobliże boiska. Potem, czwartego dnia, przyszła kolej na mnie, żeby rozpaść ogień w saunie, i gdy szedłem tam z wielkim naręczem porządnego suchego drewna, usłyszałem, jak w ubieralni ktoś dyszy, zaglądam do środka i widzę jednego z mężów, nie tego Jariego, ale innego faceta z Espoo, jak leży brzuchem na ławce, a ten mówiący miękkim głosem facet wciska mu marchewkę, aż wióry lecą. Ubrany w koszulę zapiętą na ostatni guzik. Zniosłem drewno z powrotem na stos, poszedłem do Maiju, pocałowałem ją w policzek i powiedziałem, żebyśmy podpisali papiery rozwodowe. Potem pojechaliśmy w zgodzie do domu i do dziś jesteśmy przyjaciółmi. Taka to sobie zwykła historia.

Wydawało się, że Muurla zbiera myśli. Nyman nie zamierzał wcale komentować tej opowieści, nawet przerywnikami w stylu „Właśnie, no tak”. Zerknął na zewnątrz.

Budynek Centralnego Biura Śledczego w Vantaa stał na dużej, należącej do policji działce, pokój Muurla znajdował się na trzecim piętrze, od południowo-zachodniej strony, z której leżała inna, niezabudowana, działka wielkości pola uprawnego. Była bardzo zielona, porośnięta trawą, otoczona delikatnymi brzoźkami, co przypominało Nymanowi o jego letnim urlopie. Miał go przed sobą, mimo to sprawiał wrażenie, jakby był już po wakacjach: był w nowym białym obuwiu sportowym, luźnych granatowych dżinsach, czerwono-szarej flanelowej koszuli; kilkudniowy zarost podkreślał dołki w policzkach, ciemne, dłuższe niż zwykle u mężczyzn włosy były jeszcze wilgotne po prysznicu i zmierzwiłone. Właściwie to wyglądał tak codziennie; zdaniem Tuuli przypominał piosenkarza country i długodystansowego biegacza. Lecz nie był ani tym, ani tym. Był za to najlepszym śledczym w jednostce zajmującej się działalnością pod przykryciem. Nyman pomyślał, że właśnie to jest powodem jego obecności w gabinecie szefa. Spojrzał na Muurlę, który sprawiał wrażenie, jakby wrócił do toczącego się właśnie dnia.

– Komplet materiałów dotyczących śledztwa – powiedział Muurla, splatając palce i kładąc dłonie na stole niczym do modlitwy – znajdziesz w komputerze i możesz je sobie tam przejrzeć. Skrócona wersja: zwłoki w małym miasteczku, śledztwo na poziomie lokalnym bez rezultatów,

zespół Centralnego Biura Śledczego pojechał tam i odjechał, bez rezultatów. Sprawa pod każdym względem podejrzana.

Nyman spojrzął na siedzącego za biurkiem zwalistego mężczyznę o twarzy przypominającej starodawną sofę pokrytą zniszczoną, pomarszczoną skórą. Muurla był jego przełożonym od czasów, gdy Nyman zaczął pracę w jednostce do działań pod przykryciem po latach spędzonych w wydziale kryminalnym policji w Helsinkach. Nie znał jego przeszłości, nie wiedział nawet, ile ma lat; jego jednostka funkcjonowała tak, jak ich uczono. Szef mógł być już blisko sześćdziesiątki. Nyman lubił pracować jako jego podwładny; Muurla wystarczały wyniki, nie doradzał mu, nie kierował nim, nie rządził. Mogło to też wynikać stąd, że nigdy nie potrafił wnieść nic nowego do sprawy. Nyman nie zamierzał się zastanawiać nad taką ewentualnością.

– Na pewno istnieje jakiś powód, dla którego chcą, abyśmy się w to włączyli – powiedział, zadając tym samym pytanie.

– Mówimy o pewnego rodzaju zawodowcach – oznajmił Muurla. – A raczej tak się powinno mówić. Wielu spraw jeszcze nie wyjaśniono. Wygląda to następująco: facet zjawił się w tym domu zaproszony albo bez zaproszenia, potem przybyli tam na zaproszenie albo bez zaproszenia ludzie, którzy albo go znali, albo nie znali, i działali w sposób zaplanowany albo spontanicznie, no, w każdym razie skutek jest taki, że mamy do czynienia z mężczyzną, któremu złamano kark. Nie mógł tego zrobić zwykły człowiek, przynajmniej nie właścicielka domu, która jest kobietą i która może być zamieszana w sprawę albo nie. Była wielokrotnie przesłuchiwana. Podtrzymuje to, co zeznała za pierwszym razem: przyszła do domu, wszędzie panował chaos, a na podłodze leżał mężczyzna, którego nigdy nie widziała. Niczego nie można potwierdzić. Oczywiście poza tym, że właścicielka domu, ta kobieta, znajdowała się gdzie indziej podczas całego zdarzenia. Ale czy wiedziała, co się u niej dzieje, to inna sprawa, a jeśli wiedziała, to do jakiego stopnia.

– I właśnie sposób popełnienia czynu wskazuje na zawodowców?

– Tak – potwierdził Muurla. – Zdaniem lekarza sądowego do tego potrzeba dwóch znających się na rzeczy ludzi. Amatorzy czegoś takiego nie potrafią. Trzeba stanąć w odpowiedniej pozycji, znać anatomie człowieka, mieć wyczucie czasu, umieć współdziałać. I może jeszcze znać sztuki walki, w grę nie wchodzi żaden tam żółty pas, tylko czarny. I druga sprawa. Niczego nie zabrano. Oni przyszli, załatwili sprawę i zniknęli, zanim pojawiła się właścicielka domu. Tak więc wszystko inne

mogli zrobić dla zmylenia śladów. Jak autorzy protokołu ze śledztwa podejrzewają, napastnicy najpierw mocno poturbowali ofiarę, potem zabili w taki sposób, który wymagał wyjątkowych fizycznych umiejętności, a na końcu nabałaganili dla stworzenia pozorów. Do tego mamy jeszcze jeden czynnik utrudniający śledztwo...

Nyman czekał. Muurla oparł się o stół i na zmianę przesuwał z wysiłkiem w jego stronę to jeden, to drugi łokieć.

– Na początku nastąpiło jakieś małe zamieszanie – powiedział, wwiercając się w podwładnego spojrzeniem szarych oczu. Nyman był do tego przyzwyczajony, ten wzrok świadczył o tym, że niedługo zostanie odesłany z gabinetu szefa, żeby wykonać coś niemożliwego. – Miejscowy patrol policji odebrał telefon alarmowy i zrozumiał, że sytuacja w domu jest nadal niebezpieczna. Policjanci wpadli z rozpędem do środka i zaczęli szarpać tego faceta, bo oczywiście pomyśleli, że to jakiś przypadkowy wariat, który doprawił się dopalaczami, rzucał kamieniami, wybił okna, włamał się, narobił bałaganu i urwał mu się film. Taka tam zwykła rozróżba. Więc te żwawe chłopaki z patrolu też trochę nabałaganili. A w dodatku dom jest w remoncie i przewija się przez niego tylu ludzi co na przystanku autobusowym. Dlatego też oględziny techniczne okazały się... łagodnie mówiąc... trochę trudne, a śledztwo dotyczące przestępstwa jest prowadzone raczej manualnie, systemem oldskulowym, jak powiada mój syn. A skoro już jesteśmy przy potomkach, to chyba dobrze, że nie macie dzieci, bo przy rozwodzie...

– Kim mam być? – spytał Nyman, zanim Muurla zdążył zagłębić się w temat. Miał wrażenie, że przez ostatni miesiąc zdążył usłyszeć ze czterysta różnych opowieści związanych, czasem bardzo luźno, z rozwodem, choć nie pamiętał, żeby o nie prosił.

– Będiesz się nazywał Jan Kaunisto – oświadczył szef, rzucając na stół plastikową torebkę, przez którą prześwitywał fiński paszport. – Jesteś nauczycielem matematyki. Na urlopie.

– Wspaniale – powiedział Nyman, słysząc jednocześnie, jak sucho i lakonicznie to zabrzmiało. Był jednak zadowolony, że będzie mógł posługiwać się własnym imieniem. W ten sposób łatwiej przyswoi sobie nową tożsamość.

– Na konto przelano ci miesięczną pensję i świadczenie urlopowe – poinformował go Muurla, otwierając plastikową torebkę na tyle, aby zajrzeć pod paszport. – A tu masz kartę debetową. Kup sobie, czego potrzebujesz, telefon i inne rzeczy. Jakies pytania?

– Mam dużo pytań, ale odpowiedzi znajdę pewnie w materiale dotyczącym śledztwa.

Muurla podał Nymanowi torebkę. Obaj spojrzeli na siebie.

– Chcesz usłyszeć moją teorię?

Nyman milczał. Muurla najwyraźniej odebrał to jako pełną zachętę zgodę.

– Kobieta spotyka mężczyznę – zaczął i skrzyżował ręce na piersi, tak że sprawiał wrażenie potężnej skały. – Ale on okazuje się zupełnie kimś innym, niż jej się wydawało na początku. Kobieta orientuje się, że facet nie odczepi się po dobroci, a ona zna odpowiednich ludzi na mieście. Zatrudnia dwóch rzeźmieszków, żeby się zajęli sprawą. Oni robią to, za co im zapłaciła, a potem pozorują, a właściwie próbują pozorować włamanie albo porachunki.

– I co potem? – spytał Nyman.

– Co masz na myśli?

– Jeśli kobieta wynajęła zawodowców, jak sugerujesz, to oni do niej wrócą. Tacy ludzie nie znikają, obłupią cię do ostatniego grosza. Będą ciągle wracali.

Muurla zastanawiał się przez chwilę.

– No to dobrze, że będziesz na miejscu – stwierdził. Potem jeszcze trochę pomyślał i kiwnął głową, ale nie w stronę Nymana, tylko kogoś, kogo jedynie on mógł dostrzec. – To ta kobieta pociąga tam za sznurki.

## 2

Olivia Koski szła wokół domu, podążając za noszącym czapkę z daszkiem pulchnym mężczyzną, z którego wylewały się słowa niczym woda krążąca niezmordowanie w zamkniętym obiegu. Pomyślała, że powinna słuchać uważnie, ponieważ w spływającej z jego ust pulpie w którymś momencie może się nagle pojawić coś konkretnego. Chwilę wcześniej mężczyzna przedstawił się jako Esa i moment ten skojarzył się jej z igłą gramofonu opadającą na płytę z muzyką. Teraz płyta się kręciła i oni też się kręcili. Na karoserii irytującego nowością żółto-czarnego samochodu dostawczego widniał napis FIRMA HYDRAULICZNA KUURAINEN I PARTNERZY, więc Esa był albo Kuurainenem, albo partnerem.

Przy południowej ścianie domu mężczyzna zatrzymał się, a potem odwrócił w jej stronę. Ramiona zwisały mu luźno, patrzył na nią nieco z ukosa, mrużąc oczy w jaskrawym świetle południowego słońca. Sprawiał wrażenie chłopca, który ma do wykonania polecenie.

– Tędy bym przeciągnął nową rurę na wodę użytkową – powiedział. – Zimną i ciepłą. Jak długo występują kłopoty z wodą?

Olivia pomyślała o swoim ojcu, o ojcu ojca i jego ojcu. Uprzejmi, dobrzy mężczyźni – najbardziej niepraktyczni ludzie w całej historii świata.

– Od początku stulecia – odparła.

Esa się zaśmiał.

– Poprzedniego stulecia – uściśliła.

Hydraulik spoważniał, spojrział w dół i znów zaczął mówić:

– Przekopałbym tutaj i podłączył tam. Nowe rury, w domu tak samo. Jaka woda teraz leci?

Olivia nie musiała się zastanawiać specjalnie nad ilością i jakością płynącej wody, przypomniała sobie poranek, niespłukany z włosów szampon, wygibasy pod prysznicem i w końcu szczekanie zębami.

– Zimna jak lód i można liczyć krople – oświadczyła.

– To są już ostatnie chwile – stwierdził Esa, kiwając głową. Olivia zorientowała się, że z trudem ukrywa radość. – Sprawa jest pilna.

– Jak pilna?

– Trudno powiedzieć. Może być, że woda przestanie płynąć dopiero w przyszłym tygodniu albo już przy następnym splukiwaniu muszli. A jak nie będzie ciśnienia i trafi się coś gęstszego, to nie wiadomo, czy w ogóle spłynie. Nie mówię, że wydarzy się pani coś takiego, bo jest pani szczupła w talii, więc najprawdopodobniej nie. Ale jak pójdzie pani do bufetu albo się naje...

– Panna.

– Słucham?

– Panna – powiedziała Olivia. – Panie to są kobiety zamężne. Albo wiekowe...

Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zmęczona. Ostatnie dwa tygodnie były dla niej cięższe niż wszystkie poprzednie tygodnie i miesiące, a przecież pogrzeb i związane z nim sprawy wcale nie należały do łatwych. A może to za duży kęs do przełknięcia? Nie pierwszy raz przychodziła jej do głowy ta myśl. Stoję teraz w ogrodzie, powiedziała do siebie, i słucham opinii i prognoz na temat swojego układu trawiennego.

– Wodę – oznajmiła. – Chcę mieć w domu wodę. Dlatego do pana zadzwoniłam.

– No tak – rzucił Esa. – Musimy się zastanowić, czy robimy remont generalny, czy też skupiamy się na jednej kwestii.

– Remont generalny?

– To będzie kosztowało jakieś siedemdziesiąt tysięcy – zaproponował hydraulik.

Właściwie to przecież dla niej nic nowego. Olivia nigdy nie wybudowała ani nie odnawiała domu, ale miała do czynienia z remontowaniem i budowaniem. Z taką działalnością człowieka, w której można było zaproponować, ile się chce, uzgodnić i obiecać komukolwiek cokolwiek i nie dotrzymać żadnych obietnic, niczego nie dostarczyć, zrealizować lub zrobić. Nie mówiąc o tym, że podana przez Esę suma miała się nijak do pracy, jaką trzeba było wykonać, i ostatecznie też by nie wystarczyła.

– Skupiamy się na jednej kwestii.

Esa starał się zamaskować rozczarowanie, które trwało około półtorej sekundy, jak to zwykle u działających w tej branży mężczyzn. Później

zaczął robić przymiarki finansowe pod nieco innym kątem, nie rezygnując jednak ani trochę z abstrakcji i braku poczucia rzeczywistości.

– Mówimy tutaj o dużej robocie. To stary dom, stare konstrukcje, trudne zadanie. Materiały. Wynajęcie maszyn.

– Czyli?

Esa skrzyżował ręce na piersi, sprawiał wrażenie, jakby coś sobie obliczał. Olivia nie potrafiła powiedzieć, co w takich chwilach dzieje się w głowach mężczyzn, ale to coś na pewno nie miało związku z wyceną robocizny czy materiałów, ponieważ efekty świadczyły z reguły o czymś zupełnie innym.

– Piętnaście tysięcy.

– Euro?

Esa spojrział na nią; znów starał się przybrać taką minę, jakby się zastanawiał, a potem pokiwał głową.

– Euro.

Olivia odczekała kilka sekund.

– Dlaczego mi się wydaje, że połowa tego to koszt powietrza, taka suma z kapelusza, a pracownik firmy świadczącej usługi hydrauliczne proponuje ją kobiecie mieszkającej samotnie i słabo znającej się na kwestiach technicznych i wodociągowych, mając nadzieję, że zgodnie ze stereotypami nie ma ona oczywiście pojęcia o typowych dla macho sprawach?

Nic nie odpowiedział. Być może słońce opaliło mocno jego policzki albo oblał się rumieńcem. Wyglądał na zmieszanego, może trochę zdenerwowanego. W drzewach szumiał wiatr.

– Stereo... – powtórzył cicho.

– Tak – odparła Olivia. – Pytanie brzmi: dlaczego.

Esa spojrział na nią z ukosa, odwracając nieco głowę.

– Dlaczego i dlaczego – prychnął. – Połowa to wcale nie powietrze. Niech będzie dziesięć tysięcy. To moja ostatnia propozycja.

Olivia odczekała chwilę, a potem pokiwała głową. Nie zamierzała dodawać, że tej sumy nie ma w tej chwili na koncie.

– Prześlę mejlem umowę – oznajmił Esa. – Po jej podpisaniu i wpłaceniu zaliczki zaczniemy robotę. Chociaż i tak będzie to dla nas strata. To tak, jakbyśmy musieli zapłacić klientowi za możliwość wejścia na jego podwórko i kopania w ziemi...

Idąc do samochodu, Esa narzekał cały czas, że wszyscy mu wszystko zabierają: urząd skarbowy, kobiety, podwykonawcy, a teraz nawet klienci. Olivia słyszała już takie narzekania i puszczała je mimo uszu. Nie chciała pytać hydraulika, czy ucieszyłby się, gdyby wszystkich zlikwidować, a on mógłby sobie spokojnie i bez przeszkód robić swoje, kopać doły i układać rury bez urzędu skarbowego, kobiet, podwykonawców i klientów. To by dopiero było prawdziwe szczęście, wyłącznie dla mężczyzn.

Przy samochodzie hydraulik się odwrócił – dosłownie okręcił się wokół swojej osi – zmrużył oczy i spojrzął na dom. Wyglądał, jakby się zastanawiał. Olivia wiedziała, co przyciągnęło jego uwagę – błyszcząca nowością okna.

– Taki remont na raty – stwierdził z nutą bardziej niż lekkiej złości w głosie.

Nie odezwała się. Czekala, aż Esa wsiądzie do samochodu i odjedzie. W końcu usadowił się z trudem za kierownicą, uruchomił silnik i opuścił podwórko. Olivii chciało się krzyczeć, cokolwiek, na kogokolwiek.

Mieszka w małym mieście. Wszyscy tutaj wiedzą, co się wydarzyło. A właściwie nikt nie wie, co się stało, natomiast wszyscy wiedzą gdzie.

Olivia patrzyła teraz na kuchnię, która z grubsza znów zaczęła wyglądać jak należy.

Przez trzy dni przypominała wnętrze studia filmowego: pełno w niej było szkła, leżących na podłodze rzeczy, jej rzeczy, wszystkie powierzchnie były ubrudzone czerwonym proszkiem do pobierania odcisków palców, oblepione policyjnymi oznaczeniami i każda z nich – czy to pionowa, czy pozioma – nosiła ślady poczerwiałej krwi obcego człowieka. Olivia pytała policjantów, kim on jest, a raczej kim był, ale ku jej zdziwieniu funkcjonariusze, zwłaszcza dwaj ostatni, chcieli uzyskać tę informację właśnie od niej, a ona oczywiście nie potrafiła odpowiedzieć, więc znaleźli się w sytuacji, w której nikt niczego nie wiedział. Poza jedną osobą. Olivia jednak nie miała pojęcia, o co tu chodzi.

Wymycie podłogi, zebranie wszystkich odłamków szkła ze szczelin między deskami podłogowymi, ze stołu, krzeseł, blatów kosztowało ją dużo wysiłku. Okruchy szkła znajdowały się nawet w koszyku na chleb, a młynek do pieprzu był ubrudzony krwią.



Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku po tym, jak wróciła z miasta i znalazła w domu zwłoki obcego mężczyzny, i gdy z bijącym w szalonym tempie sercem wypadła na podwórko, zadzwoniła na policję i w nieskładnych słowach złożyła zawiadomienie o zdarzeniu, zaczęła myśleć o wszystkim spokojnie, co ją zdziwiło; przecież mieszka w domu, w którym zabito człowieka. Może było to spowodowane wstrząsem po śmierci ojca, która nadal sprawiała jej ból, jak sugerował pewien jej krewny.

Czy rzeczywiście cierpiała?

Otrzymawszy wiadomość, że ojciec nie żyje, przepłakała tydzień, żałując, że nie rozmawiała z nim częściej o tych sprawach, o których powinna była mu powiedzieć, choć nawet nie wiedziała, o czym dokładnie miałyby mówić. Potem to uczucie minęło i doszła do wniosku, że jednak rozmawiała z nim wystarczająco często i że ojciec chciał dla niej jak najlepiej, tak jak powtarzał, gdy jeszcze żył. I to wszystko.

I o to właśnie chodziło. W tej kuchni, w tym domu.

Znów przypomniała sobie o pieniądzach. Że zawsze je traciła – zawsze! – i ciągle z tego samego powodu.

Raz była zamężna, a raz mieszkała z mężczyzną bez ślubu. Oba związki, jeśli używać tego głęboko filozoficznego słowa, trwały dokładnie po osiem i pół roku. Za każdym razem właśnie ona oświadczała w końcu: „Z tego chyba nic nie będzie, Kristianie/Marko”.

Czasami podejrzewała, że ma jakąś ukrytą wadę, która ujawnia się w całej okazałości co osiem i pół roku. Mimo wszystko uważała jednak te dwa związki za udane, bo straciła jedynie pieniądze.

Kristian był fotografem, który nie posiadał aparatu fotograficznego z powodu braku funduszy, a Olivia była młoda, bardzo młoda. Kristian miał przejściowe kłopoty finansowe i artystyczne. Trwały one już dwadzieścia dziewięć lat. Przysłuchiwała się narzekaniom męża, gładziła go po głowie, a sama studiowała. Przerwała jednak studia, bo ktoś musiał pójść do pracy i płacić czynsz, zarówno za mieszkanie, jak i za znajdujące się w tym samym bloku studio, do którego Kristian nigdy nie mógł dorobić własnego klucza. Trwało to do dnia, gdy Olivia po przyjściu do domu usiadła na kanapie i oświadczyła oglądającemu akurat kolejny film o zombi mężowi, właśnie tak wyobrażającemu sobie ciężką pracę, że nic z tego nie będzie.

Marko prowadził firmę wynajmu pomieszczeń biurowych, znajdującą się w miejscu, którego nikt nie mógł znaleźć i w którym nikt

nie chciał pracować. Jako dyrektor zarządzający siedział nocami w swoim gabinecie, przypatrywał się latarniom oświetlającym teren przemysłowy, popijał wódkę zaprawioną lukrecją i czekał, aż zadzwoni telefon. Być może siedzi tam nadal w oczekiwaniu na klienta, który nigdy się nie pojawi. Olivia rzuciła mu klucze na stół, tuż obok butelki z wódką. Marko nacisnął palcem wskazującym klawisz myszki i najechał strzałką na pusty kalendarz z rezerwacjami, a ona oznajmiła mu, że nic z tego nie będzie, i wyszła. Chwilę później dzieliła dwupokojowe mieszkanie przy Wallininkatu w helsińskiej dzielnicy Kallio z koleżanką ze szkoły, Minną, a potem wróciła tutaj, do domu.

Wniosek z tego był taki, że mężczyźni to drogie hobby. Mogą być uroczy, weseli, burkliwi, głupi, mądrzy jak nie wiadomo co, powolniczym żółwie, przystojni, nie za bardzo przystojni, ale całkiem w porządku, godni zaufania i niegodni zaufania, i wszystko co pomiędzy, lecz cokolwiek by się działo i o kogokolwiek by chodziło, portfel należy trzymać przy sobie.

Niedawno skończyła trzydzieści dziewięć lat, wyglądała całkiem dobrze, miała długie ciemne włosy, swój rozum, niekiedy bardzo ostry i praktyczny, chociaż w przypadku mężczyzn czasem ją zawodził. Niejednokrotnie jej mówiono, że ma szerokie ramiona, duże stopy, smukłą kibić, długi nos, że jest wspaniała, z opalenizną wygląda dość egzotycznie i nawet ładnie, że jej brązowe oczy są tak naprawdę orzechowe. Popełniła w życiu sporo błędów, za które sama ponosiła odpowiedzialność. Nikogo ani niczego nie nienawidziła, do nikogo nie żywiła urazy; nie miała grosza przy duszy i czasem traciła nadzieję, ale teraz coś posiadała i zamierzała się tego trzymać, bo widziała w tym zwrot w swoim życiu i szansę dla siebie. To była właśnie ta willa, z której nie zrezygnuje, tylko ją odnowi i stworzy sobie dom, nawet jeśli w kuchni albo jakimkolwiek innym pokoju znajdzie nie wiadomo ilu martwych ludzi.

Może właśnie w tym tkwiła tajemnica jej spokoju.

Olivia Koski stała jeszcze przez chwilę oparta o framugę drzwi wykonaną z solidnego drewna. Między kuchnią a holem znajdował się jakby krótki korytarz, a raczej przedłużenie otworu drzwiowego. W jego ścianie od strony ogrodu tkwił hak, teraz pusty. Olivia znów popatrzyła na niego i na pociemniały fragment ściany. Podczas sprzątania udało się jej odnaleźć wszystko poza wiszącym na tym haku przedmiotem, który

należał do jej dziadka i ojca. Nie pojmowała, dlaczego ktoś go ukradł. Zakładając, że naprawdę tak się stało.

Światło dnia rozjaśniło dom, wyczyściło kuchnię i poprawiło jej nastrój. Nie ma powodu do paniki, powtarzała sobie.

Czy na pewno?

Od czasu do czasu dom wydawał jakieś dźwięki, gdzieś rozlegał się stukot, a wtedy ogarniał ją strach. Miało to oczywiście związek z kuchnią i zabitym mężczyzną. Przez kilka lodowatych sekund myślała, że ktoś wszedł do środka, lecz po chwili się uspokajała. To bezpieczne miejsce, przekonała się już o tym. Bezpieczne, ale na pewno niepozbawione wad.

Rury doprowadzające wodę, którym jej ojciec, marzyciel i człowiek niepraktyczny, ale mający wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach, nie poświęcił ani jednej myśli, muszą wytrzymać. Muszą działać, zanim Olivia nie zdobędzie dziesięciu tysięcy euro. Jeszcze niedawno sądziła, że brakuje jej tylko dziewięciu tysięcy euro. Było to jednocześnie pobożne i przedwczesne życzenie. Po zapłaceniu rachunków znów będzie potrzebowała dokładnie dziesięciu tysięcy.

Spojrzała na zegar wiszący na ścianie i przestraszyła się.

Do rozpoczęcia swojej zmiany miała tylko czternaście minut. Podjęła pracę, która była dostępna, tylko taką jej zaproponowano. Pensja okazała się kiepska, warunki nie zawsze stabilne, koledzy trochę dziwni – zwłaszcza ostatnio. Lecz najgorsze w tym wszystkim było ubranie, które musiała nosić. Od początku wydawało się jej okropne i nic się nie zmieniło, chociaż wyobrażała sobie, że w końcu się przyzwyczai.

Może – pomyślała znów – może dzisiaj będzie inaczej.

Może dzisiaj nie będzie się czuła jak szynka na wystawie, jak nudystka na kole podbiegunowym.

Weszła do przedpokoju, wzięła z wieszaka strój i stała tak przez chwilę, ale wcale nie poczuła się lepiej. Rozebrała się i stanęła na środku całkiem naga. Właśnie taka się sobie wydawała w służbowym wdzianku. Westchnęła głęboko i włożyła kostium kąpielowy, naciągając ciasną gumę na pośladki w nadziei, że dzisiaj coś się zmieni.

Jednak żadna zmiana w jej samopoczuciu nie nastąpiła.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Pomyślała, że nawet jeśli przymknie oczy, to i tak nadal będzie widziała ten jasnożółty napis. Czemu by nie spróbować? Szybki ruch powiek, ciemność – rzeczywiście, tekst zniknął.

Lecz na tych kilka sekund ogarnął ją lodowaty chłód i zobaczyła wyraźnie, niczym podczas jasnego dnia, gdzieś na otwartej przestrzeni, zapewne nad brzegiem morza, sylwetkę mężczyzny zmierzającego w jej kierunku. Mężczyzny, który unosi rękę i najwidoczniej ma do niej jakąś sprawę.

Zaskoczona, otworzyła oczy i mężczyzna zniknął, a wraz z nim uczucie zimna.

Tekst na kostiumie kąpielowym oznaczał chyba coś więcej niż tylko nową nazwę ośrodka wczasowego.

Stała przed lustrem jeszcze przez chwilę. Czuła się jednak lepiej z otwartymi oczami.

### 3

Skropiony obficie wodą kolońską mężczyzna o nastroszonych i zmierzwionych włosach przedstawił się jako dyrektor zarządzający Jorma Leivo, a potem się odwrócił. Nyman ruszył za nim przez krzaki jagód. Leivo machnął ręką okrytą rękawem jasnej marynarki w stronę wybrzeża.

– Plaża międzynarodowej klasy – oznajmił. – Wszystko, co znajduje się w Saint-Tropez, jest tutaj, ale lepsze. Łodzie kanadyjki, rowery wodne, łodzie wiosłowe, deski windsurfingowe, łódki regatowe, fotele plażowe. Nowe fotele plażowe. Sto dwadzieścia sztuk. Warto zarezerwować, bo zabraknie. Jak się dobrze przyjrzeć, to teraz tylko jeden jest zajęty, ale wszystko zależy od dnia. Siatkówka, tenis, minigolf. Trzy dołki. Klasa Tigera Woodsa. Naukę tańca prowadzi facet, który był w Meksyku i uczy salsy na światowym poziomie. Restauracja oferująca jedzenie *à la carte* i inne przysmaki, owoce morza, pizzę, lokalne piwa, których nie dostanie się nawet w Niemczech. Ludzie weseli, życie plażowe na najwyższym poziomie, pięciogwiazdkowe. Możliwości są nieograniczone. Jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, to latem przyszłego roku otworzy się jeszcze kasyno, miejsce w stylu Moulin Rouge. Ładne piersi i wiatraki, a potem lądowisko dla helikopterów przewożących VIP-y: gwiazdy filmowe, kierowców Formuły Jeden. Centrum handlowe nie jest jeszcze gotowe, dopiero w planie, przewidziane dla żon, nie trzeba być pięknym ani bogatym, żeby kupować. Sklep plażowy do usług. *It's the hottest beach in Finland.*

Leivo odwrócił się na chwilę, żeby kiwnąć głową na zakończenie zdania.

– Palm Beach Finland – powiedział Nyman, patrząc na morze i idąc za głosem oraz zapachem Leiva.

– Tak – potwierdził właściciel. – To mój pomysł. Plaża oczywiście też jest moja, ale kto by o wszystkim pamiętał.

– Przedtem była inna nazwa.

- Ale przedtem nie było tego poziomu.
- Co wpłynęło na podniesienie poziomu?

Leivo przystanął i odwrócił się. Wyciągnął rękę i pokazał na coś. Na wprost czubka palca wskazującego, w odległości około stu pięćdziesięciu metrów, znajdowała się wielka, wprost gigantyczna, tablica z napisem w jaskrawych, neonowych kolorach.

- Przyszłość – oświadczył.

Nyman zobaczył, co jest napisane na tablicy.

- No tak.

Leivo zerknął na niego z zadowoleniem. Poszli dalej. Słońce było wysoko, nastąpiła najcieplejsza pora dnia, co jednak nie oznaczało upału; wiatr wzbudzał pienne fale, brzeg wydawał się opustoszały, a morze niebieskie i niczym nieograniczone. Nyman pomyślał, że w tym punkcie globu jest mniej więcej siedem i pół ciepłych dni w roku.

- Jaką branżę reprezentujesz, jeśli mogę zapytać?

– Jestem nauczycielem matematyki.

– Długie wakacje – stwierdził Leivo. – To fajna sprawa. Zwłaszcza latem.

Nyman nie wiedział, czy Leivo żartuje, czy papie tak, jak to robi wielu ludzi, którzy nie słuchają samych siebie. Zwrócił również uwagę na spływające po jego twarzy lśniące strużki potu. Toczyły się od skroni przez policzki, docierały do szyi i zatrzymywały się dopiero na kołnierzu koszuli. Część z nich skapywała z brody na białą marynarkę. Nyman pomyślał, że być może Leivo popił ostro i teraz jego organizm się oczyszcza. Wyjaśniałoby to ilość wody po goleniu, której wystarczyłoby do zamaskowania smrodu bijącego z fabryki papieru. Jednak dyrektor nie robił wrażenia człowieka pijącego nałogowo ani takiego, który zalał się wczoraj. Wprost przeciwnie. Tryskał energią i rzeźkością. Pocenie się nie mogło być również spowodowane upałem, gdyż Nyman czuł, jak wiatr przeszywa jego flanelową koszulę, wywołując gęsią skórę.

Przestał się nad tym zastanawiać, gdyż dotarli na miejsce.

Zobaczył sześć domków, pomalowanych radośnie i pstrokato; każdy z nich jarzył się własnym kolorem, turkusem, różem, miętową zielenią, purpurą, fioletem, jasnym błękitem. Stały w równym rzędzie na wąskim, porośniętym sosnami terenie, a ich mikroskopijne białe drewniane ganki spoglądały ku morzu. Nyman zauważył, że na drzwiach wisiały tabliczki. Zaczął odczytywać nazwy: Castillo, Zito, Trudy, Gina, Switek i w końcu Tubbs, wynajęty przez niego.

– Masz szczęście – rzucił Leivo i otworzył drzwi domku w kolorze miętej zieleni. Podał Nymanowi klucze. – Ostatni domek. Bezpośredni lot do Miami. Prawdziwa Floryda. Pięciogwiazdkowe widoki. Międzynarodowa klasa, ale w delikatnym fińskim stylu. Idą jak gorące bułeczki. Umówiliśmy się na razie na jeden tydzień. Na początku każdego tygodnia istnieje opcja przedłużenia na kolejny. Warto wykupić od razu, bo ludzie czekają w kolejce.

Nyman spojrział na sąsiednie domki. Sprawiały wrażenie opustoszałych. Nie widział przed nimi samochodów ani ręczników wiszących na poręczach, plażowego sprzętu na gankach albo opartego o ściany. Jorma Leivo znów pojawił się w jego polu widzenia.

– One są zarezerwowane – oświadczył. – Z wyprzedzeniem.

Potem machnął ręką w drugą stronę, w kierunku miasta, wskazując na porośnięty drzewami cypel, który z tej odległości wydawał się zielono-brązowy. Nyman nie dostrzegł tam żadnych domów, nie mówiąc już o ludziach.

– Oczywiście się rozwijamy – dodał Leivo. – Będziemy mieli luksusową przystań dla łodzi i luksusowe domki dla klientów posiadających karty klubowe. Karty będą gotowe niedługo, tysiąc euro za sztukę, zrobione z prawdziwego złota. Czemu lecieć do Hiszpanii, gdy można przyjechać...

– ...do Palm Beach Finland – uzupełnił Nyman, bo zdawało mu się, że gospodarz tego właśnie po nim oczekuje.

Leivo pokiwał z zapalem głową i podał mu jakiś przedmiot. Nyman zobaczył jaskraworóżową czworokątną paczuszkę.

– Nawet nie zdążyłem nadmuchać – oznajmił Leivo i po raz pierwszy jego słowa zabrzmiały szczerze. – To różowy flaming. Każdy gość go dostanie.

– Dziękuję – odpowiedział Nyman.

Leivo wyglądał na zadowolonego.

– Żeby stworzyć atmosferę. I warto go oszczędzać. Ma się z niego dużą zabawę. Chcesz, żebym dmuchnął?

Nyman zastanawiał się, czy o to poprosić, ale właśnie wtedy w górnej kieszeni marynarki dyrektora zarządzającego zabrzmiał hit dyskotek z lat osiemdziesiątych. Leivo wyciągnął telefon, przyjrzał mu się, zmarszczył czoło i na krótką chwilę jakby całkiem zapomniał o gościu. Nyman to zauważył. Leivo ocknął się jednak natychmiast, odrzucił rozmowę i wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Potem podniósł

wzrok na Nymana i uśmiechnął się. Uśmiech był dokładnie taki jak cała dotychczasowa prezentacja Leiva – błądził w poszukiwaniu właściwego miejsca, o ile takowe istniało.

– Jeśli chodzi o nazwy domków, to gdzie znajduje się Crockett? – spytał Nyman, chociaż Leivo już odchodził.

Patrząc na oddalające się plecy dyrektora ośrodka, zwrócił uwagę, że marynarka przylgnęła do jego pleców trochę wyżej, niż powinna. Nyman zadrżał z zimna, bo mimo ostro świecącego słońca było bardzo chłodno.

Po godzinie i piętnastu minutach spędzonych w tej miejscowości nadal nie potrafił uwierzyć w to, że Nicea przestała być ulubionym obiektem urlopowym elit, nie dostrzegał też najazdu gości, ale może nie wiedział wszystkiego. Był świadkiem dziwniejszych rzeczy i nie chciał wyciągać pochopnych wniosków. Ogarnęło go uczucie – pogłębione zwłaszcza po lekturze materiałów ze śledztwa, z którymi zapoznał się podczas podróży pociągiem i autobusem – że ktoś dokonał przedwcześnie nagłych podsumowań i szybkich ocen.

Leivo zostawił domek otwarty, więc Nyman wszedł do środka i odruchowo zamknął za sobą drzwi.

Sądząc po wielkości podłogi, budynek miał dwanaście metrów kwadratowych. Naprzeciwko drzwi stało piętrowe łóżko, w jakim Jan Nyman spał ostatnio trzydzieści lat wcześniej. Postanowił zająć niższy poziom. Po lewej stronie znajdowały się minikuchnia i miniłazienka, jeśli niewielką plastikową budkę z prysznicem zamocowanym nad ubikacją w ogóle można nazwać łazienką. W minikuchni zobaczył zlew, ekspres do kawy, a w wąskiej szafce naczynia do przygotowywania i spożywania posiłków, opatrzone logo Clasa Ohlsona. Siedząc przy stole po prawej stronie, można było podziwiać przez okno proste, jasnobrązowe pnie sosen.

Nyman rozejrzał się. Nie jest to Nicea ani Ritz-Carlton, ale zdecydowanie przyjemniej tu niż na zewnątrz, gdy wieje wiatr. Na razie mu wystarczy.

Przełożył zawartość wielkiej torby sportowej do szafy przymocowanej do wezgłowia łóżka: T-shirty, majtki, skarpety, koszule z kołnierzykiem, na wypadek gdyby chciał pójść do restauracji, spodenki kąpielowe, szorty, swetry na chłodniejsze wieczory oraz po dwie sztuki ulubionych koszul flanelowych i dżinsów. Chętnie zrobiłby sobie kawy, ale nie miał ani filtrów, ani kawy. Zabrał się więc do przeglądania na



iPadzie protokołów ze śledztwa i dodatkowych materiałów i po chwili znalazł to, czego szukał.

Fotografie zostały zrobione oczywiście z ukrycia. A jednak niektórzy wyglądali tak, jakby do nich pozowali. Może to znak czasu, ciągle robimy sobie zdjęcia i instynktownie się ustawiamy – na wypadek gdyby ktoś pstryknął aparatem. Wiele sfotografowanych osób miało na sobie kostiumy kąpielowe. Było to zrozumiałe ze względu na panujące warunki.

Nyman zidentyfikował kilku ludzi: oczywiście Jormę Leiva, którego koszule najwyraźniej były mokre od potu codziennie, niezależnie od sytuacji. Zapoznał się też z jego skromną kartoteką przestępczą: jakieś tam wyłudzenia i drobne oszustwa księgowo sprzed dziesięciu lat, dwa lata później groźba karalna i niemal zaraz po niej oczywisty pech: jazda po pijanemu – 0,6 promila, bez przekroczenia prędkości, w niezabudowanym terenie, na pustej drodze. Ze szczególną uwagą Nyman przyglądał się osobom sfotografowanym w towarzystwie pewnej kobiety, starając się zapamiętać ich twarze oraz nazwiska. Gdy policja nabrała podejrzeń, że owa kobieta może mieć coś wspólnego z trupem znalezionym w jej domu, zaczęto ją oczywiście śledzić.

Wiele zdjęć zrobiono jej na plaży; stała tam w towarzystwie znajomych, którym Nyman przyjrzał się najpierw. Był wśród nich facet wyglądający jak surfer i przystojny niczym gwiazdor filmowy, trzymający zwykle ręce w kieszeniach czy to plażowych szortów, czy długich spodni. Wydawało się, że chce jedną ręką chwycić mocno kij od miotły. Jak u wielu przystojnych mężczyzn wyraz jego twarzy był przeważnie pusty, a zarazem z jakiegoś powodu bojaźliwy i pytający: Kim jestem? Niczego nie rozumiem. Czy patrzę w dobrym kierunku? Nie przypominał zawodowego mordercy, ale kto wie, ludzie potrafią zaskakiwać.

Jedno zdjęcie wyróżniało się spośród pozostałych: najświeższe, zrobione cztery dni temu i ostatnie, bo tego samego dnia fotograf i śledczy zostali odesłani do domu.

Surfer stoi na nim obok kobiety, na jego twarzy maluje się jakieś uczucie, może myśl. Mężczyzna spogląda na kobietę wyraźnie zrozpaczony. Nie, nie zrozpaczony. Chyba tak... Nyman przyjrzał się zdjęciu jeszcze raz. Z żalem?

Może tych dwoje miało romans i Dude<sup>[1]</sup> się nie popisał. Ręka w kieszeni wskazywała na to, że facet pozwalał na wiele małemu

surferowi, który prawdopodobnie decydował też o tym, co robiła reszta ciała mężczyzny. Na podstawie swoich prywatnych i zawodowych doświadczeń Nyman wywnioskował, że taki centralny system podejmowania decyzji prowadzi najczęściej do tyranii i rzadko do szczęśliwego zakończenia.

Jeszcze raz zerknął na fotografie. Jeśli kobieta coś wiedziała i stanowiła klucz do rozwiązania zagadki, to on musi się do niej zbliżyć zarówno w sposób bezpośredni, jak i okrężną drogą. Powtórzył nazwiska osób, połączył je z twarzami i przepytał sam siebie. Wkrótce udzielił wszystkich prawidłowych odpowiedzi i wystawił sobie ocenę celującą.

Już miał odrzucić iPada na bok, gdy coś go powstrzymało.

Ostatni raz chciał sprawdzić, gdzie kobieta znajdowała się na zdjęciach i jak na nich wyglądała.

Może na tej podstawie dowie się o niej czegoś więcej.

## 4

Holma trzymał za nogi mężczyznę wiszącego za barierką balkonu, gdy zadzwonił telefon. Już od dłuższego czasu myślał o tym, że powinien zmienić melodię dzwonka, ponieważ obecny zwracał za bardzo uwagę, a poza tym od początku włączył go dla żartu – głupi stary hit i pojękiwanie białego rapera, brzmiące w głowie niczym donośne łomotanie.

Dłonie Holmy ścisnęły kolana wiszącego plecami do zewnętrznej ściany balkonu mężczyzny, który wywijał rękami i kiwał głową do góry i na dół, jakby tańczył. Mieszkanie znajdowało się w Helsinkach, we wschodniej części dzielnicy Merihaka, na najwyższym piętrze szarego budynku. Przed nim, po drugiej stronie zatoki, wznosił się stos węgla składowanego na Salmisaari, a w dole biegła ścieżka rowerowa. I tu, i tam prowadziła równie długa droga.

Ice ice baby.

Dzwonki telefoniczne mają to do siebie, że pamięta się je, gdy dzwoni telefon, i zapomina o nich natychmiast po odbyciu rozmowy. Aż do następnego razu... Taka niekończąca się sinusoida. W rzeczywistości niewiele osób znało jego numer. Ci, którzy dzwonili, mieli do niego jakąś sprawę, co oznaczało, że kontaktowali się rzadko. I faktycznie, gdyby się zastanowić dokładniej, nie było w tym nic dziwnego, że melodia dzwonka, która w grupie mężczyzn podczas gry w bilard przy piwie wydawała się zabawna i trafna, pozostawała niezmienną.

Holma poczuł wibracje telefonu w okolicach serca. Chwycił mocniej mężczyznę za kolana i sięgnął do górnej kieszonki marynarki. Jednak nie udało mu się wyciągnąć telefonu. Wsunął końce palców do wąskiej kieszeni, lecz aparat tkwił głębiej, jakby ułożony poprzecznie.

Ice ice baby.

Czy nie ma żadnego limitu ograniczającego czekanie na odpowiedź?

Holma postawił się w sytuacji dzwoniącego. Gdyby to on usłyszał sygnał łączenia na przykład dwanaście razy, czy czekałby na trzynasty?

I czy istniało prawdopodobieństwo, że ktoś odpowie na przykład po dwudziestym sygnale? Jego zdaniem było to mało prawdopodobne. Zaczął wątpić nie tylko w siebie samego, ale także w ludzi, których zapisał w swoich kontaktach. Czyżby dał numer telefonu komuś, kto nie bardzo rozumie, jak należy się posługiwać tym sprzętem i jaka jest etykieta w takich wypadkach? Zastanawiając się nad tym, czuł, że telefon nadal wibruje.

Spróbował jeszcze raz wsunąć rękę do kieszonki. Bez powodzenia.

Spojrzał na stos węgla. Padające na wprost promienie słońca sprawiały, że przypominał czarny lód. Holma miał skłonności do wyobrażania sobie różnych rzeczy i łączenia w wyobraźni spraw, których gołym okiem nie dostrzegał i których nie rozumiał dokładnie. Wyobraził sobie, że w wielkiej elektrowni wznoszącej się za węglowym stosem znajduje się hala z taflą z czarnego lodu, w której odbywają się mecze hokeja, a widzowie siedzą w ciemności i wszystko jest czarne... Ale dlaczego, co to komu da i czy nie...

Ice ice...

Holma poluznił uchwyt, wyprostował się, wyjął aparat z kieszonki i odebrał telefon. Być może usłyszał przy tym z daleka głuchy stukot, plask, jakiś dźwięk. Ale trzymał już telefon przy uchu, więc równie dobrze mógł to być trzask dochodzący z satelity.

Głos w słuchawce wydał mu się znajomy.

– Złe wiadomości.

– Chcę je usłyszeć najpierw – zażądał Holma.

Nastąpiła krótka przerwa.

– Właśnie rozmawiałem ze znajomym policjantem. Wspomniał o tej sprawie, gdy gadaliśmy... o czymś innym.

Głos znał policjantów, Holma to wiedział. Czekał na ciąg dalszy.

– Twój brat Antero nie żyje. Został zabity. W jakiejś awanturze.

Antero, czarna owca w rodzinie. Wszystko, czego próbował, kończyło się katastrofą. Gdyby go wysłać, żeby obrabował sklep spożywczy Alepa, to pokazałby przy kasie swoją kartę stałego klienta.

– Z jakiegoś powodu długo nie mogli go zidentyfikować. Stało się to dwa tygodnie temu. To małe miasto. Pojechali tam faceci z Centralnego Biura Śledczego, ale niczego nie wykryli.

Głos wymienił jeszcze nazwę miasteczka i nazwisko osoby, u której znaleziono Antera ze skrzyżnym karkiem, podał adres, wspomniał coś o kuchni i elektrycznym mikserze, ale Holma odczuwał już następstwa

słuchania melodii dzwonka. Refren nadal dźwięczał mu w głowie, wchodząc w środkową frazę. Tkwił mocno i rozpostarłszy macki, zasłaniał wszystko.

– A co u ciebie? – spytał głos.

Holma zrobił krok do przodu, spojrzął z balkonu na ścieżkę rowerową. Leżący daleko na dole mężczyzna wyglądał, jakby zasnął.

– Na ziemi panuje spokój.

– Chcesz wziąć kilka dni wolnego?

Jeszcze się nad tym nie zastanawiał, ale propozycja wydała mu się rozsądna.

– Dobrze by mi to zrobiło.

– Poszukam kogoś na zastępstwo do pilnych spraw. I zadzwoń, jakbyś chciał wrócić. To są delikatne kwestie.

Może i delikatne, pomyślał Holma, ale jeśli chodzi o Antera, wymagające czasu.

– Nie chcę, żeby ktoś pracował, gdy jest wytrącony z równowagi albo źle się czuje. Naładuj akumulatory, skup się na tym, co sprawia ci przyjemność, to wrócisz zmotywowany.

Holma wszedł do mieszkania i rozejrzał się. Wszystko było jak trzeba. Położył na stole wcześniej napisaną wiadomość od samobójcy i wyszedł. Jadąc windą, rozmyślał.

W uszach brzmiały mu słowa zasłyszane podczas rozmowy telefonicznej: „...skup się na tym, co sprawia ci przyjemność”. Pomyślał o Anterze, o ich wspólnych początkach, pożyczeniu samochodów podczas letnich nocy, pierwszych nieporadnych włamaniach, dziwacznych rabunkach. O wspólnej nauce.

Uśmiechnął się do siebie w lustrze. Poza wspomnieniami miał też inne powody do zadowolenia. Nie martwił się, że ktoś go zobaczy w budynku lub w pobliżu. Wiedział, że zapamiętanie rysów jego twarzy sprawia ludziom kłopoty. Wynikało to z jej symetrii, niczym się nie wyróżniała, nic nie pozostawało w pamięci. W młodości pewna kobieta powiedziała mu, że trudno jej było nawet go rozpoznać. Zrobiła mu tym przykrość, więc ją poddusił, żeby zrozumiała, jak bardzo jest urażony.

Młodość.

Złote wspomnienia.

A także jego Pierwszy Raz.

Słoneczny jesienny dzień, migoczące liście drzew. Dostają pierwszą oficjalną robotę i jadą przez miasto. Teraz pracują dla znanego

przestępcy. Chodzi o to, by przypomnieć mieszkającemu na południu Helsinek aktorowi o jego znacznym nadal niespłaconym długu. Włamują się do jego domu, idzie im to łatwo. Aktor sprawia wrażenie mocno pijanego, odór i zarost na brodzie świadczą, że popija już od dłuższego czasu. Jest mniej więcej druga i on bierze ich za dostawców pizzy. Antero pyta, czy wyglądają na takich. Aktor odpowiada, że nawet jak na dostawców są za głupi. Oczywiście Antero się denerwuje. Rzuca się na aktora, obaj się przewracają i zaczynają walczyć. Holma rozgląda się. Właśnie o takim mieszkaniu marzył i chciałby je kiedyś mieć. Nigdy wcześniej takiego nie widział: wysokie pomalowane na biało ściany, wnęki okienne prawie tak duże jak w twierdzy na wyspie Suomenlinna, podłoga z szerokich, pociągniętych lśniącym lakierem desek, w kącie dużego pokoju ozdobny kominek, który Holma nazwie później piecem kaflowym. Tu i teraz postanawia, że pewnego dnia będzie tak mieszkał. Aktor jest silny, próbuje przycisnąć Antera swoim ciałem. Udaje mu się to. Wkrótce siedzi mu na klatce piersiowej, unieruchamia kolanami jego ręce, uderza go po policzkach, rzuca brzydkimi słowami, obraża go. Holma musi przyznać, że część tego, co mówi pijany aktor, jest bardzo śmieszna i trafna. Przypomina sobie kiedyś zasłyszane, pewnie od któregoś z nauczycieli, słowo „improvizacja”. Tak, aktor improvizuje. Holma przysłuchuje się przez chwilę, potem się odwraca, idzie do kuchni i ją również ogląda z podziwem. Bielutkie szafki i blaty, lśniące metalowe nogi krzeseł i stołu. Próbuje sobie wyobrazić, jak by się czuł tutaj, jedząc śniadanie albo inne posiłki. Otwiera szuflady, znajduje nóż z ostrym czubkiem – jego zakończenie jest niczym szpila rozszerzająca się odrobinę na końcu długiego ostrza, ale Holma nie wie, do czego służy. Wraca do salonu, wbija nóż aż po rękojeść w kark aktora, słysząc jednocześnie, że ktoś dzwoni do drzwi. Aktor pochyla się powoli nad leżącym Anterem, jakby się kłaniał po zakończonym przedstawieniu. Twarz Antera lśni, przypomina płonący pomidor. Dzwonek znów się odzywa. Holma kładzie wskazujący palec na wargach; brat rozumie, że ma być cicho. Holma podchodzi do drzwi. Zamówienie jest już opłacone, więc zanoszą gorące pudełko do kuchni. Zjadają pizzę i znów jadą przez jesienne miasto.

Winda dotarła do garażu i Holma ocknął się ze wspomnień. Podeszedł do samochodu.

Zaledwie dwa tygodnie i dwa dni temu powiedział bratu, że czas się usamodzielnąć, pomyśleć o czymś swoim. No i ten pomyślał.

Holma westchnął. Tak czy owak, Antero to rodzina.  
A jeśli członkowi rodziny spadnie choćby włos z głowy, to...  
Otworzył pilotem drzwi samochodu.

## 5

– Dlaczego spotykamy się z nim tutaj? – Robin zrobił najpierw kilka małych kroków, obrócił się wokół własnej osi i zadał na głos pytanie, nad którym Chico poważnie się zastanawiał. Stali na samym dole piaszczystego wyrobiska, na brzegu małego jeziora. Robin powtarzał głośno: – Kociołek krewetek dla trzydziestu osób na siódmą. Sorbet i truskawki. Trzeba pokroić na kawałki truskawki dla trzydziestu ludzi, ułożyć je.

Chico nie odpowiedział, choć rozumiał zdenerwowanie przyjaciela. Dobrze rozumiał.

Dwa ostatnie tygodnie wydawały się całkiem zamglone. Mimo to trzymali się swojej decyzji. Będą się zachowywali tak, jakby nic się nie wydarzyło. Albo prawie nic się nie wydarzyło. Istniał tylko jeden problem: po ich twarzach można było poznać, że zderzyli się ze ścianą. Albo z elektrycznym mikserem.

Rozwiązanie znaleźli w stylu glam rock i w pewnym zespole, w którym grali razem w młodości, jedynym, w jakim Robin w ogóle wystąpił. Znów zaczęli się malować. Przez pierwsze dni potrzebowali sporo pudru, kaju i tuszu do rzęs. „No nie, kurwa. Cały Alice Cooper”, mówili na ich widok ludzie w barze. Chico nie mógł powiedzieć, że nie jest fanem Alice’a, z wyjątkiem oczywiście legendarnego albumu *Billion Dollar Babies*. Potem nastąpił kilkudniowy okres pod znakiem The Cure i Roberta Smitha, zanim nadszedł czas na obecną, bardziej stonowaną linię. Miała ona dużo wspólnego ze stylem żyjących jeszcze weteranów hard rocka – kajał, trochę tuszu do rzęs, nieco pudru, żeby odwrócić wzrok od ciemniejszych miejsc pod oczami i nadal spuchniętego czoła nad brwiami.

Chico odciągnął T-shirt od klatki piersiowej. Wprawdzie wiedział, że koszulka z Erikiem Claptonem jest w sam raz, mimo to czuł ucisk. Wszystko go uwierało.



Przyjrzał się okolicy. Okrągłe, głębokie jezioro na dnie wyrobiska, na jego brzegu pożyczony samochód – ford fiesta w kolorze śliwkowym należący do matki Robina – młode brzozy i połamane krzaki na tle jasno- i ciemnobrązowego zbocza, wysokie sosny na obrzeżach, przypominające czuwających strażników. A nad tym wszystkim blade słońce, które jeszcze nie grzało.

Robin był zdenerwowany, Chico to widział. Oczywiście także rozczarowany. Robin zaplanował już, co zrobi z pieniędzmi. Marzenia i plany. Rzecz jasna, wiązały się one z Neeą.

Neea pracowała jako ratowniczką wodną, była koleżanką Chica i najbardziej opalonym białym człowiekiem, jakiego w życiu widział. Ponadto rzadko się odzywała. Chico wielokrotnie chciał zapytać przyjaciela, czy zamierza coś zrobić ze swoim zachwytem, bo jak do tej pory na widok dziewczyny tylko nieruchomiał, mruzczał niskim głosem i gapił się na jej błyszczące, brązowe ciało, które odsłaniała tak bardzo, że nawet on musiał się upewniać, czy w ogóle nosi jakieś ubranie. Na szczęście nigdy nie zadał jej takiego pytania.

Przez pewien czas wszystko zapowiadało się dobrze, a teraz znów znaleźli się w punkcie wyjścia. Albo jeszcze dalej. Palm Fucking Beach Finland, pomyślał Chico, gdy Jorma Leivo pojawił się wreszcie na końcu zwirowej drogi.

Podjechał samochodem tuż pod ich nogi, zmuszając ich, by zrobili krok w tył, w stronę jeziora. Otworzył drzwi, wysiadł i stanął z przodu pojazdu, niemal równie szeroki jak maska jego pajero. Chico odniósł wrażenie, że świadomie zepchnął ich na brzeg, nim jeszcze zdążyli przystąpić do rozmowy.

– Dwa tygodnie – oświadczył Leivo i spojrzał swoimi budzącymi strach niebieskimi oczami. – Dwa tygodnie i żadnych rezultatów.

Minęła chwila, zanim Chico zorientował się z grubsza, co szef miał na myśli. On chyba żartował.

– Sytuacja...

– ...jest taka, że nie wykonaliście roboty – stwierdził Leivo.

Chico pokręcił głową; chciał od razu zaprzeczać temu, co usłyszał, nie mogąc jednocześnie w to uwierzyć.

– Codziennie chodzimy do pracy – powiedział.

– Oczywiście – obruszył się Leivo. – Płacę wam za to pensję. Ale nie o tym mówię. Mamy też drugą umowę, którą przyklepaliśmy. Sprawa jest coraz pilniejsza.

Chico chciał coś powiedzieć, choć nie bardzo wiedział co, gdy z boku usłyszał głos Robina:

– Zabiliśmy tego kołosa. Przez przypadek pociągnęliśmy go w dwie różne strony.

Jorma Leivo krzyknął i zakrył dłońmi uszy.

– Ja tego nie słyszałem – oznajmił, jeszcze bardziej wściekły. – Ja nic o tym nie wiem. Ja... – Opuścił ręce. – Cholera jasna. Płacę wam za robotę, wasza działka to wykonanie zadania. Czy to może być takie skomplikowane? Czy mam do czynienia z idiotami?

– Może – przyznał Chico, odpowiadając na przedostatnie pytanie, ale zabrzmiało to tak, jakby podejrzewał u siebie idiotyzm. Nie przejął się tym jednak, gdyż dostrzegł szansę na negocjacje. – To nie jest takie proste. A właściwie może być skomplikowane. My przecież otrzymaliśmy tylko jedną zaliczkę za jedną robotę.

Powiedział to.

Leivo spojrzał na niego. Dzięki Bogu Robin zachowywał milczenie. Szef odchrząknął.

– Policja – rzucił.

Chico czekał na dalszą część, ale się nie doczekał.

– Oni nie wiedzą, co się stało – odparł. – To widać.

Leivo znów popatrzył na niego. Co się dzieje z jego niebieskimi oczami? Jak to możliwe, że mogą się tak jarzyć. Czyżby eksplodowały od środka?

– No właśnie – odezwał się w końcu, mówiąc dziwnie powoli i wyraźnie jak do dziecka. – A jeśli ktoś im opowie, co się wydarzyło?

Chico poczuł, że Eric Clapton kurczy się na jego klatce piersiowej. Eric i gitara, jego chwyt był tym razem silniejszy.

– Proponuję – Leivo nadal mówił powoli – żebyście wykonali swoją pracę, obie prace, a potem, gdy robota będzie wykonana, przyjrzymy się zapłacie. Macie na to dokładnie dwa tygodnie. To musi się stać w ciągu dwóch tygodni. Ja potrzebuję mieć podpis na papierze. Nie wiem, jak jeszcze wyraźniej wam to powiedzieć, ale macie dwie możliwości. Więzienie okręgowe albo prostą robotę do wykonania. Ja nadal nie chcę słyszeć, co się tam stanie. Ja nic nie wiem. Tego spotkania nigdy nie było. Tej rozmowy nigdy nie przeprowadziliśmy.

Leivo zamilkł na chwilę. Chico pomyślał, że albo to czubki sosen szumią, albo ten dźwięk wydobywa się z niego samego, ze środka jego ciała. Leivo odwrócił wzrok ku Robinowi.

– Dwa tygodnie – powiedział.

– Dwa tygodnie to czternaście dni – stwierdził Robin.

Jorma Leivo wsiadł do terenówki, cofnął pojazd kilka metrów, zatrzymał się i przez chwilę wydawało się, że rozważa dwie ewentualności: albo przyśpieszyć i ich przejechać, a potem zatopić w jeziorze, albo zawrócić auto. Pajero stało w miejscu, ale po kilku sekundach ruszyło i zaczęło zakręcać. Chico znów odetchnął i zrobił parę kroków do przodu, by oddalić się na wszelki wypadek od jeziora.

Prowadził Robin. Chico siedział obok i obserwował przelatujące za oknem krajobrazy. Lato zbliżało się już ku końcowi.

Kolejne lato. Zieloność, która trwa tylko chwilę. Słońce, które wznosi się tak wysoko, że musi się za to zemścić. I się mści, krwawo. Potem przez sześć miesięcy nawet się nie pokazuje. I tak mija rok, następny rok życia.

Gitara, którą już prawie trzymał.

Debiutancka płyta, którą prawie wydał.

Chico pomyślał o Ericu Claptonie. Wiedział, że przeżył on swoje tragedie, miał swoje problemy, ale... nic takiego jak to. Mimo najlepszych chęci Chico nie wyobrażał sobie Erica Claptona siedzącego w przypominającym kubek jogurtu i pachnącym mocno wanilią od grzejącego się na słońcu drzewka zawieszki Wunder-Baum samochodzie matki przyjaciela z dzieciństwa i zmuszanego do wandalizmu pod groźbą więzienia, bo przypadkiem się poślizgnął i pociągnął, podczas gdy powinien był stać prosto i pchać.

Chico poczuł nagle, że traci nadzieję.

Erica Claptona nie można by było zobaczyć w takiej sytuacji, bo on po prostu by się w niej nie znalazł. I co ta światowa gwiazda, taki bogacz zrozumiałby z tego? Chico miał wrażenie, że w jego głowie zaczęły rozbrzmiewać jedna za drugą wszystkie najgłośniejsze interpretacje bluesowe Erica – usłyszał je jakby na nowo, uszami świata, w którym żył, i musiał zadać sobie pytanie: dlaczego Clapton gra bluesa, śpiewa piosenki bluesowe, co on w ogóle wie o bluesie?

Było to nowe i niepokojące uczucie, wywracające utwory Amerykanina do góry nogami, pokazujące istotę tego, co tkwiło za jego wirtuozerską grą na gitarze, i Chico przez chwilę nic nie widział, chociaż macał na oślep i szukał swojego mistrza. Potem to uczucie minęło i stwierdził z ulgą, że znów znajduje się w samochodzie obok Robina. Jednak jakieś ziarno zostało zasiane.

Chico zrozumiał, że wątpi nawet w Erica Claptona.

## 6

Stojący na plaży jaskrawoniebieski budynek stanowił pewnego rodzaju połączenie przystani dla łodzi, magazynu, kawiarni i sklepiku z kilkorgiem drzwi w białych framugach. Nyman wyciągnął z lodówki butelkę napoju Dr Pepper, zapłacił gotówką i usiadł na obszernym tarasie. Krzesło wydawało się cieplejsze niż powietrze wokół.

Nyman był zadowolony ze swoich nowych szortów. Ciemnobrązowe spodenki pasowały znakomicie do koszuli w różową kratkę, z kołnierzykiem i krótkimi rękawami, a jasnobrązowe sandały dopełniały letni ubiór nauczyciela matematyki. Morze połyskiwało popołudniowymi kolorami, największe nasłonecznienie już minęło, ale wieczorne złote odbłaski jeszcze się nie pojawiły; spokojne światło rozchodziło się tak daleko, jak sięgnąć okiem i żaglem. Pomyślawszy o żaglach, Nyman znów spojrział na telefon z niedowierzaniem.

To była prawda.

**Zostałeś przyjęty na kurs windsurfingu dla początkujących, który rozpoczyna się we wtorek o dziewiętej. Zgłoś się do West Endu. Tak. West Endu. Na pewno go znajdziesz.**

Posmakował zimnego napoju. Pomyślał, że oczywiście Muurla zapomniał wspomnieć o czymś istotnym, a istotne było to, że on nie umiał surfować. Pójdzie do West Endu, cokolwiek to znaczy, i zamiast na windsurfing zapisze się na jakąś dyscyplinę zespołową, na przykład siatkówkę plażową, jeśli nie będzie niczego innego. Gry zespołowe są najlepsze, jeżeli chce się poznać ludzi. Kiedyś, gdy śledził pewnego handlarza hormonami wzrostu, grał nawet we wczesną odmianę unihokeja. Wprawdzie człowieka, który spowodował śmierć kilkorga ludzi, nie znalazł, ale zdobył za to wielu nowych przyjaciół, chociaż nie mógł im zdradzić swojego prawdziwego imienia ani spotkać się z nimi ponownie. Jednak to inna sprawa.

Nyman uniósł wzrok. Naprzeciwko zobaczył West End, niemal po drugiej stronie pustej piaszczystej plaży; informowała o tym jaskrawa biała tablica z turkusowymi literami. Obok stał różowy budynek, a po obu stronach wejścia do niego tkwiły połyskujące plastikiem sztuczne palmy.

Nyman wstał i poszedł tam najkrótszą drogą, przez plażę. To był błąd. Piasek nasypał mu się do sandałów i te natychmiast zaczęły go obcierać. Jeśli miał aż tak małe plażowe doświadczenie, to jak można pomyśleć, że zacznie surfować? Zatrzymał się, ściągnął sandały i zdziwiony stwierdził, że piasek jest miękki i ciepły nawet w ten chłodny dzień. Wrażenie było przyjemne i sprawiło, że Nyman rozejrzał się. Kolorowe zabudowania, wielka krzykliwa tablica, widoczna tylko z jednej strony. Stał przez chwilę, rozkoszując się piaskiem pod stopami i uczuciem, które rodzi się w mózgu po silnych przeżyciach wzrokowych. Chwila ta szybko minęła. Nyman znów zaczął iść i po sekundzie, a może dwóch zapomniał, co go zatrzymało.

Przystanął przed różowymi drzwiami różowego budynku, otworzył je i wszedł do środka, mrużąc oczy. Początkowo widział tylko kontury, ale jego wzrok szybko przystosował się do panującego tam mroku.

Postanowił nie wycofywać zgłoszenia, a powodem była stojąca za ladą kobieta.

Długie ciemne włosy, długi szlachetny nos. Wysoka, piękna kobieta.  
Olivia Koski.

– Przyszedłem zapisać się na kurs windsurfingu dla początkujących – powiedział Nyman, gdy się już przywitał. – Na jutro, do grupy na dziewiątą.

– Dziewiąta oznacza, że wtedy już jesteśmy w wodzie. Przedtem zanosimy deski na brzeg i sprawdzamy żagle. Chcesz wypożyczyć deskę czy masz swoją? Sprzedajemy także nowe i używane.

Brązowe oczy robiły wielkie wrażenie, zdjęcia nie oddawały ich piękna. Głos kobiety był uprzejmy i bardzo miły dla ucha.

– Jestem zupełnie początkujący – oświadczył Nyman. – Nigdy nawet nie stałem na desce windsurfingowej, nie mówiąc o surfowaniu. Co mi radzisz?

Olivia Koski spojrzała mu w oczy, jej twarz znajdowała się mniej więcej na tym samym poziomie co jego i choć Nyman przewyższał ją wzrostem o centymetr lub dwa, to jednak był bardziej zgarbiony albo zrelaksowany, jak sam uważał, a ponieważ podłoga była nierówna, to

kobieta stała trochę wyżej. Biuro świeciło pustkami, nie licząc Olivii w kostiumie kąpielowym. Nyman pomyślał, że ubiera się tak, ponieważ nakazują to jakieś przepisy. Niewielu ludzi pracowało w biurze, mając na sobie jednoczęściowy kostium kąpielowy.

– Na początek znajdziemy ci odpowiednią deskę – zaproponowała Olivia Koski.

Sprzęt przechowywano w zamkniętym na klucz budynku gospodarczym. Kobieta otworzyła szerokie drzwi od strony morza. Nyman przyglądał się jej barkom i plecom: nosiły ślady ruchu i słońca, a od prawego ramienia aż do środka kręgosłupa ciągnęła się jasna blizna. Po wejściu do budynku zobaczył więcej desek i żagli windsurfingowych niż w całym swoim życiu. Olivia Koski zmierzyła go wzrokiem.

– Sto osiemdziesiąt jeden i siedemdziesiąt sześć.

– Sto osiemdziesiąt dwa i pół. I siedemdziesiąt cztery.

– Długodystansowiec – oświadczyła i poklepała dłonią jedną z desek.  
– To ta.

– Jak długo już surfujesz? – spytał Nyman, usilnie skupiając wzrok na wybranej desce i starając się nadać swojemu głosowi beztroski i gawędziarski ton.

– Trzydzieści dziewięć lat – odparła.

Nyman podniósł głowę.

– To z powodu ojca – dodała. – Stale przebywał w wodzie. W taki czy inny sposób. Pływał, surfował, wiosłował, nurkował. Towarzyszyłam mu od początku, choć nawet tego nie pamiętam.

– Pochodzisz stąd?

– Jestem tutejsza – potwierdziła i przeniosła wzrok na morze. – Długo mnie tu nie było, ale wróciłam, gdy... Kupujesz czy wypożyczasz? Przepraszam. Myślami jestem... trochę gdzie indziej.

Uśmiechnęła się, jej brązowe oczy wędrowały po twarzy Nymana.

– Początkujący – powtórzyła. – Tak to było?

– Jak najbardziej.

Przyjrzała mu się dokładniej, a on poczuł, jakby po raz pierwszy zwróciła na niego uwagę.

– Ja wypożyczyłabym tę. – Jej głos zabrzmiał tak, jakby zastanawiała się nad własnymi słowami. – Ale nie na jeden dzień, tylko na dłużej, zarezerwowałabym, na wypadek gdyby ta dyscyplina sportu mi się

spodobała. To naprawdę pierwszorzędna deska i cena jest do uzgodnienia. Więc jeżeli zamierzasz spędzić tu więcej czasu...

– Co najmniej tydzień.

– To ja wypożyczyłabym ją na tydzień i jeżeli, a raczej gdy windsurfing uderzy w ciebie jak słynne milion woltów<sup>[2]</sup>, pod koniec tygodnia bym ją sobie kupiła.

– Windsurfing uderza jak milion woltów?

Olivia się uśmiechnęła, po czym spoważniała.

– Może nie znam się najlepiej na ludzkich charakterach, ale coś wiem o windsurfingu. To miałam na myśli.

Nyman pokiwał głową.

– Zróbmy tak: wezmę deskę na tydzień.

Wydawało mu się, jakby kobieta na coś czekała, ale nie wiedział na co.

– Zwykle ludzie pytają o rabat – powiedziała wreszcie Olivia. – A jeśli nie o rabat, to o cenę.

Nyman się uśmiechnął.

– Najwidoczniej poczułem się całkowicie jak na wakacjach – oznajmił.

Znow spojrzała na niego badawczo.

– Mamy ceny za godziny, dni i tygodnie. Godzina kosztuje trzydzieści euro, doba dziewięćdziesiąt euro, a tydzień trzysta sześćdziesiąt. Im dłuższy czas wynajmu, tym korzystniej wychodzi za godzinę i dobę. Czyli za tydzień zapłacisz...

– Jak za pięć dni.

Spojrzała na niego uważniej niż do tej pory.

– Cztery.

Nyman policzył i się uśmiechnął.

– Oczywiście, cztery – potwierdził.

Olivia Koski poinformowała go jeszcze, że jeżeli chce, to może zabrać deskę od razu albo zostawić ją tutaj, w magazynie, i przyjść po nią rano. Nyman oświadczył, że lepiej pasuje mu przyjść rano, ponieważ ma coś jeszcze do załatwienia wieczorem. Kobieta stwierdziła, że w takim razie wszystko w porządku i że muszą spisać jeszcze umowę, a potem zamknęła drzwi, założyła kłódkę i oboje udali się do biura.

Olivia szła przodem, a Nyman starał się nie patrzeć na jej pośladki, ale mu się to nie udawało.

– Czy mogę jeszcze o coś zapytać? – powiedział, lecz uświadomił sobie, że przemawia do pośladek, więc uniósł wzrok. Nie chciał być



jednym z tych mężczyzn, chociaż wszyscy mężczyźni są tymi mężczyznami. – Palm Beach Finland... – zaczął, lecz nie zdążył nic dodać, bo Olivia mu przerwała.

– Nazwa jest nowa, ale ośrodek stary – oświadczyła, zerkając do tyłu.  
– Nowy właściciel pomalował ściany, postawił tablicę i nadał miejscu nową nazwę. Chce tu przyciągnąć turystów z zagranicy i stworzyć międzynarodowy klimat.

– I jak mu się to udaje?

Kobieta zatrzymała się przed biurem, na schodach prowadzących na taras. Odwróciła się i spojrzała z góry na Nymana. Jej brązowe oczy rozblęły.

– Nazwa składa się z trzech słów – oznajmiła. – Ostatnie to Finland. Jeżeli chcesz pojechać na urlop, żeby się opalać, to chyba nie ten kraj wybierzesz w pierwszej kolejności.

Nyman wypełnił formularz umowy i uiścił opłatę rezerwacyjną – dziewięćdziesiąt euro. Właściwie zrobił to Jan Kaunisto, a Nyman przyglądał się temu z boku. Nadal się zastanawiał nad sposobem, w jaki Olivia Koski mówiła o nowej nazwie, o wyjeździe na urlop tam, gdzie świeci słońce. Zerknął na jej kostium kąpielowy i widniejący na nim napis. Rozejrzał się.

– Powiedz mi, czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można spędzić wieczór? Spotkać się z ludźmi?

– Z ludźmi? – spytała Olivia Koski. – Czy raczej z kobietami?

Czyżby w jej oczach coś się pojawiło? Chyba nie. Może sobie tylko wyobrażał.

– Takie fajne miejsce, z jedzeniem, pić, otwarte do późna wieczór, takie, do którego przychodzi wielu ludzi.

– Jesteś z Helsinek.

To nie było pytanie.

– Urodziłem się tam – oświadczył Nyman. – I mieszkałem przez całe życie.

– Witam w... jakkolwiek się dzisiaj to miejsce nazywa. Czegoś takiego tu nie ma. Ale jak połączysz kilka miejsc w jedno, to może będziesz miał to, o co ci chodzi. Pokażę ci je na mapie.

Wyciągnęła kolorową kartkę w formacie A4. U góry, na samym brzegu, widniał napis „Palm Beach Finland”. Mapa miała wyraźnie zniekształconą skalę. Jego zielony domek Tubbs był równie duży co cała dzielnica miasta znajdująca się na dole. Przy jej granicy zaczynała się

najwyraźniej pusta przestrzeń. Nyman przyglądał się, jak ręka Olivii kreśli krzyżyki i opatruje punkty nazwami. Do wszystkich dochodziło się pieszo. Olivia, gdy ją o to zapytał, nie była stałą klientką żadnego z nich.

– Ale tu pracujesz – powiedział Nyman.

– Nie, nie, nie – zaprzeczyła. – Ja jestem ratowniczką wodną, jak mój strój na to wskazuje. Zastępuję tylko kolegę, który miał coś do załatwienia.

– Mam na myśli to tutaj – dodał Nyman i wskazał brodą na plażę. – Tak w ogóle.

– Człowiek robi to, co musi – oznajmiła Olivia Koski.

Holma postanowił rozstrzelać nawigację i mieszkającą w niej kobietę, ciągle zmieniającą zdanie na bocznych drogach, i wtedy na ścianie stodoły zobaczył reklamę wychwalającą najlepszą pizzę w promieniu stu kilometrów. Wprawdzie za pizzą nie tęsknił, ale miejscowość się zgadzała i miał do niej jedenaście kilometrów. Siedział samotnie w umyтым i błyszczącym czarnym bmw 530, trzymając na środkowej konsoli niezarejestrowanego glocka 17, więc bez problemu mógłby sprawić, żeby nawigacja ostatecznie umilkła, ale zadowolił się jej wyłączeniem.

Cisza sprawiała mu przyjemność. Słyszał wtedy własne myśli, lubił je. Wiedział, że są ludzie, którym myśli przeszkadzają, ale Holma nie należał do takich. Chętnie słuchał samego siebie.

Szczerze. Bezkrytycznie.

Często sobie powtarzał – i była to myśl, na którą wpadł sam i uważał ją za trafną – że gdyby inni ludzie mieli równie dobre pomysły jak on, toby się mocno zdziwili. Rozumieliby też więcej, widzieli jaśniej, potrafiliby dokonywać takich samych odkryć jak on. Ale tak się oczywiście nie działo i powodowało to nieporozumienia nawet wtedy, gdy chciał pomóc. Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiał, czemu tak jest.

Dawał rady jedynie wtedy, kiedy zachodziła potrzeba. Oczywiście widział wokół siebie wiele potrzeb, ale wynikały one przeważnie z pierwotnego stanu rzeczy, czyli z jego myśli, które bez wątpienia i obiektywnie stanowiły znakomicie wyszlifowane diamenty. Nie był samolubny; starał się najlepiej, jak tylko potrafił, sprawiać ludziom radość swoimi poglądami, oświecać ich. A w zamian za to natrafiał na obojętność. To psuło mu nastrój, chociaż tego nie okazywał. On także jest tylko człowiekiem. Skuteczniejszym od innych, lepszym od innych, choć pewnie znalazłoby się na to trafniejsze określenie, ale tylko człowiekiem.

Nie uważał siebie za geniusza, nie licząc niektórych specjalistycznych dziedzin czy sytuacji, i przypuszczał, że cierpi z powodu problemów,

które spotykają człowieka renesansu. Ponieważ jest wszechstronny. Właśnie tak. Wszechstronny.

To nie jego wina, że tak wiele obszarów ludzkiej działalności zajął się i splata z jego umiejętnościami. Czemu miałby ukrywać swoje umysłowe talenty, jeżeli takowe ma? Czemu miałby się wstydzić własnej doskonałości? Dlaczego – i znów zaczął wymyślać jeden z aforyzmów, które zamierzał zawrzeć w praktycznym poradniku – trzymać świecę pod drewnianym pudełkiem, które może się w każdej chwili zająć ogniem, sprawiając, że spłonie na popiół mądrość, która u ciebie, a właściwie w tym kontekście u mnie... Zdanie to wymagało jeszcze obróbki, ale innych miał pod dostatkiem i chętnie się nimi podzieli, pobierając jedynie drobną opłatę za książkę.

Dojechał do skrzyżowania w kształcie litery T. Droga rozchodziła się w obie strony, tuż przed rozwidleniem stały drogowskazy do miejscowości, o których nie słyszał. Postanowił, że nigdy do nich nie zajrzy. Obok, po lewej, znajdowała się tablica, która wzbudziła jego ciekawość. Wprawdzie nie znał tego miejsca, ale angielskojęzyczna reklama, jaskrawe kolory i palmy sprawiały wrażenie takich, które mogły zaciekawiać Antera.

Antero, młodszy brat. Inna matka i inny ojciec.

Było to trochę skomplikowane. Obu ich adoptowano, mieli różnych biologicznych rodziców, ale pochodzili z tej samej rodziny. Z grubsza. Ojciec zaginął w trakcie wspólnej wycieczki z synami, kiedy to nocowali pod namiotem i pływali kajakiem. Nowego ojca Holma nie zdążył specjalnie poznać, ponieważ właśnie się wyprowadzał, gdy ten pojawił się w przedpokoju. Nie czuł już także dawnej miłości do przybranej matki. To uczucie się zużyło, jak powiedział mu później więzienny psychiatra.

Antero był opóźniony. Pod wieloma względami. Ładnie określił to nauczyciel w szkole podstawowej, który stwierdził, że brat jest poszukiwaczem. Antero okazał się także wielbicielem. Czczył Holmę i chciał być podobny do niego, ale przecież nikt nie mógł być taki jak on.

Holma minął jadące wolniej pojazdy, usłyszał kilka dźwięków klaksonu, jak zwykle gdy wyprzedzał na ciągłej linii. Ludzie nie rozumieli, że przecież on panuje nad sytuacją.

Krajobraz zaczął się zmieniać. Holma poczuł bliskość morza i poluzował krawat.

Pomyślał, że chociaż jego wizyta ma lekko melancholijny charakter, to chęć przyjazdu tutaj wynikała również z czegoś innego. Urlop. Od dłuższego czasu nie wyjeżdżał na wakacje. Mógłby połączyć śledztwo na przykład z opalaniem się.

Może spotka na plaży miejscową piękność? Może będą wspólnie przyglądali się palmom i wsłuchiwali w jego myśli? Może się lepiej poznają. To mu się podobało. Nie żeby to on poznawał innych ludzi, ale żeby oni poznawali jego.

Ponieważ miał dużo do zaoferowania.

## 8

Olivia Koski siedziała w fotelu naprzeciwko Jormy Leiva. Znajdujące się za nim dwa okna wyglądały niczym oblane ogniem. Słońce padało na jego terenówkę stojącą na parkingu, odbijało się od samochodu i wracało do biura, sprawiając, że zarówno pojazd, jak i wnętrze robiły wrażenie nowszych i schludniejszych niż w rzeczywistości.

– Dobrze – odparła Olivia, czekając na dalszy ciąg.

Pomyślała o tym, co właśnie odpowiedziała na pytanie „Jak idzie?”; zastanawiała się, czy dodać jeszcze „Źle”, ale zrezygnowała. Czuła się nadzwyczaj niekomfortowo w kostiumie kąpielowym i sportowym obuwiu. Zwłaszcza że mężczyzna siedzący naprzeciwko schował się za jaskrawoniebieską koszulą, białą marynarką i padającym na wprost mocnym światłem oraz tonem głosu człowieka stanowiącego połączenie dobrotliwego wujka i agresywnego kupca.

– Miło mi to słyszeć – powiedział Leivo. – I dziękuję, że wpadłaś tu, do siedziby.

Olivia się uśmiechnęła. Uśmiech ten nie był całkiem szczery, ale tak też zabrzmiały dla niej podziękowania szefa.

– Nie ma za co.

– Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, żeby porozmawiać. Szkoda. Ja jestem przecież ludzkim dyrektorem, kieruję za pomocą rozmowy.

Leivo zrobił przerwę. Olivia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy powinna teraz zacząć z nim rozmawiać? Miała nadzieję, że nie.

– Po prostu niesamowita sprawa, to, co się stało w twoim domu – ciągnął szef. – Bardzo przykre. Niebezpieczny człowiek, powiem wprost: przestępca wdiera się do twojego mieszkania. To daje do myślenia. Dokąd ten świat zmierza, komu możemy zaufać, gdzie jest bezpiecznie? Czy w ogóle jest się bezpiecznym, jeśli się mieszka na uboczu, być może samotnie i być może, ale nie mówię tego w żaden sposób, żeby krytykować, jest się samotną kobietą na odludziu? Czy warto tam mieszkać za wszelką cenę, ryzykując życie? Jaka będzie wartość tego

miejsca, jeśli stanie się ono obiektem wypadów maniackalnych gwałcicieli? Na pewno sama się nad tym zastanawiałaś.

Wyraz twarzy zwierchnika mówił, że niezależnie od tego, co ona odpowie, on zamierza kontynuować temat.

– Zastanawiałam się nad tym trochę – przyznała Olivia zgodnie z prawdą.

– Mimo to powtórzę – podkreślił Leivo. – Jak wiadomo, wartość wielu podupadłych i leżących na uboczu domów jest obecnie właściwie tylko teoretyczna. Istnieje taki termin jak wartość użytkowa, ale to żargon finansowy, którego...

Nie rozumiem, bo jestem kobietą, zdążyła pomyśleć Olivia.

– ...nie musimy używać w tej sytuacji – dokończył Leivo. – Możemy porozmawiać o sednie sprawy, o tym, co można tu zaoferować, jaka jest sytuacja i jak jej zaradzić. Czyli o tym, co byłoby najrozsądniejsze i najbezpieczniejsze.

Pochylił się, położył ostrożnie dłonie na biurku, jakby sprawdzał, czy kuchenka jest nadal gorąca.

– Dodam jeszcze, że dobrze, że cię wtedy nie było w domu, kiedy ten mężczyzna przyszedł gwałcić, torturować i zabić cię w tak brutalny sposób. Wykorzystując to, że dom znajduje się na uboczu i nie ma wartości...

– Nie ma wartości? – spytała Olivia neutralnym tonem, wcale nie obrażona, lecz zaciekawiona.

Leivo wydawał się zaskoczony, a ona nie bardzo wiedziała, czy wynika to z tego, że mu przerwała, czy z pytania.

– Mam jedynie na myśli to, że ponieważ ten sadysta, chyba pierwszy w tych okolicach, ale na pewno nie ostatni, zniszczył dom...

– Zrobił bałagan w kuchni – oznajmiła Olivia. – Już posprzątałam.

– Szybkie działanie. – Leivo pokiwał głową. – Pomyślałbym, że to wspaniale, gdyby skrajnie brutalne mordy na tle seksualnym, mające rytualny charakter, nie stały się tak powszechne w tym kraju.

Olivia uznała, że nie musi się wysilać. Leivo poruszy tę kwestię, gdy będzie mu pasowało. Albo gdy będzie w stanie to zrobić. Ona skupi się tylko na tym, żeby tu wysiedzieć. To też była praca.

Przepis, zgodnie z którym na plaży należało nosić wyłącznie ubranie robocze, co oznaczało, że ratownicza wodna musiała zakładać wykonany z taniego materiału, ozdobiony logo w duchu lat osiemdziesiątych kostium kąpielowy, sprawiał, że czuła się

niekomfortowo w co najmniej dwóch sytuacjach: w obecności ludzi i przy każdej pogodzie. Przeważnie było jej zimno i przeważnie mężczyźni kierowali wzrok nie na jej twarz, lecz na inną część ciała.

Leivo odetchnął, odchylił głowę nieco do tyłu i jego klatka piersiowa jeszcze bardziej się poszerzyła. Wyglądał niczym wyciągnięte z głębi oceanu stworzenie, usiłujące zaczerpnąć powietrza.

– Chcę wyjść ci naprzeciw – oświadczył. – Widzę w tym tradycyjny model działalności gospodarczej i sytuację *win-win*. To takie powiedzenie, wyrażenie biznesowe, które oznacza...

– Wiem, co ono oznacza – pomogła mu Olivia, zwracając uwagę, jak bardzo Leivo się poci. Bijące od tyłu światło ukazywało wyraźnie wypływające na policzki krople potu. Widać było, że już wcześniej przeanalizował sobie tę sprawę w głowie.

– Chcę kupić tę działkę – oznajmił.

Spojrzała na niego.

– Jaką działkę?

– No tę, na której stoi dom, w którym popełniono morderstwo na tle seksualnym.

– Nawet jeśli jest bezwartościowy?

– Dom nie ma wartości – potwierdził Leivo, kiwając powoli głową, jakby oboje zaczynali wreszcie coś rozumieć. – Ale działka...

– Dlaczego?

Słyszając pytanie, Leivo przerwał. Popatrzył na rozmówczynię.

– Rozwój – dodał. – Rozwijamy się.

Olivia czekała, ale szef milczał.

– Nie rozumiem, co to oznacza, w każdym razie nie w tym kontekście.

– My rośniemy.

Odczekała chwilę.

– My?

– Palm Beach Finland. Oferuję ci możliwość uczestniczenia w tym.

– Ja już w tym uczestniczę – odparła Olivia, wskazując na widniejące na jej kostiumie logo. – Zrezygnowałam prawie ze wszystkich innych ubrań. Bardziej nie mogę uczestniczyć, nawet gdybym sprzedała dom.

– Chodzi o twoją działkę – poinformował ją Leivo. – Tutaj trzeba spojrzeć szerzej. Trzeba zobaczyć coś, czego jeszcze nie ma. Za trzy lata będzie tu znana wszystkim plaża ludzi pięknych i bogatych. Śliczne kobiety, takie jak ty, przystojni mężczyźni, jak... wszędzie na świecie,



żaglówki, jachty rekreacyjne, jeden dłuższy od drugiego, jeszcze większe żagle, jeszcze głębsze kile.

Olivia zaczęła pojmować, dokąd Leivo zmierza. Odziedziczona przez nią działka znajdowała się zaraz przy zatoce głębokiej na tyle, że mogła w niej zacumować dowolna jednostka morska, i obejmowała część cypla oraz kawałek piaszczystej plaży o decydującym znaczeniu, przy której powstałby później port dla statków wycieczkowych. Owszem, Olivia posiadała piękną plażę i część cypla, ale najważniejsza była prawdopodobnie reszta działki, na którą Leivo miał chrapkę.

– Wybudujemy bungalowy. Takie jak na Florydzie, w najlepszym stylu, w największym stylu, na własnej piaszczystej plaży. Luksusy. Jacht rekreacyjny przy własnym pomoście. Żadne tam domki, tylko wille.

– Tam stoi już jedna willa – oznajmiła Olivia.

– Takie nowoczesne – odparł Leivo, choć nie wiadomo było, czy ją usłyszał. – Z panoramicznymi oknami, tarasami, architekturą.

Nie chciała pytać, co to ostatnie słowo ma znaczyć.

– Na czym polegałby mój udział?

– Po sprzedaży działki dostaniesz majątek i dzięki niemu nabędziesz akcje w spółce, którą niedługo się założę.

Wyraźnie przećwiczył sobie tę przemowę.

– A jak nie sprzedam?

– Czemu miałabyś nie sprzedać?

Chociaż Leivo starał się usilnie opanować, w jego głosie pojawił się cień żądania.

– Ja także mam marzenie – oznajmiła Olivia. – Związane z tą stuletnią willą. Odziedziczyłam ją po ojcu i zamierzam wyremontować. Od fundamentów po ten mały zardzewiały wiatrowskaz na dachu. I zamierzam w niej mieszkać.

Nie chciała dodawać, że zdążyła dokonać wystarczająco dużo złych wyborów, i to zawsze obejmujących mężczyzn, którzy mieli różne plany dotyczące jej pieniędzy. Byli oni niczym zjeżdżalnia dla dzieci, na której dole zniknął portfel. Miała już tego dosyć.

Trudny do określenia wyraz twarzy szefa – promienie słońca, włosy i ubranie, dziwne, jaskrawe kolory ścian pokoju, wszystko to wprowadzało w błąd – był teraz mroczniejszy i ostrzejszy.

– Przyszłość... – zaczął Leivo, znów szukając słów. – Ona nadchodzi.

Olivia nie miała pewności, czy to wszystko, co on myśli o jutrzejszym dniu i następnym roku, ale nie czekała na dalszy ciąg. Nie obchodziło jej

to. I właściwie nie zastanawiała się nawet nad swoim ubiorem ani nad tym, że w negocjacjach z szefem nie stoją na równych pozycjach. Powiedziała, co faktycznie myślała w tym momencie:

– Jestem wdzięczna za pracę. Życzę szczęścia firmie, zarówno tej, jak i nowej. Ale nie sprzedam. Działki ani domu. Są moje i moje zostaną. Jeśli nie masz nic przeciwko, to wrócę na wieżę ratowniczą.

Leivo milczał przez chwilę.

– Oczywiście. – Pokiwał głową. – Praca jest najważniejsza.

Olivia podniosła się z fotela, a szef zrobił to samo. Spojrzeli na siebie. Stała w kostiumie kąpielowym i sportowym obuwiu po jednej stronie biurka, a po drugiej był wielki i spocony, płacący jej pensję mężczyzna, który głosem milutkiego niedźwiadka malował przed nią diabelskie wizje. Sytuacja wydawała się jej inna niż wtedy, gdy weszła do biura.

– No to cześć – powiedziała.

– Cześć – odparł Leivo, kiwając głową.

Gdy się odwróciła, usłyszała, jak dodaje:

– Nie wiadomo, może zmienisz zdanie.

Olivia pomyślała, że w jego słowach pojawiła się dziwnie brzmiąca obietnica.

Leivo poprawił się:

– Może podejmiesz inną decyzję.

Resztę dnia spędziła na wieży ratowniczej; wiał mocny wiatr, nic specjalnego się nie działo, ale przez jej głowę przewijało się za to zbyt wiele myśli.

Uparta formacja chmur przesuwawała się leniwie ze ślimaczą prędkością na tle słońca i w żaden sposób nie chciała się rozproszyć. Czemu na ziemi wiał wiatr, a na niebie najwidoczniej nic się nie działo? Olivia poszła po bluzę, włożyła ją i naciągnęła kaptur na głowę.

Przyglądała się małej grupce ludzi i zastanawiała nad tym, co powiedziała szefowi. Zupełnie jakby wiedziała, co robi. Jakby wiedziała, co powinna zrobić. Dobry Panie, przecież nie miała pojęcia, jak sobie poradzić ze wszystkim. A jeśli wydarzy się coś złego? Cokolwiek. Wydała już wszystkie oszczędności, bo musiała naprawić elewację; jej miesięczna pensja wystarczała na podatek od nieruchomości, ubezpieczenia, opłatę za wodę, podatek od drogi, na prąd, telefon, internet, jedzenie, buty sportowe... I na nic innego. Wynagrodzenie

ratownika wodnego nie należało do wygórowanych. A jeśli chodziło o to, do czego nawiązywał Jorma Leivo, czyli o morderstwo, gwałt, tortury i co tam jeszcze, Olivia nie mogła zaprzeczyć, że jej myśli nad ranem przypominały ostatnio sceny z horrorów. Pomyśl rozsądnie, mówiła wówczas do siebie, to tylko pojedynczy, niezrozumiały przypadek. Nic ci nie grozi. Jednak zimny dreszcz przeszywał całe jej ciało. Skończ z tym, nakazywała sobie, tacy ludzie tutaj się nie kręcą.

Było w pół do czwartej. Pod wieżą pojawił się Chico.

Nazywanie Kariego Korhonen Chikiem nadal sprawiało jej trudności. Dla niej był Karim. Widziała w nim młodego marzyciela z gitarą, który się postarzał. Starszy Kari nadal wyglądał na marzyciela i nosił ze sobą instrument. W którymś momencie zrobił się z niego Chico i dlatego tak się stało, tego Olivia nie wiedziała. Może i lepiej. Może powinna zacząć zwracać się tak do niego. Chico bardziej do niego pasuje, do jego okularów przeciwsłonecznych, plażowych szortów, tatuażu na brzuchu z wykaligrafowanym pośrodku tekstem pełnym zawijasów i z tak małymi literami, że aby go odczytać, musiałyby się pochylić i przysunąć głowę, a wtedy jej usta znalazłyby się...

Olivia nie zamierzała tego robić, choć Chico pewnie dlatego się wytatuował. Właściwie jeszcze ze sobą nie rozmawiali od jej powrotu. I nigdy nie byli sobie bliscy. W pracy także nie musieli się komunikować. Oczywiście, nie spodziewała się, że będzie pracowała w tym samym miejscu co Kari Korhonen, który w wieku lat osiemnastu oświadczył, że nigdy nie zatrudni się u „mena”. Początkowo wszyscy sądzili, że mityczny men jest jakąś konkretną firmą, z którą Kari miał prawdopodobnie złe doświadczenia, ale później on sam im to wytłumaczył. Termin *The Man* oznaczał dla niego system, instytucję. No i teraz oboje pracowali na rzecz tej instytucji i do tego w kostiumach kąpielowych.

Olivia zeszła po schodkach, czując, że ma sztywne nogi, jakby spała w ciasnym pomieszczeniu. Chico machał rękami, może się rozgrzewał. Nie widziała jego oczu, zakrywały je ciemne okulary, a twarz miał niemal całkiem zwróconą w stronę morza.

– Ale tempo – powiedziała, znalazłszy się na dole.

Chico drgnął, jakby się przestraszył. Okulary zwróciły się szybko w stronę Olivii.

– Jak to? – spytał.

– Przyszedłeś na czas. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni jesteś przy wieży punktualnie, gdy zaczyna się twoja zmiana.

– Nie mogłem spać.

Olivia popatrzyła na niego i przypomniała sobie, że koleżanki w klasie uważały, że jest podobny do Patricka Swayze. Rzeczywiście go przypominał. Jeśli się tylko weźmie pod uwagę wpływ czasu i lokalne standardy.

– Jest wpół do czwartej po południu – przypomniała mu.

– Co? A, tak. Nie spałem całą noc. Znowu. To stres.

– Na pewno z powodu pracy – powiedziała i natychmiast pomyślała, że to chyba niepotrzebna ironia. Jednak następne pytanie Chica zdradziło, że prawdopodobnie tego nie usłyszał.

– Jak ci idzie, Olivio?

Zaskoczyło ją to. Po pierwsze, Chico nie pytał jej nigdy o nic osobistego – pomijając obowiązkowe po powrocie pytania w rodzaju: „Chodzisz z kimś teraz?”, „Jakiś były mąż?”, „Dzieci do wychowania?” – a po drugie, najwyraźniej go to interesowało. Jego głos brzmiał szczerze.

– Dziękuję, Chico, całkiem dobrze. Nie mogę się tylko przyzwyczać do tego służbowego ubrania. Dzisiaj rozmawiałam z szefem i zapomniałam mu o tym powiedzieć. Znaczy to, że albo ten kostium podoba mi się podświadomie, albo już nawet nie pamiętam, że mam go na sobie, gdy... mam go na sobie.

Chico odwrócił głowę.

– Z szefem? Z Jormą?

– Z Jormą Leivem. Z właścicielem tego ośrodka.

Olivia spojrzała w okulary przeciwsłoneczne Chica. Miał wilgotne i zmierzwiłone włosy, być może brał prysznic.

– I co ci powiedział? – spytał.

– Mówił o swoich planach – oznajmiła Olivia, zataczając dłonią łuk. – Dotyczących Palm Beach Finland.

– O planach?

– Chce rozwinąć działalność – dodała i pomyślała, że jej rozmowa z szefem na temat willi i działki nie jest sprawą Korhonena. – Ale o tym wiadomo.

Chico pomachał rękami.

– Straszny wiatr.

Olivia spojrzała na morze. Szare chmury, powolne, ciężkie fale. Przypomniała sobie, że powinna zajrzeć do sklepu spożywczego

i przemysłowego.

– Muszę już iść – rzuciła. – Remont na mnie czeka.

– No i jak? Ten remont?

Wzruszyła ramionami.

– Droga zabawa.

Chico pokiwał głową, lecz nie po to, by jej przytaknąć, tylko jakoś tak inaczej, nerwowo.

– Racja, pieniądze.

– Są potrzebne – dodała.

Znów pokiwał głową, ale zaraz przestał.

– Pamiętasz, jak latem siedzieliśmy nocą na plaży, graliśmy na gitarze i paliliśmy ognisko?

Olivia starała się dostrzec, co się dzieje za okularami przeciwsłonecznymi, ale na próżno.

– Od tamtej chwili minęło dwadzieścia lat – stwierdziła. – Mnie było zawsze zimno i czekałam, aż będę mogła wyjechać z tego miasteczka.

Chico nic nie odpowiedział. Wszedł na wieżę i usiadł.

Jan Nyman wyniósł na zewnątrz plastikowe kuchenne krzesło; chciał posiedzieć przez chwilę na ganku i rozkoszować się widokami, zapachem sosen i świeżego, słonego morskiego powietrza, ale okazało się to niemożliwe. Minutę lub dwie później wiatr osiągnął swój cel, ostatecznie wtargnął pod dzinsy i flanelową koszulę. Więc gdy słońce zaczęło zachodzić i przemalowywało niebo z koloru jasnoróżowego na jasnobrązowy, Nymanowi pozostały dwie ewentualności: weźmie iPada i pójdzie do restauracji na plaży albo przy małym stoliku małej kuchni małego domku zapozna się z informacjami, o które prosił i które właśnie otrzymał, a dopiero potem pójdzie do restauracji i zje kolację ze spokojnym, a w każdym razie prawie spokojnym sumieniem.

Postanowił zrobić to drugie.

To, czego się dowiedział, z grubsza odpowiadało jego oczekiwaniom.

Wyciągi z banku nosiły datę sprzed półtora tygodnia. Wszyscy byli goli jak święci tureccy: Jorma Leivo, surfer Dude, czyli Kari Korhonen, i Olivia Koski. Nikt nie miał nawet grosza. Nyman wiedział, że czasami w życiu tak się dzieje.

Finanse surfera podążały równą ścieżką. Jego rachunek przypominał właściwie puls martwego człowieka. Nyman zwrócił uwagę na pory

roku. Zimą pensję surferowi wypłacała instytucja ubezpieczeniowa KELA w formie zasiłków dla bezrobotnych, a latem lokalny ośrodek wczasowy, przybierający różne nazwy. Wyglądało na to, że Korhonen nigdy nie miał dużo pieniędzy do dyspozycji i nigdy też nie płacił za mieszkanie. Pieniądze szły... Dokąd szły? Większa część, właściwie wszystkie były pobierane w formie gotówki z bankomatów. To mogło być ciekawe albo i nie. Najwyraźniej surfer stracił wiarygodność kredytową lata temu i nie chciał spowiadać się urzędowi skarbowemu ze wszystkich decyzji finansowych.

Jorma Leivo i jego firma stanowili osobny rozdział. Osobisty rachunek bankowy szefa ośrodka zarastał pajęczyną, właściwie nie był używany. Natomiast firma posiadała kilka rachunków w różnych bankach i panował na nich ożywiony ruch. Tak ożywiony, że Nyman postanowił przesłać wyciągi bankowe Leiva znajomemu śledczemu zajmującemu się przestępczością gospodarczą, żeby im się przyjrzał, a także poprosić jeszcze o coś innego: by obserwował transakcje w czasie rzeczywistym.

Prośba ta nie mieściła się całkiem w granicach prawa. Leivo nie był w zasadzie objęty śledztwem. Nikt nie był. Oficjalnie. Działając pod przykryciem, Nyman często napotykał podobne trudności. Niejednokrotnie oznaczało to, że musiał prowadzić wielokierunkowe dochodzenie, nie mówiąc o tym nikomu.

W mejlu do znajomego zaznaczył, że wie i rozumie, że prosi o coś, do czego nie ma upoważnienia, i że ponosi za to całkowitą odpowiedzialność, że wszystko odbywa się z jego inicjatywy. Gdyby śledczego od przestępstw gospodarczych ktoś kiedyś zapytał, to ma odpowiedzieć, że Nyman zapewnił go, że ma upoważnienie i że jego szef dał mu wolną rękę. Co poniekąd było prawdą. Muurla oczywiście wiedział, że działający pod przykryciem ludzie stosują wszystkie możliwe środki, by osiągnąć swój cel, i że nie zawsze te środki mogą ujrzeć światło dzienne, ale nigdy nie zatwierdził urzędowo tej metody pozyskiwania informacji. A jednocześnie podśpiewywał pod nosem zadowolony, gdy zapoznawał się z wynikami. Nyman wiedział o tym z doświadczenia. Załadował załączniki i wcisnął Wyślij.

Sytuacja Olivii Koski wyglądała najgorzej. Była wprost ponura. Nawet surfer miał więcej na koncie. No dobra, nie było tego dużo, ale zawsze. Najwidoczniej za ostatnie pieniądze Olivia kupiła drogie ubezpieczenie starego, dużego domu. Nyman poczuł zimny dreszcz na widok tej

pokażnej sumy. Wcześniej na koncie znajdowało się kilka tysięcy euro, ale wszystko zostało wydane w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Większe przelewy dotyczyły znanych miejsc: fińskiego i niemieckiego sklepu przemysłowego.

Ostatni wyciąg z rachunku bankowego pokazywał saldo osiem euro i trzy centy.

– Kupiłam właśnie na kredyt dużą puszkę białej farby – powiedziała do siebie Olivia. – Na to mi przyszło.

Postawiła puszkę na podłodze w przedpokoju i odwróciła się w stronę kuchni. Nie zapaliła światła; zachodzące słońce świeciło poziomo do środka, zmieniało kolor ścian, rozmiar pokoi, głębię pomieszczeń. Głębię cieni.

To, co sugerował Jorma Leivo, nabrało życia. Miała uczucie, że coś jej grozi, że wydarzy się coś strasznego, coś nieokreślonego. Czyhało na nią niebezpieczeństwo.

To tylko wytwór wyobraźni, pomyślała, nic więcej.

Być może pojawienie się lęku wynikało ze zmęczenia, może z tego prostego powodu, że znów zaczęła kupować na kredyt. Wprawdzie wydała niedużo, ale przypomniały jej się dawne kłopoty, czasy niepowodzeń. Nie chciała już tego dla siebie.

Czegoś takiego jak niewłaściwi mężczyźni, odłożone decyzje, porzucone marzenia, przymusowe rozwiązania wynikające z braku pieniędzy. Pewnie dlatego przesada, z jaką Leivo opowiadał o zagrożeniu, sprawiała, że robiło jej się zimno.

Ktoś włamał się do jej domu. Nie wiadomo w jakim celu. Żeby zrobić...

Olivia pomyślała, że mężczyzna był włamywaczem. Włamywacz pokłócił się z kompanem i tego drugiego spotkał brzydki koniec. Nie sądziła, żeby chodziło o nią. A może coś jej grozi w tym domu, który zawsze uważała za bezpieczne schronienie?

Nie miała ochoty wchodzić do kuchni i robić sobie kolacji. Odwróciła wzrok i zobaczyła puszkę farby stojącą na środku, ale była zbyt zmęczona, żeby zabrać się do malowania. Chciała...

Chciała...

Przesunęła puszkę pod ścianę, zdjęła ubranie, stała przez chwilę, wpatrując się w swoje odbicie w dużym lustrze wiszącym w przedpokoju, a potem udała się do łazienki. Weszła do wanny i odkręciła kran.

Nic z niego nie pociekło.



CZEŚĆ II  
**REALIZACJE**

# 1

– Najchętniej już bym nikogo nie zabijał.

Chico rozejrzał się szybko wokół siebie i mocniej chwycił butelkę piwa.

– Bądź cicho – syknął.

Siedzieli na swoim stałym miejscu w barze, w znajdującym się najdalej od drzwi boksie. W odległości kilku metrów od nich jarzyła się neonowymi kolorami, różowym i jasnoniebieskim, szafa grająca, która połykała drogocenne monety Chica. Połykała zazwyczaj, ale nie dziś.

– Jak mogę ci odpowiedzieć, jeśli mam być cicho? – spytał Robin.

– To mów z sensem – odparł Chico. – Najpierw się zastanów, a potem odzywaj.

– Już się nad tym zastanowiłem. Po prostu nie chcę zabijać ludzi.

– Okej. Ale nie mów tego.

Wydawało się, że Robin posłuchał jego prośby. Chico oddychał głęboko.

Zdarzenie, do którego nawiązywał przyjaciel, wywoływało u niego nieokreślony, nieznanym mu wcześniej dyskomfort, spowodowany własnymi myślami. Czegoś podobnego wcześniej nie doświadczał. Zwyczajnie trudno mu było się zastanawiać nad tym, co się stało. Nie dlatego, że musiał pamiętać o czymś szczególnie nieprzyjemnym, jak to się zdarzało na przykład w szkole, lecz dlatego, że myśl o tym nie mieściła mu się w głowie. Albo odskakiwała, wykrzywiała się, przybierała inną formę i zmieniała stronę. Gdy chwile przeżyte w domu Olivii powracały do niego, Chico z wysiłkiem zaczynał sobie coś powtarzać. Sporządzał różne zestawienia. Robił to, starając się zapomnieć o wątpliwościach, jakie go ogarniały. Najlepsze solówki gitarowe. Najlepsze solówki gitarowe w wykonaniu Erica Claptona. Najlepsze solówki gitarowe Erica Claptona wykonane w latach siedemdziesiątych. Najlepsze solówki Erica Claptona w latach 1970–1972...

Layla, pomyślał Chico i napił się piwa.

Napój był nadal dobry, chociaż jego termin przydatności do spożycia upłynął już dawno temu. Chico znał barmana, wiedział, dlaczego pije się tu zagraniczne markowe trunki tanio, dlaczego wszyscy są na plusie mimo niepotrzebnie wyśrubowanych przepisów dotyczących produktów żywnościowych, a może raczej dzięki nim. Nie mógł się zdecydować, jak to właściwie jest.

– Musimy coś zrobić – powiedział, gdy nie mógł już znieść brzęczącej mu w uszach jęczącej dźwięków gitary.

– Tylko nie...

– Pewnie, że nie. Zapomnij o tym choć na chwilę. To był nieszczęśliwy wypadek. Mówiłem ci to tysiąc razy. To się zdarza. Wczoraj oglądałem jeden amerykański dokument o takim dwugłowym człowieku.

Robin spojrział na niego.

– Zabił kogoś?

– Co? – spytał Chico. – Nie, oczywiście, że nie. Ale miał dwie głowy.

Widział, że przyjaciel nie pojmuje, o co mu chodzi.

– To przypadek – dodał. – Czasem dzieje się coś dziwnego.

– Dwugłowy człowiek – zgodził się Robin. – Mężczyzna, który ma dwie głowy.

Chico stwierdził, że Robin nie rozumie jego porównania. Z drugiej strony może nie musi wszystkiego rozumieć. Chico gapił się przed siebie, zastanawiał się. Podrapał etykietę na butelce. Termin przydatności piwa do spożycia minął w roku 2014. Czy ono nie ma dziwnego posmaku?

Spojrział na przyjaciela.

– Mamy dwa tygodnie – oświadczył. – Sam słyszałeś. Jeśli nic nie zrobimy, to Leivo doniesie na nas na policję.

– A jak zrobimy, o co prosi?

– To właśnie próbuję ci wytłumaczyć – odparł Chico, wzdychając.

– A co on powiedział wtedy, gdy spotkaliśmy się z nim po raz pierwszy w jego biurze?

Chico popatrzył na Robina jakby nowymi oczami. Nie wiedział, czy przyjaciel jest mądry, tylko się z tym kryje, czy też jest odwiecznym, wodoodpornym i kompletnym idiotą, ale to nie miało znaczenia, ponieważ nagle, jak uderzony piorunem z jasnego nieba, przypomniał sobie coś, jakby było nagrane na taśmie, więc powtórzył to na głos i w ten sposób uporządkował myśli jego, Chica, który przecież wszystkim kieruje.

– Jesteś geniuszem.

– Dziękuję – powiedział Robin, wyraźnie zawstydzony. Chico pomyślał, że przyjaciel nieczęsto słyszy takie pochwały. Jego policzki lekko się zaczerwieniły. – Czasem coś mi przychodzi do głowy – stwierdził skromnie.

Chico stuknął się z nim butelką i pociągnął długi łyk. Piwo miało wyraźnie dziwny smak, jakby serowy. Ale czemu tu się dziwić, jeżeli w fińskim miasteczku ktoś chce się napić pierwszorzędnego holenderskiego piwa, płacąc euro za butelkę, to z czegoś musi zrezygnować. Chico sam był człowiekiem interesu, rozumiał, jak funkcjonuje kapitalizm. A może to jednak jest socjalizm? Nieważne. Chociaż w piwie pływał stary, lepki ser, to co z tego, skoro kosztowało ono tylko euro i za tę cenę można było sobie posiedzieć w ulubionym barze, nie mając praktycznie ani grosza, i zastanawiać się, czy to kapitalizm, czy socjalizm i jak zdobyć większe pieniądze.

Teraz znów pojawiła się przed nimi szansa.

– Dziś wieczorem – rzucił. – Załatwimy tę sprawę dziś wieczorem.

Robin sprawiał wrażenie zaskoczonego. Uśmiech wywołany pochwałami zniknął z jego twarzy w ułamku sekundy. Wpatrywał się w stojącą przed nim butelkę.

– Nie dam rady – oświadczył.

– Czemu nie?

– Po prostu nie dam rady.

– Robin, czemu nie? – spytał ponownie Chico.

Nastąpiła krótka przerwa, którą wypełnił głuchy stukot kul bilardowych, dochodzący z drugiego końca sali.

– Dziś jest wieczór talentów – powiedział cicho Robin.

Chico oparł się gwałtownie o ścianę. Przez chwilę się zastanawiał nad dwiema kwestiami, z których pierwsza dotyczyła wieczoru talentów, a druga jego przyjaciela.

– Co prezentujesz? – spytał, czując, że w jego głosie pojawia się lekki strach. – Chodzi mi o to, jaki masz talent, który... którym...

– Idę oglądać – odparł cicho Robin, kręcąc głową. – To znaczy mam zamiar iść.

– Oglądać co?

Robin popatrzył na przyjaciela i przełknął ślinę.

– Na scenie będzie Neea.

Chico znów się zastanowił.

- Co ona prezentuje?
- Właściwie to nie wiem. Występuje o wpół do jedenastej.
- Neea cię zaprosiła? Osobiście?

Robin spuścił wzrok i powiedział jeszcze cichszym głosem:

- Widziałem jej post na Facebooku.
- Jesteście znajomymi na Facebooku?
- Wysłałem jej zaproszenie.
- Kiedy?
- W grudniu.

Chico przypatrywał mu się, czekając na dalszy ciąg, ale Robin nie dodał już nic więcej. Chico odkleił się od miękkiej poduszki wyściełającej łóżę i pochylił się do przodu. Daj spokój, pomyślał, to nieważne.

Już chciał pociągnąć łyk piwa z butelki, gdy zauważył unoszący się w niej żółtawy płatek, który sprawiał wrażenie, jakby był żywy i się szamotał. Odsunął butelkę od siebie. Naprawdę potrzebował pieniędzy. Był tym zmęczony, miał dosyć picia cholernego piwa pod postacią fondue i grania na syfiastej podróbce. Chciał świeżego browaru i robionej na zamówienie gitary Gibson Les Paul.

Teraz wiedział, jak to osiągnąć.

– Zdążymy przed wieczorem talentów – oznajmił. – Wezmę tylko zapalki z lady.

## 2

Jan Nyman zauważył, że w sąsiednim domku coś się dzieje. Stwierdził, że od siedzenia przy miniaturowym stoliku zeszywniał mu kręgosłup, więc wstał. Pracował już od kilku godzin. Najwyższy czas, by się przejść.

Wypił dwie szklanki wody, włożył cieńszą flanelową koszulę w zieloną i jasnoniebieską kratę i granatowe džinsy, wsunął iPhone'a do prawej kieszeni na piersi, a portfel wielkości karty kredytowej do lewej kieszeni z przodu spodni i zawiązał sznurówki czerwonych butów Converse All Star. Przyjrzał się sobie w lustrze, poprawił włosy, zastanawiając się, czy się nie ogolić, ale zaraz stwierdził, że jeszcze nie czas na to; nauczyciel matematyki był na urlopie i chciał, żeby wszyscy to widzieli.

Wyszedł na zewnątrz.

Wiatr popychał go jak wcześniej, lecz pogoda była ładna, wprost piękna. Słońce powoli zachodziło, złocąc miękkim pędzlem zarówno niebo, jak i morze. Powietrze było świeże i pachniało wielką kąpielą solankową. Spojrzał w stronę sąsiedniego domku, zza którego wystawał lśniący tył czarnego samochodu – jakiś nowy model bmw, prawdopodobnie 520. Na poręczy wisiał ręcznik w wywołujące migrenę paski, jakby na znak, że miejsce zostało zaanektowane. Nyman zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i usłyszał, że drzwi u sąsiada się otwierają.

Zobaczył stojącego na ganku mężczyznę w kąpielówkach – jasnowłosego, o wyglądzie trudnym do sprecyzowania, z twarzą jakby rozpływającą się w wieczornym słońcu. Barwy i formy stanowiły w nim dziwne połączenie. Nieznajomy, być może około czterdziestki, ze dwa lata starszy od Nymana, miał umięśniony tors, ale bardzo szczupłe nogi, jakby systematycznie uczęszczał na siłownię, lecz za wszelką cenę unikał ćwiczeń na uda. Do tego dochodził zaskakujący szczegół – jasne włosy małego chórzysty, które pasowały znakomicie dwunastolatkowi, ale dwa

razy starszy mężczyzna wyglądał z nimi, jakby się urwał z księżycy. Nieznajomy go zauważył.

– Dobry wieczór – przywitał się Nyman. – Idziesz popływać?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu, tylko odwrócił się w jego stronę i popatrzył na niego. Czarne kąpielówki były obcisłe i małe. Za obcisłe, za małe.

– Czemu pytasz?

Bo masz na sobie dziecięce kąpielówki.

– Piękna pogoda na pływanie – stwierdził Nyman. – Słońce jeszcze trochę grzeje.

Mężczyzna skierował wzrok na niebo. No dobra, pomyślał Nyman, możemy się dalej wygłupiać albo idź tam, dokąd musisz. Nieznajomy patrzył na niebo jedynie przez sekundę lub dwie.

– Długo tu już jesteś? – spytał zaskakująco uprzejmym głosem.

– Jeden dzień.

– Na urlopie?

– Jak najbardziej.

– Ja też – oznajmił sąsiad. – Zasłużonym.

Nyman postanowił wykorzystać sytuację, zrobił kilka kroków w stronę ganku i wyciągnął dłoń nad poręczą. Jedną z najbardziej efektywnych metod pozyskiwania informacji, jaką kiedykolwiek wymyślono: nagle, a przynajmniej szybkie przedstawienie się komuś.

– Jan Kaunisto.

Mężczyzna wyciągnął rękę i uśmiechnął się.

– Esa Koljonen.

Uścisnęli sobie dłonie. Z tego, co działo się w oczach nieznajomego i na jego twarzy, a także z głosu, ruchów ciała i uścisku ręki Nyman wywnioskował, że sąsiad być może nazywa się Esa Koljonen, a być może inaczej.

Zamienili jeszcze kilka słów na temat pogody, letnich miesięcy w ogólności i gdy mężczyzna zaczął zapalać się do rozmowy, coraz bardziej zafascynowany własnym głosem, Nyman życzył mu miłego wieczoru. Zostawił go na ganku, poszedł do miasta i szybko dotarł do tak zwanego bulwaru, którego oficjalna nazwa brzmiała: ulica Nadbrzeżna. Stojąc, wahał się trochę, dokąd pójść, ale wyboru dokonał na podstawie nazewnictwa. Jeśli ośrodek wczasowy to Palm Beach Finland, to dlaczego bar nie mógłby się nazywać Hawaje? Właśnie tam reklamowano wieczór talentów jako wydarzenie dnia.

Bar był w połowie pusty, ale wydawał się przyjemny mimo swojej klaustrofobiczności. Było to niskie pomieszczenie z długą ladą. Dominowały w nim bambusowe elementy wystroju. Po lewej stronie znajdowały się boksy, a ich prywatność gwarantowały małe zadaszenia z gałęzi, które jeszcze bardziej zmniejszały powierzchnię lokalu. Na końcu sali pyszniły się szafa grająca i mieniący się egzotycznymi kolorami automat do gry owocówka. Estrada znajdowała się zaraz przy wejściu.

Z małej tabliczki na barowej ladzie wynikało, że wieczór talentów zacznie się za godzinę i piętnaście minut. U kelnerki, która najwidoczniej była pracownicą sezonową, gdyż ręce jej latały na wszystkie strony, Nyman zamówił butelkę piwa i właśnie miał pociągnąć łyk, kiedy w lustrze zobaczył znajomy profil: długie ciemnobrązowe włosy i długi, nieco wyniosły nos.

Olivia Koski siedziała samotnie.

Grano stary jak świat klasyk w rytmie soul, mężczyzna delikatnym głosem prosił, by ktoś zwiększył jego seksualność. Nyman postanowił poczekać, aż piosenka się skończy, bo w najgorszym wypadku Olivia pomyśli, że to on specjalnie wybrał ten utwór w szafie grającej i teraz uskrzydłony nim, podchodzi, by błagać o zabiegi lecznicze. Widział już takich mężczyzn, którzy zalecali się przesadnie na różne sposoby. Idealna piosenka, idealne kwiaty, idealny układ planet, kawaler jak z marzeń, niczym na zamówienie, marsz weselny, bliźniaki, problemy z erekcją, wspólny grób. Oczywiście widział też takich mężczyzn, którzy patrolowali teren jak żołnierze na wrogim terenie i strzelali natychmiast tekstem w rodzaju: „Dasz mi? No, czemu nie chcesz, dziwko?”. Rzucił się potem taki koleś na szyję z okrzykiem: „Jukka, ty to mnie nie zdradzisz”.

Nyman napił się piwa i jeszcze raz zerknął w lustro. Olivia Koski najwyraźniej prawie nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół niej. Mężczyzna o delikatnym głosie nadal śpiewał. Nyman wziął butelkę i podszedł do boksu, w którym siedziała Olivia. Stał przed nią niemal pusty kieliszek z białym winem.

– Hej – przywitał się i wyciągnął rękę, widząc, że go nie poznała. – Jan Kaunisto. Wypożyczyłem dzisiaj deskę windsurfingową dla długodystansowca. Czy mogę ci postawić wino albo dotrzymać towarzystwa?

Olivia zastanawiała się przez chwilę, potem także wyciągnęła rękę.



– Może. Olivia. To znaczy może być wino. Jak dopiję to.

Wskazała miejsce naprzeciwko, po drugiej stronie drewnianego stołu z ciemnym blatem, i poprosiła, by usiadł. Nyman wślizgnął się na kanapę i spojrzał na Olivię. Miała mokre pachnące kwiatowym szamponem włosy. Zadaszenie boksu wisiało nisko, a przymocowana do ściany lampa promieniowała miękkim, delikatnym światłem, choć może mu się tylko tak wydawało. Odnosił wrażenie, że siedzą w jakiejś chatce albo budce.

– Wieczór talentów – powiedział. – Jesteś tu jako widz czy uczestniczka?

Olivia spojrzała na niego jakby lekko rozbawiona.

– Przyszłam wziąć prysznic – oświadczyła, wskazując brodą bar. – Czy przypadkiem wiesz coś na temat wymiany rur w domu jednorodzinnym?

– Jedyne moje doświadczenie z wymianą rur wyniosłem z bloku mieszkalnego – poinformował ją Nyman, kręcąc głową. – Trwało to dłużej, niż powinno, i kosztowało więcej, niż powinno.

– Wspaniale, pocieszyłeś mnie.

– Trzeba przyznać, że nie miałem w tym zbyt dużego udziału, akurat wtedy przebywałem gdzie indziej. Robisz remont?

– Mam nadzieję – powiedziała i pokręciła głową. – Może. Nie wiem.

Nyman czekał. Olivia wpatrywała się w stojący przed nią kieliszek, a potem uniosła wzrok.

– Nie jesteś facetem naprawiającym rury ani surferem. Czym się w takim razie zajmujesz?

– Jestem nauczycielem matematyki – oznajmił.

– No to masz długie wakacje.

– Wszyscy mi to mówią.

– Czy to nie jest prawda? – spytała, upijając trochę wina.

Nyman pociągnął łyk piwa.

– Co się dzieje z tymi rurami? – spytał.

– Są stuletnie i właśnie ostatecznie odmówiły posłuszeństwa. Muszę je wymienić. Ale nie mam...

Nyman milczał.

– Pomówmy o czymś innym – zaproponowała, odsunęła kieliszek z winem i spojrzała na niego. – Co cię tu sprowadza?

Policjant przyglądał się jej brązowym oczom. Obracając się wśród przestępców, oczywiście kłamał czasem, w sposób systematyczny

i odruchowo. Nawet się nad tym nie zastanawiał. Lecz teraz jego kłamstwa nabrały posmaku, który mu zaczął przeszkadzać. Postanowił dodać do wszystkiego, co powie, co najmniej odrobinę prawdy. Może zrobi mu się lepiej na duszy.

– Jeden znajomy powiedział mi o tym miasteczku. Że jest tu ciekawie.

– A mówił dlaczego?

– No, zakładałam, że ma to związek z położeniem nad morzem. Nie jestem pewien. I szczególnie polecał mi windsurfing, którego nigdy nie próbowałam.

– A nie opowiadał o jakimś dziwnym wypadku, który wydarzył się tu dwa tygodnie temu?

Nyman starał się przybrać pytający wyraz twarzy i chyba mu się to udało.

– Mam wrażenie, że wszyscy o tym wiedzą – oświadczyła Olivia.

Nadal miał taką minę, jakby chciał o coś zapytać. Starał się, jak mógł, aż w końcu Olivia uwolniła go od dalszego udawania.

– Pewnie i tak ktoś by ci o tym powiedział. W moim domu znaleziono martwego mężczyznę.

– Tak po prostu? – spytał niewinnym tonem.

– No nie wiem, czy tak po prostu – odparła, a on próbował wychwycić ton jej głosu, ocenić sposób, w jaki mówi, jak rozkłada akcenty, czy stara się coś ukryć. – Stłuczono mi szyby w oknie. W kuchni ktoś się bił, narozrabiał i wskutek tego ten człowiek zginął. Przyszłam wieczorem do domu i go znalazłam. Policja chyba podejrzewa, że został zamordowany. Badają tę sprawę. Nie wiem, co stwierdzili, bo mnie nic się nie mówi. Nie wiadomo czemu. Można by sądzić, że właściciele domu powinno się coś powiedzieć. A tu nic.

No dobrze, pomyślał Nyman, z tego nic nie wywnioskuje. Olivia zerknęła na niego.

– Nie wydajesz się tym specjalnie przerażony.

– Miałaś ciężki powrót do domu.

– To było straszne – oświadczyła bez emocji. – Teraz przyszła mi do głowy jeszcze jedna rzecz, o której nikomu nie mówiłam.

Nyman napił się piwa i czekał na dalszy ciąg opowieści.

– Trochę mi głupio – powiedziała Olivia.

Machnął ręką na znak, że spokojnie może o tym opowiedzieć. I była to prawda, no, chyba że popełniła przestępstwo. Dawaj – sugerowała jego mina.

– Nie jestem tego taka pewna. I właściwie nie wiem, dlaczego ci o tym mówię. To ma związek z moim dziadkiem i ojcem. Możliwe, że złodziej zabrał należącą do nich drapaczkę wiszącą na ścianie między przedpokojem a kuchnią.

– Drapaczkę – powtórzył Nyman.

– Dziadek był rybakiem. Chodził w kalesonach od sierpnia do końca czerwca, właściwie cały rok. Nie miał ich za dużo. Chyba tylko jedną parę. Oczywiście w zimie drażniły go one w niektórych miejscach, więc kupił sobie drapaczkę i zawiesił na haku przy kuchni, za przedpokojem, i to mu załatwiało problem. Używał jej przez dziesięć lat. Po śmierci dziadka drapaczkę odziedziczył ojciec. Czemu ktoś miałby zabierać coś takiego?

– Masz pewność, że zniknęła?

– Wysprzątałam parter od podłogi do sufitu kilka razy. Nie wiem, czemu o tym mówię.

– Czasami człowiek czuje taką potrzebę – powiedział Nyman.

Olivia odchyliła głowę nieco do tyłu i spojrzała na niego jakby troszkę z góry.

– Ty już słyszałeś. O tym, co się zdarzyło w moim domu. Ja zawsze zauważę, jeśli ktoś o tym wie. Ludzie patrzą wtedy na mnie zupełnie inaczej niż zwykle. Nie sądzę, żeby robili to celowo, ale tak się dzieje. „To ta, w której domu znaleziono trupa”. Coś w tym rodzaju.

Nyman pokiwał głową, ale bez entuzjazmu.

– Chyba coś o tym słyszałem – oznajmił zadowolony, że może dodać trochę prawdy.

– Tak mi się wydawało. Inna ewentualność jest oczywiście taka, że jako nauczyciel matematyki widziałeś tyle okrucieństwa, że nie boisz się żadnych trupów w kuchni.

– Zawsze się ich boję – przyznał.

Tym razem na twarzy Olivii pojawiło się pytanie, więc wyjaśnił, o co mu chodziło. Opowiedział o swojej służbie w Afganistanie, gdzie dwukrotnie brał udział w misjach pokojowych w Mazar-i Szarif. Wprawdzie nie wchodził w szczegóły, ale i tak mówienie o sobie sprawiło mu przyjemność. Oczywiście nie wspomniał o latach przepracowanych w wydziale kryminalnym ani o mieszkańcach Helsinek zabijanych na wszelkie możliwe sposoby.

– I co potem? – spytała.

– Po Afganistanie? Wróciłem do domu, znów poszedłem do szkoły i spotkałem kobietę.

Wszystko to było prawdą. Pod pewnymi względami.

– I sam spędzasz urlop?

Nyman nie wyłowił w pytaniu ani śladu flirtu. Była w nim zwykła ciekawość.

– Rozwiodłem się – odparł. – Ona była bardzo miła. Nic złego nie mogę o niej powiedzieć. Ale też nic nas nie łączyło. Tak po czasie myślę, że spotkaliśmy się w chwili, gdy oboje chcieliśmy zawrzeć związek małżeński z kimkolwiek, no i pobraliśmy się ze sobą.

– Mimo wszystko brzmi to lepiej niż w przypadku moich związków. Ja raz byłam zamężna, a raz zaręczona. Ale chcę podkreślić, że nic mnie z tymi mężczyznami nie łączyło. Na swoją obronę mogę tylko dodać, że byli do siebie podobni. Na przykład musiałam ich obu utrzymywać.

– To takie nowoczesne – stwierdził Nyman.

Olivia uśmiechnęła się lekko.

– Od tamtych chwil upłynęło już trochę czasu – kontynuowała. – Kilka miesięcy temu wróciłam do tego miasteczka. Umarł mój ojciec...

– Bardzo mi przykro.

– Dziękuję – powiedziała, odczekała chwilę i ciągnęła: – Odziedziczyłam wille, w której rury poddały się ostatecznie. Tak w ogóle to dom wymaga remontu. Przeprowadziłam różne drobne naprawy, ale na większe roboty muszę wygrać w lotto.

– A grasz?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie wierzę w to.

– W przypadek?

– Lotto to nie przypadek. Lotto to dręczenie ludzi. O przypadku mówimy wtedy, gdy spotykasz dobrego mężczyznę, ale nie wybierasz go jak numer w lotto spośród wszystkich mężczyzn na świecie, których jest trzy i pół miliarda, tylko z niezwykle małej grupy tych, których znasz i z którymi jesteś blisko, choć nie mam na myśli niczego intymnego. Powiedzmy, że jest ich siedmiu. Dwaj z nich to beznadziejne typy, w których ja się specjalizuję. Potem jest taki, który nie brudzi w domu, ale się nie nadaje, bo nic innego sobą nie reprezentuje, czystość to przecież żadna cecha osobowości. Potem jest jeden ciekawy człowiek, z nim wszystko się układa, ale po jakimś czasie przestaje dzwonić. Następnie jest jeden, który po pocałunku zamienia się z księcia

w ropuchę, i nadal trudno znaleźć na to sensowne wytłumaczenie z punktu widzenia fizjologii. Potem jest... chwileczkę...

– Zostało ci jeszcze trzech mężczyzn.

Olivia pokręciła głową.

– Dwóch – rzuciła. – Z których jeden jest wytworem wyobraźni, dlatego że to pierwszy mężczyzna, którego pocałowałam, a miał wtedy czternaście lat. Nie spotkałam go potem i teraz pewnie nie przypomina Brada Pitta, ma podwójny podbródek, siedzi na sofie i czeka na kanapki i śmierć.

– Został jeszcze jeden.

– I on jest właśnie kwestią przypadku.

Nyman spojrzał na Olivię, która przesunęła kieliszek po stole.

– Jest już pusty – stwierdził.

Zerknęła na kieliszek.

– A to nie może być przypadek.

### 3

Chico zauważył starą jak świat kosiarkę – stała tuż za wyłamanyymi drzwiami. Poczł zapach trawy i benzyny, który do niej przywarł. Za przyjacielem w drzwiach niewielkiego budynku gospodarczego pojawił się Robin.

Dotarli tu inną drogą niż poprzednio, zczekali pod osłoną drzew, widzieli, jak Olivia wyszła z domu, wsiadła na rower i odjechała. Stało się to w ciągu kilku sekund. Ruchy miała szybkie i zdecydowane.

Odczekali jeszcze pół godziny, chociaż od wyjazdu gospodyni w domu nadal panowała ciemność. Chico nauczył się jednak, że nigdy się nie ma wystarczająco pewności. Właściwie nie spodziewał się większego niebezpieczeństwa czy też grasującego znów w domu niepoczytalnego włamywacza, ale ostrożność przede wszystkim. I trzeba unikać robienia tego samego dwa razy, to są podstawowe filary powodzenia w biznesie. Dokładniej rzecz biorąc, nie wiedział, co to oznacza, ale słyszał, jak mówił o tym ubrany w garnitur mężczyzna podczas pewnego spotkania poświęconego sprzedaży preparatów witaminowych.

Odsunął się na bok, żeby Robin mógł wejść. Skierował światło ręcznej latarki na kosiarkę.

– Tam – powiedział.

Robin milczał.

Chico wytłumaczył mu, że zamierza wyprowadzić kosiarkę na środek ogrodu, wrzucić zapaloną zapalrkę do zbiornika z paliwem i dać nogę. Wiadomość będzie wyraźna, a co najlepsze, zawierająca ostrzeżenie. Żadna tam wielka katastrofa w rodzaju zniszczonej kuchni i poturbowanego hipisa. Jasna wiadomość. I będą mieli pieniądze na koncie. No, może nie na koncie. Chico nie chciał tłumaczyć się z tej wpłaty przed przebiegłym urzędnikiem zakładu ubezpieczeń; oni są tam chorobliwie ciekawi jego sytuacji finansowej, krętae jak się patrzy. I tylko dlatego, że on...

Powstrzymał myśli, które znów nabierały rozpędu.

A rozpędzały się zawsze jakoś tak w pobliżu pieniędzy, z powodu przecucia, że otrzyma pieniądze, albo jeśli zostały mu one obiecane, albo gdy w ogóle pojawiły się na horyzoncie. Jego serce zaczynało wtedy łomotać, pocił się na całym ciele, czubek głowy i twarz mu płonęły.

Wciągnął powietrze głęboko do płuc, poczuł specyficzny przenikliwy zapach budynku gospodarczego, pleśni, starych rzeczy i czegoś innego; przypomniał sobie od razu gorączkę krwotoczną, której można się nabawić właśnie w szopie, wachając mysie odchody, a raczej nie odchody, nie fizyczne odchody, tylko ich... Co? Nie zapach, lecz jakieś odrywające się z nich płatki, wirujące w powietrzu, jak może brzmieć nazwa takiej substancji albo jej stanu skupienia? Atom odchodów?

Chico musiał się wziąć w garść, ponownie zebrać myśli.

– Rozumiesz? – spytał Robina, a zarazem siebie samego.

– To dobry plan – przyznał kolega.

– Dziękuję – odparł Chico, dochodząc do tego samego wniosku teraz, gdy myśli miał już jaśniejsze.

Omiótł pomieszczenie światłem latarki. W budynku gospodarczym znajdowały się wszelkie możliwe przedmioty, od łódki po taczkę, od wideł po sanki. Rzeczy nagromadzone przez dziesiątki lat. Chico skierował światło znów na kosiarkę. Pochylił się, odkręcił korek zbiornika na benzynę i nogą rozkołysał maszynę. Dobrze, jest jeszcze dużo paliwa. W lewej ręce trzymał korek, a w prawej latarkę.

– Okej – powiedział do Robina, nadal rozglądając się po oświetlanym latarką otoczeniu i usiłując wypatrzeć w ciemnych zakamarkach i stosach różnych przedmiotów ewentualne gryzonie albo ich bobki. – Wyciągnij zapalki z kieszeni moich džinsów.

To, co wydarzyło się potem, stało się tak szybko, że Chico nawet nie zdążył otworzyć ust. Palce Robina poruszały się niczym palce pianisty. Wsunęły się do kieszeni jego spodni, wyciągnęły pudełko zapalek – wszystko to jednym, płynnym, błyskawicznym ruchem. Czemu akurat teraz, Robin? Otworzyły pudełko, zapaliły zapalkę i wrzuciły do zbiornika z paliwem. Tak zręcznie, że chociaż Chico ujrzał to kątem oka, nie zdążył wykrzyknąć ani jednego słowa.

Rozległ się szum, w ułamku sekundy zobaczył wyraźnie wszystkie rzeczy znajdujące się w budynku gospodarczym. Zrobił ich inwentaryzację, co zrozumiałe, ponieważ stopy miał przyklejone do ziemi. Pomyślał, że to, co widzi, jest ostatnim obrazem w jego życiu. Gorąco wydawało się nie do zniesienia.

W końcu się poruszył.

Świat szumiał.

Twarz go paliła, gdy padał na ziemię w ogrodzie. Leżał plecami do góry na dopiero co skoszonym, krótko przyciętym i gęstym trawniku, który był chłodny – jakże cudownie chłodny – i nie przejmował się tym, ile odchodów gryzoni przedostało mu się do płuc, wszystko to lepsze niż...

Odwrócił się natychmiast, gdy tylko mógł.

Być może stracił na krótko przytomność.

Cały budynek gospodarczy buzował. Patrząc z miejsca, w którym Chico się znajdował, można by pomyśleć, że pali się duży dom. Chico z żalem musiał przyznać, że szopa była w rzeczywistości niewielka. Ale płomienie sięgały aż po niebo.



## 4

– Marzenia – powiedziała Olivia. – W pewnym momencie są one bardziej męczące niż robienie czegokolwiek.

Nyman spytał, co sprawiło, że tu została i podjęła się trudu wyremontowania starej i podupadłej willi. Jak przypuszczał, Olivii nie chodziło oczywiście tylko o dom i rury.

– Mam na myśli marzenia, w których wszystko jest możliwe i to tylko kwestia czasu, aż zdarzy się coś cudownego albo coś się samo zmieni. – Pokręciła głową. – Że jeszcze się zdąży i wszędzie drzwi są otwarte. Ale nie są.

– Powoli zaczynam zdawać sobie z tego sprawę.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści dziewięć.

– No tak.

Nyman nie zamierzał pytać jej o wiek, bo wiedział, że ma trzydzieści dziewięć lat. Dokładnie rzecz biorąc, była młodsza od niego o trzy miesiące. Zamiast tego spytał, co przez to rozumie.

– Albo wiesz, o czym mówię, albo nigdy nie będziesz wiedział – odparła. – Gdyby się dobrze zastanović, to ile razy można zaczynać od początku? Ile razy dostaje się nową szansę? Niewiele razy, choć nie chcę być pesymistyczna ani cyniczna. Szczerze mówiąc, co ja tam o tobie wiem. Mówię o sobie. Jeżeli jesteś szczęśliwym nauczycielem matematyki, rozwodnikiem, który chce się tylko nauczyć surfować, to osiągnęłaś już wszystko. Ale ja nie osiągnęłam. Gdy pomyślę, jak prędko przeleciały te lata po dwudziestce i jak tempo staje się coraz szybsze, mam wrażenie, że lepiej będzie, jeśli zabiorę się do roboty.

Wypiła łyk wina. Nadal rozbrzmiewały stare piosenki w stylu soul: ten sam mężczyzna śpiewał, jak bardzo chciałby coś rozruszać. Nyman czuł się niezręcznie, patrząc w przyciągające niczym magnes brązowe oczy Olivii. Gdy piosenkarz aksamitnym głosem zaczął zachęcać: „Zrozum mnie, kochanie, zrobmy to już wreszcie”, odwrócił wzrok. Nie

tylko dlatego, że Olivia była naturalna i urocza w sposób niewymagający usprawiedliwienia, jakby czuła się swobodnie, niczym w domu, tu i gdziekolwiek indziej, wróciwszy z dowolnego miejsca na świecie. Właśnie tak, pomyślał, widać w niej życie, widać, jaka jest żywotna. Oczywiście. Ale właściwa przyczyna tkwiła w tym, że...

– Znowu zabrzmiało to ponuro – odezwała się w końcu Olivia. – Może z powodu dzisiejszego dnia, tego, co się wydarzyło ostatnio.

Nyman pokręcił głową.

– Chętnie jeszcze posłucham. – Mówił szczerze. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie myślę o podobnych sprawach.

– Chciałbyś być kimś innym niż nauczycielem matematyki?

– Z całą pewnością – potwierdził.

– Czyli kim? Chyba masz jakieś marzenia? Cele?

– Chciałabyś usłyszeć historię o mojej byłej żonie?

– Kto by nie chciał? – odparła z uśmiechem.

– Tamtego dnia albo następnego mieliśmy się pobrać – zaczął. – I ona powiedziała, że jedno nasze marzenie się urzeczywistnia i jeszcze wiele cudownych jest przed nami. Coś takiego. Potem spytała, o czym marzę. Zastanawiałem się przez chwilę i odpowiedziałem, że nie mam marzeń. Ona na to, że nigdy nie słyszała czegoś tak przygnębiającego. Równie dobrze mogliśmy już podpisać papiery rozwodowe. Właśnie wtedy, przed ślubem. A przecież ja nie miałem na myśli niczego przykrego, wcale nie wydawało mi się to smutne. Wprost przeciwnie.

Nyman napił się piwa, Olivia patrzyła na niego tak, jakby opowieść ją zainteresowała.

– Wróciłem wtedy z Afganistanu. Pomyślałem sobie, że mam białą skórę, dwie ręce, dwie nogi, jakąś tam głowę, urodziłem się i mieszkam w Finlandii. Mówiłem wyłącznie o sobie i etapie swojego życia, w którym się znajdowałem, ale nie potrafiłem marzyć o niczym. Uważałem, że w moim przypadku liczy się tylko działanie. Próbowałem wytłumaczyć różnicę między tymi dwiema sprawami. Próbowałem powiedzieć, że znajduję się w sytuacji, w której marzenia oznaczają jedynie odkładanie spraw na później i wymyślanie pretekstów. Że gdybym naprawdę chciał coś zrobić, to mógłbym zacząć to realizować natychmiast.

– Co odpowiedziała twoja żona?

– Przyszła żona – poprawił ją Nyman. – Powiedziała, że chyba nie zna mnie tak dobrze, jak myślała. I spytała, czy mógłbym pojechać teraz

zaraz na jakąś rajską wyspę na Pacyfiku, żeby wylegiwać się na plaży, na białym piasku.

– A co ty na to?

– Właśnie udało mi się wypłukać z oczu afgański piasek. Odparłem, że nie chcę widzieć ani jednego ziarenka i że jako wolny biały obywatel nie uważam, aby leżenie na plecach było czymś, o czym się specjalnie marzy, nie mówiąc o tym, że nie jest to nic ambitnego, i że nigdy nie chciałbym już się wylegiwać na piaszczystej plaży, nieważne, czy jest ona biała, czerwona czy brązowa, chyba że musiałbym się ukrywać przed ostrzałem z karabinu maszynowego. Moja przyszła żona i przyszła ekszona stwierdziła, że chyba powinniśmy byli przeprowadzić tę rozmowę wcześniej.

Olivia spojrzała mu w oczy ze spokojem.

– Powiedziałeś to, co myślisz.

– Nie wiem, czy się opłacało. Ale to prawda.

Upiła nieco wina i odstawiła kieliszek.

– Zawsze mówisz prawdę? – spytała.

Właśnie miał jej odpowiedzieć, choć jeszcze nie wiedział co, i już otwierał usta, gdy na stole zawibrował telefon. Olivia chwyciła komórkę i odebrała. Nyman odwrócił głowę w stronę baru, by stworzyć jej warunki do swobodnej rozmowy.

– Tak, to ja – potwierdziła. – Tak... Co... Przepraszam, co... Natychmiast... Oczywiście, natychmiast.

Nyman zorientował się, że się rozłączyła, chociaż nie usłyszał pożegnania. Odwrócił się ku niej, lecz ona szła już do baru; powiedziała coś do kelnera, a ten pokiwał głową. Potem wróciła do stolika, sprawiając wrażenie zdenerwowanej i jednocześnie pogrążonej w myślach.

– Zamówiłam taksówkę. Tam się pali.

Dziesięć sekund później stali przed barem, czekając na taksówkę. Milczeli. Gdy już wsiedli do samochodu i przejechali pewien dystans, Nyman zebrał się na odwagę i zadał pytanie.

– Gdzie się pali?

– U mnie. W ogrodzie.

Wiedział, że z powodu wadliwych pralek lub suszarek tylko na terenie stołecznym spaliło się doszczętnie wiele mieszkań.

– Może zostawiłaś jakieś urządzenie podłączone do prądu? Przypominasz sobie?

Olivia zaprzeczyła.

Przywołał w pamięci obraz domu i ogrodu.

– A sauna? – spytał. – Może rozpałałaś w piecu?

Od razu zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. No tak, pomyślał, skąd niby wiem, że masz w ogrodzie saunę?

Olivia odwróciła się lekko ku niemu. Wieczne słońce oświetliło jedną stronę jej twarzy, druga pozostała w cieniu. Milczał, mając pewność, że Olivia patrzy na niego.

Wjechawszy na wewnętrzną drogę prowadzącą do domu, auto zwolniło.

Samochód straży pożarnej stał jeszcze w poprzek, więc taksówkarz zatrzymał się w odległości kilkudziesięciu metrów od ogrodu. Olivia wysiadła prędko z samochodu, zostawiając otwarte drzwi, i zniknęła za pojazdem strażackim. Nyman zapłacił taksówkarzowi wspominającemu coś o czujnikach ognia, a potem zatrzasnął drzwi, okrążył strażaków i ujrzał radiowóz miejscowej policji oraz dwóch mężczyzn w T-shirtach i czapkach z daszkiem na głowach, stojących na środku podwórka.

Policjanci przyglądali się w jasnym świetle reflektorów wozu strażackiego dymiącym ruinom i akcji ratowniczej. Powietrze było gorzkie, gryzące, jakby tysiące ognisk dopalało się jednocześnie.

Strażacy odgradzili teren, sprawdzili, czy gdzieś nie tli się jeszcze ogień, obawiając się, że pożar mógłby się rozprzestrzenić na okoliczny las lub na dom, który Nyman zobaczył po raz pierwszy nie na zdjęciu. Budynek był naprawdę piękny, lecz w bardzo złym stanie.

Olivia rozmawiała z dowódcą sekcji strażackiej, który pokazywał jej jakieś zgliszcza. Nyman wiedział ze zdjęć, że stał tam wcześniej prostokątny drewniany budynek gospodarczy z pomalowanymi na czerwono ścianami, w którym znajdowała się, wnioskując z solidnego ceglanego komina, sauna mogąca pomieścić całą rodzinę.

Chciał uniknąć spotkania z policjantami, lecz na to było już za późno. Jeden z nich, niebieskooki z siwą brodą i w okularach z metalowymi oprawkami, w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat, zdążył go zauważyć i podszedł do niego powoli, ale zdecydowanie.

– Widzi pan coś interesującego?

Nyman zerknął na policjanta. Udawaj głupiego, powiedział do siebie.

– Czy tu się paliło?

Policjant milczał.

– Ma pan jakieś dokumenty?

Nyman wyciągnął z tylnej kieszeni paszport i podał go funkcjonariuszowi. Ten spojrział na niego, otworzył dokument i spytał:

– Mogę zrobić zdjęcie?

– Oczywiście – odparł Nyman i policjant sfotografował pierwszą stronę nowego paszportu Jana Kaunista.

– Znam tutaj wszystkich – powiedział, oddając dokument.

– Ja przyjechałem z nią – oświadczył Nyman, wskazując brodą Olivię. Policjant milczał przez chwilę, a potem rzucił:

– Na urlopie.

Nyman domyślił się, że zadano mu pytanie.

– Tak, przyjechałem wczoraj.

– Sam?

– Tak.

– I od razu spotkałeś kobietę.

– Tak.

– A zaraz potem spalił się jej dom.

Nyman spojrział za siebie.

– Dom wygląda w porządku.

– Tak ci się wydaje?

Rozumiem, o co mu chodzi, pomyślał Nyman. Miejscowej policji nie udało się wyjaśnić zabójstwa, które wydarzyło się w tym domu. Co z kolei doprowadziło do tego, że on sam został wysłany, żeby zbadać sprawę. A teraz stał w ogrodzie przed domem, przesłuchiwany przez przedstawiciela lokalnej władzy, i nie mógł nawet powiedzieć, jak bardzo zaskakujący jest ten przypadek.

– Oczywiście, sprawia wrażenie, jakby potrzebował naprawy.

– I to jeszcze jakiej – potwierdził policjant.

– Czy mogę już odejść? – zapytał Nyman, robiąc krok do przodu.

– A gdzie się zatrzymałeś?

– W Palm...

– W ośrodku wczasowym. Znajdziemy cię tam, gdyby trzeba było zadać jakieś pytania?

– Chyba że będę surfował.

Policjant spojrział na niego.

– Surfer.

To także okazało się pytaniem.

– Właściwie nie – odparł Nyman. – Dopiero zaczynam.

– A rozniecanie pożarów? Zaczynasz, czy jesteś już zawodowcem?

Jednak o to zapytał.

– Byłem w jej towarzystwie – poinformował Nyman policjanta, kiwając głową w stronę Olivii. Potem przypomniał sobie mężczyznę w mikroskopijnych kąpielówkach mieszkającego w sąsiednim domku. – A gdybyś chciał wiedzieć, co robiłem wcześniej, to też mam świadka.

– Świadka?

– Chyba tak to się mówi.

– Jeżeli mamy podejrzenie popełnienia przestępstwa, to na pewnym etapie można tak powiedzieć.

Nyman milczał. Policjant wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, w końcu odwrócił głowę. Nyman odczytał to jako znak, że może odejść.

W wydziale kryminalnym helsińskiej policji także zajmowano się pożarami, a czasami śledztwa w takich sprawach wiązały się z jego dochodzeniami dotyczącymi zabójstw. Od tamtych dni minęło już trochę czasu, ale ogień pozostał ten sam, a Nyman nabył doświadczenia i miał swoje zdanie na temat podpaień.

Dowódca sekcji strażaków był ciemnowłosym mężczyzną o szerokiej twarzy, z krótkimi, umięśnionymi kończynami. Sprawiał wrażenie młodego, energicznego zapaśnika. Nyman podszedł do niego; stali mniej więcej pośrodku ogrodu, przodem do morza, mając za sobą dom, i patrzyli na dymiące gdzieś czarne i połyskujące kroplami wody pogorzeliśko.

Nyman się rozejrzał.

Olivia weszła już do domu, policjanci siedzieli w radiowozie na skraju podwórka. Starszy funkcjonariusz nadal mu się przypatrywał. Nyman zwrócił się do dowódcy strażaków. Był on najwyraźniej człowiekiem, który nie stał z założonymi rękami, i Nyman mógł z nim rozmawiać bez ogródek.

– Wygląda na to, że ostro się paliło. Jeżeli w saunie nie rozpalono, to przyczyna powstania pożaru musiała być jakaś inna. Czy do szopy dochodzą przewody elektryczne?

Dowódca sekcji przytaknął energicznie.

– Kable przechodzą przez wnękę w saunie, tam – powiedział, wskazując na prawy brzeg fundamentów. – Ale prąd sam w sobie nie powoduje zapłonu. Do tego trzeba urządzenia elektrycznego. A takiego tam nie było, bo pozostałyby ślady, że coś się stopiło. W samym środku znaleźliśmy resztki silnika, co ewentualnie wskazywałoby na benzynę.

Lecz benzyna też nie może się sama zapalić. I druga sprawa: ogień szybko się rozprzestrzenił.

Nyman wiedział, co to oznacza.

– Czyli nic nie grzało się godzinami, jak na przykład kuchenka czy ekspres do kawy, które powodują równomierne i katastrofalne w skutkach nagrzewanie się jakiegoś miejsca.

Szef sekcji pokręcił głową.

– Raczej nastąpił wybuch – stwierdził. – I to właśnie w tym środkowym punkcie, gdzie nie ma ani pieca do sauny, ani przewodów elektrycznych. Wydaje się to dziwne.

– Dlaczego?

Strażak popatrzył na niego.

– W Finlandii są dwa miliony szop, a ile z nich wybucha? I to nagle i samoczynnie?

## 5

Holma był szczerze zdziwiony. Nawet trochę podekscytowany. Napił się piwa, przeczytał jeszcze raz regulamin wypisany na małej tabliczce stojącej na ladzie, a potem uniósł dłoń. Kelnerka zauważyła go i podeszła. Holma przyglądał się jej sylwetce, a gdy stanęła przed nim, uśmiechnął się szeroko.

– Wieczór talentów – powiedział i prawą ręką przekręcił tabliczkę w jej stronę.

Kelnerka zignorowała ją, popatrzyła wprost na niego i wyciągnęła z kieszeni długopis.

– Zgadza się. Chcesz wziąć udział?

– Nie.

– Dolać ci piwa? – spytała.

Holma sprawdził zawartość swojego kufła. Wypił dopiero jedną trzecią, więc pokręcił głową. Kelnerka wpatrywała się w niego. Holma nie wiedział, czy chce go jeszcze o coś zapytać. Może po prostu zawsze miała taką minę.

– Przeczytałem regulamin – oświadczył. – Jest w nim błąd.

– Błąd?

Wskazał palcem górną część tabliczki, pierwszy punkt przepisów.

– Tutaj jest mowa o tym, że jeden uczestnik może zaprezentować tylko jeden talent.

Kelnerka popatrzyła na tabliczkę.

– Rzeczywiście, tak jest napisane – odparła, jednak z nutą niepewności w głosie. – Nie czytałam regulaminu. To Lasse go napisał.

– Kim jest Lasse?

– Właścicielem.

– Jest tu teraz?

– Nie.

– A gdzie jest?

– Nie wiem.



– Kiedy będzie?

– Dopiero we wtorek.

Holma spojrział na kelnerkę. Pomyślał, że w innych okolicznościach przyspieszyłby rozmowę. Zwykle potrzebował do tego trochę prywatności i jakiegoś ostrego albo ciężkiego przedmiotu.

– Komu mogę powiedzieć, że w regulaminie jest błąd?

Kelnerka nadal trzymała długopis i pstrykała nim. Zerknęła za siebie, a potem znów popatrzyła na klienta.

– Chyba mnie.

Pokiwał głową i rzucił jej krótki uśmiech.

– Chciałbym, żebyś przekazała to Lassemu, dobrze?

– Oczywiście.

– Są ludzie – zaczął Holma – którzy mają więcej niż jeden talent.

Kelnerka milczała; zdawało się, że słucha uważnie.

– I są ludzie – dodał – którzy mają tak wiele talentów, że mogą występować przez cały wieczór, prezentując jeden talent po drugim.

Nadal patrzyła na niego.

– Więc – kontynuował – chciałbym, żebyś we wtorek powiedziała Lassemu, że regulamin trzeba zmienić.

– Powiem mu – odparła kelnerka po chwili milczenia.

– Dziękuję.

Odeszła, zerkając na niego przez ramię, a on rzucił jej jeszcze szerszy uśmiech.

Nie wierzył jej. Na pewno nie przekaże Lassemu niczego. Setki razy spotykał się z czymś takim. Ludziom nie można ufać. Za jego uśmiechem kryła się wściekłość. Starał się uspokoić, przypominając sobie, co zrobił kilka tygodni temu pewnej kobiecie, która donosiła policji. Mianowicie zakleił jej usta taśmą, skrępował ręce i nogi i powiesił ją na drążku do ćwiczeń nogami do góry, a potem wyszedł. Oczywiście nie pytając, czy ktoś wraca do domu albo czy ktoś ma w ogóle klucze do mieszkania.

Poczuł ulgę. Siła pozytywnego myślenia, upomniał sam siebie.

Pociągnął łyk piwa, odwrócił się w stronę estrady i zobaczył napis „Personal Fitness & Super Dancing by Neea”, widniejący na plakacie w różowo-czarnych kolorach. Przeczytał go kilka razy, ale wciąż nie mógł sobie powiedzieć, że zrozumiał jego treść. No, nieważne, bo Neea – to akurat było dla niego jasne – zaczęła wykonywać na estradzie serię ćwiczeń. W tle rozbrzmiewała taneczna piosenka, nowa i rytmiczna, rzucane szeptem słowa opowiadały o gigantycznym wężu, anakondzie,

ktoś wzdychał i dyszał, kobieta śpiewała, mówiąc, albo mówiła, śpiewając, jej głos przypominał ćwierkanie, gruchanie, chrapanie. *O maj gad, luk at dat*. Holma wiedział, co oznacza refren: Patrz, jaka dupa. Refren powtarzał się chyba z tysiąc razy. Pomyślał, że muzyka została znakomicie dobrana.

Neea miała na sobie coś w rodzaju stroju zapaśniczki, wykonanego z kawałka płótna wielkości podstawki do kufła stojącego przed Holmą. Była zwinna, z poczuciem rytmu; skakała, kołysała się, odpychała, robiła pompki, wymachiwała rękami, tupała, miotała się i rozciągała. Cały czas się uśmiechała, a jej białe zęby lśniły niczym ustawione w rzędzie małe reflektory.

Holma przypomniał sobie Pamelę Anderson i fińską skrzypaczkę w skórzanym ubraniu, grającą w przykucniętej pozycji; obie kobiety zlały się teraz ostatecznie w jego umyśle, tworząc jedną postać, i oczami wyobraźni zobaczył dziewczynę o twarzy amerykańskiej aktorki biegnącą nad Pacyfikiem ze skrzypcami w dłoniach.

Neea przywodziła mu na myśl jedną z nich, a nawet obie, była tylko trochę bardziej opalona. Właściwie dużo bardziej opalona, niespotykane brązowa. Była najbardziej opaloną białą kobietą, jaką Holma kiedykolwiek spotkał. Popijał piwo i nogą przytupywał sobie do rytmu. Marzył o spotkaniu z miejscową pięknoscią. Wyglądało na to, że i te marzenia się spełniły.

Prawdopodobnie Neea wyznawała zasadę, że jeden uczestnik powinien prezentować jeden talent, bo gdy muzyka ucichła, ukłoniła się tak nisko, że na chwilę zniknęła z pola widzenia. Później znów się pojawiła i uśmiechnęła szeroko, oślepiając połowę ludzi siedzących w barze. Holma klaskał raz po raz, ruszając w stronę tej stuprocentowo pewnej zwyciężczyni wieczoru. *O maj gad, luk at dat*.

– Zrobiłeś zdjęcia? – spytała ta budząca pożądanie półnaga opalona istota, gdy już usiedli przy stole. Holma oznajmił, że zamawia szampana, a ona odparła, że właśnie straciła sporo minerałów i chętniej napiłaby się supersmoothie przywracającego proteinową równowagę, zawierającego także ważny dla skóry cynk. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, przetrawił wszystko, co usłyszał, potem pokręcił głową na pytanie o zdjęcia i uśmiechnął się. Neea patrzyła na niego

jasnoniebieskimi oczami w opalonej, lśniącej twarzy. Przypominały tropikalne ryby w płytkiej wodzie przy piaszczystym morskim brzegu.

– Mogłabym je wrzucić na Instagram – powiedziała.

Holma nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Na pewno wygrasz – oświadczył. – Jesteś pewna, że nie chcesz szampana?

– Mam problemy z magnezem – odparła Neea. – Nie wchłania się. I alkohol wpływa na B i D tak szokująco, że znika odporność i poziom żelaza się obniża. Poza tym czas na proteiny, trzydzieści gie na dwie i pół godziny, to właśnie teraz, papaja, soja, serwatka, aminokwasy.

Holma uśmiechnął się, nie zrozumiałwszy ani słowa. Neea wlewała w siebie z plastikowego pojemnika gęstą zieloną cieczą, połykając ją z trudem długimi łykami. Holma pił piwo. Miał wrażenie, że przelatuje ono przez gardło znacznie łatwiej.

– Jestem Sampo – oznajmił, stawiając kufel na stole. Oczywiście nie było to jego prawdziwe imię, ale wydawało mu się odpowiednie do sytuacji.

Spojrzała na jego wyciągniętą dłoń i podała swoją. Miała długie, lśniące paznokcie.

– Neea.

Uścisnęli sobie ręce. Holma miał ochotę potrzymać jej rękę dłużej, ale się rozmyślił.

– Przyjechałem na urlop – powiedział.

– Tutaj?

Zastanowiło go to pytanie.

– Tak. Tutaj.

– A ja stąd wyjeżdżam.

– Teraz?

– No, nie teraz – odparła, przewracając oczami. – Wkrótce.

– Czemu?

– Kaman! – zawołała. – Widziałeś przecież mój występ.

– Byłaś dzisiaj najlepsza.

– Nie widziałeś jeszcze innych.

Holma zerknął w stronę estrady. Następnym uczestnikiem okazał się brodaty mężczyzna w średnim wieku. Uwijał się właśnie przy wysokim barowym stole, sklejjąc błyskawicznie zapalki i coś budując. Siedząca tuż przy estradzie kobieta była jedyną z mniej więcej dwunastu klientów baru, która się temu przyglądała, ale za to w wielkim napięciu.

Jednocześnie zaczęła udzielać porad. „Niech się wysuszy, wysuszy! – krzyczała jak na wyścigach narciarskich. – Dołóż kleju, dołóż kleju, ustaw pionowo, ustaw pionowo!”

Holma uśmiechnął się do Neei.

– Dokąd wyjeżdżasz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Patrzył, jak porusza się jej gołe ciało, i z sekundy na sekundę coraz bardziej podobało mu się to, co widział.

– Dokądkolwiek – oświadczyła Neea. – Tam gdzie mnie bardziej docenią.

Holma zastanawiał się nad takim miejscem, w którym byłaby bardziej doceniona, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

– Co cię powstrzymuje przed wyjazdem?

Neea popatrzyła na niego. Poczul się, jakby go szacowała.

– Pieniądze – rzuciła.

Czasami dobre pomysły przychodzą same. Czasem potrzeba do tego muzy. W tym przypadku połączyły się oba te elementy.

– Ile? – spytał Holma.

– Ile czego?

– Ile twoim zdaniem potrzebujesz, żeby wyjechać z tego miasta?

Dziewczyna zerknęła w prawo, potem w lewo. Odsunęła na bok pustą plastikową butelkę, która przypominała Holmie bardziej mały cebrzyk lub wiaderko niż naczynie do picia, i oparła się łokciami o stół. Trudno mu było nie spojrzeć prosto w dół, na piersi rozpychające trykot zapaśniczki. Z wysiłkiem skierował wzrok na oczy dziewczyny przypominające tropikalne ryby.

– Strasznie dużo – oznajmiła. – Megadużo.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Ile to by było w liczbach? – spytał Holma.

Neea pokiwała głową.

– Jakież tam...

Dalej kiwała głową.

– Nie wiem...

Ruch głowy nie ustawał.

– Co najmniej...

Po chwili znieruchomiała, dotarłszy najwidoczniej do celu.

– Dziesięć tysięcy.

Kobieta siedząca przed estradą zaczęła z zapalem klaskać, gdy mężczyzna zaprezentował swoją budowlę z zapalek. Holma uznał, że rezultat jego wysiłków przypomina banana. No, może gondolę. Albo wieżę Eiffla. Pochylił się do przodu.

– Czy mogę powiedzieć ci coś w zaufaniu? – spytał.

– Chcesz mi zdradzić jakąś tajemnicę?

– To może być tajemnica. Nasza tajemnica.

Neea milczała wyczekująco.

– Jakiś czas temu wydarzył się tu tragiczny wypadek. Ktoś zginął. Pewien mężczyzna włamał się do jednego domu i...

– Wiem – przerwała mu Neea. – Jakiś Hannibal Lecter, chory facet, chciał kogoś zgwałcić.

Holma pomyślał o Anterze. Jeżeli ktoś nie przypominał Hannibala Lectera, to właśnie on.

– W tym domu zginął mężczyzna – dodał.

– To ktoś z moich znajomych – oznajmiła Neea. – Nie ten mężczyzna, ale kobieta, właścicielka domu.

– No właśnie – przytaknął Holma. – Jestem prawnikiem i reprezentuję rodzinę zmarłego. Chcemy zapłacić dziesięć tysięcy euro za informacje, które pomogą wyjaśnić sprawę i znaleźć winnego.

– Dziesięć tysięcy – powtórzyła Neea, a potem zastanawiała się przez chwilę ze wzrokiem skierowanym gdzieś daleko. W końcu powiedziała: – No, no.

Na estradzie rudowłosa szczupła kobieta przeciągała białą linę między dwoma słupami. Wszystko wskazywało na to, że zamierza po niej przejść, wykonać sztuczkę akrobatyczną. Silny stan upojenia alkoholowego, w jakim się znajdowała, obiecywał ciekawy pokaz.

– Przed chwilą mówiłaś, że chyba tyle pieniędzy potrzebujesz – powiedział Holma z uśmiechem.

– No nie wiem...

– Gdybyś jednak przypadkiem coś usłyszała, dowiedziała się o czymś...

Gdy Neea się wyprostowała, ujrzał, jak pod skórą poruszają się i napinają mięśnie jej barków. Niczym u dzikiego kota przygotowującego się do skoku.

– Ach – westchnęła.

– Widzę, że ta twoja torba sportowa jest duża i ciężka. – Ciągłe się uśmiechał. Kątem oka dostrzegł, jak stojąca na linie kobieta wymachuje

szaleńczo rękami, a potem znika. – Jeśli chcesz, odwiozę cię do domu. To nowe czarne bmw przed barem należy do mnie.

## 6

Zimno, zimno, zimno.

Jan Nyman stał w lodowatym jak zwykle rano morzu i słuchał wskazówek. Nie było mu łatwo z wielu powodów. Marzył mimo pianki. Sięgająca do pasa, kołysząca się spokojnie woda otaczała go niczym zimna konfitura. To wrażenie wywoływała pianka, która sprawiała, że woda wydawała się jakąś inną substancją, i Nyman nie wiedział, czy mu się to podoba.

Słońce nie miało szansy ogrzać morza. Chmury zalegały dwiema warstwami: dolna przypominała przezroczysty niczym gaza rozciągający się na całym niebie obrus, a górną tworzyła gruba, wysoka jak mur, prawie stała materia. Gdy Nyman zmrużył oczy i popatrzył na korony drzew, poczuł się niemal tak, jakby był październik.

Ten dzień przywiódł mu na myśl inne podobne dni, podczas których coś zaczynał, a niebo samo go informowało, co o tym sądzi. Przypomniawsobie wesele, miała być wtedy ładna wiosenna pogoda. Jednak podczas pozowania do zdjęć z kwietniowego nieba spadł grad, ciężki, z ostrymi krawędziami, uderzający w policzki niczym ostrza scyzoryka.

Wczorajsze wydarzenia także nie pozwalały mu się skupić. Czekał na możliwość ponownej rozmowy z Olivią Koski, ale ona nie dała mu ku temu okazji. Wyszła z domu do ogrodu, rozmawiała jeszcze raz z dowódcą sekcji strażaków – Nyman nie usłyszał z tego ani słowa – a potem powiedziała mu po prostu dobranoc, podziękowała za taksówkę i wyraziła przypuszczenie, że może zobaczą się na plaży.

Zrozumiał, co kryło się między wierszami; posłuchał delikatnej zachęty do odejścia, udał się do centrum pogrążonego we śnie miasteczka, a potem na teren ośrodka wczasowego.

Rano obudził się w swoim neonowozielonym domku Tubbs z zatkanym nosem, podejrzewając, że budynek jest zagrzybiony.

Trzecim powodem wywołującym u niego uczucie chłodu były informacje, które uzyskał, a w szczególności te dotyczące Olivii Koski.

Kobieta nie miała grosza przy duszy. Ostatnie pieniądze wydała na kosztowne ubezpieczenie, które obejmowało także zabudowania ogrodowe. Wkrótce potem rury starego domu odmówiły posłuszeństwa, Olivia sama mu o tym powiedziała. Następnie, prawie natychmiast – w grę wchodziły godziny – ubezpieczony budynek gospodarczy wraz z sauną i wyposażeniem spłonął. A Olivia – dziwnym trafem – przebywała wtedy gdzie indziej, co mogła udowodnić.

Nyman wiedział, że nawet jeśli się stwierdzi, że pożar powstał w wyniku podpalenia, jej nie będzie można z tym połączyć. To było niemożliwe, czas się nie zgadzał. Pożar zaczął się zbyt szybko, według szacunków dowódcy sekcji powstał i rozprzestrzenił się gwałtownie w miejscu, w którym nie było żadnych urządzeń elektrycznych ani grzewczych, jak na przykład piec do sauny, kuchenka, kominek czy pralka. Wiedział z doświadczenia, że powodem mogło być jedynie celowe działanie.

A zamierzone działanie wskazywało, że Olivia Koski albo wiedziała o tym, albo nie.

W nieco innych okolicznościach pomyślałby, że takie rzeczy się zdarzają: były przypadki spalenia się sauny, w szopach następowały wybuchy, bo Finowie okazują swoje uczucia rzadko, ale za to dosadnie. Albo że Olivia Koski miała pecha i stała się obiektem żartu, wandalizmu, odwetu lub zemsty ze strony zazdrosnego i zrozpaczonego kochanka z miasta.

Wydarzyło się to jednak w pobliżu domu, w którym dopiero co, bo zaledwie dwa tygodnie wcześniej, zamordowano człowieka. Odległość wynosiła trzydzieści pięć metrów. Jakie jest prawdopodobieństwo, że coś takiego dzieje się i w domu, i w ogrodzie, a właściciel nie ma z tym nic wspólnego? Raczej małe.

Jeżeli Olivia Koski nie miała nic wspólnego z żadnym z tym wypadków, to powinny ją one bardzo dziwić, a nie sprawiała takiego wrażenia. Jeżeli zaś miała, to musiała się kontaktować z ludźmi, którzy... zrobili to, co zostało ustalone. A to znaczyło, że kierowała akcją mającą na celu... No właśnie, co takiego?

Nyman położył płasko dłonie na desce surfingowej i przyjrzał się im. Wyglądały jak wtedy, w listopadzie, gdy zapomniał rękawiczek: były czerwone i jakby skurczone. Próbował się zorientować, w jakim stanie są pozostałe części ciała; przypomniał sobie porównanie z krewetką cierpiącą na zapalenie oka i szybko zaczął myśleć o czymś innym.



Jan Nyman nie był urodzonym surferem. Nie rozumiał również, jak ktoś, do cholery, może nim być. Deska okazała się trzymetrowym kawałkiem piekła, lekka i niestabilna niczym korek do wina i jednocześnie sztywna i nieruchoma jak tej samej długości chodnik. Wiatr wiał zawsze ze złej strony, niezależnie od ustawienia białoczerwonego żagla. Nyman nieodmiennie przybierał niewłaściwą pozycję. Upadał na żagiel albo pociągał go na siebie. Musiał jednak przyznać, że powinien był słuchać tego, co mówił nauczyciel, a nie zastanawiać się nad czymś innym, nad swoją pracą.

Trener – miły młody człowiek, który nie bał się chwycić Nymana za pośladki, wciskając palce zdecydowanie głębiej, niż zdaniem policjanta wymagało zachowanie równowagi – instruował go tak długo, aż obaj stwierdzili, że pierwsza godzina nauki się skończyła. Stali, patrząc na wielki biało-czarny zegar wiszący na ścianie pastelowo niebieskiego magazynu, i zmordowani kiwali do siebie głowami.

Nyman nie mógł nawet podziękować, zapewne dlatego, że okazało się to niemożliwe. Jego twarz znieruchomiała, jakby była sparaliżowana. Miał też wrażenie, że ktoś z uporem chce nadal wepchnąć palce między jego pośladki. Windsurfing wydawał mu się doświadczeniem, które zdecydowanie wymagało zaangażowania całego ciała.

Zaniósł deskę do przechowalni, drżąc z zimna, i spojrzał na morze.

Niebieskoszara płaszczyna, kilka wyglądających jak optyczne złudzenie jachtów klasy Optimist z białymi miniaturowymi żaglami, jeden człowiek w czepku płynący żabką. Nyman wiedział, że na początku zawsze ma takie uczucie, jakby niczego nie osiągnął. Przez pierwsze dni realizowania nowego zadania uparcie powracało wrażenie, że wszystko robi na próżno. A jednak takie dni były niezbędne. Często działo się wtedy coś, co później okazywało się istotne, w nowym świetle nabierało znaczenia i pomagało w rozwiązaniu czegoś, czego przedtem nie można było w żaden sposób zrozumieć. Według Nymana dotychczasowe śledztwo wskazywało, że Olivia Koski mogła rzeczywiście pociągać za sznurki i stać za tym wszystkim, jak to określił Muurla. Oznaczało to, że Nyman znów musi nawiązać z nią kontakt.

Przecesał mokre włosy.

Tak czy owak, będzie się starał znaleźć w pobliżu niej.

Olivia Koski próbowała powstrzymać eksplozję w głowie. Czuła, jak zapala się lont, i słuchała, co mówi do niej kobiecy głos:

– Przede wszystkim chodzi o czas trwania umowy o pracę, obecne dochody i ubezpieczenia. I jeśli mam być całkiem szczerą, nie spełnia pani żadnych wymagań. Dlatego decyzja w sprawie przyznania kredytu jest odmowna. Proszę nie brać tego do siebie.

– O czyjej umowie o pracę, dochodach i ubezpieczeniach tu mówimy?

– Przepraszam?

Olivia wiedziała, że to nic nie da. Tak samo jak przed chwilą zakończona rozmowa z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej: „Nie wypłacamy odszkodowania w przypadku podpalenia, zanim policja nie wyda oficjalnego raportu dotyczącego pożaru i jego przyczyny, a to trwa zazwyczaj około pół roku”.

– Powiedziała pani, że bym nie brała tego do siebie. Mimo to odmówiliście mi kredytu, bo właśnie zaczęłam pracować w żalosnej firmie, moje dochody są żalosne, a zabezpieczeniem jest dom, który posiadam i który niedługo się zawali, a w łazience nie ma wody.

– Bardzo mi przykro – odparła kobieta, po czym spytała ostrożnie: – Wcale nie ma wody?

– W toalecie trochę jeszcze płynie – odpowiedziała Olivia. – Ale nie ma co marzyć o prysznicu.

– Dopóki działa kanalizacja, jest jeszcze nadzieja.

Olivia popatrzyła przez okno. Czyżby na podwórko zajechał samochód? Odsunęła telefon od ucha, ale niczego nie usłyszała. Wróciła do rozmowy.

– Czy to jest stanowisko banku? Dopóki działa kanalizacja, jest jeszcze nadzieja? A co się stanie, jeżeli woda nie będzie spływała i gównem zacznie śmierdzieć? Czy mam wyskoczyć przez okno?

Tak, na podwórku stał samochód, czarny, sprawiający wrażenie drogiego. Olivia przeszła z przedpokoju do kuchni, żeby mu się lepiej

przyjrzeć. Wyglądał na nowy i dopiero co umyty. Wsiadł z niego nieznajomy jasnowłosa mężczyzna. Olivia uświadomiła sobie, że ma na sobie tylko majtki i T-shirt.

– Oczywiście bank nie...

– ...zajmuje stanowiska w sprawie odchodów – dokończyła Olivia. – Chyba że sytuacja jest beznadziejna.

– Jak by tu powiedzieć...

Mężczyzna stał i przyglądał się domowi, kręcąc głową. Widać było, że patrzy także krytycznie na ogród. Olivia odwróciła się i poszła do łazienki.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała do słuchawki. – Po porannej kawie spróbuję wymyślić coś pełnego nadziei. Poinformuję was o tym i poproszę o ocenę kredytową.

Narzuciła na siebie szlafrok. Od razu poczuła się nieswojo. Jakby półnaga i częściowo bezbronna. Jednocześnie miała wrażenie, że nie warto się tym za bardzo przejmować. Poza tym przy drzwiach stał obcy mężczyzna, a jakie doświadczenia wyniosła niedawno ze spotkań z obcymi mężczyznami? Otuliła się mocniej szlafrokiem.

Wydawał się jej jedną z tych ostatnich rzeczy, do których mogła mieć jeszcze zaufanie: obszerny, przylegający do ciała, miękki i ciepły przyjaciel, którego kupiła sobie w prezencie, gdy Kristian po raz ostatni zapomniał o jej urodzinach. Wielkie nieba, westchnęła, do tego doszło. Twoim przyjacielem jest płaszcz kąpielowy w domu, w którym nie można się wykąpać. Wrzuciła telefon do głębokiej kieszeni, zawiązała pasek, mimo uczucia, że raczej powinna się ubrać, ale uznała, że nie musi właściwie niczego robić.

Podeszła do drzwi i zobaczyła, że blondyn wchodzi po schodach.

Dziwne rysy twarzy, zauważyła błyskawicznie, ale sekundę później stwierdziła, że chyba jednak nie, wcale nie dziwne, tylko bardzo pospolite. W zaskakujący i wywołujący dreszcz sposób. W końcu jej spojrzenie padło na włosy nieznajomego, fryzurę, która była modna... mówiąc dokładniej, chyba nigdy. I dopiero wtedy ujrzała na twarzy wyraźny uśmiech, sprawiający wrażenie raczej skurczu mięśni niż naturalnego odruchu.

– Olivia Koski?

Przyjrzała się przybyszowi. Żaden z niego morderca z piłką mechaniczną, w każdym razie nie widać tego po nim. Czarny garnitur, śnieżnobiała koszula, bez krawata, lśniące skórzane buty.

– To ja – oznajmiła.

– Wspaniale – ucieszył się mężczyzna. – Jestem adwokatem, nazywam się Wilenius, reprezentuję rodzinę, której członek spotkał tragiczny koniec w tym domu.

Olivia stała nadal w progu.

– Chce mnie pan pozwać do sądu?

Nieznajomy adwokat zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– A czemu miałbym to robić?

– Nie wiem – odparła. – Ale pasowałoby to do wydarzeń tego dnia.

Mężczyzna postawił nogę na kolejnym stopniu.

– Nie chcę nikogo pozywać. Właściwie to ufam, że uda się wyjaśnić sprawę bez interwencji sądu.

– Jaką sprawę? – spytała Olivia mimowolnie, chociaż wątpiła, czy chciałaby w tej chwili prowadzić jakąkolwiek rozmowę.

– Dotyczącą tego tragicznego wydarzenia i jego przebiegu.

– Nic o tym nie wiem.

Mężczyzna przyglądał się jej. Olivia nie bardzo wiedziała, co sądzić o jego spojrzeniu. Trudno jej było się odwzajemnić, ale nie dlatego, że patrzył prosto w oczy. Raczej z tego powodu, że w jego spojrzeniu czegoś brakowało. On jest prawnikiem, powiedziała do siebie, to oczywiste, że czegoś mu brakuje.

– Czasem, jeśli jesteśmy we właściwym towarzystwie i słyszymy właściwe pytania, okazuje się, że znamy odpowiedzi. Ja mam dużo doświadczenia w tym zakresie. Dobrego doświadczenia. Wprost fantastycznego. Co pani na to?

Olivia oparła się bokiem o framugę drzwi i spytała niewinnie:

– Na co?

Mężczyzna się uśmiechnął. I znów był to raczej ekstremalny wyczyn sportowy niż radość płynąca z głębi duszy.

– Na to, co pani zaproponowałem.

– Nie bardzo wiem, o co panu chodzi.

– Chcę, byśmy porozmawiali.

– Nie warto. Już to panu powiedziałam.

– Może jednak warto – odparł adwokat i zerknął w stronę swojego samochodu. Potem jego wzrok i uśmiech wróciły z jeszcze większą siłą. – Jesteśmy gotowi zapłacić dziesięć tysięcy euro za informacje, które pozwolą odnaleźć winnego.

Olivia poczuła poranny wiatr na swojej twarzy i włosach. Spojrzała w oczy przybyszowi, który stał niżej od niej, lecz uparcie starał się dostać na wyższy stopień.

– Ma pan wizytówkę albo coś w tym rodzaju?

– Oczywiście – przytaknął nieznajomy i wsunął prawą rękę do górnej kieszeni. Po chwili trzymał w dłoni stalowe pudełeczko na wizytówki. Otworzył je, wyjął jedną kartę i podał Olivii. Była wykonana z papieru dobrej jakości, litery i cyfry wydrukowano wypukło, nazwisko mężczyzny figurowało jako jedno z trzech widniejących na niej, a logo w lewym dolnym rogu lśniło złotem.

– Właśnie robię kawę – oznajmiła Olivia. – Napije się pan?

Ekspres do kawy wydawał różne dźwięki: szumiał, bulgotał, syczał głucho, a gdy woda się skończyła i powietrze się zassało, zamilkł. Adwokat siedział przy kuchennym stole z wyprostowanymi plecami, trzymając prawą rękę na blacie, a lewą gdzieś w dole. Rozglądał się, kręcąc powoli głową.

W tle szary dzień nabierał kolorów, nieco niebieskiego i jakiejś innej jaśniejszej barwy, jakby tu i ówdzie słońce przebijało się przez chmury.

Olivia wyciągnęła z szafki kubki i postawiła je na stole. Potem podeszła do ekspresu, odwróciła się i spojrzała na mężczyznę. Ten przeniósł wędrujący po kuchence wzrok na nią.

– Przyszła pani do domu i go znalazła? Martwego?

– O tam – powiedziała Olivia, wskazując miejsce na podłodze przed drzwiami od strony werandy, i poczuła drzenie, a także mieszankę strachu, zdziwienia i irytacji. – Oczywiście wtedy nie wiedziałam, że jest martwy.

Mężczyzna spojrzał na punkt, który pokazywała palcem.

– Tragiczne – stwierdził.

Czekała, aż coś doda, ale on milczał. Wzięła dzbanek i nalała kawy do kubków. Wahala się, co robić, a poza tym w płaszczu kąpielowym czuła się niezręcznie przed siedzącym naprzeciw mężczyzną w garniturze, ale pomyślała sobie, że jednak jest to o wiele przyjemniejsze niż rozmowa z Jormą Leivem wtedy, gdy jest ubrana tylko w kostium kąpielowy.

Od kiedy to w moim życiu mam do wyboru wyłącznie kostium kąpielowy lub płaszcz kąpielowy? Tak się jednak dzieje. Po prostu się dzieje. Jednocześnie rozumiała także coś innego – z bezwzględną

jasnością pojęła, że znajduje się w rozpaczliwej sytuacji. Że musi coś wymyślić. Cokolwiek.

Usiadła przy stole i wysłuchiwała pytań, na które odpowiadała już przedtem wiele razy. Zwróciła uwagę na sposób zachowania mężczyzny; przypominał jej trochę policjanta. Chyba to było naturalne. Zastanawiała się jakiś czas. Jasność myśli, która ogarnęła ją przed chwilą niczym prezent z nieba, nadal się utrzymywała. W pewnym sensie miała ona związek z porannym wiatrem, który poczuła na twarzy. Z chłodem i przejrzystością. I wcale nie zniknęła.

Cokolwiek.

Właśnie tak pomyślała.

Gdy mężczyzna uznał, że otrzymał już wszystkie odpowiedzi, spytał:

– Informacja, która doprowadzi do znalezienia winnego. Co to znaczy? Czy chodzi o osobę, jej nazwisko?

– Najlepiej by było.

– A pieniądze?

Adwokat patrzył na nią, uśmiechając się. Olivia zastanawiała się, czy uśmiech w ogóle do niego pasuje. Wydawał się jakby nie do pary z całą resztą.

– Dziesięć tysięcy euro.

– To już pan mówił. Ale jak zostaną wypłacone, w gotówce, na konto, przed czy po?

Adwokat nie odpowiedział od razu.

– Czy to znaczy, że jednak wie pani, kto zabił An... tego człowieka?

Olivia pokręciła głową.

– Zastanawiałam się tylko, że jeżeli dowiem się tego i powiem wam, a raczej panu, bo reprezentuje pan jego rodzinę, to nie mam żadnej gwarancji, że mi zapłacicie. Będziecie mieli winnego i już. Czemu mielibyście wtedy płacić?

– My jesteśmy... Rodzina, którą reprezentuję, jest powszechnie szanowana.

– Ja też jestem szanowana – oświadczyła Olivia. – I mimo to nie mogę wyremontować domu. Nie będę miała wody, choćbym była nie wiadomo jak dobrze urodzona i szlachetna. – Wskazała brodą na kuchenny blat. Pośrodku stała półtoralitrowa butelka. – Kawę zrobiłam z wody mineralnej.

Mężczyzna patrzył na nią.

– Chodzi mi o to – dodała – że słowo honoru chyba jednak nie wystarcza.

– No to słucham – oświadczył adwokat, a Olivia uznała, że naprawdę zamierza to zrobić.

Oparła się łokciami o stół. Miała na sobie tylko ciasno zawiązany szlafrok. Czasami tak się ubierała. Czasami tak postępowała, jak postępowała: niedawne olśnienie przypomniało jej, ile euro zainwestowała w każdego mężczyznę, z którym się spotykała, i że nie zwrócił się jej nawet cent. Mężczyźni zawsze potrafili ją ogołocić. Ale jeśli los się odwróci, jeśli wreszcie zacznie jej sprzyjać?

– Wytlumaczę to panu – powiedziała. – Mieszkałam w tym małym mieście przez całe swoje dzieciństwo, młodość. Wróciłam tu dwa miesiące temu, ale nic się nie zmieniło. Wyjąwszy to, że miejsce nazywa się teraz Palm Beach Finland i że w mojej kuchni znaleziono trupa, i że moja szopa się spaliła. Poza tym wszystko jest po dawnemu. Znam tu każdego człowieka. Jeżeli poświęcę czas i energię, jestem pewna, że się czegoś dowiem. Może mi pan zaufać – dodała, znów wskazując butelkę z wodą. – Jeżeli nie dowiem się niczego, to nie będę miała wody.

Adwokat popatrzył na nią, potem się uśmiechnął. Nie, jednak uśmiech nie pasuje do niego, pomyślała, czekając, co powie.

– Chce pani zobaczyć pieniądze.

Olivia pokręciła głową, nie odrywając wzroku od jego oczu.

– Nie chce pani zobaczyć pieniędzy? – spytał mężczyzna.

W tym człowieku są jakby dwie postacie, stwierdziła, jedna zjawia się w drzwiach w eleganckim czarnym garniturze, z pozłacanymi wizytówkami i chce negocjować, a druga się tego boi i zamyka się z powrotem w swojej skorupie, wycofuje się. Ale gdyby się zastanowić, to tego typu zachowanie występuje u dziewięćdziesięciu ośmiu procent mężczyzn. W każdym razie u tych, których ona spotkała w swoim trzydziestodziewięcioletnim życiu.

– Złożyłam panu propozycję – powiedziała Olivia. – Może się pan na nią zgodzić albo nie. Wyjaśniłam swoją sytuację. Potrzebuję pieniędzy. Jak widać.

Wzrok adwokata padł na stojącą na kuchennym blacie butelkę z wodą mineralną. Znakomicie, pomyślała.

– Mieszkam tutaj. Donikąd nie wyjeżdżam. Można mnie tu zawsze znaleźć.

Mężczyzna znów skupił uwagę na niej.

- Dziesięć tysięcy euro z góry i znajdę wam, panu, winnego.
- Chce pani pieniędzy.
- W gotówce.

Mam do czynienia z firmami z branży budowlanej. Tego Olivia nie chciała jednak powiedzieć na głos. Czcigodna rodzina nie musi wiedzieć, na co wydam jej pieniądze.

– To duża suma – oznajmił gość.

– Potrzebuję jej na jutro – dodała z naciskiem. – Mogę pana zapewnić, że nikt nie zna tego miasta tak dobrze jak ja.

Właściwie to była prawda. Prawnik nie znał nikogo w przeciwieństwie do niej. Mężczyzna położył obie dłonie na stole, rozpościerając palce. Starła się dojrzeć, co się dzieje na jego twarzy, ale znów zlała się ona z delikatnym niebieskim tłem zaczynającego się właśnie poranka. Wreszcie adwokat spytał:

– Co będzie, jeżeli winny się nie znajdzie?

– Sprzedam dom – odparła. – Mam już na niego kupca. A potem zwrócę panu pieniądze. Zobaczymy się jutro?



## 8

Miłość, pomyślał Jan Nyman, wsiadając ostrożnie na rower, nie jest w żadnym wypadku dozwolona. Zauroczenie – to może być, mogłoby być, do negocjacji. Do negocjacji, ponieważ biorąc pod uwagę wykonywane zadanie, nawet by nie kosztowało dużo. A jeśli na dodatek wszystko odbędzie się naturalnie, to nie ma nic lepszego. Oczywiście było jeszcze coś, co czekało go później, o czym Nyman próbował nie myśleć. Prawda, zdrada, wyjaśnienia, że nie jest tym, za kogo się podawał, samotność, następna robota. Wszystko razem, na wszystkich poziomach, ze wszystkimi przyprawami. Jednocześnie.

Nyman był trochę poobijany i posiniaczony, i tak w ogóle czuł się nieco zużyty, lecz wypożyczony rower także nie wyglądał na najnowszy model. Pojazd z pięcioma biegami, rogatą kierownicą, szarą, porysowaną stalową ramą został wzorowo wyremontowany, ale jego przekładnia i rozmiar przysparzały pewnych kłopotów, jakby przeszkadzały w pedałowaniu i jeździe. No cóż...

*Mówisz teraz zupełnie o czymś innym.*

To słowa Tuuli.

Dojechał na miejsce, zeskoczył z siodełka, kopnął stopkę i ustawił rower. Budynek stacji benzynowej miał jasnozielony kolor, był niski i długi, prawdopodobnie postawiono go w latach siedemdziesiątych XX wieku. Sprawiał wrażenie bardzo zadbanego, w nienagannym stanie. Okna kawiarni były zasłonięte firankami do połowy upstrzonymi niebieskimi bratkami. Nyman wszedł do środka, dostrzegł człowieka, którego szukał, i zapomniał na chwilę o Olivii Koski.

Muurla miał na sobie letnie ubranie i siedział przy stole pod oknem twarzą zwrócony ku sali. Za jego plecami widać było drzwi do myjni samochodowej, a dalej kołyszące się wierzby. Nyman otworzył butelkę z napojem cytrynowym, nalał syczącego płynu do szklanki i przybrał wygodniejszą pozycję na twardym krześle. Teraz chyba tylko takie

produkują. Muurla wyglądał niczym człowiek wybierający się na ryby, z górnej kieszonki wystawał mu spławik.

Nyman rozejrzył się.

– Jechałem na rowerze osiem kilometrów.

– Żadnych telefonów, wiesz o tym dobrze.

Nie chciało mu się dodawać, że nie powinni się też spotykać w publicznym miejscu. Spróbował cytrynowego napoju i poczuł, jak bardzo chciało mu się pić. Osiem kilometrów po wysuszonym na wiór, szarym poboczu drogi krajowej odbiło się na jego głowie i gardle. Muurla podniósł leżącą obok niego na ławce plastikową koszulkę wypełnioną białymi dokumentami i zdjęciami. Przesunął ją po stole w stronę Nymana.

– Ten facet w kuchni. Zidentyfikowaliśmy go.

Wyciąg z kartoteki policyjnej przypominał gazetę codzienną: równie obszerny, pełen zdarzeń, a jedno dziwniejsze od drugiego. Trudno było uwierzyć, że wymienione czyny popełnił ten sam człowiek. Przestępstwa te łączyła nieznaczna szkodliwość. Dostawało się za nie wpis do rejestru, ale nie wyrok więzienia. Uwagę zwracał fakt, że sprawcę zawsze łapano. Działo się to praktycznie za każdym razem. Najprawdopodobniej mężczyzna nie potrafił zrealizować ani jednego swojego zamiaru, nawet włamania do sklepu, nie mówiąc o większych przestępstwach.

Do więzienia trafił tylko raz. Projekt fałszowania pieniędzy rozpoczął od zakupu drukarki laserowej najwyższej klasy i w tym celu posłużył się skradzioną kartą kredytową. Wyprodukowane przez niego banknoty opiewały po jednej stronie na dziesięć, a po drugiej na dwadzieścia euro. Próbował zapłacić nimi za wycieczkę do jednego z południowych krajów, którą zarezerwował dla siebie, korzystając z paszportu swojej ówczesnej ciemnowłosej, noszącej okulary narzeczonej o pociągłej twarzy.

Nyman przejrzał pozostałe strony.

Próba kradzieży kurtki puchowej, którą upchnął z przodu w dresowych spodniach.

Drobne przestępstwo związane z narkotykami: próba sprzedaży niskiej jakości marihuany dwóm jedzącym właśnie lunch śledczym z wydziału narkotykowego.

Próba sprzedaży kradzionego, niezbyt urozmaiconego towaru z branży budowlanej: trzysta młotków oferowanych na stronie

internetowej giełda.net, każdy z nich osobno i w osobnej zakładce, ale pod tym samym pseudonimem.

Próba rozboju: grożenie taksówkarzowi kijem do hokeja, kradzież torby z pieniędzmi, zatrzymanie tej samej taksówki trzydzieści sekund później w celu ucieczki z miejsca zdarzenia.

I tak dalej.

Nyman dał człowiekowi punkty za aktywność, inicjatywę i energię. Oparłszy się, zaczął się zastanawiać. Kawiarnia na stacji benzynowej pachniała smażonymi jajkami. Poza nimi dwoma nie było tu nikogo. Stojący jeszcze przed chwilą za kasą mężczyzna w koszulce polo i z grubą złotą bransoletą na ręce gdzieś zniknął. Z głośników dobiegała sztucznie brzmiąca piosenka, jakiś przebój, solistka obiecywała, że życie niedługo zamieni się ponownie w święto.

Popatrzył jeszcze raz na zdjęcie mężczyzny i jego imię i nazwisko, Antero Väänänen. Nic mu nie mówiły. Wsunął dokumenty do koszulki i popchnął ją w stronę Muurli. Już chciał powiedzieć, co o tym myśli, gdy szef przemówił:

– Pierwsze lato było dla mnie trudne. Wybrałem się na rejs dla singli. Odbywało się tam losowanie, wrzucałeś kartkę ze swoim nazwiskiem do wazonu, potem oni mieszały wszystkie kartki i okazywało się, że masz zarezerwowane drinki i stolik w nocnym klubie. Ja dostałem taką jedną Teiję. Była dobrze zbudowana i jednocześnie nieśmiała, mówiła szeptem. Co jest beznadziejne w klubie nocnym. Połowy rzeczy nie słyszysz, ale na szczęście Teija trzymała usta tuż przy moim uchu. Tak poza tym była dość szybka. Pijemy niebieskie aniołki i rozmawiamy. Teija dobiera się do mnie. Sugeruje, żebyśmy przenieśli się do kajuty. Proponuję spacer przy świetle księżyca, no bo świeci księżyc i dokoła morze. Całujemy się na pokładzie, ukryci w cieniu. Teija mnie uwodzi, noc jest gorąca, dziewczyna ma silne dłonie. To dlatego, że gram w tenisa, szepcze. Idziemy do kajuty, a ja robię, co mogę. To, co się da w takich warunkach, kajuty są ciasne i ciemno w nich jak w jaskini. Potem Teija mówi, że chce spać sama, bo po rozwodzie nie umie już inaczej. Rozumiem ją i wychodzę. Rano budzę się wcześnie, oglądam archipelag jak na fotografiach z Ikei, myśląc o Teiji i tym, jak mi było z nią dobrze. Idę do wolnocłowego sklepu, kupuję czekoladki. Potem zachodzę do jej kajuty, bo pamiętam numer. Tych niebieskich aniołków nie wypilem dużo, są okropnie słodkie, nawet nie wiem, czy dodają do nich alkohol. Drzwi są otwarte, Teija już się spakowała i jej walizka stoi

przed lustrem: poobijany, kanciasty samsonite z lat dziewięćdziesiątych. Łazienka też jest otwarta, a w niej Teija, ma włosy ostrzyżone na jeża i sika na stojąco. Zostawiam pudełko z czekoladkami i idę pozwiedzać Gamla Stan<sup>[3]</sup>. Czarujące miejsce, wspaniała historia i dobre jedzenie. Tak się zaczęło. To był dobry początek, ten rejs dla singli. Polecam ci coś takiego.

Nyman przeniósł wzrok z kołyszących się wierzb na Muurlę.

– Ten facet nawet nie widział zawodowca – powiedział, stukając we fragment blatu stołu, gdzie przed chwilą leżały dokumenty. – Ale to daje do myślenia.

Muurla odchrząknął, być może wrócił właśnie ze starego miasta w Sztokholmie do tego stołu, do letniej Finlandii.

– No i co o tym sądzisz? – spytał.

– Człowiek był tak zajęty, że prawdopodobnie nie spotkał ani jednego cywila w swoim życiu, a w każdym razie nie wtedy, gdy już dorósł. Jego kontakty z ludźmi ograniczały się do spotkań ze strażnikami, policjantami, przedstawicielami władzy. Gdy się to czyta, to jedna rzecz staje się jasna. Ktoś go chronił.

– Kto?

– Jakiś zawodowiec, kręcił się w pobliżu niego. Obok, z tyłu, z przodu, kto wie. Wyciągał go z każdej najgorszej sytuacji.

– Żaden zawodowiec nie chciałby się nawet zbliżyć do takiego geniusza – powiedział Muurla. – To podróż w jedną stronę, to, co się tu działo.

– Zbliżyłby się – oświadczył Nyman. – Gdyby musiał.

– Co to znaczy?

– Jeszcze nie wiem. Zredukowałem liczbę ludzi, którymi się interesujemy. W śledztwie nastąpił postęp, i to pod każdym względem. Jak zawsze idzie to wolno. Trzeba poczekać na właściwą chwilę, sytuację, która sama się nadarzy. Teraz właśnie interesuje mnie Jorma Leivo.

– A ta kobieta? Olivia Koski?

Nyman patrzył, jak wierzby pochylają się jedna ku drugiej.

– Też interesująca – odparł i znów spojrzął na Muurlę. – Jorma Leivo nazwał to miejsce Palm Beach Finland. Wiesz dlaczego?

Szef pokręcił głową.

– Ja też nie – oznajmił Nyman. – Zamierzam to wyjaśnić. Plaża jest zimna jak wczorajsza zupa. Domki do wynajęcia i kilka innych miejsc sprawiają wrażenie, jakby były rodem z dyskoteki z lat

osiemdziesiątych. Mój domek nazywa się Tubbs. Jorma Leivo powiedział, że niedługo Palm Beach Finland prześcignie Niceę. Dręczy mnie uczucie, że nie wszystko dobrze zrozumiałem.

Muurla milczał, a potem spytał:

– Kiedy dowiemy się czegoś więcej?

– Za kilka dni, tydzień – rzucił Nyman, uświadamiając sobie jednocześnie dwie rzeczy.

Analiza, jaką przedstawił szefowi, to oczywiście czyste przypuszczenia. Z drugiej strony niektóre jego przemyślenia związane z Olivią Koski powstrzymywały go przed opowiedzeniem Muurli, co się ostatnio wydarzyło. Na przykład o tym, że kobieta mogła wysadzić w powietrze własną szopę.

Pamiętając, o czym myślał, gdy tutaj jechał, jak bardzo zmagał się sam z sobą, zastanawiał się teraz, jaka jest różnica między zakochaniem się a zauroczeniem i czy dzieli je sztywna, czy elastyczna i cienka granica. A jeżeli się ją przekroczy, to czy będzie można wrócić na drugą stronę?

Nyman wyobraził sobie następującą sytuację: Olivia Koski przygotowuje się do podpalenia budynku gospodarczego, rozlewa w nim łatwopalny płyn, rzuca zapalnik, a pół godziny później siedzi przed nim przy barowym stole, popija białe wino i uśmiecha się. Patrzył w jej brązowe oczy, słyszał śmiech i nie przejmował się, że gdzieś daleko, w ogrodowym budynku buzuje ogień. Przyznał zdziwiony, że mu to nie przeszkadza.

Podziękował Muurli, życzył udanego wędkowania, a potem wrócił do roweru.

## 9

Kobiety, stwierdził Chico, są wszędzie.

Ta myśl, która przedtem sprawiała mu co najmniej radość, a najczęściej wywoływała lekkie mrowienie, teraz mu ciążyła, a nawet go dręczyła. Kobiety rzeczywiście otaczały go dziś zewsząd i każda z nich oznaczała niespodziankę, w takiej czy innej postaci.

Rano niespodziankę sprawiła mu Marjukka, która oznajmiła, że Chico ma się wyprowadzić. Jak ktoś mógł coś takiego zrobić zaledwie po tygodniu znajomości? Nawet w pracy, Chico tak to rozumiał, był okres próbny trwający kilka miesięcy. Wspomniał o tym Marjukce, a ona natychmiast się obruszyła. „Aha, ty pracujesz, wcale tego nie widać, nawet palcem nie ruszysz, leżysz tylko na plaży i gębę opalasz, a jak wracasz do domu, to śmierdzisz benzyną. Pewnie jeździsz sobie cholernym motocyklem i zabawiasz się z jakąś panienką”.

Chico nie mógł powiedzieć, że nawet nie widział motocykla. Że on i Robin wysadzili w powietrze kosiarkę do trawy i spalili cały budynek. Nie powiedział nawet tego, że czasami przebywanie z Marjukką wydaje się ciężką pracą. A ponieważ był negocjatorem, spróbował odwrócić kierunek rozmowy, proponując kolację przy świecach w nadbrzeżnej restauracji, jeżeli ona pożyczycy mu niezbędną sumę, ponieważ on cierpi na nagły brak gotówki. Marjukka jednak się nie uspokoiła, tylko zaczęła wyrzucać jego rzeczy, najpierw do przedpokoju, potem przez drzwi, a w końcu z balkonu. To ostatnie sprawiło, że Chico musiał wybiec na zewnątrz. Kupione w Lidlu majtki nie pasowały do jego wizerunku, który chciał przedstawiać światu.

Teraz stał pod sosną, sportową torbę postawił obok, a schowaną w pokrowcu gitarę oparł o pień drzewa.

Miał na sobie za dużo ubrań. Wprawdzie dzień nie był specjalnie ciepły, od morza wiał wiatr, a on znajdował się dość blisko brzegu, ale dodatkowo włożył na siebie bluzę z kapturem i dżinsową kurtkę, bo nie zmieściły się do torby. Spojrzał na morze. Pomyślał, że marzenia są

czasem niczym wysokie fale, a czasem jak zmarszczki na spokojnej wodzie.

Od tylnych drzwi nadbrzeżnej restauracji dzieliło go jakieś trzydzieści metrów. Zobaczył, że się otwierają i staje w nich Robin. Przyjaciel go dostrzegł i ruszył ku niemu. Zrobił kilka spokojnych kroków, rozejrzał się na boki, potem przyśpieszył, co spowodowało, że się potknął na nierównym piaszczystym podłożu, spod którego sosny wypychały korzenie. Sprawiał wrażenie człowieka wykonującego jakąś skomplikowaną czynność. Gdy się zbliżył, Chico zobaczył na jego twarzy wzburzenie.

– Neea zaraz tu przyjdzie – oznajmił Robin. – Ma jakąś sprawę.

Chico nie mógł uniknąć nawracającej myśli o kobietach, które wszędzie się wpychają.

– Jaką sprawę?

– Tego nie wiem. Powiedziała, że chce się z nami spotkać, bo znamy ludzi.

– A kogo my znamy? – spytał Chico. – Kogo ty znasz?

Robin popatrzył na niego. Chico się zorientował, że powiedział to ze złością i rezygnacją w głosie. Wiedział, że coś takiego wywołuje u przyjaciela strach.

– Marjukka wyrzuciła mnie z domu – poinformował go. – Trochę jestem podenerwowany.

– Możesz zamieszkać u mnie – oświadczył Robin.

Już wcześniej mu to proponował, ale Chico nie mógł się zdecydować. Przyczyn było wiele. Jedną z nich wynikała z tego, że Robin był dzieckiem natury. Chico nie uważał za normalną sytuację, w której dwóch mężczyzn siedzi obok siebie przed telewizorem, a jeden z nich tylko w majtkach. Robin od razu się rozbierał, gdy robiło mu się gorąco.

– Dziękuję, poradzę sobie. Czy Neea dzwoniła do ciebie?

– Dzwoniła. – Robin się uśmiechnął.

– Dlaczego?

– Chciała się spotkać, bo my zna...

– Robin, dlaczego ona nagle do ciebie dzwoni? Chyba nic jej nie mówiłeś? O tym, co się niedawno stało?

Robin pokręcił głową. Chico próbował dojść, o co tu chodzi, ale na próżno. Wprawdzie uważał się za osobę, która skutecznie rozwiązuje problemy, lecz niekiedy okazywały się one zbyt trudne.

– Neea idzie, chodźmy za nią – zaproponował Robin.

Chico spojrział w stronę parkingu. Ze skąpego odzienia najskuteczniej ciało kobiety zasłaniały okulary przeciwsłoneczne, jakie noszą piloci. Odbijały się od nich promienie słońca, opalone uda Neei lśniły. Chico usłyszał, jak Robin mówi coś niskim głosem i cmoka. Musi mu kiedyś zwrócić na to uwagę. Teraz jednak zapytał:

– Dokąd mamy za nią iść?

Znów minęli tablicę z napisem „Palm Beach Finland”, świecąca jaskrawymi, ostrymi literami. Chico odnotował w myśli, jak idealnie Neea i jej wygląd pasują do niej. Miał wrażenie, jakby błyszczące powierzchnie, połyskująca skóra dziewczyny i chemiczna powłoka tablicy zlały się na chwilę w jedno, barwy i odcienie wzajemnie się wzmocniły jak podczas fajerwerków w środku dnia lub w wideoklipie. Potem skręcili, przeszli przez park i szosę i pomaszerowali ścieżką rowerową biegnącą po łagodnym zboczu, aż dotarli do wąskiej piaszczystej dróżki.

Chico pomyślał, że na szczęście zostawił gitarę i torbę z ubraniami w pomieszczeniu dla personelu restauracji. Dźwiganie takich ciężarów byłoby czystą niemożliwością. Instrument oraz torba ważyły tyle, że człowiek nawet nie widział związku z kilogramami. Ponadto miał niejasne, przykre uczucie, że gdyby ludzie zobaczyli, że niesie swoje rzeczy, to na pewno chcieliby wiedzieć, co mu się przytrafiło, a on nie potrafiłby nic odpowiedzieć.

– Co się stało z waszymi gębami? – spytała Neea, gdy w końcu dotarli do cmentarza.

Chico szturchnął Robina w żebro, chowając rękę za jego plecami.

– Nic – odparł natychmiast. – Nic się nie stało.

Zapomniał już o całej sprawie, choć twarz go jeszcze bolała i czuł, że skóra na niej jest napięta. Wiatr i zimny poranek chłodziły mu policzki, a w głowie szalały emocje pochłaniające jego uwagę. Twarze mieli porządnie spalone. Może nie spalone, tylko przypieczone. Tego słowa używał Robin. Chico nie miał jednak pewności, czy warto opowiadać o tym komukolwiek. Nie brzmiało to specjalnie dobrze. Co? Moja gęba? Jest trochę przypieczona.

– Mówiłaś Robinowi, że chcesz się spotkać – przypomniał jej Chico.

Okulary przeciwsłoneczne Neei lśniły, jej nabrzmiałe usta lśniły, twarz lśniła.



– Dwa tygodnie temu jakiś facet odwalił kite w chacie Olivii – zaczęła. Zobaczył, że zastanawia się nad dalszymi słowami. – Ciekawa jestem, czy słyszeliście coś o tym?

Chico znów szturchnął Robina w żebro.

– Słyszeliśmy tyle co inni – odparł. – Wszyscy o tym mówili. Teraz już nie. Prawie nikt nie gada. Bo to niewyjaśniona sprawa. Nikt nic nie wie. Nikt już o tym nie mówi. Nic.

Chico powstrzymał samego siebie. To wystarczy, powiedział w duchu. Neea spojrzała na niego.

– Tak tylko pomyślałam, bo się poruszacie w tych kręgach.

– W jakich kręgach?

– No, jak by to powiedzieć... – Uniosła ręce i zwinęła włosy na czubku głowy. Chico zobaczył jej piersi wychylające się spod wąskiego topu, były większe, niż sobie przypominał, i okrągłejsze. – W kręgach rockowych, w półświatku.

Nie zamierzał mówić, że sam szuka półświatka w tym miasteczku już od trzydziestu dziewięciu lat i znalazł tylko wiernego przyjaciela wpatrującego się teraz piwnymi oczami w półnągą kobietę, przy której kamienne nagrobki unosiły się i opadały, a zmarli wpadali w osłupienie.

– Nie, nie słyszałem niczego, ani w półświatku, ani w kręgach rockowych. A czemu pytasz? Może ty coś słyszałaś?

Widać było, że Neea się zastanawia. Włosy, które udało jej się zebrać, opadły, gdy opuściła ręce. Zdjęła też okulary przeciwsłoneczne.

– Szukam tego mordercy.

– Morderca nie żyje – stwierdził Chico. – Sama to powiedziałaś.

– Mordercy tego mordercy. Ten morderca, który zginął, nie zdążył zabić. Nietrudno to zrozumieć.

Chico musiał pomyśleć przez chwilę. Na szczęście Robin gapił się tylko na Neeę.

– Nie wiedziałem, że cię ta sprawa interesuje. Czemu go tak nagle szukasz?

– A dlaczego miałabym nie szukać? – spytała Neea, odwracając się, żeby na nich spojrzeć. Rosnące na cmentarzu za nimi brzozy zakołysały się. – Czemu zawsze, kiedy coś robię, to każdy coś podejrzewa? Tak samo jak wtedy, gdy otworzyłam sklep z suplementami. Wszyscy tylko pytali, czy mam klientów. Przynajmniej Robin przychodził i codziennie kupował dużą torbę protein, witamin i mikroelementów. Potem przestał przychodzić i sklep zbankrutował. Ale to nic nie znaczy.

Chico pokręcił głową. Robin wpatrywał się w ziemię. Chico przypomniał samemu sobie, że jest specjalistą od rozwiązywania problemów.

– Ja nic nie podejrzewam – powiedział, mając nadzieję, że odpowiednio dobiera słowa. – Tylko czy ty sama wpadłaś na to, żeby zacząć szukać? Może policjanci cię o coś pytali? A może się z nimi kontaktowałaś?

Spojrzała na niego zdziwiona.

Dobra, to nie policjanci, pomyślał Chico. Tutaj chodzi o coś innego. Ale o co?

Dziewczyna znów ruszyła przed siebie.

– Może coś wiemy – oznajmił Chico.

Zatrzymała się, odwróciła, popatrzyła na niego i skrzyżowała ręce, podnosząc tym samym piersi i odsłaniając je. Chico stwierdził, że ta seria ruchów wprost zmuszała, żeby na nie spojrzeć.

– Jestem gotowa zapłacić...

Nastąpiła długa przerwa. Chicowi udało się oderwać wzrok od klatki piersiowej Neei. Spojrzał na stojące za nią kamienne nagrobki i poczuł ulgę. Trudno mu było myśleć jednocześnie o lśniących piersiach i zmarłych sąsiadach.

– Sto euro – zaproponowała.

Jeśli chciała płacić za wyjaśnienie sprawy, to znaczyło... że musi mieć z tego jakąś korzyść. Może finansową? Pieniądze. Pieniądze zawsze go interesowały. Ale był jeden problem: ludzie, o których chodzi, to właśnie oni.

– Pięćset – powiedział, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że to najlepszy sposób, by skierować podejrzenia na kogoś innego. – Na łebka. W sumie tysiąc euro. Tysiąc podzielone na dwóch.

Neea jęknęła, przesunęła różowym końcem języka po błyszczących wargach, spojrzała w niebo. Chico zrozumiał, że jest świadkiem czegoś ważnego.

– Okej – zgodziła się. – No to mówcie.

Wcisnęła dłonie do kieszeni szortów, wypchane palcami białe płócienne łapy wyglądały jak myszy biegające po opalonych udach.

– A gdzie pieniądze? – Słowa same się pojawiły. Sprawilo mu to przyjemność, Chico znów poczuł się sobą.

– Zapłacę – obiecała Neea. – Ale nie mam ich jeszcze. Zapłacę wam później.

Popatrzył na nią, później na Robina i na końcu znów na nią. Chyba tylko ja mam wszystkie klepki w głowie, stwierdził w duchu i ta myśl bardzo go usatysfakcjonowała. Gdy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało zadowolenie.

– Powiemy, jak nam zapłacisz.

## 10

Jest nas wielu. Nie jestem jedyny. Gdy wieść się rozniesie...

Jorma Leivo sprawdził termometr i energicznie pokiwał głową. Oczywiście do siebie, tylko on znajdował się w biurze, ale gest był także skierowany do jakiejś nadrzędnej instancji określającej pogodę i sterującej nią. Dobra robota. Termometr pokazywał trzynaście i pół stopnia Celsjusza, było prawie wpół do trzeciej. Najgorętszy moment dnia. Cudownie. Wspaniale. Fińskie lato. Do czego człowiek ma mieć zaufanie, jak nie do fińskiego lata.

Z lodówki w aneksie kuchennym wyciągnął puszkę energetyzującego napoju o smaku ananasa i otworzył ją z trzaskiem. Wypił połowę zawartości, podchodząc ostrożnie, niemal skradając się do biurka. Zatrzymał się, spojrzął na czekające tam na niego dokumenty i dopił napój. Trzymał w ręce pustą puszkę, a przed nim leżały rachunki. Jego samopoczucie w każdej chwili mogło przejść od stanu triumfu do irytacji. Nad tym nie potrafił zapanować.

Leivo potrzebował asystentki, sekretarki, zastępcy. Najchętniej wszystkich trzech pracowników naraz. To była oczywista sprawa. Ale jeszcze nie teraz. Pieniądze nie spływały w wystarczającej ilości, lecz wkrótce będzie inaczej. Wiatry się zmieniały.

Stał na krześle i nachylił się do okna tak, żeby zobaczyć skrawek plaży. Niedługo zapełni się ona podobnymi do niego osobami, ludźmi, którzy w końcu zrozumieją, jak wygląda sytuacja, i znajdą optymalne rozwiązanie. Wyciągnął szyję, żeby dojrzeć wieżę ratowniczą. Była pusta. Odwrócił się, poszukał na biurku rozkładu pracy i palcem najechał na odpowiedni dzień i odpowiednią godzinę. No oczywiście, stwierdził, zmianę ma Korhonen i nie widać, żeby pracował.

Spalili szopę, pomyślał Leivo. To już jakiś postęp. Wiadomość o tym otrzymał przez telefon, który nazywał operacyjnym. Nie wiedział, czego się spodziewać po Korhonenie i jego – tak, to właściwe słowa –

partnerze, kompanie, chłopcu, kochanku, ale jeśli wykonają robotę, to już nic nie będzie stało na przeszkodzie w realizacji jego planów.

Przez chwilę patrzył na pustą wieżę. Mało prawdopodobne, że ktoś utonie, bo w morzu nikt nie pływał.

# 11

Olivia Koski dotknęła ostrożnie pieca, który stał w saunie. Poczuła, że jest ciepły. Odwróciła dłoń – była czarna, pobrudzona sadzą. Rozejrzała się. Przez całe lato myślała o tym, żeby poświęcić jeden dzień na sprzątnięcie i opróżnienie budynku gospodarczego, pozbyć się starych gratów i zamienić szopę w coś innego. *Problem solved* – miała wolny dzień, a budynek nabrał faktycznie nowego wyglądu.

Jednak nie o to jej chodziło.

Stąpała ostrożnie, uważnie stawiając kroki. Wprawdzie gumowce miały grubą podeszwę, lecz pod warstwą odpadów kryły się gwoździe i kawałki przedmiotów z ostrymi krawędziami, podobnie jak w śmieciach rozniesionych lub rozrzuconych po ogrodzie. Przy każdym kroku coś chrzęściło, gruchotało lub trzaskało.

Ktoś spalił jej budynek gospodarczy. Wcześniej ktoś włamał się do jej domu i został w nim zabity. Gdy zastanawiała się nad tymi dwoma faktami, stawiała sobie pytanie, co, do cholery, stało się z jej życiem, że sprawy zawiązywały się w taki supeł. Im bardziej o tym myślała, tym supeł stawał się ciaśniejszy.

Ostatniej nocy, gdy pożegnała się z Janem Kaunistem, który okazał się właściwie miłym i sympatycznym człowiekiem, ale w tamtej chwili także jej przeszkadzał, próbowała powiedzieć policjantom, że po prostu się boi, że w ogóle nie rozumie, co tu się wydarzyło, i szczerze zapytała, czy policja nie powinna jej teraz pilnować albo chronić i czy nie grozi jej niebezpieczeństwo.

Nie chodziło o coś takiego, co czasem widywała w filmach i serialach i czego nazwy nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to świadkowie otrzymywali nową tożsamość i przenoszono ich do małego miasteczka, w którym mimo to byli rozpoznawani i zmuszeni do walki o swoje życie, a w końcowej scenie – gdy płonęły domy i lała się krew – do zastrzelenia złoczyńcy, który na początku wypędził ich z domu. Dopiero wtedy mogli się objąć i uściskać mimo ran na ciele i beztrudno zacząć życie od nowa.

Aż taka zwariowana nie była, w każdym razie tak uważała.

Ale policjanci mogli mieć inne zdanie, szybko to po nich poznała.

Posypały się pytania.

Skąd znasz tego pana Kaunisto? Więc nie masz pojęcia, czy tamto zabójstwo i ten pożar wiążą się ze sobą? Kontaktowałeś się ostatnio z jakimś podejrzanym mężczyzną? Czy ktoś tu przebywał za twoją zgodą? Czy znasz wszystkich swoich gości? Interesujesz się ogniem, niebezpiecznymi sytuacjami, obcymi mężczyznami?

Jasne, czasem muszę się po prostu przespać z nieznanym piromanem, pomyślała.

Dobry Boże, powiedziała do policjantów, zadajecie mi takie pytania. Ja chcę wiedzieć, czy jestem w niebezpieczeństwie, a wy pytacie, czy podnieca mnie płonąca szopa.

Straciła opanowanie. Nie całkiem, ale tyle, ile trzeba. Wystarczająco, żeby jej organizm zaczął produkować adrenalinę, wytwarzać ochronną skorupę, zdolność do działania.

Rozmowa trwała jeszcze jakiś czas.

Gdy policjanci stwierdzili, że niczego takiego nie mieli na myśli, było właściwie za późno. Nie mogli jej już niczego zaproponować, zrozumiała to, miała dosyć. I to uczucie trwało aż do rana, sprawiło, że obudziła się w innej sytuacji, że wiedziała, co robić, gdy adwokat Wilenius przyjechał, żeby przedstawić siebie i swoją propozycję.

Pomyślała, że jeżeli ten człowiek naprawdę da jej potrzebne na wymianę rur dziesięć tysięcy euro, to ona wyjaśni sprawę. Musiała to zrobić, innej alternatywy nie było. Istniał jeszcze drugi powód. Wieczorem w końcu pogodziła się z tym, że policjanci uważają ją za podejrzaną, może nawet za winną.

To wzbudziło w niej wściekłość. Spowodowało, że przypomniła sobie wszystkie rozczarowania, sytuacje i chwile, w których wbrew sobie powtarzała, że w porządku, jeszcze ten jeden raz, ten ostatni raz się z tym uporam, bo rozumiem, że tak musi być.

Pocałujcie mnie w dupę.

To przypomniawszy jej, co powinna była zrobić w pierwszej kolejności.

Następne cztery i pół godziny spędziła w starym wychodku i wokół niego, wykonując ciężką i brudną robotę, przy której bardzo się spociała. Wprawdzie nie używano go od lat, lecz na szczęście ktoś zrobił go

porządnie, ktoś inny niż jej ojciec czy dziadek. Szanowała ich i kochała, ale stawiane przez nich toalety wywracały się od zwykłego wycierania. I to nie tylko sedesu.

W niewielkim budynku gospodarczym przechowywano także różne rzeczy. Było ich tak dużo, że Olivia przez chwilę żałowała, że ten ktoś, kto zniszczył szopę, nie podpalił zamiast niej wychodka. Choć właściwie dobrze, że tak się nie stało, biorąc od uwagę brak wody. W ogóle to nie wiadomo, co takiemu podpalaczowi chodzi po głowie. To chorzy ludzie – jak sugerował wąsaty policjant – podniecający się widokiem ognia. W porównaniu z wychodkiem sauna dała im zapewne większą rozkosz.

Olivia wybrała łopatą do czysta całą zawartość nagromadzoną w dole. Była to dziwaczna mieszanina spróchniałych odpadków, substancji zamienionej w ziemię, nagromadzonych przez lata liści, które nie wiadomo jak się tam dostały, a nawet rozmaitych drobnych przedmiotów. Po opróżnieniu dołu przyniosła z za domu wiadro, ustawiła je i wrzuciła na dno trochę ziemi i starych liści. Na początek wystarczy. Zaczepnęła z morza wody i wymyła wewnętrzne ściany wychodka, a potem zamiotła go starannie. W końcu miała w ogrodzie czystą toaletę.

Siedziała w niej z otwartymi drzwiami, ponieważ woń środka dezynfekującego była jeszcze intensywna i Olivia nie spodziewała się żadnych gości, gdy nagle do ogrodu wjechał Jan Kaunisto na rowerze marki Helkama. Zatrzymał się przy resztkach spalonej sauny, spojrzał Olivii prosto w oczy, a następnie na swoje stopy, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić z rowerem. Stał tak, ściskając rogatą kierownicę, aż Olivia podeszła do niego, tłumacząc, że tylko sobie odpoczywała, patrzyła, czy na pewno wszystko zrobiła.

– To znaczy nic nie zrobiłam – sprostowała szybko.

Jan Kaunisto się uśmiechnął, odbierając to jako dobry znak. Zeskoczył z roweru i oparł go na stopce.

Patrzył na Olivię trzymającą czerwone wiadro. Miała włosy spięte w luźny kucyk, lepiący się do ciała podkoszulek, a szorty pamiętały zamierzchłe czasy. Z czarnych gumowców wystawały gołe kolana. Nyman robił wszystko, żeby nie okazać, jak wielką przyjemność sprawił mu ponowny widok Olivii Koski. I to nie tylko przyjemność! Nawet nie



zajrzał do swojego domku i po spotkaniu z Muurlą od razu skierował się tutaj. Mięśnie nóg drżały mu od wysiłku.

– Jeździłem rowerem – powiedział, wskazując pojazd. – I przejeżdżałem obok.

– Po ślepej drodze, która prowadzi tylko w jedno miejsce?

Tak po prostu, pomyślał Nyman, od razu do rzeczy. Coś się zmieniło, zastanawiał się, i to coś nie miało związku z wiadrem ani z otwartymi drzwiami wychodka, z którego właśnie wyszła.

– Tak – przyznał, a potem spojrzał na resztki zabudowań. – Postanowiłem sprawdzić, jak sobie dajesz radę.

– Szopa z sauną się spaliła. Ktoś został zabity w mojej kuchni. Właśnie doprowadziłam wychodek do użytku. Normalka.

Nyman stąpał po cienkim lodzie, zdawał sobie z tego sprawę. Zawsze miał problemy w takich sytuacjach, również z Tuulą. Twierdziła, że on nie potrafił wyjść nikomu naprzeciw, nie potrafił się zaangażować. Może dlatego, że nigdy nie rozumiał, co te wyrażenia znaczą.

– Przykro mi z tego powodu – powiedział. – Oczywiście nie dotyczy to toalety na dworze. Dobrze, że taka jest.

Olivia popatrzyła na niego, ale nie wyglądało na to, że chce dać mu do zrozumienia, że proszę bardzo, idź już sobie. Jednak nie wydawała się specjalnie zainteresowana rozmową.

– Jak ci idzie windsurfing? – spytała po chwili.

– Nieźle – odparł Nyman. – Chyba zyskałem nowego przyjaciela. Ten nauczyciel ma zręczne palce.

Olivia zastanawiała się nad czymś.

– Powiedziałeś, że kiedy przyjechałeś tu, do ośrodka wczasowego?

Pytanie było bezpośrednie i Nyman dostrzegł w nim dwie ewentualności. Pierwsza to taka, że zaczęła go o coś podejrzewać, co oznaczało z kolei, że Olivia Koski nie miała nic z tym wszystkim wspólnego, przynajmniej z pożarem. Druga ewentualność oznaczała, że zadała to pytanie z innych powodów.

– Nie brałem w tym udziału – oznajmił, wskazując brodą ruiny. – Przyjechałem wczoraj, z rana. Cały wieczór spędziłem w swoim domku, rozmawiałem z nowym sąsiadem i poszedłem do baru, gdzie spotkałem ciebie. Szczerze mówiąc, jeżeli miałbym spalić coś, co należy do ciebie, to wybrałbym tę łódź porzuconą na końcu ogrodu, tę bez dna.

– To pamiątkowa łódź.

– Więc jej też bym nie spalił.

Olivia patrzyła na niego.

– A dlaczego teraz się tu pojawiłeś?

– Przyjechałem sprawdzić – powiedział Nyman – czy ogień został na pewno opanowany, bo jeśli nie, to pomógłbym go ugasić.

Zerknęła na ruiny, machnęła wiadrem i znów skierowała wzrok na niego.

– Ogień został ugaszony. Ale kawa jest chyba jeszcze gorąca.

Siedzieli na dworze. Olivia miała bose stopy, Nyman zauważył, że na zmianę chowa palce w krótko ostrzyżonej trawie i wyciąga je. Późne popołudnie nad wodą, miękkie światło powoli zachodzącego słońca, w powietrzu lekki chłód, zapach otaczającej ich przyrody – morza, drzew, roślin, kwiatów, zielonej murawy.

– Zrobiłaś kawę – powiedział. – Więc masz już wodę?

– To woda mineralna ze sklepu. Hydraulik podał mi koszty remontu. Chce dziesięć tysięcy euro.

Nyman odwrócił głowę, żeby spojrzeć na dom. W żółtoczerwonych promieniach słońca widać było jeszcze wyraźniej, jak bardzo wymaga naprawy. Dziesięć tysięcy euro to niczym plaster na poważną ranę.

– W barze odniosłem wrażenie, że brakuje ci pieniędzy na remont. Czy to znaczy, że jednak je masz?

– Jeszcze nie.

Zauważył, że Olivia odpowiedziała szybko i pewnie. Nie potrafił się zdecydować, czy spytać ją jeszcze o coś, czy po prostu zaczekać. Nie zdążył zrobić ani tego, ani tego.

– Podejmowałeś kiedykolwiek duże ryzyko, Jan? – Olivia patrzyła na niego. Po chwili zwróciła twarz w stronę morza.

Nymanowi podobały się jej oczy, ale podobał mu się także profil. Czy podejmował ryzyko? Na tym polega jego praca.

– Co rozumiesz przez duże ryzyko? – spytał.

– Że możesz stracić to, co chcesz osiągnąć.

– To faktycznie spore ryzyko.

– Zdecydowałeś się kiedyś na coś takiego?

Ponownie popatrzyła na niego, a on pokręcił głową.

– Staram się unikać zbędnego ryzyka – oznajmił. W pewnym sensie znów powiedział prawdę.

Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że Olivia spodziewa się dalszego ciągu.

– Może wynika to stąd, że życie jest dla mnie w ogóle wielkim, niebezpiecznym przedsięwzięciem – dodał. – Na przykład nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie skaczą na bungee albo uprawiają wspinaczkę górską. Czemu zwiększać zagrożenie, gdy ono i tak istnieje. Jedzenie jest na swój sposób szkodliwe, w każdym razie gdy się czyta gazety, komunikacja zabija, tysiące ludzi otrzymują codziennie diagnozę, że mają raka. Już samo to, że rano idzie się do pracy, może się okazać fatalne. A praca, oczywiście zależnie od jej rodzaju, może być bardzo niebezpieczna dla zdrowia.

– Nie myślałam, że życie nauczyciela matematyki jest niebezpieczne – powiedziała Olivia.

– Chodzi mi o to, że życie w ogólności to ryzyko.

– Czyli twoim zdaniem nie warto ryzykować?

– Tak bym tego nie ujął – odparł Nyman. Zainteresował go zarówno temat rozmowy, jak i fakt, że Olivia go poruszyła. – Najważniejsze, żeby wiedzieć, jakie ryzyko się podejmuje. I że gdy się na nie decydujemy, to mamy świadomość ewentualnych następstw. Jeżeli jesteśmy gotowi stracić to, co chcemy osiągnąć, to w porządku. Jesteś przygotowana na coś takiego?

Olivia zwlekała z odpowiedzią.

– A jeżeli nie ma się wyjścia? – spytała po chwili.

Miał ochotę przyjrzeć się jej dokładniej, sprawdzić, co kryje się w jej twarzy, ale się powstrzymał.

– Wtedy nie mówimy już o ryzyku – odparł. – Tylko o czymś, co trzeba zrobić. Nie wiedząc, jaki będzie efekt. Czy o to właśnie chodzi?

Zauważył, że Olivia go obserwuje. A może tylko tak mu się wydaje? Jednak nie, wyraźnie mierzyła go wzrokiem, oceniała.

– Ale ty byś je podjął? – spytała. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Oderwał wzrok od jej piwnych oczu. Nadal czuł, że mu się przygląda, był tego pewien.

– Gdybym musiał, to tak – oznajmił.

Olivia zmieniła pozycję, odchyliła się na oparcie krzesła.

Przez chwilę patrzyła na morze. On także spojrzął w tamtym kierunku. Lecąca wysoko jaskółka przecinała niebo na dwoje. Powtarzał

sobie w myślach ich rozmowę, gdy kątem oka zobaczył, że Olivia znów obróciła się ku niemu.

– Jak wyglądał twój rozwód? – spytała, a on nie potrafił stwierdzić, czy w jej głosie zabrzmiała ciekawość, czy też odrobina podejrzliwości. Jeżeli podejrzliwość, to zapewne miała ona związek z jego opowieścią. Poczul się... nadzwyczaj nieprzyjemnie.

– Z finansowego punktu widzenia opłaciło mi się – odezwał się po chwili. – Moja żona sprzedała mieszkanie za pokaźną sumę i poinformowała mnie o tym, podsuwając mi pod nos wniosek rozwodowy do podpisu. Poszliśmy wtedy na pizzę, właśnie postawiono ją na stole, jeszcze parującą. Nadal pamiętam, z czym była. Orzechy włoskie, pomidorki koktajlowe, gorgonzola, rukola. Specjalność tygodnia.

– I co potem?

– Zjadłem pizzę. Chyba jej jednak nie polecam.

– Miałam na myśli, co potem działo się z tobą.

– Aha. Spytałem żonę, a właściwie to już wtedy była żoną, czy zrobiłem coś źle, a ona na to, że tak i czy mogę jej podać oregano. Podpisałem papiery i dostałem przelew na konto.

– Czy twoja żona, była żona, powiedziała ci kiedyś, co źle zrobiłeś?

– Powiedziała – odparł Nyman. – Mówiła wielokrotnie. Chodziło o różne rzeczy. Że nie słucham, nie jestem obecny, że skupiam się tylko na swojej pracy, nie zwracam na nią uwagi, nie wychodzę jej naprzeciw.

Wydało mu się, że Olivia się uśmiecha. A może to tylko światło zmiękczyło rysy jej twarzy.

– A potem co?

– Przyznałem, że na pewno tak jest, ponieważ nie wiem, dlaczego miałbym wychodzić jej naprzeciw, skoro zrobiłem to już w pewnym barze lata temu. Ona odpowiedziała, że właśnie to ma na myśli. Więc zapłaciłem za pizzę i wynająłem kawalerkę, w której mieszkam do dziś.

– Gdzie jest ta kawalerka?

– W Kallio, przy Pengerkatu.

Nyman nie potrafił określić wyrazu twarzy Olivii Koski. W jej piwnych oczach coś się teraz działo.

– Fajna dzielnica – powiedziała.

– Bardzo. – Uśmiechnął się i spróbował kawy. Była letnia. Mimo to ją wypił.

– Bywasz czasem w tej tajskiej restauracji przy Kolmas linja?

– Chyba jest ich tam kilka – odparł.

– W tej, którą wszyscy znają – dodała Olivia, a on zauważył jej czujne spojrzenie, chociaż wydawała się rozluźniona.

– W Lemon Grass – rzucił i odpowiedział spojrzeniem na jej spojrzenie.

– Właśnie – potwierdziła. – Tak się nazywa. Tutaj nigdzie nie ma dobrego tajskiego jedzenia. Przyszło mi do głowy, że muszę zrobić zakupy. Jeśli chcesz, to zaczekaj na mnie i pojedziemy razem rowerami. Tylko się przebiorę.

Obserwował ją, gdy wchodziła po schodach do domu, zerkając jeszcze na podwórko. Złapał jej spojrzenie, chociaż był to tylko krótki moment. Olivia Koski patrzyła na niego, jakby dokonywała jakiejś wyceny albo coś sobie obliczała.

## 12

Holma zostawił samochód na Viherniemenkatu w dzielnicy Hakaniemi, przed sklepem z żywnością halal, pod zielonymi drzewami. Obok znajdował się kiosk. Wszedł do środka i kupił prezerwatywy z prążkami i wypustkami oraz los na loterię – w życiu należy się spodziewać najlepszych rzeczy – a także butelkę napoju Jaffa light. Kondomy i kupon włożył do górnej kieszeni marynarki, a potem otworzył jaffę i sprawdził, jak wygląda otoczenie. Kiosk był większy, niż wydawał się na zewnątrz, stanowił połączenie kawiarni, antykwariatu i punktu lotto. Na ścianie wisiał monitor, na którym wyświetlano wyniki różnych gier i konkursów. Dwóch zaskakująco podobnie łysiejących mężczyzn stało z odwróconymi głowami, trzymając kupony hazardowe. Holmie przyszedł na myśl Antero. On zawsze grał, choć nigdy nie wygrywał. Holma pił jaffę i przyglądał się mężczyznom. Po chwili jeden z nich prychnął, zrobił półobrót i podarł kupon. Wtem zauważył Holmę, ten się do niego uśmiechnął i spytał:

– Czemu grasz?

Mężczyzna spojrział, jakby nie zrozumiał pytania. Miał nabrzmiałą twarz pięćdziesięciolatka, koszulę w różowe paski i z krótkimi rękawami, fałdującą się na brzuchu i zniekształcającą jego sylwetkę, i niebieskie oczy doszukujące się u Holmy znajomych rysów.

– Kim jesteś?

Holma znów się uśmiechnął.

– Czemu grasz? – spytał ponownie.

– A co cię to obchodzi?

– Mój brat też grał, więc mnie to ciekawi.

Mężczyzna popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

– Ludzie grają, żeby wygrać.

– No ale przecież nie wygrałeś.

Nieznajomy zerknął na sprzedawcę, a potem znów na Holmę.

– Tym razem nie.

– A ostatnim razem?

Mężczyzna pokręcił głową.

– A jeszcze wcześniej? – dopytywał się Holma. – Kiedy ostatnio wygrałeś?

Obserwował, jak nieznajomy zaczyna się irytować, szybko przenosi ciężar ciała z nogi na nogę, potrząsa głową, a jego twarz nabiera ostrości.

– O co ci chodzi?

– Próbuję zrozumieć, dlaczego ktoś chce tracić pieniądze. Wiesz, że nie możesz wygrać, a mimo to nadal kupujesz zakłady.

– Tego nie wiem.

– To twoja odpowiedź? Że nie wiesz?

– Przecież ty też nie możesz tego wiedzieć.

– Ja coś wiem. Z całą pewnością.

Mężczyzna spojrzał na Holmę, jego oczy nabrały innego wyrazu.

– Znasz zwycięzcę?

– Znam przegranego.

– Kto to jest?

Holma pociągnął łyk jaffy. Pomyślał, że ma naturę człowieka, który chce pomagać. Czasem jednak nic nie można było zrobić. Spojrzał na ekran monitora, na którym pojawiła się lista zaplanowanych meczów.

– Leverkusen – oświadczył.

Mężczyzna odwrócił się powoli, ale zdecydowanie. Holma podszedł do niego. Obaj wpatrywali się w tekst przesuwający się po ekranie.

– Na wyjeździe? – spytał nieznajomy.

– Właśnie – potwierdził Holma i poczuł dolatującą od niego woń. Zapach potu, napięcia, rozczarowania, głodu zwycięstwa. – Postawiłbym na to dużo.

Panował popołudniowy chłód, było niemal zimno. Kolor nieba, jego głębia stawały się coraz wyraźniejsze, gdy Holma wchodził między budynki kwartału. Z każdej strony wyrastały ciemne ściany bloków. Teren został gęsto zabudowany, ale w zachodniej części pozostawiono biegnącą na przestrzał wąską drogę pozwalającą na przejazd samochodem. Holma, w okularach przeciwsłonecznych na nosie, szedł jej lewym skrajem, sprawdzając wzrokiem podwórka, zaparkowane auta i okna stojących naprzeciwko w szeregu domów.

Jakaś studentka wynosiła śmieci, drzwi wiaty zamknęły się z trzaskiem i echo rozległo się po okolicy. Mężczyzna ubrany w szlafrok palił papierosa przed klatką schodową. Kierowca samochodu z warzywami rozładowywał towar przed tylnym wejściem do restauracji i wnosił skrzynki przez wąskie drzwi.

Nikt nie zachowywał się tak jak policjanci udający cywilów. Holma był pewien, że od razu potrafiłby rozpoznać tajniaka. Jedyne ryzyko mogło się kryć na pierwszym piętrze domu stojącego pod kątem w stosunku do mieszkania na parterze, do którego zamierzał wejść. Były w nim dwa okna i w obu Holma dostrzegł sylwetkę mężczyzny. Mógł to być przypadek, ale gdy się wiedziało, jak działa policja narkotykowa, szansa, że tak jest, spadała do zera.

Dobrze, pomyślał Holma, może byłoby nawet lepiej, biorąc pod uwagę to, co mam zrobić. Jeśli i gdy wszystko pójdzie dobrze, zostanie to potraktowane jako przestępstwo związane z narkotykami. Holma przeszedł przez kwartał na ulicę, potem okrążył domy od frontu, ujrzał wysokie bloki dzielnicy Merihaka, ale zasłaniały one ten, w którym akurat przebywał, gdy dostał telefoniczną wiadomość. Właśnie ona sprowadziła go tutaj.

Urlop mi służy, stwierdził Holma. Czuł się wolny, prawie tak samo jak wtedy, gdy pracował na własny rachunek, nie miał szefa ani stałych, powtarzających się co tydzień rutynowych zajęć, nie musiał odbijać karty zegarowej. Szedł lekkim krokiem, nie zważając na ciepły wiatr, który przenikał jego jedwabny garnitur. Teraz rozumiał, czemu ludzie robią sobie urlop: nowe idee i dobre, świeże pomysły napływały mu do głowy falami. Upewnił się, że składany nóż tkwi na swoim miejscu, przy dolnej części pleców, ukryty pod marynarką.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Już miał wejść do chińskiego sklepu spożywczego, gdy sobie uprzytomnił, że nie potrzebuje żadnego chińskiego produktu, więc zawrócił przy schodach i zatrzymał się na chodniku przed wejściem. Pośrodku ulicy, między pasami znajdował się wjazd do garażu, który połykał i wypluwał samochody. Holma utkwiał wzrok w drzwiach na parterze jasnożółtego domu stojącego po drugiej stronie szerokiego placu.

Właściwie nie powinien tego wiedzieć, ale się dowiedział. W związku z tym nabrał podejrzeń, że wiele innych osób także wie, a więc prawdopodobnie policja również. Handel narkotykami tym się właśnie charakteryzuje: wcześniej czy później wszyscy się dowiadują, co się



dzieje. I na szczęście handlarz narkotykami orientuje się ostatni. W mieszkaniu powinny się znajdować pieniądze.

Przypomniawszy sobie niedawną rozmowę. Najpierw żądanie Olivii Koski go zaskoczyło, wprawiało niemal w osłupienie. Nie pomyślał, że ktoś może odebrać jego propozycję dosłownie i na dodatek zażądać konkretnej sumy. Dziesięć tysięcy euro. Potem uznał, że będzie to nawet zabawne, a na urlopie przecież właśnie tak powinno być – wesoło. Więc ustalił z panną Koski – bo panią ona nie była, to widział – że wróci nazajutrz rano i rzuci na stół gotówkę, dziesięć tysięcy euro, a w zamian dostanie informację o tym, kto zabił jego niezbyt utalentowanego przyrodniego brata. Pozwoli jej zachować pieniądze tak długo, jak będzie to konieczne do odszukania i ukarania zabójców Antera. Potem wróci i zabierze swoją własność, i w zależności od tego, jak panna Koski będzie się zachowywała, użyje prezerwatyw albo załatwi sprawę bez nich.

Przez chwilę się zastanawiał. Handlarz go znał. Jedyne ryzyko wiązało się z policją. Jeżeli obserwują mieszkanie, to go zobaczą. A jeżeli nie obserwują, to nie ma takiego problemu, którego nie można by załatwić za pomocą noża. Przeszedł przez ulicę po pasach i zadzwonił domofonem. Odczekał nieco i znów nacisnął guzik. W końcu usłyszał męski głos.

– Czego?

– Mam sprawę – powiedział.

– Kto ma?

Holma zdradził, dla kogo pracuje.

– Nic mu nie jestem dłużny.

– Chodzi o coś innego. O coś dużo ważniejszego. To dotyczy ciebie.

– Co?

– Nie wygłupiaj się. Stoję na ulicy, otwórz drzwi.

Cisza. Holma liczył na to, że paranoja i chciwość zwyciężą. Wkrótce rozległ się brzęk domofonu – znów górę wzięły niższe instynkty.

Przez chwilę nasłuchiwał na klatce schodowej, wdychając jednocześnie otaczające go powietrze. Nie słyszał żadnych dźwięków, nie czuł także woni perfum, papierosów, jedzenia ani niczego innego. Nie widział żadnego ruchu, ludzi. Zbliżył się do drzwi mieszkania, poprawił marynarkę i nacisnął dzwonek tak lekko, jak tylko się dało. Drzwi się otworzyły.

Mężczyzna był w jego wieku, miał szerokie ramiona i dawno niepraną skórzaną kamizelkę motocyklisty w typie *wanna be*. Holma popchnął go błyskawicznie w głąb mieszkania, wszedł do środka i zatopił w jego szyi ostrze składanego noża. Potem pociągnął broń do siebie, a następnie przeciął tchawicę i aortę. Zrobił krok do tyłu, przyglądał się przez chwilę, jak mężczyzna obraca się w wąskim przedpokoju, tryskając krwią, obija się o ściany, przykłęka, a później pada na podłogę i umiera.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi i kuchni. Całe wyposażenie pokrywała taka sama warstwa brudu jak ta, którą miał na sobie jego lokator. Wszystkie okna były zamknięte. Stojąca w salonie kanapa wyglądała na tak zafajdana, że Holma usiadłby na niej jedynie wtedy, gdyby mu za to dużo zapłacono. Z kieszeni marynarki wyciągnął lateksowe rękawiczki i zabrał się do pracy. Najpierw sprawdził sypialnię. Wnioskując po górze ubrań na podłodze, mieszkała tu także albo gościła jakaś kobieta. Holma odwrócił materace i opróżnił szafy, szukając pudła albo wysuwanej ścianki lub czegoś podobnego. Bez skutku.

Brudne naczynia stały w zlewie kuchennym prawdopodobnie od czasów wojny. Woń przywodziła na myśl ziemiankę. Holma otwierał szuflady i drzwiczki i wyrzucał wszystko na podłogę. Znalazł makaron z okresu Gorbaczowa, ale nie to, czego szukał. Sprawdził szafki kuchenne i ich konstrukcję, badając dłonią te części, których nie mógł zobaczyć.

Wrócił do salonu. Jedynym nowym i czystym sprzętem był ogromny płaski telewizor. Typowe dla narkotykowych palantów: oglądają filmy akcji i gangsterskie i zachowują się podobnie, a potem trafiają do więzienia albo dostają składanym nożem cios w szyję. Spojrzał na kanapę.

Czy to mogło być tak proste? Zrozumiał, że zostawił sobie ten mebel na koniec, ponieważ wydawał się odpychający. Holma też miał swoją słabość. Podeszedł do kanapy, chwycił jedną z poduszek, odrzucił ją na bok i znalazł opakowanie produkowanej przez firmę Saarioinen pizzy z mielonym mięsem, przypominającej raczej biomasę. Wziął drugą poduszkę, była cięższa i bardziej pofałdowana niż ta pierwsza. Unosząc ją, wiedział, że natrafił na żyłę złota.

Przełożył pieniądze do płóciennej torby, którą wyciągnął z prawej kieszeni marynarki. Doliczył się ponad dwudziestu tysięcy euro. Z jednej

strony było to dużo, ale robiło z motocyklisty jedynie średnioligowego handlarza i stanowiło powód, dla którego handlarz został wybrany w celu podjęcia gotówki. Kapsułki, pastylki i proszki Holma pozostawił w poduszce.

W przedpokoju upewnił się jeszcze, że zabrał wszystko: składany nóż w torebce na kosmetyki, wciśniętej do kieszeni w spodniach, pieniądze w płóciennej torbie. Lateksową rękawiczkę miał już teraz tylko na prawej ręce, którą otworzył i zamknął drzwi.

Olivia Koski sprawdziła, czy Jan Kaunisto naprawdę odjechał. Przed sklepem spożywczym S-market wskoczył na pożyczony rower Helkama i śmignął między samochodami na drugą stronę parkingu, a potem skierował się w dół pagórka na szosę, pedałowując pod prąd jednokierunkową drogą dojazdową. Olivia patrzyła za nim, krzątając się przy własnym rowerze i wyciągając torby z zakupami z kosza przyczepki. Kątem oka obserwowała, jak niebiesko-zielona koszula znika wśród domów jednorodzinnych.

Nauczyciel matematyki. Przystojny, uprzejmy, umiejący się śmiać z samego siebie. I jakby częściowo przebywający gdzie indziej. Być może jego była żona miała rację, mówiąc o wychodzeniu naprzeciw i obecności. Może Jan po prostu nie potrafił...

Jeżeli ta historia w ogóle się wydarzyła, pomyślała Olivia. Podczas rozmowy przyglądała się Janowi Kaunistowi z coraz większym zainteresowaniem, zrobiła nawet przemyślaną aluzję, gdy tylko nadarzyła się okazja. Zupełnie jakby zapomniała o kurczaku z kolendrą, serwowanym w Lemon Grass. Ale najwyraźniej on o tym nie zapomniał.

Postała jeszcze chwilę przy rowerze, potem wrzuciła torby z zakupami z powrotem do kosza, wskoczyła na siodełko i udała się w tym samym kierunku, w którym przed chwilą pojechał Jan Kaunisto.

To prawda, że nadal znała wielu ludzi w tym mieście. Jednak nie myślała o tym, a być może nawet nie chciała o tym pamiętać. Nie wszystkie wspomnienia były miłe, a te mniej przyjemne wiązały się z matką i tym, w jaki sposób ją potraktowano.

Jak to ludzie mówią, wyprzedzała ona swoje czasy. Maniakalno-depresyjna artystka, która w małym fińskim miasteczku nad morzem próbowała stworzyć Paryż lat dwudziestych ubiegłego wieku. W przeciwieństwie do znacznych wahań nastroju, co wydawało się oczywiste, jej artyzm był nieco zagadkowy. Malowała rzadko, a i wtedy też nie posługiwała się pędzlem. Oględnie mówiąc, wykorzystywała do

tego części swojego ciała. Jej obrazy kupował głównie ojciec Olivii, jako anonimowy adorator, o którym matka opowiadała rozmarzona, patrząc na morze, z kieliszkiem czerwonego wina w ręce. Zakupione dzieła wysyłał bez żadnych komentarzy w różne strony świata, najczęściej tym ludziom, którzy bez proszenia wciskali mu do ręki swoje wizytówki. Olivia dowiedziała się o tym na chwilę przed ukończeniem dziesięciu lat. Ojciec, który prawdopodobnie kochał żonę bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek innego przed nią i po niej, poprosił, aby córka zachowała to w tajemnicy. I Olivia dotrzymała słowa – przez półtora roku. Potem matka umarła. Olivia nie bardzo wiedziała, na co. Atak serca, mówił ojciec. Nieszczęśliwy wypadek, mówili krewni. Dziwna sprawa, oświadczyła pewna znajoma rodziny, która czasem ich odwiedzała.

Wspomniana kobieta była najbliższą przyjaciółką, jaką matka tutaj miała. Gdy Olivia wyjechała z miasta, nie utrzymywała już żadnych kontaktów z panną Simolą. Nawet nie знаła, a raczej nie pamiętała jej imienia. Wiedziała tylko, gdzie mieszka; był to jeden z ostatnich, położony na końcu dzielnicy Hiekkala, dom.

Ten teren z zabudową jednorodziną rozciągał się na stromym zboczu, co bywało kłopotliwe, i gdy patrzyło się z dołu, wejścia do domów wydawały się jakby usytuowane na piętrze. Dom panny Simoli stał niemal na szczycie wzgórza, za nim rozpoczynał się bliżej nieokreślony leśny obszar, który wszyscy nazywali rezerwatem, ale oficjalnie nie miał takiego statusu. W tym mieście istniało tak wiele niejasności, więc – jak uznała Olivia – nie ma się co dziwić, że w końcu pojawił się ktoś, kto ot tak sobie nazwał to miejsce Palm Beach Finland. Fakt, że Olivia przechodziła już nad tą nazwą do porządku dziennego, świadczył o charakterze wypadków, jakie się ostatnio rozegrały.

Drogi w Hiekkali prowadziły wyłącznie w górę albo w dół. Jadąc do osiedla, Olivia pedałowala po ostro wznoszącej się drodze. Dojechała do połowy zbocza, a potem zeskoczyła zdyszana z roweru i dalej szła, prowadząc go. Jak panna Simola tu wchodzi? Przecież musi mieć już ponad siedemdziesiąt lat, musi być...

Panna Simola przypominała znaną z telewizji pannę Marple. Tak bardzo, że Olivia spodziewała się, że zaraz zacznie mówić elegancką angielszczyzną. Ale tak się nie stało. Brązowe skórzane buty panny Simoli, tweedowa spódnica i biała koronkowa bluzka wyglądały nienagannie, włosy miała oczywiście całkiem siwe, jak dawniej w lokach, być może mocniej skręconych na czubku głowy, gdzie

zaczynała się nastroszona czupurnie we wszystkie strony grzywka niczym u Elvisa. Jej oczy Olivia zawsze by rozpoznała, były ciemnobrązowe niczym wilgotne migdały.

Panna Simola uściskała ją, spytała, oczywiście po fińsku, co słyhać, nie zaczekała jednak na odpowiedź, tylko oznajmiła, że jeśli przyszła rozmawiać o matce, to ona jest na to gotowa. Dodała, że rozumiała Liisę, a Liisa ją i że w takim miejscu i w takich czasach nie ma się za dużo przyjaciół, przez co są cenniejsi. Podkreśliła, że jest gotowa rozmawiać na dowolny temat. Dosłownie. Teraz może mówić o wszystkim i to robi, bez ogródek, twarzą w twarz, i sprawia jej to przyjemność. Także o miłości między kobietami.

– Ale Liisa nic nie wiedziała o cipkach – dodała panna Simola, jakby chodziło o podlewanie kwiatów albo zmianę zasłon. – Nawet dobrych. To nie to.

Olivia odparła, że ma sprawę, która tego raczej nie dotyczy.

Panna Simola objęła ją lekko w pasie i poprowadziła na taras. Olivia poczuła się nieswojo, ale tylko dlatego, że ręka gospodyni była jedynie nieco dłuższa od jej przedramienia. Panna Simola mierzyła zaledwie półtora metra i sprawiała tak delikatne wrażenie, że Olivii wydawało się, że idzie w towarzystwie lalki.

Ogród był mały i bardzo ciasny, jakby wszystkie kwiaty, krzewy i rozłożyste drzewa wtłoczono do niewielkiego sześcianu, potrząśnięto nim, a następnie otwarto jedną jego ścianę, tę od strony nieba. Olivia musiała patrzeć prosto do góry, aby się upewnić, że nadal znajduje się na tym samym świecie.

Usiadły na białych żeliwnych krzesłach stojących na tarasie. Olivia poczuła, że w środku ogrodu, dokąd wiatr nie dociera, jest cieplej niż w mieście. Była w nim obietnica lub co najmniej zapowiedź tropików. Zauważyła zarazem, że marzy, aby Jorma Leivo nigdy nie dowiedział się o tym miejscu. Prawdopodobnie ochrzciłby je natychmiast mianem Everglades i sprowadził tu aligatory, żeby zamieszkały w krzakach.

– Spodziewałam się twojego przyjścia – oświadczyła panna Simola.

– Powinłam była to zrobić zaraz po powrocie.

– Dobrze cię rozumiem. Nie wiążą cię z tym miejscem zbyt dobre wspomnienia.

– Ale ciebie wiążą – odparła Olivia. – I wyglądasz... Wspaniale.

Panna Simola popatrzyła na nią, pochyliła się trochę do przodu i dodała ciszej:

– Spodziewam się gościa.  
– Nie zajmę ci dużo czasu.  
– Nie to chciałam powiedzieć. Ja zawsze mam dla ciebie czas. Myślałam o tobie.

– Naprawdę?  
– Zwłaszcza wtedy, gdy znaleziono tego martwego złodzieja u ciebie w domu.

– Złodzieja? Zdaniem policji chodzi o działających razem przestępców seksualnych, którzy się pokłócili.

– Bzdury! To był po prostu złodziej. Koniec kropka. Cała sprawa była od początku do końca zwykłym przypadkiem i pomyłką. Takie tam męskie przepychanki, idiotyczne rozróby. Gdyby ktoś się mnie o to pytał.

– Właściwie to ja chciałabym ciebie zapytać – oznajmiła Olivia.

Panna Simola odczekała trochę, wpatrując się w nią. Olivia dostrzegła, że uśmiech przenosi się z jej oczu na policzki i kąciki ust.

– Nie wierzysz, że policja to wyjaśni?

– Oczywiście, że wierzę. Chyba. Ale od wczoraj mam wrażenie, że mnie o coś podejrzewają. Jeśli nie o zabójstwo tego mężczyzny, to o coś innego. Nie jest to miłe uczucie. No i...

Olivia zastanawiała się przez chwilę. Nie, nie wspomni o ofercie związanej z dziesięcioma tysiącami euro. A może chodzi o umowę? Chyba jednak nie, bo nie otrzymała jeszcze pieniędzy. Być może ma do czynienia z czymś pośrednim między ofertą a umową.

– No i – dodała, widząc, że gospodyni słucha uważnie, co sprawiło jej przyjemność. – Pamiętam, jak ojciec mówił, że panna Simola zawsze wie o wszystkim, co się wydarzy.

– Chcesz sama wyjaśnić ten wypadek – powiedziała panna Simola, nie zadając jednak pytania, tylko stwierdzając fakt.

Olivia spojrzała w jej brązowe oczy.

– Pamiętasz nasz dom? Wymaga gruntownego remontu. Właśnie doprowadziłam wychodek do porządku, bo w rurach nie ma wody. Wczoraj spaliły się szopa i sauna. Nie wiem, co się stało. Nie chcę sprzedawać domu, to jedyne, co posiadam. Zamierzam go wyremontować, choćby miała to być ostatnia rzecz, którą zrobię w życiu.

Panna Simola najwyraźniej chciała usłyszeć więcej.

– Jest szansa na to, że mogę się dowiedzieć, co się wydarzyło, i przejść nad tym do porządku dziennego.

– Powiedziałas, że nie zamierzasz sprzedawać domu.

– W żadnym wypadku.

– Ale dostałaś propozycję kupna?

– Tak – potwierdziła Olivia. – Od Jormy Leiva. To mój szef. Ten, który...

– Palm Beach Finland – rzuciła panna Simola i w jej ustach zabrzmiało to jak „Pampić Winlan”, co zdaniem Olivii lepiej określało to miejsce. – Znam tego człowieka. Bierzesz go pod uwagę?

– W jakim sensie?

– Jako kandydata na mordercę tego mężczyzny. Bo nie chodziło mi o kandydata na męża.

Olivia pokręciła głową.

– Od policji dowiedziałam się tylko tyle, że Jorma Leivo siedział przez cały wieczór w swojej restauracji. Zjadł posiłek i dotrzymywał towarzystwa klientom. Stawiał wszystkim lody. Kazał sobie robić zdjęcia. Policjanci powiedzieli mi o tym, gdy rozmawiali ze mną ostatnio i spytałam ich, czy podejrzewają Leiva. W tym chyba tkwił problem. I nadal tkwi. Że wszystkie logiczne tezy zostały sprawdzone i zweryfikowane. Pewnie dlatego policja zakończyła dochodzenie.

– Policja nie kończy dochodzenia – oznajmiła panna Simola. Jej głos zabrzmiał jakoś inaczej.

– Na to jednak wygląda. Najpierw zajmowali się nim miejscowi policjanci, ten duży z wąsami, który początkowo traktował mnie przyjaźnie, ale wczoraj zachowywał się tak, jakby każde moje słowo wzbudzało w nim podejrzliwość, i ten drugi, który ciągle się gapił. Potem przyszli fizycy, a właściwie to ja nazywam ich fizykami, bo mieli takie same okulary, marynarki i koszule, i wszystko ciągle mierzyli, miejsca i czas. I wypowiadali się tak oficjalnie. „Jak by pani opisała dwanaście metrów kwadratowych pani przedpokoju tamtego wieczoru o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt jeden?” Jeden z nich, ten bardziej gadatliwy, miał włosy ostrzyżone na jeża, które odmładzały go o co najmniej dwadzieścia lat, więc wyglądał, jakby dopiero co szedł do confirmacji. Obaj mi się podobali, byli mili i jeszcze raz opowiedziałam im wszystko. Ponownie zmierzyli to, co zmierzyli wcześniej, a ja pomyślałam, że nareszcie się czegoś dowiemy. Ale następnego dnia fizycy zniknęli i już ich nie zobaczyłam. No więc to tak...

– Policja nie kończy dochodzeń – powtórzyła poważnym tonem panna Simola.



Olivia nie mogła wywnioskować nic po jej minie, więc postanowiła zaczekać. Panna Simola rozejrzała się, jakby się obawiała, że w jej ogrodzie ktoś podsłuchuje. Z drugiej strony nigdy nic nie wiadomo. W tym gąszczu mógłby się ukryć batalion szpiegów, choć to chyba mało prawdopodobne.

– Czy zauważyłaś, że ktoś cię śledzi?

Olivia znów pokręciła głową. Może panna Simola chorowała na jakąś odmianę alzheimera objawiającą się paranoją? Kto chciałby tracić czas i śledzić Olivię? Ja, która nie miała z nikim żadnych powiązań, nic nie wiedziała.

– Nie – odparła. – Nie ma powodu, żeby mnie śledzić.

Panna Simola ważyła przez chwilę sprawę w myślach, po czym wyraźnie się odprężyła. Do jej oczu powróciła ciekawość. Gdzieś pośrodku zieloności zaćwierkał ptak; sądząc po głosie i odległości, Olivia uznała, że jest to mały, z łatwością mieszczący się w dłoni śpiewak.

– A miłość?

– Jaka miłość?

– Taka niezgrabna, zarośnięta, trochę woniejąca. – Panna Simola się uśmiechnęła. – Mężczyzna.

– Z mężczyznami rozstawałam się dwa razy. Obaj byli fajnymi facetami ze swoimi wszystkimi wadami. Chociaż straciłam przez nich całe pieniądze. Od tamtych chwil upłynęło już dużo czasu.

– Nie spotkałaś potem nikogo?

Olivia ujrzała natychmiast obraz siebie samej, jak pije kawę, siedząc naprzeciwko dopiero co poznanego mężczyzny. Jeśli miała być szczerą, jego towarzystwo sprawiało jej przyjemność, a nawet czuła do niego pewien pociąg. Czemu nie, pomyślała, choć z drugiej strony...

– To nauczyciel matematyki – powiedziała, zaskoczona pewnością w swoim głosie. – Miły człowiek. Przystojny. Dopiero co się spotkaliśmy. Właściwie nie wiem, co o tym myśleć. Może coś z tego będzie.

– Brzmi obiecująco. Nigdy nie jest za późno.

– Dziękuję.

– Nie miałam na myśli twojego wieku.

– Ale chyba ja o tym pomyślałam – odparła Olivia, stwierdzając w duchu, że potrafi się wypowiadać równie bezpośrednio jak panna Simola. – Mam trzydzieści dziewięć lat i wydaje mi się, że jeżeli teraz poddam się w sprawie domu, to już nigdy, pod żadnym względem, nie będę potrafiła walczyć o swoje. Że jak tego nie zrobię, nie zrobię też

niczego innego. Mam przed sobą wybór: zrealizować swój zamiar albo zrezygnować z niego na zawsze. Widzę to jako ostatnią szansę. Jako coś, w czym mogę się wykazać. Właśnie tak.

Panna Simola chciała coś dodać, gdy z domu dobiegł dźwięk dzwonka u drzwi, czysty i melodyjny. Wstała energicznie i uśmiechnęła się. Na jej policzkach pojawił się rumieniec, który znacznie ją odmłodził. Zmieniła się także wymowa jej ciała, starsza pani wyprostowała się, jej ręce ożyły, przez chwilę poprawiała fryzurę, układała spódnicę i bluzkę, rozciągała palce, aż w końcu złożyła dłonie na piersi.

– To mój gość – oznajmiła. – Możesz wyjść przez furtkę na dole, jeżeli nie chcesz spotkać wdowy po burmistrzu.

Panna Simola sprawiała wrażenie, jakby już chciała pobiec do drzwi znajdujących się po drugiej stronie domu.

– Zostawiłam rower trochę dalej. Dolna furтка znakomicie mi pasuje.

– Jeśli coś usłyszę, to skontaktuję się z tobą. Zwłaszcza teraz, gdy wiem, że zamierzasz wyjaśnić tę sprawę. I jesteś zawsze mile widziana tutaj – oświadczyła panna Simola; chciała jeszcze coś dodać, ale dzwonek u drzwi odezwał się ponownie.

– No to hej.

– Hej, kochana Olivio – powiedziała panna Simola i odeszła, stukając wysokimi obcasami skórzanych butów.

Jan Nyman, ukryty za świerkami, obserwował, jak Olivia Koski wychodzi z czerwonego domu innymi drzwiami niż te, którymi weszła do środka. Wybrał miejsce położone trochę wyżej i na skos od domu, więc jednocześnie miał widok na drzwi z przodu, przy których czekała właśnie starsza pani w pięknym jasnoszarym kostiumie z tweedu i lśniących, czarnych butach ze skóry.

Nyman zaczął śledzić Olivię po tym, gdy zastosował drobną sztuczkę, którą wyprowadził ją w pole. Przez chwilę jechał w tym samym kierunku i gdy się upewnił, że Olivia ani nikt inny nie podąży za nim, zawrócił w stronę jej domu.

Szybko dogonił pannę Koski. Jazda za nią pod górę okazała się trudna ze względu na wąskie i wijące się drogi oraz znaczne nachylenie terenu. Sytuacja stała się znacznie łatwiejsza, gdy Olivia weszła do domu, a on, minąwszy budynek, podjechał wyżej aż pod las, gdzie drzewa rzucały cień. Tutaj poczuł ulgę, która oczywiście okazała się względna, bo

zaczęły dokuczać mu komary. Cała ich chmara gryzła go w szyję, a suche gałęzie i niska roślinność drapały i drażniły skórę łydek. Największy dyskomfort odczuwał w okolicy gołych kostek. Był przekonany, że borelioza to tylko kwestia czasu.

Drzwi od frontu otworzyły się w tej samej chwili, w której Olivia Koski wsiadła na rower i zaczęła zjeżdżać. Nyman przyglądał się jej na tyle długo, że nie zdążył zauważyć, co działo się przy wejściu. W każdym razie drzwi szybko się zamknęły. Nyman zastanawiał się przez chwilę. Olivia przyjechała tutaj w jakimś celu, on nie znał osób mieszkających w domu; w raportach i notatkach policyjnych nie widniała żadna wzmianka na temat tego adresu, co wzbudziło jego zainteresowanie. Podjął szybką decyzję. Z Olivią jeszcze się spotka, przy innej okazji. Teraz musi sprawdzić ten dom i jego mieszkańców.

Opuścił las i zbliżył się do żywopłotu, a potem ukryty w jego cieniu dotarł do tej samej dolnej furtki, przez którą wyszła Olivia. Bramka nie była zamknięta na klucz. Udało mu się unieść bezszelestnie haczyk i otworzyć ją bez skrzypnięcia. Najpierw wyczuł zmysłowy zapach miliona kwiatów. Pomyślał, że wkroczył w jakiś baśniowy świat. Ogród był gęsto zarośnięty, zielony i promieniował pierwotnymi żywotnymi siłami. Nyman stawiał ostrożnie kroki; bał się, że w każdej chwili krzaki mogą się skończyć i natychmiast zostanie odkryty. Gdy zobaczył skrawek czerwonego domu, zmienił kierunek i szedł pochylony tak bardzo, jak tylko się dało. Zatrzymał się przed wielkim krzewem przypominającym paproć, przysłuchiwał się przez chwilę ptakom, ich świergotaniu nasilającemu się pod wieczór, a potem wyprostował się ostrożnie.

Ujrzał dwie starsze kobiety, obie z siwymi włosami i elegancko ubrane. Stały na tarasie, pośrodku ogrodu, ukryte przed światem, i całowały się. Namiętnie. Niedawno przybyła kobieta uniosła spódnicę tej drugiej, aby mocniej pochwyć ją za pośladek, i ugniatała go niczym ciasto, ścisnęła i puszczała różowy mięsień, a ten opadał swobodnie i znów wypełniał dłoń.

I tak raz po raz. W kontrolowany i świadomy sposób świadczący o dobrym opanowaniu techniki.

Później kobieta pomogła towarzysze położyć prawą nogę na białe metalowe krzesło ogrodowe, uniosła jej spódnicę – może nie po uszy, ale na pewno do pach – i wolną ręką nacisnęła delikatnie górną część pleców, między łopatkami. Kobieta, będąca w wieku jego matki,

pochyliła się i wypięła ku niemu. Nyman spuścił wzrok i zaczął się przyglądać paproci, choć nie był pewien, czy to właśnie ta roślina.

Gdy znów spojrział w tamtą stronę, jedna z kobiet klęczała właśnie za tą drugą, pochyloną, przysuwając twarz do, jak można się było domyślać, ciemnego otworu. Wszystko odbywało się dość powoli ze względu na wiek uczestniczek, ale Nyman zaraz pomyślał, że to może tylko jego interpretacja i pochopne wnioski. Równie dobrze mogło tu chodzić o umiejętne, przemyślane ruchy. O to, że w podeszłym wieku ludzie potrafią docenić każdą chwilę. Ręce kobiety w czarnych butach poruszały się sprawnie. W końcu cel, do którego dążyły, czyli optymalna pozycja, został osiągnięty. Wizualnie i brzmieniowo efekt wydawał się bardzo udany.

Po kilku sekundach Nyman uznał, że nie ma to nic wspólnego z jego dochodzeniem.

Zaczął się wycofywać w stronę furtki. Śpiewające ptaki dotrzymywały mu towarzystwa, kwiaty pachniały, a zachodzące słońce wytapiało miedź na skraju nieba.

Kari „Chico” Korhonen nie po raz pierwszy w życiu znalazł się w sytuacji, gdy nie miał dokąd pójść. Tego wieczoru wydawało mu się to jednak szczególnie niesprawiedliwe. W poczucie krzywdy wkradł się lub wplótł dodatkowo nowy ton, sugerujący krańcowość, brak możliwości poprawy sytuacji. Był jak zimny płyn w najważniejszych częściach szkieletu, spływający od karku przez kręgosłup aż do kolan. Chico próbował otrząsnąć się z tego uczucia, starał się usunąć je z dłoni i palców, kopniakiem zrzucić z nóg. Ale ono nie chciało go opuścić, nie spadło na piaszczystą ziemię.

Niebo nad nim pociemniało, na horyzoncie nawarstwiły się różowe, połyskujące złotem, niebieskie i fioletowe światełka. Po lewej stronie Chica spoczywała replika gitary, która stała się jego przekleństwem, a po prawej leżała torba sportowa marki Stadium pełna ubrań. Miał ochotę zostawić to i popędzić do morza, krzycząc dziko. Chico nie uważał siebie za człowieka ze skłonnościami do samounicestwienia, nie był tak zwanym kandydatem na samobójcę, którego trzeba powstrzymać przed wyrządzeniem sobie krzywdy. Doświadczenie podpowiadało mu, że życie i świat same o to zadbają. On nie musiał się dokładać. Wystarczy pomyśleć, w jakiej sytuacji się znajduje: bez mieszkania, pieniędzy, pracy – wszystko naraz. Czym sobie na to zasłużył?

Wpatrywał się w morze, nad którym spędził większą część życia, w taki czy inny sposób. Dzisiaj wybrzeże to nazywało się Palm Beach Finland, lecz nowa nazwa nic nie zmieniła; ludzi było zawsze tyle samo, czyli za mało, i wyglądali zawsze tak samo, czyli bezbarwnie. Chico nie chciał myśleć o tym, ile lat pracował nad morzem jako ratownik, sprzedawca lodów, specjalista od siatkówki plażowej, który nie potrafił grać, i między innymi jako Mister Beach, gdy przez jedno lato chodził po plaży w kąpielówkach i wysmarowany olejkiem i odpowiadał na pytania turystów, sądząc, że popularność obiecywana mu jako główna nagroda będzie miała inną, bardziej atrakcyjną formę. Mimo niechęci do

rachunków podsumował sobie, że upłynęły mu na tym dwadzieścia cztery lata. Co znaczyło, że od jego spotkania z bogiem minęło lat dziewiętnaście.

Bóg.

Słowa boga.

Chico, wówczas młody, siedział nad ranem pod gwiazdami, na plaży, brzdąkając na gitarze. Było pusto, więc zebrał się na odwagę i rozpalił ognisko; trzaskające płomienie ogrzewały go przyjemnie tej zimnej nocy. W tamtym okresie pisał także wiersze. Notował je w pamiętnikach i odczytywał na głos swoim dziewczynom. To były złote czasy.

Siedział więc przy ognisku, okryty kocem, ze skrzyżowanymi nogami, grał i śpiewał cicho, komponując piosenkę, która nie miała jeszcze tytułu, a właściwie nawet słów, gdy zauważył mężczyznę stojącego w zasięgu światła. Chico przerwał granie i pomyślał, że to zapewne jeden z miejscowych pijaczków, Holopainen albo Tamminen, ale przybysz miał na sobie niezwykajne ubranie i im bardziej Chico mu się przyglądał, tym bardziej wszystko wydawało mu się niezwykajne. Solidne obuwie stanowiło połączenie oficerek i spacerowych butów, granatowe dżinsy obciskały umięśnione nogi, a biały T-shirt leżał jak ulany. Na każdej innej osobie taka odzież sprawiałaby całkiem zwyczajne wrażenie, ale Bruce Springsteen połączył wszystko tak, że stała się ona kostiumem, atrakcyjnym i godnym pożądanym mundurem. Chico poczuł ból w żołądku, że sklepy są zamknięte i nie może sobie kupić czegoś podobnego. Bruce wyglądał niczym bóg, którym oczywiście był. Chico starał się sobie przypomnieć, czy Springsteen miał tego wieczoru występ w Finlandii, ale niepotrzebnie się trudził. Przecież gdyby wiedział, to już siedziałby na widowni. Na szczęście czytał, że Bruce twardo stąpa po ziemi, lubi przebywać w towarzystwie zwykłych ludzi, zachowuje się jak inni. Więc całkiem możliwe, że po prostu podróżuje, przypadkowo znalazł się tutaj, być może postanowił tu zajrzeć z takiego czy innego powodu.

– *Dancing in the dark?* – spytał piosenkarz.

– Nie – odparł Chico i otrząsnąwszy się z największego szoku, dodał natychmiast: – Nie tańczę. Gram sobie na gitarze, układam nową piosenkę.

– *I'm on fire* – oznajmił Bruce.

– Tylko ci się wydaje. To ognisko tak grzeje.

– *I'm goin' down.*

Chico zrozumiał, że Springsteen chce usiąść. Rozłożył koc i muzyk zajął miejsce. W świetle ogniska wydawał się jeszcze bardziej postawny i mistyczny, jeszcze bardziej przypominał boga rocka. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Ogień trzaskał. Bruce spojrział w stronę ciemnego morza.

– *The river?*

– Nie, to Bałtyk.

Ponownie zaległa cisza. Chico uznał, że powinien coś powiedzieć, że powinien co najmniej zapytać piosenkarza, co u niego słyszeć. Zadał więc pytanie, a Bruce zastanowił się, zanim odpowiedział.

– *Glory days* – oświadczył, a potem jakby zmienił zdanie i dodał: – *Better days*.

Piosenkarz przyglądał mu się, a Chico nie wiedział, dlaczego nie czuje większego zdenerwowania, czemu nie wiruje mu w głowie. Sytuacja wydawała się całkiem naturalna. Bruce pokazał brodą na niego i na gitarę.

– *Born in the USA?*

Chico pokręcił głową.

– Jestem miejscowy – odparł. – Stąd.

Uświadomił sobie, że Bruce nadal przygląda się jego gitarze. Położył lewą rękę na gryfie i jednocześnie przyszedł mu na myśl idealny tytuł piosenki, jasno i wyraźnie niczym ogień palący się przed nimi. Zaczął więc śpiewać swoją *Plażową księżniczkę*, chociaż utwór nie był jeszcze gotowy. Ogarnęła go pewność, że to właśnie ten kawałek, który powinien wykonać. Opierał się on w całości na własnych doświadczeniach Chica – z wyjątkiem chodzenia do pracy – i był czymś w stylu Bruce’a Springsteena, nie kopią ani pastiszem, lecz dziełem z wyraźnymi wpływami. Z marszu przetłumaczył tekst na angielski:

I’m so lonely, I’m a working man  
*I work so hard every day and in the evennig I have a beer*  
I come to the beach and I see you  
Beach Princess, can I say something  
Beach Princess, let me touch you  
Beach Princess, don’t run away  
Beach Princess, don’t call your brother  
*He’s too strong and his fists hurt my face*

In the morning I go back to work  
I work so hard all day and put ice on my wounds  
And I dream of you  
Beach Princess, can I say something  
Beach Princess, let me touch you  
Beach Princess, don't run away  
Beach Princess, I didn't steal your bikini.

Chico skończył śpiewać. Piosenka była gotowa. Nie wiedział, skąd się wzięła. Spojrzał na gitarę, a potem na Bruce'a.

– *She's the one* – powiedział cicho Springsteen.

Chico pokiwał głową. Amerykanin zrozumiał wszystko, wiedział, co on ma na myśli, o czym śpiewa. Artysta zaczął wygładzać swój T-shirt. Chico domyślił się, że szykuje się do odejścia. Bruce wstał, a Chico śledził go wzrokiem.

– Dokąd teraz?

Springsteen patrzył na ognisko, wydawał się nieco smutny.

– *Streets of Philadelphia* – oznajmił.

Potem wyszedł z kręgu światła rzucanego przez płonące polana i zniknął gdzieś pod gwiazdami.

Rano Chico obudził się przy wygasłym ognisku. Obiema rękami obejmował mocno gitarę. W ustach miał piasek, doskwierało mu przenikliwe zimno, głowa go bolała, ale się tym nie przejmował. Otrzymał misję, znalazł swoje powołanie. O tym wydarzeniu opowiedział Robinowi i jeszcze jednej osobie, koledze ratownikowi, który obecnie mył warzywa na wyspie hipisów koło Turku, i to oczywiście było błędem. Gdy rozpoczął opowieść od ogniska i Bruce'a i dotarł do połowy piosenki *Plażowa księżniczka*, ten specjalista od żywności ekologicznej zapytał, czy przypadkiem nie rozpałił ognia z pomalowanych trującą farbą desek pozostałych po rozebranych pawilonie kąpielowym. Ich palenie było zabronione, bo dym powodował omamy, halucynacje, a nawet uszkodzenie mózgu, jeśli wdychało się go dłużej. Chico zamilkł wtedy za zawsze. Najważniejsza chwila w jego życiu należała już odtąd wyłącznie do niego.

Teraz, gdy ujrzał miejsce, w którym paliło się ognisko i stał przy nim bóg, zrozumiał wyraźnie, że musi działać szybko, zanim ogień dogasnie.



Żar jeszcze się tlił, ale Chica ogarnęło uczucie, że pozostało mu mało czasu.

Robin nie mógł zrozumieć dwóch rzeczy: tego, że Neea jest w jego mieszkaniu, i tego, o czym ona mówi. W danej chwili obie te sprawy znaczyły praktycznie to samo, bo dziewczyna zaczęła mówić już w chwili, gdy przekroczyła próg.

Oto tu była, jej usta się poruszały, stała w jego salonie, na samym środku. Jej granatowe elastyczne spodnie były opięte i Robin ujrzał uwidaczniający się pod nimi wzgórek łonowy. To było okropne. Próbował się skupić i skierować wzrok na jej opaloną, lśniąca twarz. Ale to także okazało się niełatwe. Neea była piękna, piękniejsza niż kiedykolwiek, najpiękniej wyglądała w jego salonie, między starą czarną skórzaną kanapą a nowym płaskim telewizorem, gdy kręciła się w miejscu, stojąc na szarym węzełkowym dywanie od cioci Hilkki.

Jeszcze chwilę temu Robin leżał na kanapie i oglądał w telewizji swój ulubiony program rozrywkowy – każda nowa postać wydawała mu się lepsza od poprzednich, kolejne żarty były śmieszniejsze – gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Miał na sobie tylko majtki, bo latem wieczorne słońce rozgrzewało niemiłosiernie pokój, a on nie znał skuteczniejszego sposobu schłodzenia ciała niż siedzenie nago na chłodnej skórzanej kanapie. Oczywiście pod wpływem kontaktu z ciałem kanapowe pokrycie robiło się gorące, lepkie i w końcu śliskie, ale chwilowa ulga była tego warta.

Podszedł do drzwi, strząsając z siebie krople potu. Spodziewał się Chica, ale gdy zerknął przez kuchenne okno, doznał czegoś w rodzaju zatrzymania akcji serca. To była Neea. Chwycił więc szybko wiszące na wieszaku w przedpokoju dres i bluzę i siedział teraz w jesiennej kurtce i roboczych spodniach, które poplamiał farbą, olejem i smarem podczas naprawy wiaty i majstrowania przy skuterze. Było mu okropnie gorąco i czuł się brudny.

– Co takiego Chico zrobił kiedykolwiek dla ciebie? – spytała wreszcie Neea.

Robin się zastanawiał.

– Zawsze mnie zabierał ze sobą, kiedy coś się działo.

– Ale czy miałeś z tego jakąś korzyść?

Robin znów się zamyślił.

– To mój kolega. Z kolegów nie zawsze się ma duże korzyści.

– Jaki to kolega, jeżeli mu tylko asystujesz? – Dziewczyna znów się okręciła i wzrok Robina przeniósł się z jej twarzy w zdecydowanie niższe rejony. – Jeżeli nie masz z tego nic?

– A co mam mieć? – spytał, zbierając wszystkie siły, żeby ponownie spojrzeć w błyszczące oczy Neei.

– Słuchaj, obiecano mi dziesięć tysięcy euro, jeżeli znajdę tego typa, który włamał się do domu Olivii.

– Dziesięć tysięcy – powtórzył po chwili Robin. – Wcześniej mówiłaś, że tysiąc. Podzielone na pół. Tysiąc podzielić przez dwa to pięćset.

– Tak powiedziałam Chicowi – przyznała Neea. – Ale zmieniłam zdanie. Wyjaśnię ci jeszcze raz. Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać i kto wszystkich zna. Takim kimś jesteś ty. Pomyśl. Na dodatek pracujesz w restauracji. Widzisz wszystkich, znasz wszystkich. Chico to lump. Udaje gitarzystę, ale tak naprawdę nim nie jest. No bo gdzie on gra i co? Nie słyszałam, żeby miał jakikolwiek zespół. Czasem wieszał w moim sklepie plakaty z jakimś Endless Cowboys.

– Endless Cowboys to jeden z jego zespołów. Grają country rocka. Potem jest jeszcze Endless Enemas, to heavy metal. No i Endless Platons, którzy mają takie spokojniejsze kawałki. Ja ich nie słyszałem i nie wiem, gdzie mają chałtury, ale Chico mówił mi o nich.

Neea zatoczyła ręką łuk i wytarła do czysta niewidzialny obraz.

– Łotewer. Ty i ja jesteśmy inni. Mamy ambicję. Ja widziałam, jak potrafisz skupić się na przyrządzaniu potraw, układasz porcje jak filatelista. W dobrym znaczeniu. Ja trenuję dwa razy dziennie. My możemy to robić, a Chico nie. Dziesięć tysięcy euro.

– To dużo – przyznał Robin, bo naprawdę tak uważał.

Pomyślał także, że za chwilę eksploduje mu głowa i że w restauracji nie widzi nikogo poza znajomym dostawcą warzyw i plecami uwijających się w pośpiechu kelnerów, gdy wynoszą przygotowane przez niego potrawy. Wytarł pot z czoła i brody. Nie bez powodu rękaw wydał mu się szorstki. Był to gruby materiał, odpowiedni na chłodne październikowe dni. Robin zaczął pojmować, co znaczy słowo „kontrowersja”. Spojrzał na Neeę, pożądał jej tak, że aż czuł skurcz i zimno w żołądku. Nie chciał mówić „nie” dziesięciu tysiącom euro, a może chodzi o pięć tysięcy, bo jest ich dwoje i dziesięć tysięcy podzielone przez dwa to pięć tysięcy, co oznaczało dokładnie pięć tysięcy euro więcej, niż posiadał.

Ale istniało coś, co przyprawiało go o szalony zawrót głowy i wywoływało udrękę – gdyż jednocześnie stanowiło klucz do zdobycia względów Neei – co wynikało z tego, że dobrze wiedział, kto jest mordercą. On.

Chwileczkę.

On i Chico.

Chico.

Myśl ta wcale nie była łatwa.

Spojrzał na Neeę.

– To naprawdę dużo – powiedział bardziej niż zwykle zachrypniętym głosem.

– Wystarczy nam, będziemy mogli stąd wyjechać – oznajmiła Neea.

My. Robin czuł, że się w nim gotuje. Był blisko czegoś, o czym zawsze marzył. Przypomniawszy sobie o przedmiocie stanowiącym w tej sytuacji zagrożenie. W mieszkaniu miał drewniany widelec do spaghetti, który zabrał z kuchni Olivii. Wisiał tam na ścianie i ręka Robina po prostu przyłgnęła do niego. Instynktownie, automatycznie. A teraz widelec znajduje się w niewłaściwym miejscu, ponieważ... Robin nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim: o propozycji Neei, o Chicu, o tym widelcu z długim trzonkiem. Przede wszystkim o tym ostatnim. Ale może to wszystko ma jakiś cel? Dokładnie jaki i w jakiej kolejności – to wydawało mu się jeszcze niejasne, tworzyło irytująco niewyraźny i zamglony obraz.

– Zamierzam zostać trenerem personalnym – powiedziała Neea. – A ty co chciałbyś robić?

Robin przełknął ślinę. Wiedział, czego chce. Lecz na jego drodze stało wiele przeszkód. Niełatwo mu było odpowiedzieć na pytanie Neei. Starał się, jak mógł, żeby sprawić wrażenie, że się zastanawia. Kupił tym sobie trochę czasu. Pomyślał, że rozwiązanie samo się znajdzie. Tak jak w restauracyjnej kuchni. Gdy kończył się jakiś składnik, zastępował go po prostu innym i nikt niczego nie zauważał. Lecz teraz rozwiązania brakowało, półki kuchenne świeciły pustkami, a sytuacja pozostawała taka sama. Robin siedział na kanapie, mając przed sobą uda Neei.

Pomyślał, że zaraz spełni się to, czego najbardziej się obawiał, a jednocześnie najbardziej pragnął. Neea zbliżyła się do niego, usiadła obok na kanapie i położyła rękę na jego nodze. Robin przyglądał się długim lśniącym paznokciom odznaczającym się na tle poplamionych spodni dresowych. W pokoju było niemożliwie gorąco. Strużki potu

łaskotały go w plecy. Nadal wpatrywał się w jaskrawoczerwone paznokcie. Zauważył, że wyobraża sobie, jaką przyjemność sprawiłoby mu, gdyby Neea podrapała go nimi po spoconych łopatkach.

Chico nie chciał jeszcze wchodzić do środka. Siedział na ławce w parku i wyobrażał sobie, co zobaczy: Robina na kanapie niemal całkiem nagiego, z otwartymi ustami, w telewizji program kabaretowy, a w nim mężczyźni przebranych za kobiety, występujących przy akompaniamencie krzyków i dzikich oklasków.

Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i zerknął ponownie w stronę znajomego, widocznego w oddali szeregowca. Mieszkanie Robina znajdowało się na końcu, paliło się w nim światło, więc gospodarz był w domu. Chico się nie śpieszył. Stary wierny przyjaciel na pewno poczeka. Może nie wszystkie ściany jego domu były proste, ale do niego samego można mieć zaufanie.

Chico zjadł ostatnią, zimną już, parówkę. W ulicznym kiosku kupił ich sobie pięć, ale nie smakowały tak, jak się spodziewał. Z kioskiem Chico miał podobną umowę co z barem – za ustaloną cenę dostawał towar, któremu kończył się termin przydatności. Pięć długich parówek za euro. Jednak dzień, przed którym najlepiej było je spożyć, minął już dawno temu. Smakowały jak wyprodukowane w zeszłym roku. Chico nałożył łyżkę musztardy na ostatni kawałek i wrzucił go do ust. Mimo musztardy nadal czuł na języku grzybowy, oślizgły smak. Przełknął. Parówka powędrowała do żołądka. Jedno zmartwienie mniej. Co nie znaczyło, że nie miał ich aż nadto.

Westchnął i wstał. Wiatr przeczesywał mu włosy. Wieczór był ciemny. Nie może spać na ławce. Starał się sobie wytłumaczyć, że przyjaźni się z Robinem od dzieciństwa i jego nagość powinna być dla niego naturalna, i że chodzi o przejściowe rozwiązanie na jedną noc. Znowu. Myśl o nieprzyjemnych rzeczach trzymała go jednak w miejscu, na piaszczystej ścieżce. Spojrzał w stronę szeregowca...

Otworzyły się w nim jakieś drzwi.

Światło uciekło na zewnątrz, rozlało się po podwórku i w jego zasięgu pojawiła się Neea.

Chico rozpoznałby ją kiedykolwiek, gdziekolwiek. Neea? Nie pojmował, co ją mogło sprowadzić do Robina. Przyglądał się niczym przedstawieniu w teatrze, jak posłała komuś całusa – chyba Robinowi,

bo on mieszkał sam – i wskoczyła na rower, a potem odjechała tam, gdzie – jak wiedział – znajdował się jej dom.

Stał przez chwilę w ciemności, potem chwycił gitarę i torbę z ubraniami i ruszył w stronę budynku. Drzwi oczywiście już się zamknęły. Szedł powoli, dźwigając ciężkie rzeczy. Zadzwoił i usłyszał kroki, zwaśsze niż zwykle. W drzwiach pojawił się Robin, bez koszuli. Wydawał się rozczarowany, a w każdym razie zaskoczony.

– Cześć.

– Cześć – przywitał się Chico, postanawiając, że nie wspomni o Neei, jeżeli Robin nie powie o niej pierwszy. Nie wiedział, skąd naszła go ta pewność, ale była ona niezłomna. – Mówiłeś, że mogę się u ciebie przekimnąć.

Robin nie odpowiedział od razu.

– No dobra – zgodził się w końcu.

Obaj stali nadal nieruchomo w drzwiach.

– Co porabiasz? – spytał Chico.

– Nic – stwierdził Robin. – Oglądam telewizję.

Spojrzenie miał skierowane w jakiś punkt na podłodze między nimi.

– Wieczór telewizyjny... To fajnie – uznał Chico. – Dają coś dobrego?

– Tak.

Oczy Robina nadal patrzyły na podłogę.

– Co? – dopytywał się Chico.

Przyjaciel spojrzał na niego wyraźnie zdziwiony.

– Co co?

– No, powiedziałaś, że dają coś dobrego, więc spytałem, co takiego. Co oglądałeś, jak zadzwoniłem do drzwi?

Robin unikał jego wzroku. Co Chico jeszcze niedawno o nim myślał? Że chociaż nie ma całkiem równo pod sufitem, to jednak jest wierny i można mu ufać. Chwycił mocniej futerał na gitarę.

– Mogę wrzucić rzeczy do środka?

Robin nic nie odpowiedział, tylko otworzył drzwi na oścież i cofnął się o krok, a potem odwrócił. Chico wszedł w głąb mieszkania, do jasno oświetlonego przedpokoju i już miał rzucić gitarę na podłogę, gdy ujrzał plecy przyjaciela. Wyglądały, jakby Robin walczył z tygrysem.

Holma przeliczył pieniądze. Ponownie. Dwadzieścia pięć tysięcy dwieście czterdzieści pięć euro. Więcej, niż się spodziewał. Ułożył banknoty w stosik, przesunął je na środek stołu i w świetle porannego słońca ujrzał zarówno gotówkę, jak i nowe możliwości. Po prawdzie już w trakcie nocnej jazdy samochodem zdążył się nimi rozkoszować.

Kasa na wakacje. Żetony do gry. Substancje odurzające. Oczywiście zabawa.

Ludzie dostają małego rozumu z powodu pieniędzy. I właściwie suma nie ma znaczenia. Najważniejsze, by szybko i łatwo przejąć gotówkę. Dziesięć centów albo milion. Nic tak nie podnieca człowieka jak szansa na błyskawiczną wygraną. Holma wiedział to z doświadczenia. Przez lata przebywał w pobliżu ludzi, którzy zostali oślepieni pieniędzmi. Niektórzy na krócej, inni na dłużej. Holma pomagał im otworzyć oczy i wszyscy w końcu się budzili.

Wydzielił ze stosu dziesięć tysięcy euro. To pójdzie dla Olivii. Na jakiś czas. Zanim nie porachuje się z mordercą Antera. Holma wyobraził sobie długotrwałe i różnorakie czynności, wymagające trochę przygotowań i odpowiedniego miejsca. Na pewno takie się znajdzie.

Po odłożeniu części sumy na stole pozostało nieco ponad piętnaście tysięcy euro. Pomyślał o opalonych, jędrnych i błyszczących od potu pośladkach, o których marzył. Jeżeli pożyczyci Olivii Koski dziesięć tysięcy, to tyle samo może pożyczyć Neei. Konkurencja między nimi będzie interesująca z wielu względów. Zwłaszcza jeśli chodzi o rozrywkę dla niego samego. Ale może także przynieść efekty. Która z nich wcześniej poprowadzi go we właściwym kierunku?

Holma się roześmiał i natychmiast spoważniał.

Pomyślał o człowieku, który wynajął mu ten domek. Człowieku, który był jego właścicielem. Holma nie słuchał wszystkiego, co tamten wtedy opowiadał, zapamiętał tylko to, co miało związek z poszerzaniem działalności. Poszerzaniem, rozwojem biznesu. Holma znał, choć już to

czas zaprzeszły, takich mężczyzn. Ludzi, których biznes mógł poderwać do lotu w każdej chwili. Ludzi, którym oferował pewnego rodzaju spadochron, gdy wzlot niespodziewanie – a raczej zgodnie – z przewidywaniami – się zatrzymywał. Nie przypominał sobie nazwiska właściciela domku, chociaż podali sobie ręce. Potem pomyślał, że to nie ma znaczenia. Przedstawi się jeszcze raz. To będzie wyglądało naturalnie, ponieważ ma dla niego propozycję biznesową.

Holma ogolił się i włożył obcisłe czarne dżinsy, żółtą koszulkę polo i złote buty sportowe Asics, a potem wziął stos banknotów, schował je do kuchenki mikrofalowej i starannie zamknął drzwiczki. Niezupełnie był to sejf, ale w takim miejscu raczej nie kręciło się zbyt wielu włamywaczy. Zasłał łóżko, umył zęby, otworzył drzwi i wyszedł na ganek.

Ranek wydawał się chłodny, mimo to przed sąsiednim domkiem ktoś siedział. Holma poznał już mieszkającego tam człowieka, ale nie pamiętał jego nazwiska. Szybko zapominał o takich nic nieznających ludziach. Czemu miałyby zawracać sobie nimi głowę, jeśli nie miał z nich pożytku. Zabierali mu tylko miejsce w mózgu, które chciał wykorzystać w lepszym celu. Motto dnia: Pamiętaj, że słońce wstaje, gdy... słońce...

– Dzień dobry – przywitał go mężczyzna z sąsiedniego domku.

Przyjrząwszy się mu dokładniej, Holma stwierdził, że wygląda niczym lump. Sąsiad miał długie i zmierzwione włosy, zarost przeradzający się w brodę, był w wyblakłym brązowym T-shircie i flanelowej koszuli w różową kratkę, niezapiętej i jakoś tak przekrzywionej. Jak ktoś taki może sobie pozwolić na urlop? Za co? Czy teraz bezrobotnych wysyłają na wakacje nad morzem?

– Dzień dobry – odpowiedział Holma, rzucając mu uśmiech. – Tak wcześnie na spacer?

– Niedługo zaczyna mi się lekcja windsurfingu. Uczę się surfowania. Dzisiaj mam drugą godzinę.

Może lumpa przysłali tu na rehabilitację? Ale co mu dolegało? Niechlujstwo?

– Czy to nie są dwie różne rzeczy? – spytał Holma. – Surfowanie i windsurfing?

Lump spojrział na Holmę i ten dostrzegł w nim coś szczególnego. Ale co?

– Ja rozumiem to tak – odparł sąsiad, wypowiadając słowa bez pośpiechu – że w Finlandii oznaczają one to samo, czyli pływanie na

desce. Niezależnie, o której dyscyplinie mowa. Ale pana pytanie jest zasadne. Surfowanie rzeczywiście znaczy ślizg na desce i w Finlandii tego nie można uprawiać. No można, ale byłoby to raczej nudne. Bo nie mamy wystarczająco wysokich fal.

To nieprawda, pomyślał Holma, ten facet prochu by nie wymyślił, i uśmiechnął się ponownie.

– Ale w Finlandii są mocne wiatry – powiedział. – Więc...

Lump pokiwał głową.

– Jest to windsurfing. Interesujesz się którąś z tych dyscyplin? Surfowaniem albo windsurfingiem?

– Nie – oświadczył Holma.

– A pływasz kajakiem?

– Nie.

– Grasz w siatkówkę plażową?

– Nie.

– Uprawiasz pływanie?

– Nie.

– To na pewno mądrze – nawijał lump. – Wczoraj woda była tak zimna...

– Muszę już iść – oznajmił Holma, bojąc się, że mózg mu się zlasuje. Jeszcze raz rzucił rozmówcy uśmiech. – Życzę wiatru w żagle.

Sąsiad się uśmiechnął i Holma znów dostrzegł w nim to samo, co przed chwilą. Coś szczególnego w wyglądzie, spojrzeniu, postawie, ale nie mógł tego skonkretyzować. Zszedł z ganku do suchego, rosnącego na piasku sosnowego lasu i gdy poczuł ziemię pod stopami, zawrócił i ruszył przed siebie.

Jan Nyman obserwował, jak sąsiad odchodzi. Holma się oddalił, minął swój samochód, lśniące czarne bmw, i zniknął za domkiem. Nymanem targały wątpliwości, co ma robić. Niedługo zaczynała się jego lekcja windsurfingu, to prawda. Jednak za bardzo mu się do niej nie śpieszyło i dodatkowo jego zapal zmniejszało wspomnienie dłoni instruktora, sprężystych palców próbujących wcisnąć się między jego pośladki. To nie mogło być częścią oficjalnej metody nauczania. Ale nie z tego powodu się wahał. Zastanawiał się, czy powinien się włamać do domku sąsiada.



Rozmyślnie mówił powoli, chcąc swoimi pytaniami powstrzymać mężczyznę przed odejściem. Chciał zobaczyć, jak on zareaguje. Ten zachował się tak, jak Nyman się spodziewał – ogarnęła go niecierpliwość. Czasem ludzie w takiej sytuacji zdradzają się z czymś. Tym razem Nyman niczego nie zauważył. Jednak odpowiedzi, których mężczyzna udzielał na zadawane wprost pytania, pokazały mu coś innego. Sąsiad przyjechał do Palm Beach Finland na wczasy, ale nie robił nic takiego, co tutaj można robić. Nyman zadał sobie pytanie, czy gdyby miał samochód o wartości siedemdziesięciu tysięcy euro i nie interesował się niczym takim, czym można się zajmować w niegdysiejszym ośrodku urlopowym Milutkie Wczasy, to przyjechałby do niego, żeby nic nie robić i zamieszkać w tanim domku?

Odpowiedź była tak oczywista, że Nyman przejrzał swoje narzędzia i wybrał zestaw wytrychów i jednorazowe lateksowe rękawiczki.

Podszedł do szosy i rozejrzał się w obu kierunkach. Nic tylko zimne światło, wiatr poruszający gałęziami drzew i odgłosy toczącego się w oddali życia. Udał się do domku sąsiada. Zamek firmy Abloy puścił w ciągu pół minuty. Nyman wszedł do środka i zamknął drzwi. Castillo wyglądał jak Tubbs i na odwrót. Wystrój i wyposażenie były identyczne, łóżko piętrowe, mała kuchnia, stół jadalny, wokół niego krzesła, szafa na ubranie, miniaturowa łazienka. Lokatora cechowała schludność – łóżko zostało starannie zasłane, koszule wisiały na wieszakach, kilka przedmiotów na stole ustawiono w równym szeregu. Nyman włożył lateksowe rękawiczki i zabrał się do roboty. Sprawdził najpierw meble, poruszył nimi, przesunął je, a potem ustawił na poprzednim miejscu i zajrzał pod nie. Przetrasnął łóżko, pościel, poduszki i materac, także pod spodem. Zbadał szafę z zewnątrz, od środka i z tyłu. Obmacał znajdujące się w niej ubrania, odwracając je i patrząc, czy nie ma czegoś za nimi albo w środku. Przeszukał kieszenie dwóch marynarek i pary spodni. Otworzył lodówkę, znalazł w niej jedzenie wysokobiałkowe, serek homogenizowany, głównie z dodatkiem płatków owsianych, jaja, mięso mielone z siedmioprocentową zawartością tłuszczu, odtłuszczony serek wiejski i ku swojemu zaskoczeniu paczkę najtańszej kiełbasy sprzedawanej pod własną marką sklepu. Zamknął lodówkę i otworzył szafkę na naczynia, wyciągnął szuflady, sprawdził, czy nie ma czegoś pod lub za nimi, kucnął i zajrzał pod zlew, przerzucił śmieci wskazujące na to, że zawartość lodówki nie zmieniła jednak kulinarnych nawyków mężczyzny. Podniósł się znad kosza, podszedł do okna, ale nie zobaczył

nikogo. Położył się na brzuchu na podłodze, uniósł głowę i powiódł wzrokiem po ziemi, zaglądając pod meble i w miejsca połączeń ścian. Potem odwrócił się na plecy i przyjrzał się dokładnie sufitowi oraz wszystkim elementom biegnącym do góry. Szczególnie dokładnie obejrzał konstrukcję łóżka, malutką kuchnię i ponownie punkty mocowań szafek do ścian. Wstał, wziął krzesło, stanął na nim i zajrzał za szafki. Odstawił krzesło na miejsce przy stole jadalnym i wszedł do miniaturowej łazienki. Uniósł pokrywę sedesu, a następnie ją zamknął i sprawdził wzrokiem i dłonią, czy czegoś nie ma z tyłu muszli klozetowej, przejrzał torebkę z kosmetykami toaletowymi, znalazł drogi szampon, drogi dezodorant, niezbyt kosztowny żel do golenia i najnowszy model maszynki. Żadnych leków ani nic, co byłoby podpisane. Obmacał stojak pod umywalką, mikroskopijną szafkę, zbadał wzrokiem wszelkie połączenia ścian i podłogi, lecz nie stwierdził w nich ubytków ani szpar, w których można by cokolwiek ukryć. Wrócił do pokoju i stanął dokładnie pośrodku pomieszczenia. Powtórzył sobie w myślach zasadę: „Czy otworzyłeś wszystko, co się da, przesunąłeś wszystko, co ruchome?”. Powoli sprawdzał wzrokiem jeden przedmiot za drugim, tak aby móc powiedzieć, że wie i czuje, co jest w środku i wokół niego. Wykonał żmudny, systematyczny obchód i zatrzymał się przy malutkiej kuchni. Czy nacisnął każdą klamkę, otworzył wszystko, co się da otworzyć? Ta... Nie. Podszedł do mikrofalówki, zajrzał do niej i zobaczył stos banknotów. Wyciągnął z kieszeni telefon, sfotografował pieniądze, schował komórkę i obejrzał dokładniej sprzęt. Wyglądało na to, że gotówki nie było nigdzie indziej poza mikrofalówką. Nyman odwrócił się i znów podszedł do okna. Na dworze nadal było cicho i pusto. Wrócił do mikrofalówki i oszacował wzrokiem stos pieniędzy. Wyciągnął z kuchennej szuflady drewnianą szpatułkę z logo firmy Clas Ohlson, przyłożył ją z boku do banknotów i poruszył je ostrożnie. Żadnych nabojów z farbą, cienkich obwodów elektrycznych ani innego zabezpieczenia. Jedynie duża kupka pieniędzy. Nyman wziął banknoty i przeliczył je na oko. Oцениwszy pobieżnie, uznał, że jest tego około dwudziestu pięciu tysięcy euro. Odłożył pieniądze, zamknął mikrofalówkę i przed wyjściem zerknął przez okno. Otworzył drzwi, ściągnął rękawiczki i wcisnął je do kieszeni. Wszedł na ganek, przeskoczył schody, stanął na ziemi i wciągnął w płuca świeży poranny wiatr. Powietrze na zewnątrz było zimne i czyste, a on czuł się tak jak wtedy, gdy nabierał oddechu zaraz po nurkowaniu.

Zapamiętał numer rejestracyjny bmw i wrócił do swojego domku. Usiadł przy stole, włączył iPada i uruchomił wyszukiwarkę. Po chwili miał wynik. Bmw należało do spółki holdingowej, której nazwa składała się z szeregu liter wypisanych wersalikami. Nyman wrzucił ją do wyszukiwarki, co znów przyniosło efekt. Firma istniała od kilku miesięcy i nie przekazała jeszcze żadnych danych na temat działalności gospodarczej. Dyrektorem zarządzającym był Esa Koljonen. Sąsiad podał mu właśnie takie nazwisko. Nyman poszukał informacji o nim w policyjnej bazie danych, ale nie znalazł niczego i koło się zamknęło. Oparł się plecami o krzesło, wyjrzał przez okno i zobaczył róg domku sąsiada.

Pomyślał, że Castillo także jest zagrzybiony.

Biuro ośrodka czasowego znajdowało się w pudełkowatym, pomalowanym na jaskrawoniebieski kolor budynku. Do jego dachu przytwierdzono mniejszą wersję tablicy stojącej na plaży. Przed wejściem z obu stron posadzono niedawno palmy. Ziemia wokół nich była ciemna i zbrudzona. Drzewa wyglądały dziwnie, ale Holma nie potrafił stwierdzić dlaczego.

Wszedł do środka i od razu zlokalizował właściciela, słysząc, jak rozmawia przez telefon. Holma rozejrzał się i zobaczył, że mężczyzna jest sam, więc wszedł od razu do jego pokoju, zamknął za sobą drzwi i usiadł na krześle po drugiej stronie biurka. Właściciel podniósł wzrok, a na jego twarzy pojawiło się z oczywistych powodów pytanie. Machając rękami i kiwając głową, Holma dał mu do zrozumienia, żeby kontynuował rozmowę, i zaczął się przysłuchiwać tłumaczeniom, które wielokrotnie słyszał od innych.

– Na pewno trafiła do skrzynki ze spamem... A dodatkowo nasz księgowy jest trochę chory i dlatego są opóźnione... Rak nerki. Ale już mu lepiej... Przecież pieniądze nie są najważniejsze... Ale oczywiście, że... W pierwszej kolejności, już sobie zapisuję.

Holma widział, że właściciel nie robi nawet najmniejszej notatki. Za jego plecami na ścianie wisiał oprawiony plakat przedstawiający ubraną w skąpe bikini uśmiechniętą kobietę, stojącą z przechyloną głową na długiej plaży tuż obok dedykacji wypisanej markerem. Holma nie rozpoznał nieznajomej, której obfite piersi walczyły kapryśnie z krępującymi je wąskimi paskami kostiumu kąpielowego. Nie mógł

także odcyfrować podpisu. Wyłowił jedynie nakreślony czarnymi drukowanymi literami na niebieskim niebie krótki tekst: TO JORMA WITH LOVE. No oczywiście, Holma przypomniał sobie, mężczyzna nazywał się Jorma Leivo.

Właściciel właśnie skończył rozmowę, wziął z biurka płócienną chusteczkę do nosa i wytarł pot z czoła, chociaż zdaniem Holmy w pokoju nie było gorąco. Uniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Przepraszam, że musiałeś czekać – powiedział. – Nasi konsultanci są chyba teraz zajęci. Czy w domku wszystko w porządku?

– Tak – zapewnił go Holma.

Leivo popatrzył na niego uważnie.

– Czy chodzi o jakąś inną usługę w Palm Beach Finland? Może chcesz wykupić coś dodatkowo?

– Dodatkowo?

– Może lekcje gry w tenisa? – spytał Leivo. – Mamy teraz na nie rabat dnia. Nauczycielem jest człowiek, który prawie wygrał Wimbledon. Znam go osobiście, więc mogę wynegocjować cenę. Dorzucę do tego wypożyczenie rakiety. Prawdziwy wilson, żadna tam podróbka. Testowana przez zawodowca, nieużywana, chociaż owszem, raz, jeden raz przez pewną babcię. W ciągu godziny zdążyła odbić piłkę może ze trzy razy. A raczej dwa i pół, jeśli być dokładnym. Atak serca. Miała wiotką rękę, ale uścisk jak imadło. Wyjęliśmy jej raketę ostrożnie. Założyliśmy nową owijkę, nawet śladu zapachu staruszki. Kort ma najlepszą nawierzchnię, to samo kruszywo co na paryskim Roland Garros. Potwierdzi kolega, który był we Francji. Wielki miłośnik wina, sam też robi wino w domu. To co, zapisujemy się?

W trakcie tego monologu Holma przyglądał się właścicielowi ośrodka. Jaskrawozielona koszula, rytmicznie gestykułujące ręce, czerwona twarz, sterczące po bokach głowy jasne włosy i niebieskie oczy z czerwonymi obwódkami. Wyglądał niczym wypalony do cna dyrygent.

– Zapisz to tam, gdzie wpisałeś niezapłaconą fakturę – oznajmił Holma. – I przesunij mnie na początek kolejki tak jak tego, co do ciebie dzwonił.

Zobaczył, że wyraz twarzy Leiva się zmienia, i dodał:

– Żartowałem. Nie zapisuję się na żaden kurs ani nie kupuję dodatkowych usług.

– To w jakiej sprawie przyszedłeś? – zapytał gospodarz, a Holma pomyślał, że jego głos brzmi już inaczej.

– Problemy z pieniędzmi to żaden wstyd – oświadczył gość, wyciągnął z kieszeni etui z wizytówkami i otworzywszy je, podał mu jedną z nich. – Wszyscy je mamy od czasu do czasu. To znaczy ja nie mam, ale znam wielu ludzi, którzy mają. Wiem też, że na każdy problem finansowy zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie.

Nie dodał, że czasami jest to rozwiązanie ostateczne. Leivo się nie odzywał, oglądał wizytówkę, czytając zawarte w niej informacje. Holma także śledził wzrokiem złoty połysk bijący od liter.

– Bardzo mi się podoba to miejsce – oświadczył, znów patrząc na właściciela ośrodka. – I instytucja finansująca, którą reprezentuję, zapatruje się na to podobnie. Widzimy możliwość inwestowania. Zastanawiamy się między innymi nad wysokością sumy, którą można by przeznaczyć na ten cel. Inwestor, którego reprezentuję, operuje wyłącznie gotówką.

Nie dodał, że ten inwestor leży teraz w mieszkaniu w Hakaniemi z poderżniętym gardłem.

– Martwi nas tylko jedna sprawa – kontynuował Holma – ale sądzę, że można ją rozwiązać i jak to się mówi, kontrolować. Chodzi o opinię, jaką ma ten ośrodek.

Leivo spojrzał na niego pytająco. Jego mina sugerowała, że jest bardziej skłonny do rozmowy niż jeszcze chwilę temu. Spowodowała to wzmianka o pieniądzech, które sprawiają, że ludzie zaczynają zachowywać się jak przyjaciele. A raczej nie jak przyjaciele, tylko – co lepsze – sojusznicy gotowi sprzedać swoich przyjaciół.

– Jakiś czas temu ktoś tu zginął i ten przypadek rzucił nieprzyjemny cień na całą miejscowość – oświadczył Holma. – Z tego, co wiem, zabójstwa nadal nie wyjaśniono. Uważamy, że jeżeli sprawa zostanie załatwiona i zakończona, to można będzie o niej zapomnieć i wszyscy zasiądziemy do czystego stołu. I kto wie, czym wtedy mógłby się stać ośrodek Palm Beach Finland.

Leivo sprawiał wrażenie zainteresowanego propozycją. Odwrócił wizytówkę i odczytał ją na głos.

– Vanamoinen and Siltakari. – Pokiwał głową. – Spółka inwestycyjna. Capital Ventures.

Ostatnie dwa słowa wypowiedział fonetycznie. Holma uznał to za dobry znak.

– Zgadza się.

– A ty jesteś kim?

– Przedstawicielem spółki. Nazywam się Markus Komulainen.

– No tak, no tak – powtarzał Leivo, a jego głos znów zabrzmiał przymilnie jak podczas oferowania zniżki na lekcje gry w tenisa. – Potencjał. To miejsce je ma. I mówiąc szczerze, można je przyrównać do Nicei. Staramy się też o zakup dodatkowych terenów. Zbuduje się tu luksusowy ośrodek dla szczególnie wymagających klientów. Jeszcze tylko kilka działek, a właściwie jedna, i już nabieramy pełnego rozpędu. Obok będą lądowisko dla śmigłowców, nowa przystań dla jachtów, mogę pokazać symulację fotograficzną, mam ją gdzieś tutaj...

Holma uniósł dłoń na znak, by właściciel ośrodka zamilkł.

– Najpierw to, co najpilniejsze – powiedział. – Sprawa śmierci tego człowieka.

Leivo spojrział na niego, ale Holma nie potrafił odczytać, co się kryło w jego oczach.

– Moim zdaniem to nie jest problem. Ludzie umierają w ośrodkach wczasowych.

– Zapłacimy dziesięć tysięcy euro za informacje prowadzące do znalezienia winnego.

Leivo milczał. Holma pomyślał, że potrzebuje czasu. Właściciel ośrodka skierował spojrzenie na stół, jakby dopiero teraz zauważył, że leży na nim wiele dokumentów, najprawdopodobniej faktur, i zastanawiał się. Potem położył obie ręce na stole i znów popatrzył na Holmę.

– Dziesięć tysięcy? – spytał.

– W gotówce – potwierdził Holma, robiąc krótką przerwę, aby informacja o wysokości sumy dotarła głęboko do świadomości jego rozmówcy. – Podkreślam, że to tylko początek, ale ma decydujące znaczenie. Potem wszystko będzie możliwe. Sprawy zaczną się naprawdę toczyć szybko. To mogę obiecać. Najpierw jednak musimy się zatroszczyć o poprawę opinii tego miejsca i jego posprzątanie. Jest też inny powód, dla którego skontaktowaliśmy się z tobą w tej sprawie.

Leivo patrzył na niego, siedząc nieruchomo.

– Chodzi o to, czym się zajmujesz – dodał Holma. – Znasz wielu ludzi. Słyszysz różne rzeczy. Spotykasz się osobiście prawie ze wszystkimi turystami, którzy tu przyjeżdżają i stąd wyjeżdżają. Możesz ich spokojnie wypytywać.

Leivo nic nie odpowiedział. Ale to nie szkodzi, pomyślał Holma, sprawa została jasno przedstawiona. Nie ma takiego człowieka, którego

dziesięć tysięcy łatwych euro nie spowodowałyby do natychmiastowego działania, zrobienia czegoś, czegokolwiek. Wstał.

– Wiesz, gdzie mieszkam – rzucił i wyszedł.

## 16

A to niespodzianka, pomyślała Olivia Koski. Dzisiaj rano kostium kąpielowy wydawał się jej odpowiedni. Choć nadal nie wyglądała w nim dobrze i tekst widniejący na nim sprawiał jeszcze bardziej absurdalne wrażenie, to jednak skąpe ubranie już jej tak nie peszyło. Zastanawiała się, czy nie wynika to ze świadomości, że jest ono tymczasowe. Skąd to wiedziała? Tak po prostu. A właściwie to wiedziała, że się postara, aby było tymczasowe.

Obejrzała się w lustrze, oświetlona porannym słońcem, zastanawiając się nad tym, ile człowiek potrzebuje, żeby wreszcie czegoś się nauczyć. Jak dużo musi się wydarzyć, aby w wieku trzydziestu dziewięciu lat spojrzeć na swoje odbicie i nabrać pewności, że odtąd wszystko już będzie inaczej. W jej przypadku potrzeba było do tego dwóch nieudanych związków z mężczyznami, śmierci rodziców, morderstwa, wysadzenia szopy w powietrze, spalenia sauny, braku wody – i interesującego nauczyciela matematyki. Olivia zdała sobie z tego sprawę wieczorem, gdy powiedziała to na głos. Jan Kaunisto jest przystojny i interesujący, stwierdziła. Szczerze mówiąc, to nie pamiętała, aby wcześniej spotkała interesującego i przystojnego mężczyznę, który już podczas drugiego spotkania nie zacząłby narzekać na swoją jak najbardziej tymczasową, słabą sytuację finansową spowodowaną przyczynami obiektywnymi. Uśmiechnęła się i w lustrze zobaczyła rozjaśnioną radością twarz. Poczowała się z tego powodu dobrze. Tak dobrze, że spodobał się jej własny wygląd.

Wciągnęła na kostium kąpielowy spodnie od dresu i bluzę z kapturem, potem włożyła buty. Sprawdziła torbę, upewniając się, że zapakowała ubranie na zmianę. Przeskoczyła schody i podeszła do roweru. Nigdy nie zapinała łańcucha, zostawiając rower na podwórku. Nadal tam stał. Nieco dalej znajdowały się pozostałości sauny. Przyszła jej na myśl obietnica złożona przez adwokata. Powiedziała mu, że do dziewiątej rano będzie w domu, a potem w pracy na plaży, gdzie łatwo ją



znaleźć: pełni dyżur na wieży ratowniczej, która jest tylko jedna. Dziesięć tysięcy euro może przynieść w jedno z tych miejsc, jeśli pieniądze będą dobrze zapakowane. Adwokat oświadczył, że rozumie i że w przypadku pieniędzy zawsze postępuje z wyczuciem.

Olivia włożyła torbę do kosza, zabezpieczyła ją gumową taśmą i wskoczyła na siodełko. Chłodny piękny poranek. Wciągnęła szczypiące powietrze w płuca i przypomniała sobie, że Jan Kaunisto zaczął właśnie lekcję windsurfingu. Zrobiło się jej z tego powodu wesoło, ale było to raczej przyjemne uczucie utrzymujące się pod mostkiem niż takie, które wywołuje śmiech.

Przypomniała sobie także słowa panny Simoli. Wcześniej nie pomyślała o Leivie dlatego, że jego zachowanie budziło jej podejrzenia: mówił w taki sposób, jak to robią handlowcy, może nie każde jego słowo było kłamliwe, ale w każdym razie większość. Przedstawił nędzną, bezczelną ofertę kupna domu i działki za psie pieniądze i już tym samym dobrowolnie postawił się w szeregu podejrzanych. Ponadto tego wieczoru, gdy zostało popełnione zabójstwo, siedział w swojej restauracji, jadł lody i poplamił sobie nimi białą koszulę, jak to widać na zdjęciach. Z tego powodu trudno było go podejrzewać. Wydawało się to zbyt oczywiste.

Jednak panna Simola nie była osobą, która mówiła coś wyłącznie dla zabawy. Olivia pamiętała ją jako kobietę chodzącą własnymi drogami, nieoszczędzającą uwag i ponowne spotkanie nie zaćmiło tego wrażenia.

Dobrze, pomyślała, założmy, że to jednak Leivo. Nie robi tego sam... Posyła kogoś do jej domu, a potem jeszcze kogoś innego, żeby zamordował tego pierwszego... Nie, wynajmuje dwóch ludzi, którzy się kłócą podczas wykonywania... czego? Nic nie zostało zabrane, poza starą drewnianą drapaczką. Czyli nie chodzi o włamanie i kradzież, która oczywiście nie przyniosłaby złodziejom żadnej korzyści. Olivia nie posiadała – poza domem – niczego wartościowego, w budynku także nie znajdowało się nic cennego do spieniężenia, jeśli nie liczyć kilku obrazów matki. A ich zwykle nie brano w takim przypadku pod uwagę, co było oczywiście smutne. Więc cały ten niemożliwy scenariusz wyglądał tak, że Leivo wynajmuje człowieka lub ludzi, żeby poszli do jej domu i się pobili, aż jeden z nich zginie.

Nie brzmiało to zbyt sensownie. Nie chodziło o to, że Jorma Leivo nie mógłby zaćmić Stephena Hawkinga, pretendując do roli następnego specjalisty od powstania świata, ale podobny idiotyzm trudno sobie

nawet wyobrazić. Z drugiej strony istniał skutek takiego działania, czyli martwy człowiek, budzący jej lęk, co Jorma Leivo podkreślał przy każdej okazji. Olivia postanowiła jeszcze raz porozmawiać z panną Simolą, chociaż ta nie знаła odpowiedzi. Miała jednak wrażenie, że otrzyma od niej wsparcie, dzięki czemu uporządkuje myśli. Rozmawiały tylko kilka minut i Olivia już poczuła, że otwiera się w niej jakieś dawne połączenie, dzięki któremu łatwiej jej było mówić i ujrzała wszystko wyraźniej.

Rower podskakiwał na wyboistej żwirowej drodze. Olivia zobaczyła morze. Niebieską, połyskującą powierzchnię, która na pierwszy rzut oka wydawała się bezgraniczna, ale która urywała się i kończyła na drugim brzegu. Jak wszystko inne, i ten bezkres miał swoje ostateczne granice.

Olivia zakręciła, minąwszy tablicę. Jej jaskrawość i krzykliwość niemal przylepiły się do niej, chociaż przejechała obok ze znaczną prędkością, czując, że ucieka przed krzyczącymi literami, różem i neonową zielenią. Znowu przywiodło jej to na myśl Jormę Leiva.

Najpierw dziwne zabójstwo, potem spalona sauna. Jej zniszczenie było oczywiście bardzo wymowne i dosadne. Jeżeli chce się zwrócić uwagę Fina, jeżeli chce się oświadczyć swojemu rodakowi coś ważnego i istotnego, to najlepiej spalić jego saunę. Wtedy wiadomość na pewno do niego dotrze. Wiadomość, która mówi – być może skuteczniej niż inne – że wkraczasz na jego działkę, że nie szanujesz jego terenu, że nie ma dla ciebie nic świętego, co dotyczy drugiej osoby. To jak wypowiedzenie przez ciebie wojny. Lecz tutaj znowu pojawia się problem. O jaką wojnę chodzi? Przeciwno komu Olivia powinna teraz wystąpić? Kto tu właściwie wojuje z kim? Jeżeli założyć, że Jorma Leivo nadal chce przejąć działkę, to czy warto wypowiadać wojnę i zwracać uwagę wszystkich, także policji i straży pożarnej, i utrudniać sobie realizację zamiaru? Taki sposób promowania działalności Palm Beach Finland po prostu nie wydawał się rozsądny.

Olivia oparła rower o pień drzewa i zamknęła kluczykiem kłódkę. Dawniej wybrzeże było bezpieczne, ale tego lata wiele osób zgłaszało drobne kradzieże: z kilku torebek zabrano kupony na lunch i jakieś przedmioty, z niektórych koszyków zniknęły kanapki podczas pikniku, a jeden z gości upierał się, że ktoś podwędził obrożę jego pudła, gdy on, właściciel, poszedł popływać, i że kupił ten czarny, skórzany, ozdobiony ćwiekami egzemplarz za granicą i że pies się do niego przywiązał, i że był pod wpływem szoku spowodowanego kradzieżą. Olivii zrobiło się przykro, gdy pomyślała o zszokowanym psie, ale nie potrafiła sobie

wyobrazić, kto chciałby ograbić pudła z malutkiej wysadzonej świekami obroży, nawet jeśli przypomina bransoletkę, i w jakim celu miałyby to robić.

Podeszła do jaskrawożółtej wieży i wspięła się po kilku stopniach, żeby rzucić torbę na krzesło. Wybrzeże było w zasadzie puste, ale na jego krańcach zobaczyła kilkoro ludzi, po lewej stronie cztery osoby grały w siatkówkę plażową, a po prawej, właściwie już w morzu, trochę dalej od brzegu, w miejscu, gdzie jeszcze było płytko, ale skąd dno zaczynało się szybko obniżać, trwała nauka windsurfingu w wykonaniu trenera i trzech uczniów. Jednym z nich był Jan Kaunisto.

Olivia rozpoznała go z łatwością. Miał na sobie wypożyczony kombinezon z nadrukowaną na plecach białą palmą. Przewracał się i wdrapywał na deskę, stawiał żagiel, by znów się przewrócić i wstać, i... Jan Kaunisto sprawiał wrażenie wytrwałego człowieka.

Ściągnęła bluzę z kapturem i zawiesiła ją na gwoździu wbitym w środkową część konstrukcji wieży. Pochyliła się, by zdjąć spodnie od dresu, gdy usłyszała za sobą jakiś głos.

– Piękne widoki.

Z opadniętymi do kostek spodniami zrobiła półobrót. Adwokat. Już się pojawił.

Jego spojrzenie przeniosło się powoli z jej nóg na głowę. Skąd się coś takiego bierze? Wynik ewolucji? Czy jeden jaskiniowiec powiedział kiedyś do drugiego: Hej, przecież gdzieś tu w środku musi być cipka. Olivia spojrzała przybyszowi w oczy, ten się uśmiechnął, a potem jego uśmiech rozlał się szybko na całą twarz i pozostał na niej niczym na trwale zainstalowany element. Olivia znów zaczęła się rozbierać, ściągnęła spodnie i powiesiła je na tym samym gwoździu. Odwróciła się i popatrzyła na gościa.

– Tak jak się umawialiśmy – powiedział mężczyzna i podał jej małą papierową torebkę.

Olivia wzięła ją. Na torebce widniała nazwa słynnego sklepu modowego, w którym zwykle kupowano torebki i szale. Lecz teraz, gdy zajrzała do środka, zobaczyła banknoty. Prawdopodobnie była to umówiona suma, w każdym razie dużo. Nie od razu przystąpiła do przeliczania pieniędzy.

– Dziesięć tysięcy euro – oświadczył adwokat. – A tam, skąd pochodzą, jest ich jeszcze więcej.

– Postaram się o tym pamiętać – oznajmiła Olivia.

– Tylko jeśli będą wyniki – podkreślił mężczyzna. – My oczekujemy szybkich wyników. Bez nich zabieramy pieniądze. Przypominam jeszcze o odsetkach. To sprawa, co do której chcemy mieć jasność. Ludzie zapominają o odsetkach. Zupełnie jakby pieniądze nic nie kosztowały. Zupełnie jakby... to były darmowe pieniądze. A nie są.

Uśmiechał się za każdym razem, gdy kończył zdanie. Tak było i teraz. Olivia nie wiedziała jednak, dlaczego to robił, bo rzadko mówił coś wesołego albo w zabawny sposób. Wprost przeciwnie, jego głos brzmiał miękko, obojętnie i monotonnie; takim głosem nie można było powiedzieć nic, co zakończyłoby się jakąś puentą. Akcenty także rozkładały się niewłaściwie.

– Skontaktuję się – obiecała Olivia.

– Kiedy? – spytał natychmiast adwokat.

Na to mogła mieć oczywiście tylko jedną odpowiedź.

– Wkrótce.

Sądziła, że po otrzymaniu odpowiedzi prawnik zaraz sobie pójdzie. Ale ten włożył ręce do kieszeni, zrobił kilka kroków do przodu, stanął obok niej i zaczął wpatrywać się w morze. Musiała się zwrócić w tę samą stronę i stali tak obok siebie. Olivia czuła jego bliskość. Ujrzała, jak Jan Kaunisto wspina się na deskę, pociąga żagiel, być może zerka na brzeg, a następnie odpływa nieco ukośnie w stronę otwartego morza.

– Ten lump naprawdę surfuje – zauważył adwokat.

Olivia nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Wkurza mnie to – rzucił. – Płacimy podatki i dostajemy coś takiego. Jakiś hipis robi sobie wakacje, surfuje, zapuszcza brodę. I po co to wszystko? Teraz będzie umiał surfować. Brawo. Jeszcze się na dodatek opali. Pływa sobie, przez kilka dni uczy się, niezdara, jak skręcać deskę, wraca do domu i siada zrelaksowany na kanapie, z której wstaje dopiero po roku. Jeśli w ogóle wstaje. No bo przecież tu jest za zimno, a jak żagiel się przewróci, to dozna traumy. I wtedy wyskakuje skądś psychiatra i wyjaśnia, że zmarzniętemu surferowi nie wolno o tym przypominać, trzeba go objąć i powiedzieć mu, że doceniamy go takiego, jakim jest, i że powinno mu się dać czas, żeby doszedł do siebie przed następnym surfowaniem. Dorośli ludzie są jak niemowlęta. Wyciągają rozpieszczone, tłuściutkie rączki, gdy czegoś chcą, ale sami nie sięgają po to. A potem płaczą.

Olivia milczała.

– Wie pani, co ja bym zrobił? – spytał.

Pokręciła głową.

– Zmusiłbym ludzi, żeby naprawdę konkurowali ze sobą.

Adwokat odwrócił się, powiedział na odchodnym coś, co przypominało: „Jeszcze o tym porozmawiamy”, i odszedł, stawiając długie, zamaszyste kroki.

Olivia policzyła pieniądze. Siedziała na wieży i liczyła do dziesięciu tysięcy. A raczej do dwustu, bo były to banknoty o nominale pięćdziesięciu euro. Zrobiła to skrycie, a potem włożyła pieniądze z powrotem do brązowej, lśniącej papierowej torebki, zwinęła ją tak starannie, jak tylko się dało, i wsunęła na dno swojej torby, pod ubrania. Wreszcie je miała. Mężczyzna, który jej je wręczył, nie sprawiał wrażenia najprzyjemniejszego ze wszystkich, jakich do tej pory spotkała. Ale odkąd mężczyźni z pieniędzmi są przyjemni? Są zadufani w sobie, śmiertelnie nudni i uwielbiają dźwięk własnego głosu. Jak ten przed chwilą, który znał się na wszystkim, od windsurfingu po politykę socjalną. Im więcej pieniędzy mężczyźni posiadają, tym więcej myśli przychodzi im do głowy. Myśli, którymi muszą się podzielić. Na temat wszystkich obszarów życia. Ale najważniejsze, że mieli pieniądze. Więc, powiedziała sobie Olivia, trzymaj gębę na kłódkę i rób to, co obiecałaś, i nigdy – tutaj adwokat trafił w sedno – nie zachowuj się jak niemowlę.

Następne jej posunięcie będzie dotyczyło Jormy Leiva. To logiczne. Panna Simola miała rację, ona zawsze wie, co trzeba zrobić. Olivia zastanawiała się przez chwilę. Popatrzyła na morze, na pływających po nim surferów. Nauczyciel matematyki. Sympatyczny Jan Kaunisto, który pojawił się w miasteczku, zanim spaliła się sauna. Co panna Simola by o tym powiedziała? Olivii wydało się, że zna odpowiedź.

Jednak teraz musi przede wszystkim zadzwonić do specjalisty od remontów.

Babcie uprawiają seks, w mikrofalówce ktoś schował dwadzieścia pięć tysięcy euro, spaliła się sauna, nie mówiąc już o tym, że jeszcze wcześniej w kuchni znaleziono trupa. I to wszystko, dokładnie wszystko, wiąże się w taki czy inny sposób z tą kobietą.

Jan Nyman czuł, jak nogi mu drżą od wysiłku, kiedy brodząc, wychodził z wody na brzeg. Owszem, nadal mu było zimno i się trząsł, ale odczuwał także dziwną satysfakcję. Wiązało się to z windsurfingiem, bo tak poza tym, to nie był zadowolony.

Gdy ponownie stanął na desce, zerknął na plażę i zobaczył na niej swojego sąsiada i Olivię Koski, blisko siebie, jakby przytulonych. Czemu ten człowiek się z nią spotyka? Człowiek, który w mikrofalówce ma pełno pieniędzy?

Nyman widział wyraźnie, jak Olivia Koski się uśmiecha, widział jej opalone ramiona, całą jej sylwetkę. Poczł znajome mrowienie w podbrzuszu, falę instynktownej radości, gdy kobieta pojawiła się na plaży, ale zaraz potem zdało mu się, jakby ktoś uderzył go tępym narzędziem w przeponę, a do jego umysłu wlała się zatruwająca wszystko substancja. Teraz udało mu się zidentyfikować to uczucie. Minęło już trochę czasu od chwili, gdy ostatnio go doświadczył.

Była to zazdrość. Właśnie ona, chociaż jej się nie spodziewał.

Nie bądź śmieszny, powiedział do siebie i skupił się na tym, żeby iść prosto.

Kto by uwierzył, że windsurfing jest taki trudny. Nogi mu się trzęsły, ręce wydawały się zdrętwiałe i wisały wzdłuż tułowia niczym strączki. Uświadomił sobie, że chce wyrzucić dobre wrażenie, idąc piaszczystą ścieżką w stronę Olivii Koski. Było to trudne z powodu sztywnych mięśni nóg i usuwającego się spod stóp piasku. Wiedział, że się chwieje.

Jestem policjantem, powiedział do siebie, a ta kobieta jest tak bardzo podejrzana, jak tylko człowiek może być bez konkretnych dowodów; zauroczenie pozwoli mi do niej dotrzeć, to naturalny sposób na

stworzenie napięcia między nami, napięcia, które zaowocuje zbliżeniem, zaufaniem, wyznaniem. To wszystko. Nic więcej. Nie posunę się dalej ani...

– Zastanawiałem się, czy nie zjadłabyś ze mną kolacji – zaproponował od razu po powitaniu.

Olivia stała wyprostowana, przechylając nieco głowę, jakby miała powiedzieć coś ironicznego, nie, raczej coś niespodziewanego. I tak się stało. Zaskoczyła go swoją odpowiedzią i tym, jak szybko jej udzieliła.

– Właściwie pomyślałam o tym samym. Dobrze by było pogadać.

Nyman zaniemówił na sekundę lub półtorej, a ona oczywiście to zauważyła. Zobaczył, że w jej brązowych oczach pojawił się błysk jakby nagłego odkrycia, stwierdzenia.

– Powiedzmy o ósmej – zaproponował Nyman.

– Powiedzmy.

Czy ona się uśmiecha, czy tylko światło rzuca taki refleks?

– Jeśli chodzi o restaurację, to jestem trochę...

– Zależy, co chcesz zjeść. – Olivia pokiwała głową. – I czy dobrze. Bo jeśli chcesz zjeść dobrze, to myślę, że trzeba pojechać dalej. Wiem, że jestem beznadziejna w promowaniu idei Palm Beach Finland, ale jakoś tak mi się wydaje... Jeśli się stąd trochę oddalimy, to dojedziemy do takiego miejsca, gdzie podają ryby. Właściwie to nie restauracja, raczej grill, kilka stołów ustawionych na zewnątrz, ale ryby mają codziennie i menu się zmienia w zależności od tego, co im dostarczą. No więc nie potrafię ci powiedzieć, co dzisiaj mają w ofercie, ale jedzenie jest zawsze wyśmienite.

– Brzmi ciekawie. Mówiłaś, że to jest trochę dalej, a ja nie mam samochodu...

– Pojedziemy rowerami – zaproponowała Olivia. – Przecież lubisz pedałować, prawda?

I znów to spojrzenie.

– W takim razie go wynajmę – oświadczył Nyman. – Ten sam. Lubię za małe rowery.

– Spotkamy się na ulicy Nadbrzeżnej, na zakręcie. I ubierz się ciepło, to miejsce znajduje się nad brzegiem morza, jest tak jak tutaj, więc wiesz, że...

– *It's the hottest beach in Finland* – dodał Nyman, akcentując słowa tak, jakby kończył zdanie w reklamie telewizyjnej.

– Zaczynasz się uczyć – stwierdziła Olivia z poważną miną i nie takim tonem, jakiego się spodziewał.

Nyman udał się do swojego domku, by się przebrać; flanelowa koszula z długimi rękawami wydała mu się ciepła i miękka. Potem zjadł śniadanie w nadbrzeżnej restauracji, zamówił dodatkowo sześć smażonych jajek, ułożył je na długim, wygiętym kawałku pieczonego sera i wsunął łapczywie. Wcale nie miał zamiaru pochłaniać jedzenia w takim tempie, ale przecież, kurczę blade, złamał się i zaczął surfować, no i zaprosił podejrzaną na randkę, wypiwszy przedtem tylko sok jabłkowy, więc aż ręce mu drżały z głodu. Wytarł resztki żółtka z kącików ust i palców, posmarował złotobrazowy chrupiący tost półcentymetrową warstwą marmolady z pomarańczy, zjadł to wszystko i popił drugim kubkiem kawy. Potem poszedł do wypożyczalni po rower.

Przed budynkiem zerknął na telefon, ale nie dlatego, że chciał do kogoś zadzwonić, bo nikogo takiego nie było. Po prostu sprawdzał, ile ma czasu. Olivia Koski będzie na wieży jeszcze kilka godzin.

Wskoczył na rower, w ciągu paru minut przejechał przez miasto i dotarł do wzgórza, czując, że już po raz drugi tego ranka do jego mięśni wydziela się kwas mlekowy. Wkrótce powinien zjeżdżać w dół. Drzewa i roślinność były tutaj inne. Na piaszczystym podłożu rosły sosny. Zawrócił ku zwirowej dróżce, pedałowal jeszcze przez chwilę, aż dotarł do rozdroża i wybrał węższą i trudniejszą do pokonania trasę.

Po chwili zza drzew wyłoniła się willa Olivii. Zatrzymał się, podprowadził rower do sosnowego zagajnika i zostawił go za dużą skałą. Przeszedł przez las do granicy działki i przystanął. Ogród był pusty, w domu panowała cisza. Odczekał chwilę, a następnie ruszył ku budynkowi, okrążył go od strony lasu i znalazł się w pobliżu wejścia. Przed domem zobaczył poczerńiałe pozostałości sauny, a za nimi w oddali niebieskie morze, które teraz było szare. Słońce zakrywały chmury, rosnące nad brzegiem drzewa uginały się na wietrze.

Nyman podszedł od frontu, wszedł po schodach na ganek, wyciągnął z kieszeni wytrych i otworzył drzwi. Zamknął je za sobą i znów zaczął nasłuchiwać. Rozejrzał się, wstydząc się trochę tego, co robi, czując wyraźny wstręt do siebie, ale co poradzić, to jego praca. Otworzył prowadzące na werandę oszklone drzwi. Gdy zaskrzypiały, wzdrygnął się; dźwięk o tej częstotliwości łatwo się rozchodzi. Każdy, kto



przekraczał próg, dawał tym samym znać o sobie. Nyman trzymał długo rękę na klamce, nie bardzo wiedząc, co to może oznaczać, ale pomyślał, że chyba jednak coś.

Zrobił kilka ostrożnych kroków po drewnianej podłodze; jej głucho skrzypienie nie było tak głośne jak to przed chwilą. W połowie korytarza zobaczył drzwi prowadzące do kuchni. Wszedł do niej i stanął pośrodku. Ze zdjęć pamiętał, gdzie leżał zabity mężczyzna, ale nie przybył tutaj, by odtwarzać przebieg zbrodni. Odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz.

Okna były nowe, chmury ustępowały z drogi słońcu i kuchnia znów wypełniła się światłem. Podwórze znajdowało się znacznie niżej; stojąc na nim, można było dojrzeć jedynie głowę osoby znajdującej się w kuchni, chociaż też nie zawsze. Nyman znów się odwrócił, ujrzał swój cień drgający na ścianie. Zaczął mu się przyglądać. Jeszcze raz się odwrócił, skupił wzrok na środkowym punkcie ogrodu, okręcił się i ponownie dostrzegł swój cień na ścianie. Jakby niedokończony łuk, cokolwiek to znaczyło.

Pomyślał, że najwyższy czas, by sprawdzić pozostałe pomieszczenia.

Przeszedł przez znajdujące się na końcu kuchni drugie drzwi do salonu, większego niż jego kawalerka. Na tylnej ścianie bez okien wisiał obraz, wysoki mniej więcej na trzy metry i szeroki na półtora. Robił duże wrażenie – czerwone i czarne pociągnięcia pędzlem, a na samym środku czerwony wzór na czarnym tle, którego nie potrafił zinterpretować. Coś mu jednak przypominał. Nyman przeszedł z salonu do mniejszego pokoju, w którym stały długi stół jadalny i kredensy ze szklanymi drzwiczkami. Schody na górę zaczynały się w przedpokoju.

Nyman wspiął się po nich na piętro, dotarł do małego holu i drzwi prowadzących na balkon oraz do wszystkich pozostałych pokoi. Naliczył trzy sypialnie; od razu się zorientował, z której z nich korzysta Olivia. Wszedł do środka i instynktownie poczuł, jakby znalazł się w niewłaściwym miejscu. Było to silne wrażenie, ogarniające ciało, wdzierające się w umysł niczym rażenie prądem. Nic takiego wcześniej mu się nie przytrafiło. Nigdy, gdy w grę wchodziła podejrzana osoba. Starał się jednak zarejestrować to, co zobaczył w pokoju, a raczej to, czego tam nie powinno być. Problem w przypadku tak dużego domu tkwił w tym, że po prostu nie mógł przejrzeć z osobna każdej szafy, szuflady czy kąta. W grę wchodziło raczej oszacowanie tego, co widzi, a czego nie, oraz równowaga tych dwóch elementów albo jej brak. Pod tym względem sypialnia była neutralnym miejscem. Wracając do drzwi,

Nyman zrozumiał, co go właściwie dręczyło. Zapach Olivii. A właściwie wcale go nie dręczył. Wprost przeciwnie. Nyman ujrzał samego siebie jako nędznego drobnego złodziejaska, który odważa się wejść do sypialni kobiety dopiero wtedy, gdy nie ma tam nikogo, zostawia na jej łóżku ślad po sobie i znika nocą z lepкими dłońmi. Ta myśl nie była przyjemna.

Dwie pozostałe sypialnie stanowiły łatwiejsze przypadki. Pierwsza z niezasłanym łóżkiem i pustym stolikiem nocnym służyła najwyraźniej jako pokój gościnny, a druga z półkami na książki, biurkiem i laptopem jako biblioteka. Nyman nie uruchomił komputera. Łatwo można to potem stwierdzić, a poza tym ludzie na ogół logują się hasłem. Zastanawiał się, czy Olivia korzysta z Facebooka. Oczywiście. Na pewno. On tego nie robił. Za kogo miałby się podawać? Kto chciałby być jego przyjacielem? I czemu takie myśli pojawiają mu się teraz w głowie?

Schodząc ze schodów, powtarzał sobie wnioski, które wysnuł. Nic nie wzbudziło w nim podejrzeń, nic nie przemawiało specjalnie ani za niewinnością właścicielki, ani za jej winą. Nie dowiedział się niczego nowego. Poza tym oczywiście, że sprawy mogły być faktycznie takimi, na jakie wyglądały, a on jest samotnym onanistą.

Obszedł jeszcze raz parter, tym razem idąc w odwrotnym kierunku – jadalnia, salon, łazienka, do której nie dopływała woda, kuchnia, korytarz, weranda – i stwierdził to samo, co na górze. Otworzył zewnętrzne drzwi, zamknął je starannie za sobą, zszedł po schodach do ogrodu i na szczęście zdążył zrobić kilka kroków, zanim od żwirowej drogi dobiegły go warkot silnika i odgłos szorujących po podłożu opon, a kilka sekund później ukazało się zakręcające pod bramę auto.

Radiowóz.

Chico obudził się na dźwięk telefonu. Spał w łóżku Robina. I najwidoczniej obok niego. Nad ranem, gdy przenosił się do sypialni, sytuacja wyglądała inaczej. Robin chrapał na kanapie, a z pewnej części jego ciała wydobywały się dźwięki przypominające westchnienie, i Chico pomyślał, że w mieszkaniu jest już tylko jedno miejsce, gdzie mógłby się położyć, zanim zacznie wymiotować.

Wcześniej, gdy wchodził za przyjacielem do środka, Robin odwrócił się błyskawicznie i wycofał w stronę kanapy, a potem usiadł z brzegu, najdalej jak się dało, plecami do ściany. Lecz Chico zdążył je zobaczyć. Przypominały drapak dla kotów. Chico usiadł na kosztującym najwyżej dwadzieścia euro krześle o tak lekkiej konstrukcji, że za każdym razem, gdy ktoś chciał się na nim usadowić, kołysało się niebezpiecznie.

– No więc oglądałeś telewizję – powiedział, postanawiając, że nie wspomni o Neei. – Co ci się stało w plecy?

Robin patrzył na niego, jakby nie wiedział, o co mu chodzi.

– Biłeś się po nich witką? – dopytywał się Chico. – W jakiej saunie byłeś?

– Tam, w takiej jednej.

Jego najlepszy przyjaciel go okłamywał. Dlaczego?

– Jaka ona jest? Dobra?

Przez oczy Robina przeleciał jakiś błysk.

– Gorąca.

– Słyszałeś coś nowego? – spytał Chico.

Robin pokręcił głową, potem jakby wpadł na jakiś pomysł i wskazał palcem telewizor.

– Wieczór nowych postaci.

Teraz Chico widział po swojej lewej stronie pokryte czerwonymi pręgami plecy przyjaciela, a po prawej okno z żaluzjami, przez które na łóżko padały słoneczne wstęgi. W tym oświetleniu, zmysłowej mieszance światła i cienia, było coś nieprzyjemnego, coś niepasującego do sytuacji.

Chico wstał, wziął dzinsy leżące na krześle i wyciągnął aparat telefoniczny. Nie chciał z nikim rozmawiać, ale telefon dzwonił i dzwonił. Spojrzał na śpiącego twardo Robina. Odebrał telefon i usłyszał, jak Jorma Leivo pyta go, gdzie się teraz znajduje. Gdy odpowiedział, właściciel ośrodka wczasowego oznajmił, że za pół godziny ma się z nim spotkać w tym samym miejscu co poprzednio albo znacznie szybciej spotka się z policją. Chico wybrał termin półgodzinny.

Szef czekał przy wyrobisku, gdy Chico się pojawił. Niebo zasnuwały chmury. Chico miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia, łącznie z szarym podkoszulkiem ze zdjęciem Led Zeppelin. Pod każdym względem czuł się szaro i wydawało mu się, że nawet powierzchnia jeziora ma taki kolor. Natomiast Jorma Leivo sprawiał wrażenie, jakby promieniował energią i jaskrawymi kolorami.

– Zaczynamy ofensywę – oświadczył. – Przyśpieszamy kroku. A właściwie to ty przyśpieszasz. Razem z twoim chłopakiem.

– Robin nie jest moim chłopakiem.

– Śpicie razem. Powiedziałeś mi o tym przed chwilą.

– Ale nie robiliśmy nic innego, po prostu spaliśmy. I to nie to, na co wygląda. To nic nie jest.

Leivo zastanawiał się jakby nad ostatnim zdaniem Chica, który nie wiedział, dlaczego je dodał.

– Do twojej wiadomości – odezwał się w końcu właściciel ośrodka. – Obiecano mi dziesięć tysięcy euro za twoją głowę.

Chico starał się połączyć w myślach różne sprawy. Z jakiegoś powodu wszyscy wiedzieli więcej niż on. Leivo nie czekał jednak na jego odpowiedź.

– To znaczy, że ja spodziewam się po tobie rezultatów wartych dziesięć tysięcy euro, a nawet więcej. To cena, za którą dochowam tajemnicy i nie powiem, że to ty zabiłeś tego kołosa w willi.

Chico rozważał propozycję.

– My go nie zabiliśmy. Rezultat oczywiście na to wskazuje, ale my właściwie próbowaliśmy mu pomóc. To prawda. Chcieliśmy, żeby oprzytomniał. On był tak cholernie wściekły. Na pewno dlatego, że przez przypadek dostał kamieniem w głowę. No i ty jesteś tak samo winny. Przecież my byśmy tam nie poszli, gdybyś nam nie zapłacił.

– Na to nie ma żadnych dowodów. Ani jednego.

Chico patrzył na Leiva i główkował. Wyglądało na to, że szef ma rację.

– A gdzie ten twój bliźniak?

– W łóżku – odparł Chico i dodał: – Śpi.

Leivo spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Ale ty nie śpisz. To dobrze. Może coś z tego jeszcze będzie. Jak już to zrobicie. Jak się zabierzecie porządnie do roboty, pamiętając, co was czeka, jeżeli nie będzie efektów.

– Spaliliśmy szopę – przypomniał Chico. – Nikt nie może powiedzieć, że nie próbowaliśmy.

– To było niepotrzebne – oświadczył, wzdychając, Leivo. – Przesadziliście. Sprowadziliście tam już dwa razy policję i straż pożarną. Powinniście tak działać, żeby w tym domu mieszkało się źle, niewygodnie. Powodować różne nieprzyjemne sytuacje, ale nie tak, żeby to wymagało ingerencji władzy. Zachowaliście się tam jak bomba neutronowa. Wysilcie mózgi.

– Próbowaliśmy – odparł Chico, zdając sobie od razu sprawę z tego, jak to zabrzmiało. – To znaczy wysilaliśmy mózgi, ale zawsze działo się coś nieoczekiwanego.

– A teraz dzieje się tak, że dostajecie ostatnią szansę. Dzisiaj jest czwartek, a w poniedziałek działka ma być moja. W każdym razie moja oferta ma być wtedy przyjęta. To wasza sprawa, co teraz zrobicie i jak to załatwicie. Wiesz, co to znaczy?

Chico pokręcił głową.

– Nie wiesz, co znaczy ultimatum?

– Wiem – przyznał Chico i przestał kręcić głową. – Ale co my możemy zrobić?

– Możecie sobie wyobrazić, co ja mogę zrobić za dziesięć tysięcy euro.

Stali jeszcze przez chwilę naprzeciwko siebie. Piasek, cisza, dwóch mężczyzn. Chico przypomniał sobie kadr z filmu o Dzikim Zachodzie, w którym Clint Eastwood trzyma zgaszone cygaro w ustach przez dwie i pół godziny, a na końcu zabija wszystkich.

Jorma Leivo wyglądał niczym zagubiony w szarym świecie wzornik kolorów. Wreszcie się odwrócił i poszedł do swojego samochodu. Chico włożył na głowę kask, wsiadł na skuter Robina i uruchomił pojazd, patrząc, jak terenówka szefa wspina się po zboczu piaszczystego wzgórza, wyrzucając niemal czarny dym z rury wydechowej. W końcu samochód zniknął na horyzoncie i zaległa cisza. Od strony wyrobiska do swojego gniazda przeleciała jaskółka, zataczając łuk.

Chico nie umiał stwierdzić, skąd lub w jaki sposób przyszła mu do głowy ta nagła myśl, lecz zrozumiał z zaskakującą jasnością, że nie poświęci nawet chwili na to, by się zastanawiać, co Jorma Leivo mógłby zrobić lub nie z dziesięcioma tysiącami euro.

Potrząsnął mocno przyjacielem, aż ten się obudził i wysłuchał sprawozdania z wypadków przy wyrobisku.

– Jorma nie zasługuje na te pieniądze – oświadczył Robin. – To by było niesprawiedliwe.

Sprawiał wrażenie nagle wytrąconego ze snu zwierzęcia, które powinno się ogolić. W jego głosie brzmiał upór. Chico nie widział go jeszcze takiego. Pokiwał głową, gdy Robin powtórzył swoje słowa. Chociaż przyjaciel przypominał zwierzę żyjące w lesie lub na sawannie, to brzmiał równie przekonująco jak bohater filmu akcji. Taki, który w podbramkowej sytuacji mówi: „Damy sobie radę”, a widz w to wierzy.

Siedzieli w salonie. Chico na chwiejnym krześle, a Robin, bez koszuli, na kanapie. Na dworze było jasno, choć w środku zalegała szarość, mimo że Chico podniósł żaluzje. Lecz z jakiegoś powodu pokój nie chciał się powiększyć. Chico miał wrażenie, że znajdują się w pojemniku do zamrażania żywności. Nie wiedział, czemu Robin nie poszedł do pracy. Nie chciał go o to pytać. Z tego samego powodu, który powstrzymał go od wyjawienia, że wie, iż Neea tu była i to ona go podrapała. Chico nie potrafił wyobrazić sobie tego zdarzenia ani czynników, które do niego doprowadziły. Widok pleców przyjaciela sprawił, że ogarnął go stan całkowitej gotowości.

– To takie niesprawiedliwe – powtórzył Robin.

Na to Chico miał odpowiedź.

– A jeśli Leivo nie dostałby tych pieniędzy?

– No, przecież dostanie, kiedy powie, że to my.

– A jak nie powie?

– Ale ma dostać dziesięć...

– Robin – przerwał Chico przyjacielowi. – Jak nie powie i nie dostanie pieniędzy. Bo my go powstrzymamy.

– Ile?

Chico zaczął się irytować.

– Ile czego?

– Ile go powstrzymamy?

O tym Chico nie pomyślał.

– No, chyba powstrzymywanie polega na tym, że jak się do tego zabierzemy, to trzeba powstrzymać...

– Na zawsze?

Chico dostrzegł, że w zachowaniu przyjaciela nastąpiła zmiana. Pochylony do przodu, opierał się łokciami o kolana. Chico wzruszył ramionami.

– No, chyba tak – usłyszał samego siebie.

Robin pokiwał głową. Było to zdecydowane, fizyczne potwierdzenie.

– Wczoraj wieczorem w telewizji – zaczął, a jego głos brzmiał, jakby należał do innego człowieka, takiego, który zawodowo podejmuje decyzje. W każdym razie Chico uważał, że właśnie tak oni mówią. – Widziałem jedną rzecz.

Olivia Koski, w kostiumie kąpielowym, założyła nogę na nogę i oświadczyła szefowi, że ponownie zastanawia się nad jego ofertą.

– Mam wrażenie, że grozi mi niebezpieczeństwo – oświadczyła. – Znowu przyszła mi do głowy nasza rozmowa po tym, jak się spaliła sauna, i to, że tam, na końcu cypla, jestem zupełnie sama.

Wpatrywała się w Jormę Leiva ciemnymi oczami, eksponując nogi. On jest przecież mężczyzną. Wprawdzie jeśli chodziło o kobiety, jego upodobania były bardziej w stylu kalendarza z reklamą opon. Niemniej jednak występowały u niego te same hormony co u innych osobników jego gatunku. A hormony działają demokratycznie: jeśli w organizmie nagromadzi się ich dużo, a nawet za dużo, to mężczyźni wszystko jedno, na kogo się rzuca.

– Zastanawiają mnie tylko dwie sprawy – kontynuowała Olivia. – Pierwsza to oferta, którą mi złożyłeś. Jest zdecydowanie za niska.

– Moim zdaniem to bardzo realistyczna oferta – oświadczył Leivo. – Ale oczywiście może ona stanowić pewną podstawę do rozmowy. I możemy do niej wrócić, jeżeli rozmowa będzie jej dotyczyła i na niej się zakończy.

– Oczywiście – odpowiedziała Olivia i pomyślała, że szef jest niczym bumerang, wszystko musi przynieść mu jakąś korzyść. – Po drugie, myślę o tym, co się wydarzyło. O tej śmierci. Zabitym człowieku w mojej kuchni.

– A co z tym? – spytał Leivo i szybko się poprawił: – Z nim?

W biurze zaległa cisza. Olivia była przekonana, że nadal czuje w powietrzu woń świeżej różowej farby. Dawny teren letnich harcerskich obozów zmienił się radykalnie, wzbogacając się o plastikowe palmy i inne elementy. Obok biurka Leiva wisiała reklama kremu przeciwsłonecznego, a przed nią stała wieża ułożona z opakowań tego produktu, którego nie sprzedano dotychczas zbyt dużo.



– Chciałabym to wyjaśnić, zanim się stąd wyprowadzę. Choćby dlatego, że to mój dom rodzinny, ojciec i matka...

– Tą sprawą zajmowała się policja – przypomniał jej Leivo. – I doszła do wniosku, że nie można jej wyjaśnić.

– Dlatego przyszedłem o tym porozmawiać.

Olivia obserwowała, jak Leivo myśli nad czymś intensywnie.

– Ja oczywiście nic o tym nie wiem – powiedział, unikając jej wzroku.

– Ale jeżeli ma to być warunkiem umowy...

– Jednym z dwóch warunków.

– Jednym z dwóch warunków, to mógłbym zatrudnić do zbadania tej sprawy pewną znaną mi, bardzo kompetentną osobę. Jeśli będę mieć pewność, że doprowadzi to do sprzedaży działki. Ta osoba jest, tak można powiedzieć, mistrzem detektywów według wszelkich oficjalnych kryteriów detektywistycznych. Pracowała nawet dla Interpolu. Ale ja nie rozumiem, jak...

– Jeżeli sprawca zostanie wykryty, to wreszcie odzyskam spokój – oświadczyła Olivia. – A jak odzyskam spokój, to łatwiej mi będzie przeanalizować ofertę. I potem będziemy mogli ją wynegocjować.

Wydawało się, że szef coś rozważa. W każdym razie żywiła taką nadzieję. Nadzieję, że zainicjowała pewien proces.

– W jaki sposób trzeba wykryć tego sprawcę? – spytał szef. – To znaczy jak dokładnie?

Olivia zmieniła pozycję, przełożyła prawą nogę na lewą, a potem powoli lewą na prawą.

– Całkowicie – oznajmiła. – Trzeba się dowiedzieć, kim on jest, gdzie teraz się znajduje. I tak między nami, nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy tę informację zatrzymali tylko dla siebie. Właściwie to możemy się tak umówić. Najważniejsze, żeby się dowiedzieć, co się wydarzyło. Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak się czuje samotna kobieta w położonym na uboczu domu. To przerażające. Zwłaszcza gdy, jak mówiłeś, może chodzić o początek fali przestępstw.

Twarz Leiva się rozjaśniła, gdy przypomniał sobie swoje słowa.

– No właśnie – potwierdził. Sprawiał wrażenie zamyślnego albo z powodzeniem udawał, że nad czymś się zastanawia. – To rzeczywiście może być początkiem nie wiadomo jakiej serii morderstw. I w jednej kwestii masz rację, że trzeba to po prostu wyjaśnić. Co do tego się zgadzamy. Zatrudnię mojego najlepszego człowieka.

– Kto to taki? – spytała Olivia.

Leivo bawił się przez chwilę piórem trzymanym w lewej ręce. Po chwili pióro znieruchomiało.

– On pracuje anonimowo.

Olivia pokiwała głową.

– *Undercover*. Rozumiem.

– Jak sytuacja na plaży?

Olivia musiała się przez chwilę zastanowić nad pytaniem.

– Piętnaście minut temu było szaro i wiał wiatr. Naliczyłam chyba ze dwudziestu ludzi łącznie, nie więcej. Jest tam jeszcze dużo wolnych foteli do opalania.

– Ile?

– Wszystkich?

– Tych nowych par foteli – powiedział Leivo z odrobiną dumy w głosie. – Tych białych z turkusowym parasolem w środku, mamy ich sześćdziesiąt. To daje w sumie sto dwadzieścia miejsc.

– Wolnych jest chyba sto piętnaście.

Szef spojrział na nią.

– Ludzie pewnie jeszcze o nich nie wiedzą. Potrzebują lekkiej zachęty.

Olivia nic nie odpowiedziała.

– Może powinniśmy zorganizować kampanię reklamową – dodał Leivo. – Gdy ludzie zrozumieją, o co chodzi, to na pewno będą wybierali nas. Często do czegoś takiego potrzeba tylko drobnego impulsu. Trochę się zastanawiałem nad różnymi hasłami: „Dla rodzin chcących zaoszczędzić na kremie przeciwsłonecznym”, „Żadnych barier, nawet językowych”, „Słoneczna plaża w odległości sześciu minut lotu samolotem”. Właściwie to prawda, bo jak z Helsinek leci się odrzutowcem dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, to podróż trwa tutaj właśnie tyle. Problem byłby tylko z wysiadaniem, ale i na to znajdzie się sposób. Moje ulubione hasło na połączenia transatlantyckie: „Niczym Floryda, ale bez przestępców zjadających ludzkie twarze”. To wymyśliłem wtedy, kiedy zobaczyłem taką wiadomość w telewizji. Może jest trochę brutalne i nie pasuje teraz, ponieważ szukamy mordercy, ale tak na przyszłość, kiedy, jak powiedziałaś, sprawa się wyjaśni... kiedy ją wyjaśnimy. Alternatywa dla Tajlandii: „Masz biegunkę tylko po własnym jedzeniu”. A co do Europy: „Nareszcie – obiekt urlopowy w stu procentach wolny od raka skóry”, „Zostaw melanomę w domu” i jeszcze: „Nicea, w której nie przypieczesz się jak pizza”. Te hasła wymagają oczywiście dopracowania, ale jak zauważyłaś, trzymamy wszystkie asy

w rękawie. Nie wkładałbym w to tyle pieniędzy, gdyby nie chodziło o najlepszy pomysł na świecie.

Olivia nadal milczała. Zaczęła rozumieć niektóre sprawy, nabrały one konkretów i formy. Siedzący za biurkiem Leivo pocił się obficie. Tyrada sprawiła, że poczerwieniał. Mały wysiłek i już oddychał z trudem.

– Brzmi dobrze – uznała. W pewnym sensie była to prawda. Leivo sprawiał wrażenie człowieka podchodzącego poważnie do projektu Palm Beach Finland. Znaczyło to, że dla dobra swoich interesów mógł się posunąć daleko. – Czekam więc na wyniki dochodzenia.

Właściciel ośrodka ocknął się z marzeń o własnych hasłach reklamowych.

– Nie trzeba będzie długo czekać. Mogę obiecać, że sprawy szybko się wyjaśnią.

Olivii drżały nogi, gdy szła po piaszczystej plaży. Wprawiło ją to w lekki niepokój. Przeprowadziła swój plan, wszczęła dochodzenie. I usłyszała więcej, niż się spodziewała. Leivo powiedział, że zainwestował w to miejsce pieniądze. Zaraz pomyślała o sobie. Włożyła cały majątek w dom. I na co była gotowa? Odpowiedź brzmiała: na wszystko. Zmroziło ją to.

Wiatr osłabł, w chmurach pojawiły się dziury, typowa letnia pogoda.

Doszła do wieży dla ratowników, nadal myśląc o tym, co powiedział Leivo. Ona odegrała swoją rolę wzorowo i właściwie nie kłamała, tylko do faktów dodała coś jeszcze. Warto jednak pamiętać, że w tym przypadku rozmówca mógł postąpić tak samo. Albo gorzej.

A Leivo miał marzenia.

Olivii marzenia te wydały się niebezpieczne.

Wspięła się na wieżę, spojrzała na brzeg morza, fale, ludzi. Każdy w końcu czegoś chce. Jej też to dotyczyło. Szła przez życie z zamkniętymi oczami, robiąc to, co zakładała, że powinna robić, albo czego oczekiwali od niej inni. Potem się obudziła. Nie jest jedyna na świecie. Pomyślała, że im później człowiek zaczyna marzyć, tym bardziej chce te marzenia urzeczywistnić. Tym rozpaczliwiej. Ponieważ ma coraz mniej czasu na ich realizację.

Zastanawiała się, ile lat może mieć Jorma Leivo. Może z pięćdziesiąt. Jeśli ona w wieku trzydziestu dziewięciu lat była gotowa na to, co zrobiła dzisiaj po południu, co może zrobić ubrany jak detektyw „Sonny”

Crockett i łatwo się wszystkim ekscytujący mężczyzna, który zainwestował w ośrodek wczasowy ostatnie pieniądze?

Westchnęła głęboko.

Postanowiła jednak, że nie zrezygnuje z dochodzenia, nie przestraszy się. Nie będzie się bała własnych marzeń ani marzeń innych ludzi. Do tej pory sobie radziła, teraz też sobie poradzi. Dobry Boże, mieszka w domu, w którym nie ma wody i w którym zamordowano człowieka, przeżyła zagadkowe przypadki śmierci swoich rodziców, które wywołały zainteresowanie całego miasteczka, przeżyła dwóch mężczyzn, którzy zmarnotrawili jej wszystkie pieniądze, i nadal istnieje. Trochę jej zimno, oczywiście, ale poza tym jest przygotowana na każdą ewentualność.

Nie miała zaufania do swojego szefa, mimo to wierzyła w jego słowa. Wiedziała, że o przyszłości Palm Beach Finland mówił z przekonaniem. Wątpiła jednak, aby zamierzał zaangażować w dochodzenie swojego najlepszego człowieka, bo takiego pewnie nie ma. I takiego trudno było jej sobie wyobrazić.

Zaśmiała się na głos.

Jeszcze trudniej było jej sobie wyobrazić detektywa pracującego pod przykryciem w Palm Beach Finland. Myśl ta wydała się jej nieprawdopodobna.

Wiele rzeczy się wydarzyło i pewnie się wydarzy, ale coś takiego – nigdy.

## 20

Nymanowi podobała się komenda policji. Mała i cicha, mieszcząca się w drewnianym budynku, z pokoju przesłuchań rozciągał się widok na park, bardzo zadbany; piękne, pełne żółci, niebieskości, fioletu i różu rabaty kwiatowe były prosto wytyczone, przystrzyżony trawnik pysznił się oszałamiającą zielenią, a korony wiązków przyciągały wzrok. Długi i wysoki pokój miał pomalowane na biało puste ściany. Okno znajdowało się naprzeciwko drzwi, pośrodku stał stół z blatem ze sklejki, a przy nim cztery krzesła, z których trzy były teraz zajęte. Policjanci siedzieli obok siebie po jednej stronie, Nyman po drugiej. Drewniana podłoga z desek mocno skrzypiała, gdy zebrani przesuwali krzesła i zmieniali pozycje.

W innych okolicznościach Nyman nawet by się rozkoszował tą sytuacją, lecz zakończona chwilę temu rozmowa z Muurlą sprawiła, że poczuł się niepewnie. Niepewność tę zwiększały zwłaszcza wiszący nad drzwiami zegar i położenie jego wskazówek.

Po przybyciu do komendy Nyman postanowił, że musi koniecznie zrobić dwie rzeczy: zadzwonić do Muurli i zdążyć na wieczorną randkę z Olivią Koski. Dostał zgodę na telefon do szefa jeszcze w radiowozie, zapytawszy najpierw policjantów, czy podejrzewają go o coś i zamierzają przesłuchać. Z przedniego siedzenia usłyszał odpowiedź, że nie podejrzewają go o nic, że chcą z nim tylko pogadać, więc wiedział, że w grę wchodzi jedynie zwykła rozmowa. To mu ułatwiało sprawę. Zapytał, czy zgodzą się, aby zadzwonił do kolegi z pracy i poinformował go, że nie zdąży się z nim dzisiaj spotkać.

Na posterunku policjanci wyszli uprzejmie z pokoju, gdy dzwonił do Muurli. Przełożony od razu odebrał telefon. Nyman opowiedział mu, gdzie się znajduje, przeprosił, że dzwoni, i od razu oświadczył, że wyczerpuje mu się bateria, dlatego musi mówić prędko.

– Trzeba się śpieszyć. Właścicielka domu nie może się dowiedzieć, że policjanci zwinęli kogoś z jej posesji i zabrali do radiowozu. Trzeba

zablokować tę informację aż do odwołania. Poza tym wszystko idzie normalnym torem. Mam jedyną w swoim rodzaju szansę. Chcę porozmawiać z miejscowymi policjantami. Ale potem muszę coś załatwić, więc najpóźniej o wpół do ósmej sprawdź, czy mnie tu już nie ma.

Zdał szefowi krótką relację na temat drewnianego domku, parku, ciszy i uprzejmości, a potem zamilkł. Muurla wreszcie doszedł do głosu.

– Przypomina mi to jedną wieś nudystów, którą znalazłem na Ibizie wiosną zeszłego roku, gdy chciałem trochę poszerzyć...

Nyman mu przerwał.

– Przepraszam, ale nie mam czasu. Jestem w pracy i...

– No tak – powiedział Muurla i po chwili milczenia dodał: – Mamy pewien problem.

Ponieważ Nyman się nie odzywał, kontynuował:

– Prosiłeś śledczego z wydziału przestępczości gospodarczej, żeby sprawdził transfery pieniędzy osób objętych wstępnym dochodzeniem.

– Miałeś tego nie wiedzieć.

– Szef wydziału także nie, ani jego szef, ani szef szefa.

Nyman nic nie odpowiedział.

– Jak wiesz – ciągnął Muurla – twoja prośba była niezgodna z prawem. Wszyscy chodzą teraz na palcach z powodu tych afer w wydziale narkotykowym. Każdy tak zwany głębiej sięgający wniosek o dodatkowe informacje jest poddawany podwójnej albo potrójnej kontroli.

– Nie mogłem postąpić inaczej, bo wszyscy dowiedzieliby się o naszym dochodzeniu, a to z kolei kłóci się raczej z ideą działalności pod przykryciem.

– Wiem. Na to nic nie można poradzić.

– Na co dokładnie? – spytał Nyman.

– Jesteś zdany sam na siebie. Jeśli zdecydujesz się kontynuować.

– Przepraszam?

– Nic nie mogę zrobić. Po tamtej stronie nie da się niczego zablokować. Nie mogę się nawet z nimi bezpośrednio kontaktować bez poinformowania o naszym śledztwie i uzyskania zgody. I potem też nie mogę niczego zrobić bez wyjawienia twojej tożsamości. A jak się dowiedzą, kim jesteś, to w twoim przypadku śledztwo się zakończy i wrócisz do Helsinek.

Nyman patrzył przez okno. Tak naprawdę nie potrzebował czasu do zastanowienia. Muurla również milczał. Nyman zrozumiał, co to znaczy. Musi sobie radzić sam.

– Kontynuuję śledztwo – powiedział i rozłączył się.

Morderstwo. A więc o nie jednak chodziło. Mimo tej całej uprzejmości i stwierdzenia: „Tylko sobie pogadamy”. Starszego posterunkowego już znał. Szara broda, metalowe oprawki okularów, niebieskie oczy. Siedzący obok niego ciemnowłosey, czerwony na twarzy mężczyzna, zdecydowanie młodszy od kolegi, robił notatki za obu. Jego także Nyman pamiętał ze spotkania przed domem Olivii Koski. Wtedy również tylko obserwował, właściwie to się gapił, odzywając się z rzadka.

– W tym ogrodzie panuje duży ruch – powiedział starszy policjant. – Ludzie przychodzą i wychodzą. Dzieją się różne rzeczy. A co ty tam dzisiaj robiłeś?

– Uważam, że to sprawa między mną a właścicielką domu.

Policjant wzruszył ramionami.

– Ja tylko pytam – zaznaczył. – Gawędzimy sobie po prostu. Poszedłeś tam na piechotę?

– Podjechałem rowerem, a potem się przespacerowałem. Tak jest przyjemniej, no i wtedy więcej można zobaczyć. To piękny przylądek.

– A czemu nie dojechałeś przed dom i stamtąd nie podziwiałeś krajobrazów?

– Głupio mi o tym mówić.

– My już wszystko słyszeliśmy.

– To ma związek z moim tyłkiem.

Młodszy posterunkowy uniósł wzrok znad notatek.

– Chętnie posłuchamy – zachęcił go miłym głosem.

– Właśnie zacząłem surfować, a na rowerze nie jeździłem od dłuższego czasu. Bolą mnie takie mięśnie, o których nie wiedziałem, że w ogóle istnieją. Wyobraźcie sobie, że czuję się tak, jakby mnie ktoś obił. Nie dałem rady już wysiedzieć na rowerze.

Policjanci spojrzeli na niego.

– Założmy, że rzeczywiście tak jest – odezwał się po chwili starszy z nich.

Nyman chciał także przejść już do rozmowy na temat zabójstwa. Chciał usłyszeć, choćby między wierszami, co funkcjonariusze o tym

sądzą. Usłyszeć to, czego nie ma w protokołach.

– Zaczynamy od dnia, w którym tu przyjechałeś – kontynuował starszy. – Jak ci się podoba nowe oblicze ośrodka czasowego?

– Chyba zacznę się do niego przyzwyczajać.

– Co masz na myśli?

– Postanowiłem zostać tu dłużej.

– Są jeszcze jakieś sauny do spalenia? Ktoś, kogo trzeba zabić?

– Nie popełniłem żadnego z tych czynów.

– Mieszkasz w jednym z domków, prawda? Sam?

– W Tubbsie, tym jaskrawozielonym. I tak, sam.

– W tamten wieczór, kiedy doszło do pożaru, powiedziałeś, że ktoś może zaświadczyć, że wtedy byłeś gdzie indziej.

– Mój sąsiad. Jeździ czarnym bmw. Czemu podejrzewacie, że sprawcą jest ktoś z zewnątrz?

– Słucham?

– Może to ktoś z tutejszych popełnia te zbrodnie?

– Jesteś jednym z detektywów amatorów?

– Z pewnością nie. Chyba nic nie brakuje lokalnym siłom?

– Okrucieństwo – oświadczył młodszy policjant. – Takiego okrucieństwa i brutalności jeszcze tutaj nie widziano.

Starszy spojrział na kolegę.

– Czasami wypadki tak się toczą – stwierdził Nyman, zanim policjant zdążył się wtrącić. – Wymykają się spod kontroli, jak to mówią.

Teraz starszy odwrócił się w jego stronę.

– Powiedziałeś, że jesteś nauczycielem matematyki.

– Zgadza się.

– Gdzie?

– Obecnie nigdzie. Jeśli ktoś będzie potrzebował, to jestem gotów uczyć matematyki. Ale chyba okrucieństwo samo w sobie nikogo nie eliminuje. Poważne przestępstwa popełniane są, z tego co wiem, w skrajnych sytuacjach.

– My tu wszystkich znamy – oznajmił młodszy. – Ci, którzy mają siłę, nie potrafiliby tego zrobić, a ci, którzy by potrafili, są weteranami wojennymi. Najmłodszy skończył osiemdziesiąt siedem lat i jest pod całodobową opieką. A moi rówieśnicy... Ci, którzy się nie wyprowadzili albo nie pracują dla gminy... To zawracanie głowy.

Starszy przytaknął i wyprostował się.



– Sądzę, że oni są na to za głupi – powiedział. – Jest kilku facetów, którzy nam wpadli w oko, ale nie możemy wymyślić, co ich by do tego motywowało. Wiemy, że nie potrafią zmienić sobie majtek, jak im się nie da owsianki z owocami albo innej nagrody. Może jakiś Führer pociągnąłby ich za sobą, a i to nie.

– Chyba wiem, kogo macie na myśli – powiedział Nyman. – Wydaje mi się, że ich widziałem na plaży. Zgadza się?

– Płaczą się tam – potwierdził młodszy. – Są jak zjawisko przyrodnicze nie z tej ziemi.

I gdy Nyman już uznał, że osiągnęli postęp i do czegoś dochodzą, starszy policjant pochylił się do przodu i utkwiał w nim wzrok.

– Dlatego rozmawiamy z tobą. Jesteś z zewnątrz.

Zabawa trwała. Trwała przez wiele godzin, uczestnicy zrobili kilka okrążeń po tym samym torze. Nyman nie posunął się dalej w swoim dochodzeniu ani nie potrafił pomóc policjantom w ich śledztwie. Podczas tej całej rozmowy miał świadomość, że czas upływa. Oddychał głęboko i raz po raz próbował jakoś zręcznie zakończyć to przedłużające się spotkanie. Za nic mu się to nie udawało. Czasami któryś z policjantów szedł do toalety, przynosił butelkę z napojem gazowanym albo czytał notatki swoje lub kolegi i wracał do tego, o czym już rozmawiali.

Im bliżej było do umówionego spotkania, tym większy niepokój ogarniał Nymana.

W końcu zegar wybił wpół do ósmej.

Musiał się stąd wydostać.

Miał morderstwo do wyjaśnienia.

Miał randkę.

## 21

Jorma Leivo zamknął oczy i znów ujrzał drugą stronę świata. Panował tam upał.

Przypomniawszy sobie własną udrękę: ściągniętą skórę na nosie i policzkach, uczucie gorąca ogarniające powoli, ale za to boleśnie ręce i nogi, przylepiającą się do skóry koszulę, przyklejającą się bieliznę, trącą z przodu, a z tyłu zaciskającą się stopniowo, wrzynającą się coraz głębiej w pośladki, zamieniającą się w mokry sznurek, który potem trzeba było odrywać od skóry i wyciągać z zagłębień ciała w brudnych toaletach. Toaletach, w których zawsze brakowało mydła, więc ręce pozostawały podejrzanie lepkie i dziwnie śmierdzące, co okazywało się dość nieprzyjemne podczas jedzenia i jeszcze straszniejsze podczas witania się z nowo poznanymi osobami. Przecież nie mógł powiedzieć, że przepraszam, ale to, co ma pan między palcami, pochodzi chyba z moich majtek.

Czy w obiektach turystycznych Europy Południowej albo Azji była choćby jedna rzecz, która dałaby mu poczucie przyjemności? Nie. Zawsze wyjeżdżał w podróż z nadzieją, że może tym razem będzie inaczej. I nigdy nie było inaczej. Zawsze było tak samo. Aż rok temu, pewnego bardzo nieprzyjemnego dnia po wschodniej stronie wyspy Phuket, gdy spalony na raka czuł się pod każdym względem zapędzony w kąt, doznał olśnienia.

Chwila ta była tak oczywista, że Leivo podziękowałby Panu za nią i za otrzymany wtedy pomysł na biznes, gdyby wierzył w Chrystusa jak jego zmarła miesiąc temu matka, która faktycznie wyzionęła przy nim ducha. Z zawodu była sprzątaczką i jeszcze na emeryturze pracowała jako wolontariuszka w parafii, a do jej obowiązków należało dbanie, żeby ołtarz w nowo wybudowanym kościele lśnił czystością. Pewnego ranka, wycierając z kurzu ornamenty, zachwiała się lub użyła za dużo siły i nieświadoma błędu konstrukcyjnego spowodowała reakcję łańcuchową, przez co Pan stojący na wysokim postumencie zaczął

spadać. Być może matka to zauważyła i próbowała podtrzymać odlanego z miedzi Wysłannika Niebios, ale Syn ważył niemal tonę, więc wyciągnięta jak długa pozostała na ziemi przygnieciona Zbawicielem, oddając mu tym samym całą siebie.

Pomysł na biznes, który spłynął na Leiva na tamtej białej piaszczystej plaży, był prosty: a co gdyby mieć to wszystko, palmy i inne rzeczy, ale bez tej całej niewygody. Przede wszystkim bez upału, który sprawiał, że człowiek czuł się nieznośnie. Bez przebierania się trzy razy dziennie, bez spalonej skóry, bez pieczenia oczu spowodowanego kremem do opalania. Jeszcze tego samego dnia wieczorem, gdy ratował się pobytem w pokoju hotelowym, rozkoszował klimatyzacją i chipsami i usadowił się na łóżku, by przeglądać setki kanałów telewizyjnych – no dobrze, akurat to jest coś bardzo dobrego w hotelach turystycznych, niezliczone stacje, a zwłaszcza te, które transmitują powtórki – znalazł ponownie swój ulubiony serial i wpadł na drugi już tego dnia pomysł. Motyw muzyczny i czołówka pojawiły się w pokoju jak na zamówienie. Jego ulubiony serial sprzed lat. To nie mógł być przypadek. Tak więc dwa pomysły się zderzyły, połączyły i stały jednym. Natychmiast zeskoczył z łóżka, rozlewając na piżamę jasnożółty napój energetyzujący, otworzył komputer i zaczął szukać wystawionych na sprzedaż ośrodków wczasowych. Znalazł dokładnie jeden.

Zainwestował w niego cały spadek po matce. Prawie cały. Pozostało mu jeszcze trochę pieniędzy, za które zamierzał kupić wyjątkowo piękny cypel należący do Olivii. Dzięki temu będzie miał wystarczające zabezpieczenie pod kredyt i będzie mógł poczynić następne kroki. Wiedział, że podejmuje duże ryzyko, ale dostrzegał w tym także wskazówkę. Bo dlaczego matka miałaby dawać mu dwa życia: najpierw jako człowieka ze zmiennym szczęściem, a teraz jako dyrektora i właściciela Palm Beach Finland. Ten spadek go zobowiązywał. A na porażkę Jorma Leivo, zdaniem matki, Pana Jezusa i banku, nie mógł sobie pozwolić.

Otworzył oczy i spojrzał na leżące przed nim dokumenty.

Czekało go trudne zadanie. Olivia Koski oświadczyła, że jest gotowa sprzedać działkę, jeżeli sprawa zabójstwa się wyjaśni. Zakładając, że to się uda, i tak na przeszkodzie stanie cena. Bo nawet jeśli Leivo przekaze Olivii informacje na temat dwójki trutniów, to być może nie będzie w stanie wykupić ziemi. A to oznaczało, że ta parka będzie potrzebna, aby uprzykrzyć kobiecie pobyt w jej domu i zmusić ją do rezygnacji

z działki. Z drugiej strony dostał propozycję, żeby w zamian za dziesięć tysięcy euro dostarczyć wiadomość o tych idiotach bliźniakach. Złożył mu ją elegancki inwestor, *executive investment manager*, jak widniało na wizytówce. Te pieniądze pomogłyby mu pokryć różnicę między jego, rzecz jasna, skromną ofertą a wyższą sumą, o którą Olivia prawdopodobnie wystąpi. To powinno mu wystarczyć. Potrzebuje więc i tego, i tego; potrzebuje dwójki szkodników, najpierw do działania, a potem do wykonania dowolnego zadania, dwa razy, zarówno jeżeli chodzi o Olivie, jak i inwestora, a także potrzebuje dziesięciu tysięcy euro i niskiej ceny kupna.

Jorma Leivo otworzył puszkę z napojem energetyzującym i pociągnął łyk.

Niezła układanka. Ale przecież wychodził już z gorszych sytuacji. Jest wytrwały, jest człowiekiem, który stworzył Palm Beach Finland. A Palm Beach Finland to coś, za co wszyscy Finowie będą mu dziękowali i dzięki czemu zostanie zapamiętany.

Chico musiał napić się piwa. Świeżego piwa, nie tego co zwykle, mętnego od planktonu i drobnych żyjątek, lecz prawdziwego, szumiącego niczym potok, rozjaśniającego myśli i uspokajającego nerwy, zimnego oficjalnego napoju kibiców sportowych. Od razu opróżnił kufel do połowy i postawił go na blacie baru. Jak się tego obawiał, piwo wydało mu się natychmiast drogie. Bo było drogie, sześć i pół euro. Za jeden marny kufel. Z czego je produkują? Z płynnego złota, które dziewice wypłukują ze źródła na szczycie góry pod nadzorem jednorożców? Miał wrażenie, że to także obmyślona przez kogoś intryga. Nie chciał się dalej nad tym zastanawiać. Życie w ogólności było pełne rozczarowań, a on miał dużo do przemyślenia. Zaniósł w połowie pełen kufel na znajdujący się w rogu stół, przy którym czekał Robin.

Chico musiał przyznać, że jakimś dziwnym trafem przyjaciel przejął wodze. To go zdumiewało. Skąd u Robina wzięły się nagła stanowczość, twardość, nowe słowa? Takie jak obraz sytuacji, przywrócenie panowania, procedura. Patrzył na starego przyjaciela i zastanawiał się, czy to jego stary przyjaciel. Oczywiście Robin zawsze wypuszczał z ust ciąg słów brzmiący, jakby został przypadkowo nagrany na taśmie, a na dodatek wymawiał je bardzo dokładnie. Lecz teraz było inaczej – Chico miał trudności ze zrozumieniem wszystkiego i to nie tylko z powodu wypowiedzianych słów. Robin siedział tak, jakby kierował jakąś naradą, i – co zaskakujące – tym razem nie pił piwa.

– Proteiny, kofeina i kreatynina – objaśniał, wskazując na zawartość trzymanej przez siebie butelki. – Przed treningiem.

– Treningiem?

– Czeka nas ciężka praca.

Chico pokręcił głową.

– No nie wiem.

– Sam mówiłeś, że co by było, gdyby nie powiedział. Nigdy. To środek zapobiegawczy.

Znów. Jeszcze jeden nowy termin.

– To raczej rozwiązanie ostateczne.

– Ale robi to za nas przyroda. My jedynie... Przygotujemy jedzenie, a ktoś inny je zje.

Chico spojrzał na siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyznę, który wydawał mu się obcy, jakby go wcale nie znał.

– To brzmi jeszcze gorzej.

Robin wzruszył teatralnie ramionami.

– Myślałem, że chcesz zostać gwiazdą rocka. Że to jest twoje marzenie.

Chico popijał piwo. Wcale nie było warte sześciu i pół euro.

– Chcę – potwierdził, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Nic mu nie przychodziło do głowy. Czuł się, jakby dał z siebie wszystko. A teraz ktoś żąda, żeby zrobił jeszcze coś takiego. – Ale nie jestem pewny, czy to właściwa droga...

– Hej, Springsteen na pewno by się nie zastanawiał.

– Springsteen na pewno nie siedziałby w wieku prawie czterdziestu lat w małomiasteczkowym barze, bez pieniędzy, i nie rozmyślał, jak załatwić szefa.

– A właśnie że by siedział. No i widzisz, sam mówiłeś, Bruce jest Bossem, bo wykończył innych bossów.

– Ale ich nie zabił.

– Skąd to wiesz? – spytał Robin, a jego głos znów zabrzmiał obco, jakby należał do innej osoby, choć Chico rozpoznawał rytm wypowiedzi. – Może Bruce dostrzegł szansę i z niej skorzystał? Może zrozumiał, że czasem trzeba zrobić to, co trzeba zrobić. I może Bruce nie opowiedział wszystkiego o początkach swojej kariery? No, przecież nie powie wprost, że należy do mafii w Jersey i skąd tak naprawdę wziął pieniądze, za które kupił swoją pierwszą porządną gitarę. Oni mają omertę, to zмова milczenia. Założę się o wszystko, że Bruce jest płatnym zabójcą. Zastanów się. Ma idealne alibi. Cały czas w trasie, jeździ od miasta do miasta. I nikt się nie dziwi, jak nocą idzie sobie, dokąd tylko chce. Wszyscy tylko mówią: Patrzcie, to Bruce, przyjaciel nas wszystkich, na pewno wraca z chałtury. I to prawda, tylko trochę inna, niż to sobie wyobrażamy.

Chico popatrzył na Robina, który popijał dostarczający energii napój.

– Robin, Bruce nie jest płatnym zabójcą.

– Wierz, komu chcesz.

– Czytałem jego autobiografię...

– No właśnie, auto. Kto ci napisze, że w zeszłym tygodniu zabił znowu jednego rywala. Zastanów się nad zgonami z powodu narkotyków i przedawkowania, katastrofą prywatnego samolotu, kraksą samochodu, który wpadł do kanionu, śmiertelnym wypadkiem rywalizującego z nim piosenkarza rockowego. Nagle Bruce jest jednocześnie w Nowym Jorku i Los Angeles. Pojawia się w różnych miejscach prężący mięśnie i czujny, zawsze gotowy, żeby chwycić za mikrofon. Przypadek? Akurat!

Chico pokręcił głową.

– To jest jakoś...

Robin oparł się o stół.

– To ostatnia szansa. Chcesz gitarę czy nie? Chcesz się do końca życia pluskać w tym morzu?

Ostatnie pytanie zostało zadane w sposób, który Chico dobrze znał. Trafiło i uderzyło właśnie w ten punkt, z powodu którego ciągle wylewał swoje żale przed Robinem przez te zmarnowane lata. Była to właściwie jedyna rozsądna rzecz, jaką Robin powiedział, i zarazem sedno wszystkiego. Jednocześnie było to także najsensowniejsze pytanie, które Chico miał odwagę zadać samemu sobie.

Czy chce zostać na tej plaży do końca życia? Odpowiedź brzmiała – nie.

Chciał mieć nowy start i ostatnią szansę. Taką, która kiedyś pojawiła się przed nim, ale... Która być może znów mu się nadarza. Robin miał rację. Jego przyjaciel nadal wykazywał tę cudowną zdolność osiągnięcia jasności w środku zamieszania.

Wiązała się z tym jeszcze jedna bolesna sprawa: Jorma Leivo chciał ich sprzedać. Dlaczego więc oni nie mogliby sprzedać Jormy Leiva. Chico dopił piwo.

– Idziemy po łopaty – oświadczył.

CZEŚĆ III  
**REZULTATY**



# 1

Nymanowi nie pozostało nic innego jak tylko przerwać starszemu funkcjonariuszowi. Uniósł rękę powoli, lecz zdecydowanie, jakby chciał coś pokazać. Policjant zrozumiał znak, zwolnił swoją wypowiedź i w końcu urwał ją w połowie.

– Tak?

– Czy mogę pójść do toalety? – spytał Nyman.

– Nie zadałem ci jeszcze pytania.

Nyman nie wierzył, żeby odpowiedź na nie wniosła coś nowego. Milcząc, patrzył starszemu policjantowi w oczy. W końcu ten westchnął, dając znać, że się zgadza.

– Leo z tobą pójdzie – oświadczył.

Nyman spojrzał na młodszego, który wydawał się zakłopotany.

– Razem zawsze weselej – zachęcił go.

Już i tak czerwone policzki policjanta jeszcze bardziej się zaogniły.

– Zaprowadź go do naszej łazienki, Leo – zaproponował ten starszy.

Wstali, Nyman wyszedł pierwszy, a potem przystanął na korytarzu. Gdy młodszy policjant go minął i wskazał drogę, udał się za nim. Stare deski podłogowe skrzypiały znajomo pod nogami. Nyman zauważył, że dźwięk ten łatwo się roznosi.

Na końcu krótkiego korytarza znajdowały się drzwi prowadzące do pokoju wypoczynkowego, w którym panował utrzymujący się od wielu dni gorzki zapach kawy. Łazienka znajdowała się za okrągłym stołem. Nyman domyślił się, dlaczego ten starszy skierował ich tutaj. Publiczna toaleta była w holu, tuż przy drzwiach wyjściowych, w przeciwieństwie do tej, która ze względu na położenie stanowiła pułapkę.

Wszedł do środka, zamknął drzwi i załatwił potrzebę. Spuścił wodę, umył ręce i je wysuszył. Wyciągnął z kieszeni telefon. Bateria prawie się wyczerpała, stwierdził z westchnieniem. Chwycił zamek i klamkę i zaczął przesuwając je w różnych kierunkach i dociskać. Drzwi się oczywiście nie otworzyły, ale dźwięk powstający w wyniku tych

zabiegów wydawał się taki, jak powinien. Zrobił krótką przerwę, gdyż miał pewność, że usłyszał czyjeś kroki.

– Leo! – zawołał.

– Tak?

Głos policjanta dobiegał z bardzo bliska, więc musiał znajdować się tuż obok.

– Drzwi się nie otwierają.

– Czemu?

– Nie wiem, nie jestem ślusarzem. Idź po pomoc.

– Po pomoc?

– A możesz otworzyć je z drugiej strony? – spytał Nyman, wzmacniając uchwyt na obrotowej zasuwce i klamce.

Leo podjął próbę.

– Zamknięte.

– Wiem. Przyniesź śrubokręt i otwórz zamek od swojej strony.

– Nie wydaje mi się...

– Zaciął się. Przecież nie mogę tu zostać.

Zapanowała cisza.

– Muszę najpierw zapytać Reija.

Nyman nic nie powiedział. Przekręcił zamek kilka razy i czekał. W końcu usłyszał oddalające się kroki Leo. Wyłowił także skrzypienie desek podłogi. Policjant znajdował się teraz na korytarzu. Nyman otworzył drzwi i opuścił toaletę.

Z pokoju wypoczynkowego mógł udać się tylko w tym kierunku, z którego przyszedł. Zbliżył się szybko do drzwi, wyjrzał na korytarz i zobaczył plecy Leo stojącego obok pokoju przesłuchań. Przeskoczył przez wyłożoną deskami podłogę i wylądował na progu znajdujących się naprzeciwko drzwi. Skok był potężny, ale bezszelestny. Leo tkwił nadal w tym samym miejscu, więc Nyman wślizgnął się do środka.

Trafił do pokoju z oknem, który był miejscem pracy dwóch osób. Odsunął stojące na parapecie oprawione w ramki zdjęcia dzieci i młodych ludzi, chwycił za klamkę i pociągnął ją ostrożnie. Futryna wydała dźwięk przypominający głos umierającej śpiewaczki operowej. Zdecydowanym ruchem otworzył okno na oścież i w tej samej chwili usłyszał skrzypienie desek podłogowych, tupot i krzyki.

Skoczył na ziemię i poczuł, jak gałąź róży rozdrapuje mu skórę na łydce. Zaczął przedzierać się przez różane krzewy; wydawało mu się, że

mają miliony kolców, twardych i ostrych niczym szydła. Ból sprawił, że łzy napłynęły mu do oczu.

– Dokąd to się wybierasz?! – usłyszał za sobą krzyk Leo.

Nie zamierzał odpowiadać, że na randkę, do cholery, i że ściga mordercę. Wygramolił się z krzaków i zaczął biec. Był doświadczonym sprinterem, lecz zadrapania po kolcach róż sprawiły, że poczuł słabość w nogach. Zerknął za siebie. Leo wypadł przez główne drzwi komendy, od razu było widać, że on także umie biegać.

Pokonawszy ulicę, Nyman stanął, żeby się zorientować w okolicy i wybrać najlepszy kierunek ucieczki. Asfaltowa droga przechodziła w żwirową ścieżkę. Chociaż niemal już wyczerpana, bateria w telefonie nadal działała, ale nie miał czasu, żeby spojrzeć na mapę. Zrozumiał, że nie ucieknie, bo chociaż biegł ile sił w nogach, to wydawało mu się, że Leo jest tuż za nim.

Dotarł do osiedla drewnianych domów jednorodzinnych z zielonymi ogrodami. Zboczył na podwórko, pokonał krzewy porzeczek i przeskoczył płot. Biegł przez kolejne działki, zobaczył trampolinę, domek dla dzieci, wiatę z grillem, ogromną niczym traktor kosiarkę, szczekającego psa i znów trampolinę, domek dla dzieci, wiatę z grillem, kosiarkę, szczekającego...

Właśnie gdy wydawało mu się, że zgubił ścigającego go policjanta, usłyszał jego kroki. Przemknął pod jabłoniami do następnego ogrodu i dostrzegł uchylone drzwi prowadzące na ganek drewnianego domu. Podbiegł tam i wpadł do środka. Zamknął ostrożnie drzwi za sobą, cały czas patrząc na podwórko.

Leo, podobnie jak on, przebiegł pod jabłoniami. Nyman pomyślał, że podąży dalej, ale tak się nie stało. Policjant wyhamował przed następnym ogrodem i przystanął.

Nyman wyrównał oddech, dzięki czemu mógł teraz wyłować inne dźwięki niż tylko własne dyszenie. Odwrócił się powoli.

Na ekranie laptopa, który upadł na ziemię, szedł film dla dorosłych przedstawiający blondynkę przyjmującą okazałego ciemnoskórego mężczyznę. Działo się to w gwałtownym tempie, któremu towarzyszyły nie mniej gwałtowne dźwięki. Program sportowy dla dorosłych nie był jedyną niespodzianką czekającą Nymana.

Nad komputerem marki Toshiba ujrzał siedzącego w głębokim granatowym fotelu mniej więcej czternastoletniego chłopca z malującym

się na twarzy przerażeniem. Nadal trzymał on prawą rękę wokół lśniącej czerwono magicznej różdżki.

Nyman popatrzył chłopcu w oczy tak spokojnie, jak tylko się dało, i położył wskazujący palec na ustach. Lewą ręką dał mu znać, że wszystko w porządku i żeby się nie denerwował. Nie miał jednak pewności, czy chłopiec był w stanie odczytać cokolwiek z jego gestów.

Wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Leo stał w tym samym miejscu, a właściwie to kręcił się, zerkając na zmianę tam, skąd przybiegł, albo na boki.

Nyman znów spojrział na chłopca, mając nadzieję, że uda mu się zwolnić uścisk i być może zapiąć spodnie. Ale chłopiec siedział niczym przymurowany, pod każdym względem. Nyman w żadnym wypadku nie chciał, żeby z powodu tego spotkania doznał jakiejś traumy. Młodość jest delikatna. Chciał właśnie szepnąć, że obok leży koc, ale nie zdążył, bo stało się to, czego wcale się nie spodziewał.

– Mamo! – wrzasnął chłopiec. – Mamo!

Nyman pokręcił głową i popatrzył na ogród. Leo się zbliżał.

Nyman przebiegł przez dom i znalazł się przy głównym wejściu. Oczywiście po drodze nie zauważył nawet śladu matki. Wyskoczył na ulicę i starannie zamknął za sobą drzwi.

Przeszedł na drugą stronę i wkroczył do innego już ogrodu, w którym zobaczył jeszcze więcej porzeczkowych krzaków, stos polan i tarczę do rzutek z przypiętym na środku zdjęciem jakiegoś znanego człowieka. Przeskoczył przez ogrodzenie z siatki i znalazłszy się za krzakami i drzewami, próbował uciec po ich osłonę, ale wkrótce się przekonał, że nie będzie to możliwe.

Ujrzał jadący powoli ulicą radiowóz, słyszał trzeszczący pod oponami żwir. Prowadził starszy z policjantów.

Nyman musiał więc skierować się w drugą stronę. Obszedł dom, wdrapał się na płot ze sztachet i dostrzegł stamtąd szosę.

Pokonawszy jeszcze kilka ogrodów, żwirową drogę i wąski pas zarośli, stanął na poboczu z uniesionym kciukiem. Był typowym Finem i prośba o pomoc stanowiła ostatnią rzecz, do której by się skłaniał. Lecz teraz jego kciuk jakby sam powędrował do góry.

Zatrzymał się przy nim ósmy z kolei samochód – szare, niewielkie volvo. Nyman podskoczył do niego, otworzył drzwi z przodu po stronie pasażera i zajrzał do środka. Kierowca okazał się grubym, szeroko uśmiechniętym mężczyzną około pięćdziesiątki, z twarzą opaloną na

kolor brunatnej sosny oblanej czerwonym popołudniowym światłem. Miał krótkie włosy, okulary w metalowych oprawkach, brązową kamizelkę z wypchanymi kieszeniami, a pod nią kraciastą flanelową koszulę.

– Dokąd droga prowadzi? – spytał.

– Chciałbym się koniecznie dostać na ulicę Nadbrzeżną – oznajmił Nyman.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– No tak, jadę w tamtym kierunku, ale przedtem muszę się zatrzymać na stacji benzynowej.

Nyman nie miał wyboru.

– To mi pasuje – odpowiedział. Najważniejsze było opuścić niezauważalnie ulicę i pojechać dalej z grubsza w tym kierunku, w którym zmierzał. Wsiadł do samochodu i ruszyli. W środku roznosiła się intensywna woń. Nyman zorientował się, że to zapach ryb. Spojrzał za siebie. Na tylnej kanapie ujrzał torbę na przynęty, żyłki, kołowrotek. Na podłodze leżała siatka.

– Gdzie jest stacja benzynowa? – spytał.

– Obok komendy policji, tam za rogiem.

Nyman zamilkł.

– Mam na imię Matti – przedstawił się kierowca.

– Jan.

– Auto odmówiło posłuszeństwa?

– Ktoś mnie podwiózł tylko w jedną stronę.

Skręcili na osiedle, przez które Nyman niedawno uciekał. Znajome ogrody przemykały obok kolejno, jeden za drugim. Znalazł się w punkcie wyjścia.

– No więc – odezwał się. – Nie chcę być niegrzeczny, ale mam naprawdę ważne spotkanie i...

– Rozumiem – oświadczył mężczyzna. – Pojadę na skróty.

Zawrócili niemal natychmiast. Nyman rozpoznał ulicę, stał przy niej dom, do którego przed chwilą wszedł. Może nastolatкови udało się już opuścić dłoń. Bo jeżeli nie, to faktycznie będzie potrzebował pomocy matki.

Wtem na końcu drogi dostrzegł radiowóz. Samochód musiał tam zawrócić albo objechać kwartał.

– Mogę opuścić oparcie siedzenia? – spytał Nyman. – Jestem trochę uczulony na ryby.

– Na ryby?  
– Tak mi się wydaje. Kręci mi się w głowie. I w ogóle mało dzisiaj jadłem.

- Jadłeś rybę?
- Nie, mam alergię.
- A na tajemnia? Też jesteś uczulony?
- Też.
- A na śledzia?
- I na śledzia.
- A na piezzonego okonia?
- Również.
- A filet z siei?
- Sieja to ryba.
- A co z łososiem?
- Mogę opuścić oparcie?

Radiowóz się zbliżał. Nyman naciskał dźwignię, lecz oparcie przechylało się niemiłosiernie powoli. Wydawało się, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie, podczas gdy cała reszta świata pędziła z coraz większą prędkością. Nyman postanowił zsunąć się niżej z fotela, ale zobaczył, że Matti mu się przygląda.

– Chyba naprawdę źle się czujesz. Nie widziałem jeszcze u nikogo takich wygibasów. Zawieźć cię do lekarza? Przychodnia jest naprzeciwko komendy.

Czy w tej miejscowości jest coś, co nie znajduje się blisko komendy? – zastanawiał się Nyman.

– Nie, dziękuję – odpowiedział. – Wszystko w porządku. Muszę tylko trochę odpocząć.

W końcu oparcie fotela znalazło się w skrajnej pozycji, a Nyman siedział niemal na podłodze. Była to ostatnia chwila, gdyż radiowóz ukazał się akurat wtedy, kiedy on zniknął pod deską rozdzielczą, zsuwając się coraz niżej. Nie mógł zrobić nic innego jak tylko gapić się w sufit i marzyć, żeby policja go nie zauważyła.

- Aha – odezwał się Matti. – To chyba Reijo Pitkänen. Zapytam go...
- Naprawdę mi się spieszy. Mam bardzo ważne spotkanie.
- Oczywiście.

Nyman pomyślał, że właściwie jest to jego najdłuższa podróż samochodem w tym miesiącu. Leżąc niemal na podłodze, ujrzał, jak Matti macha komuś ręką. Wywnioskował więc, że przejeżdżają obok

radiowozu. Wkrótce potem skręcili, ale on nadal tkwił w tej samej pozycji.

Na stacji benzynowej podniósł oparcie fotela, lecz nie całkiem do góry, jedynie na tyle, żeby się rozejrzeć. Miał nadzieję, że jeśli ktoś go zobaczy, to pomyśli, że jedzie tu dziecko. Oczywiście jeśli nie będzie przyglądał się dokładnie. Matti tankował i trwało to wiecznie. Jakie było prawdopodobieństwo zatrzymania samochodu, w którym kończy się paliwo? – zastanawiał się Nyman, patrząc w stronę komendy policji. Dostrzegł różane krzewy, przez które się przedzierał, uciekając. Łydki nadal go bolały. Matti odwiesił w końcu pistolet nalewowy na miejsce. Nyman pomyślał, że wkrótce odjadą, ale usłyszał stukanie w szybę, więc ją opuścił.

– Może napijesz się jaffy? Niedobrze ci?

– Nie, dziękuję. Jestem spóźniony...

– No tak, racja.

Matti obszedł samochód, usiadł za kierownicą i zapiął pas; sprawiał wrażenie, jakby na nowo zapoznawał się z wyposażeniem pojazdu i z układem kierowniczym. W końcu uruchomił silnik i ruszyli. Nyman nie miał odwagi się odezwać, trzymał głowę pochyloną do przodu.

– W jakim zawodzie pracujesz? – spytał Matti.

– Jestem nauczycielem matematyki – odpowiedział Nyman.

– Nie może być. Ja też.

Nyman spojrział na kierowcę. Jakie było prawdopodobieństwo sytuacji, w której ktoś go podwozi samochodem i kończy mu się benzyna, a na dodatek ten ktoś jest nauczycielem matematyki, którego on udaje?

– W której klasie?

– Co masz na myśli?

– W której klasie uczysz?

– W młodszych...

– W młodszych klasach, jasne. Ja uczę w liceum. Na poziomie rozszerzonym. Co myślisz o reformie nauczania?

– Poważna sprawa – oświadczył ostrożnie Nyman.

– Tak, właśnie tak.

Matti mówił dalej, to dobrze. Nyman mógł skupić się na tym, by pozostać niewidocznym i jednocześnie obserwować otoczenie. Wkrótce dotarli na ulicę Nadbrzeżną. Nyman zaproponował, żeby Matti wysadził go w dowolnym miejscu, i obiecał, że jeśli jeszcze kiedyś się spotkają, to

postawi mu piwo w podzięcie. Kierowca się ucieszył, a on jeszcze raz podziękował, wysiadł z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Na ścianie wypożyczalni rowerów zobaczył zegar, który pokazywał równo ósmą. Nie wierzył własnym oczom. Udało się. Zdąży nawet wypożyczyć rower.

Obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, ale nigdzie nie zobaczył Olivii Koski.

Olivia słyszała dźwięk przypominający stukot łańcucha biegnącego przez rurę, słyszała odgłosy uderzeń młotkiem i to, jak Esa, który chwilę temu przedstawił się jako właściciel i dyrektor zarządzający, i jedyny stały pracownik firmy Kuurainen & Partnerzy, krzątał się w łazience, sprawiając wrażenie bardzo zajętego.

Spojrzała na ścienny zegar. Była spóźniona. Podeszła do drzwi łazienki. W środku na podłodze stało małe urządzenie z ekranem, a na sedesie znajdowało się pewnego rodzaju centrum dowodzenia Esy. Z prysznicą wymontowano kran odcinający wodę.

– Wszystko na nic – oświadczył Esa. – To będzie o wiele większa robota, niż myślałem.

– Co to znaczy?

– Sądziłem, że wystarczy kilka szybkich łat w niektórych miejscach. Ale tu nie ma nic takiego, co by działało albo ciągnęło. Chyba z tego nie korzystasz? Spuścić się nie da. To będzie tu pływać i pływać.

– Na końcu ogrodu jest wychodek.

– Wspaniale. W przypadku naturalnych rozwiązań dobrą stroną jest to, że rozmiar nie stwarza problemów. Bo jak przez tydzień je się sznycle wiedeńskie od Kaartinena i towar nie idzie, a potem zacznie...

– Czyli remont – przerwała mu Olivia. – Potrzebny jest remont.

Esa przytaknął. Nadal klęczał na podłodze. Hydraulik był niskim człowiekiem, więc jego oczy znajdowały się teraz na wysokości brzucha Olivii, która czuła się w związku z tym trochę nieswojo.

– I to poważny – stwierdził Esa. – Stąd nie ma żadnego odpływu, woda nie leci. Wszystko trzeba pociągnąć od nowa. Wodociąg dochodzący do działki jest na tyle nowy, że można go zostawić, ale należy wymienić wszystkie rury w środku i odprowadzenia z domu. Aż do szamba, w którym sytuacja przypomina właściwie ostatnie dni bitwy pod Waterloo. Trzeba po prostu...



Olivia wiedziała, co teraz nastąpi. Czekwała, ale niezbyt długo.

– Zrobić nowy kosztorys.

– Dostałam ofertę na piśmie – oświadczyła.

– I ten remont, o którym mowa w ofercie, możemy zrobić – stwierdził Esa, przemawiając nadal do jej brzucha, poniżej pępka. – Ale to się na nic nie przyda, dlatego że potem woda także nie popłynie ani nie będzie można korzystać z toalety. Nie wiedziałem, że sytuacja wygląda aż tak źle. Że częściowa naprawa nie pomoże. A poza tym sytuacja się zmieniła. Wcześniej płynęła jeszcze woda i działała toaleta. Teraz nic nie działa.

Olivia spojrzała na mężczyznę klęczącego w łazience. W tej kompozycji było coś symbolicznego. A może coś jej to przypominało. Czemu tak się dzieje, że gdy coś już załatwi, to na horyzoncie pojawia się jakiś inny problem.

– Pomylę się, jeśli powiem, że dziesięć tysięcy euro nie wystarczy?

Esa pokręcił głową. Sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie usłyszał najbardziej niemożliwy na świecie pomysł i odebrało mu to kompletnie mowę.

– O jak dużym remoncie w takim razie mówimy? – spytała Olivia.

Esa przestał kręcić głową, a słowa z jego ust wypłynęły niczym najczystsza woda z nowego lśniącego kranu.

– Dwadzieścia pięć tysięcy.

Olivia jechała na rowerze, czując, że pojazd napędzany jest czystą wściekłością. To ona przenosi góry, podpisuje umowy, zdobywa dziesięć tysięcy euro, które powinny wszystko załatwić, a tu się okazuje, że to nie wystarczy – na nic. Cholera jasna. Kurwa mać. Pieprzony dzień. Dwadzieścia pięć tysięcy euro, a ma dziesięć tysięcy, którymi może sfinansować tylko pierwszy etap remontu. Ta suma wystarczy jedynie na rozbiórkę i naprawę elementów konstrukcyjnych przed położeniem nowych rur. Czyli dzięki tym pieniądzom może w zasadzie mieć jedynie wielką dziurę w domu. No to cudownie. Zawsze starała się dobrze myśleć o ojcu, ale teraz przychodziło jej to z trudnością. O człowieku, który w tej samej łazience zrobił zapewne dwadzieścia pięć tysięcy spokojnych i szczęśliwych kup bez żadnych problemów. Którego naprawdę wykonywał swój śmierdzący obowiązek i którego zardzewiałe owoce pilnego uczęszczania do toalety spadły teraz na barki jego córki – niemal

dosłownie. Olivia wiedziała, że niedługo pożaluje tych myśli, ale była zbyt zdenerwowana, żeby się tym przejmować.

Dwadzieścia pięć tysięcy euro.

Ona miała dziesięć tysięcy, choć mówiąc dokładniej, te pieniądze nie należały jeszcze do niej.

I skąd tu wziąć dodatkowe piętnaście tysięcy?

Skręciła na drogę biegnącą wzdłuż plaży, dostrzegła kilkoro ludzi jedzących coś i pijących w restauracjach i barach. Pełnia sezonu. Właśnie tego jej brakowało. Ośrodek Palm Beach Finland nie przyciągał tłumów. Skąd szybko zdobyć tak dużą sumę pieniędzy?

Zrobiło jej się gorąco. Ubrała się ciepło, przygotowana na gwałtownie oziębiające się morskie powietrze, na szybko nastające zimno po zachodzie słońca, gdy wiatr, którego początkowo się nie zauważało, zaczął przeszywać ubranie, szczypał najpierw skórę, a potem przenikał do szpiku kości. Na końcu drogi zauważyła Jana Kaunista. Na jego widok przypomniała sobie, co miała zrobić za wszelką cenę, co było konieczne, także w jego przypadku. I o dziwo, nagle ochłonęła.

Podjechała do mężczyzny, który przybył tutaj, żeby nauczyć się windsurfingu. Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział uśmiechem i uniósł dłoń z kierownicy roweru.

Nauczyciel matematyki.

Nauczyciel matematyki, który nie umiał liczyć.

## 2

Chico zaczął oddychać pośpiesznie natychmiast, gdy tylko chwycił mocniej łopatę. Miał podobne uczucie jak wtedy, gdy przerzucał przez szyję pas elektrycznej gitary, zupełnie jakby wkraczał w inny wymiar i trzymał do niego klucz. Nie wiedział tylko, czy właśnie w tej chwili i właśnie w tym wypadku był to zły czy dobry znak. Podniecenie i szybszy puls nie miały jednak żadnego związku z fizyczną pracą. Tej jeszcze nawet nie zaczęli.

Wieczór przechodził w noc, światło dzienne znikало z nieba. Czekali już dobrą chwilę, stojąc z tyłu domku lub siedząc na składanych drewnianych krzesłach znajdujących się na ganku. Leivo mieszkał w Crockettie, który był wcześniej także wynajmowany, podobnie jak Tubbs, Castillo i inne, chociaż stał w oddaleniu od nich. Właściciel ośrodka kazał go pomalować na jaskrawy turkusowy kolor i otoczyć białym ogrodzeniem, którego przeznaczenia Chico nie potrafił zrozumieć, ponieważ nie przeszkadzało ono w wejściu do środka ani w zabraniu stamtąd czegokolwiek. Wszystko tu przypominało dekoracje teatralne, częściowo ze względu na niewielkie rozmiary. Domek był mały, a umieszczona nad drzwiami tablica z nazwą „Crockett” przywodziła na myśl bar albo sklepik w starej wsi.

Robin wydawał się skupiony. Siedział na ogrodowym krześle, w lewej ręce trzymając łopatę, i patrzył w stronę morza. Wcześniej wytłumaczył swój plan koledze, a Chico zapytał go, czy naprawdę wszystko przemyślał. To pytanie zadał w dobrej wierze. Robin spojrzал mu jedynie w oczy i podał łopatę.

Pierwsza część planu wydawała się łatwa do zrealizowania. Wybrane miejsce także było doskonałe. Crockett znajdował się wystarczająco daleko od reszty domków i dostatecznie blisko finalnej lokalizacji. Finalna lokalizacja. Znów jeden z tych terminów Robina. Nadchodzący zmierzch także był ich sprzymierzeńcem. Od kilku latarni na plaży dzieliła ten punkt spora odległość, więc zaskoczenie będzie całkowite.

Nie mieli dużo do niesienia – poza łopatami i kominiarkami jedynie latarkę i sznur. Telefonów nie zabrali, bo Robin powiedział, że dzięki nim ludzi można namierzyć gdziekolwiek, więc leżały teraz, czekając na nich, na kanapie Robina.

Chico nie mógł pojąć zmiany, która nastąpiła w zachowaniu przyjaciela. Musiało to mieć związek z Neeą. Usiadł obok niego na krześle, patrzył na morze i dostrzegał coraz mniej szczegółów. Fale powoli znikały w ciemności i powierzchnia wody zamieniała się w pustą przestrzeń. Chico trzymał łopatę poziomo na kolanach, spoczywała ona na jego udach, ciężąc mu jak gitara. Może to dobrze. Dzięki temu mógł zebrać myśli. Widział przed sobą cel.

Życie potoczyło się tak szybko.

Kilka głupich kroków i znalazł się właśnie tutaj.

Skorzystał z szansy, jak zawsze mu radzono, z zapalem i pełnym zaangażowaniem. A potem stało się to, co – jak uważał – zawsze mu się przytrafiało. Jakaś zewnętrzna siła wmieszała się w jego zamiary i skierowała działania na inny tor, a wynik końcowy okazał się wprost przeciwny do początkowego celu. Przypominało to efekt lustrzanego odbicia: gdy podnosił prawą rękę, widział w lustrze lewą. Wynikał z tego morał, że jeśli naprawdę chce osiągnąć sukces w czymkolwiek, powinien najpierw zniszczyć szanse na jego osiągnięcie. Na pewno nie przyniesie to gorszych rezultatów.

Chico ocknął się na dźwięk samochodu jadącego w ich stronę.

Wstali i jak wcześniej uzgodnili, podeszli do domku, przywarli do obłożonej deskami ściany, naciągając na głowy kominiarki.

Pojazd brzmiał tak, jak powinien. Terenówka należąca do szefa była stara, nie szumiała w typowy dla nowych samochodów sposób, lecz wydawała dźwięk charakterystyczny dla silników wysokoprężnych. Przednie reflektory omiotły domek i pobiegły bokami dalej, w kierunku morza. Potem dźwięk się zmienił, jakby samochód wjechał do środka budynku, co oznaczało, że znalazł się po drugiej stronie na miejscu parkowania wysypanym żwirem. Silnik zgasł, a wraz z nim światła. Przyjaciele czekali na umówiony znak. Ruszyli, gdy drzwi pojazdu się otworzyły.

Chico okrążył domek z jednej, a Robin z drugiej strony.

Podążali z tą samą prędkością, Chico ujrzał, jak przyjaciel wyłania się zza rogu w tej samej chwili, w której on mijał budynek z drugiej strony. Plan zadziałał znakomicie. A Leivo zachowywał się dokładnie tak, jak

Robin przewidział. Odwrócił się do tej osoby, którą zauważył najpierw. Przypadkowo był to Chico, który znajdował się już tylko kilka kroków od niego i właśnie uniósł łopatę na wysokość barku.

W tej chwili wszystko się zmieniło.

Chico sądził, że szef przerazi się albo co najmniej zdziwi na jedną setną sekundy, którą on wykorzysta do zamachnięcia się łopatą. To by znaczyło, że Leivo znieruchomieje w oczekiwaniu na nadejście ciosu może nie świadomie, lecz instynktownie.

Tak się jednak nie stało.

Widoczny w słabym świetle wyraz twarzy Leiva nie odzwierciedlał przerażenia, lecz coś innego. Również w jego postawie nastąpiła zmiana. To sprawiło, że Chico się zawahał. Zerknął na zbliżającego się Robina, który wbrew jego oczekiwaniom poruszał się wolniej. Potem spojrzął na szefa, który z kolei wbił wzrok w łopatę. Chico ponownie zawahał się na jedną fatalną sekundę.

Natomiast Leivo się nie zastanawiał, tylko wyciągnął z kieszeni marynarki jakiś przedmiot i podsunął mu go pod twarz. Zanim Chico zdążył zrozumieć, co się dzieje, jego oczy zajęły się ogniem. Wrzasnął i wypuścił łopatę, a potem usłyszał głuchy dźwięk, świadczący prawdopodobnie o tym, że Robin zbliżył się na odległość umożliwiającą cios. Leivo stęknął, rzucił przekleństwem, więc uderzenie nie mogło być specjalnie celne. Następnie Chico usłyszał krzyk i jęki Robina. Najwyraźniej Leivo sprawił, że oczy przyjaciela także zajęły się ogniem.

Chico wymacał łopatę, podniósł ją i wstał. Zobaczył przed sobą gęstą mgłę i migające światełka. Zaczął wymachiwać, ale nie trafił. Ponownie usłyszał ten sam głuchy dźwięk i wrzask szefa.

To Robin uderzył, tym razem celnie. Leivo nadal przeklinał, ale już nie tak rażno. Chico próbował go zlokalizować. Robin przyłożył mu łopatą dwukrotnie. Jeden mój cios powinien wystarczyć, pomyślał Chico i zamachnął się. Rozległ się dźwięk rozbijanej szyby i zgrzyt ostrza łopaty o blachę. Widocznie trafił w samochód. Teraz już mądrzejszy, zwrócił się w nowym kierunku. Zrobił krok do przodu i dostał pięścią w głowę.

Nie mógł oddychać i nic nie widział. Poczuł, że ogarnia go wściekłość. Chwytał mocno łopatę i zaczął nią wywijać. Znów rozbiła się szyba, więc nadal musiał znajdować się blisko samochodu. Usłyszał odgłosy przypominające... zapasy. Wrzaski, dyszenie, dudnienie ziemi. Chico próbował odzyskać wzrok za wszelką cenę, zaciskał powieki, mrugał,

mrużył oczy, otwierał szeroko. W końcu na tle domku dostrzegł ruszający się niewyraźny kształt. To Robin i Leivo się siłowali. Chico pobiegł ku nim, zdając sobie sprawę z tego, że nie będzie mógł użyć łopaty, bo nie ma pewności, w kogo trafi. Odrzucił ją więc na bok i skoczył na splątane ze sobą ciała.

Macając na oślep, wyczuł, które z nich należy do Leiva. Gdy zaciskał ręce na jego szyi, zrozumiał, że walczy z nim teraz sam na sam. Szef okazał się zdeterminowanym przeciwnikiem, silnym niczym niedźwiedź. Wyrwał się Chicowi i rzucił na niego, chwytając go za gardło. Zaczął go dusić, coś bełkocząc. Chico próbował krzyczeć i wymachiwał nogami. Starał się odwrócić od niego, lecz dłonie szefa były jakby wykonane z metalu, z najtwardszej stali. Pomyślał, że zaraz zginie.

Wtedy usłyszał głuchy dźwięk.

Leżący na nim Leivo zrobił się bezwładny niczym opróżniony worek. Wydał długie, głośnie pierdnięcie, przypominające tą wieczorową porą warkot małego silnika. Trwało ono wieczność. Dobywający się z wnętrzości chlupoczący dźwięk świadczył o następstwach pierdnięcia. Chico zaczął łapczywie oddychać, nie przejmując się tym, że powietrze, które wciągał raz po raz, pachniało siarką i przypominało woń starego śledzia albo zepsutych jajek. Leivo nadal żył, wydychając wilgotną parę na jego policzek. Był jednak pogrążony w głębokiej nieświadomości.

Chico czuł słabość w rękach, miał bezwładne mięśnie. Gdy odzyskał oddech, powiedział z wysiłkiem:

– Zabierz go ze mnie.

– Nie dam rady – stwierdził Robin, zakaszlał i wycharczał z oddali: – Cholera, ale śmierdzi.

– On na mnie leży.

– Wstrzymaj oddech.

– Nie mogę. Przydusił mnie.

– Jak gównno może tak śmierdzieć?

– Bo jest go dużo. Pomóż.

– Gówna się nie da wepchać z powrotem.

– Mnie. Pomóż mnie.

Robin się nachylił i we dwójkę zepchnęli Leiva na ziemię. Chico wstał z trudem, pokuśtykał na bok i zwymiotował. Poczul w gardle ból większy niż wtedy, gdy szef go dusił. Robin podszedł do niego i też zwymiotował.

Potem obaj oparli się dłońmi o kolana.  
Ale najgorsze miało jeszcze nadejść.

### 3

Jedzenie było nieziemsko dobre. Odrywali kawałki siei upieczonej w całości na otwartym ogniu. Do tego podano im młode ziemniaki ugotowane w osolonej tyle ile trzeba wodzie. Kruchą sałatę smakującą latem, chlorofilem i ziemią z odrobinką sosu z musztardy i cytryny; żaden tam gęsty, przypominający klej produkt, lecz świeży, orzeźwiający i lekko szczypiący w język.

Nyman już nie wątpił w siebie jak podczas długiej jazdy rowerem, gdy oboje po prostu przemierzali trasę krajobrazową, wybraną przez Olivię, zerkając od czasu do czasu na siebie i rzucając sobie uśmiechy, być może po to, żeby się upewnić, czy tempo jest odpowiednie. Wiedział, że podjął dobrą decyzję. Był blisko celu, doświadczenie mu o tym mówiło. Olivia Koski wytarła serwetką usta i spytała, czy mu smakowało.

– Dużo lepsze, niż się spodziewałem – odpowiedział.

– Miło to słyszeć. A jak dzisiejszy windsurfing?

Odrzuciła długie ciemne włosy z twarzy. Zapewne po to, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– Trudno powiedzieć. Rano nastąpiła jakaś zmiana i chyba wiem, o co w tym chodzi. Już nie wydaje mi się to zupełnie nienaturalne. Ta chwila, w której deska zaczyna cię słuchać i żagiel utrzymuje się w pionie, i ciągnie w jednym i tym samym kierunku... Nie mogę się doczekać następnej lekcji.

– Skąd ci przyszedł do głowy pomysł, żeby surfować?

Nyman wzruszył ramionami. Muurla mi to zaproponował.

– Tak sobie pomyślałem. Nie zastanawiałem się dlaczego.

Rozejrzał się. Siedzieli w rogu tarasu, na samym końcu. Po lewej stronie rozciągało się morze, po prawej biegła droga znikająca w pociemniałym lesie. Obok stała pochylona ukośnie latarnia oświetlająca Nymana. Twarz siedzącej naprzeciwko Olivii kryła się w cieniu, co sprawiało, że jej brązowe oczy przypominały węgielki.



– Nagle postanowiłeś uprawiać windsurfing? – spytała z uśmiechem.  
– Nie myślałeś o tym, gdy tu przyjechałeś?

Dowiedziałem się o tym z esemesa, odparł w duchu Nyman.

– Nie myślałem.

– Postępujesz dość spontanicznie. Ja pewnie też powinnam być bardziej spontaniczna. Zrobić coś zaskakującego. Najwidoczniej jest to przyjemne.

– Co przez to rozumiesz?

– Sprawiasz wrażenie wyluzowanego faceta, tak po prostu. To fajne. Decydujesz się nagle na urlop w jakimś dziwnym miasteczku, jedziesz tam, zaczynasz surfować, spotykasz się z miejscowymi. Zawsze się tak zachowujesz?

– Co przez to rozumiesz? – spytał, zdając sobie sprawę z tego, że powtarza to samo pytanie już po raz drugi z rzędu. Rozmowa nie przebiegała po jego myśli.

– Pewnie nie wypowiadam się jasno, skoro cały czas pytasz, co przez to rozumiem – powiedziała Olivia przyjaznym i miękkim głosem. – Przepraszam. Chodzi mi o to, że moim zdaniem spędzasz miło czas.

– To prawda – odparł Nyman i pomyślał, że szybko pochłonięte jedzenie trochę go oszołomiło. Pełny żołądek, leniwy umysł. – Jak już mówiłem: rozwód i zmiana pracy. Po czymś takim ma się ochotę na coś lżejszego.

– Po zmianie pracy?

– Tak. Nie wspominałem o tym?

Nie wspominałem? – Nyman spytał sam siebie i zorientował się, że powiedział o tym nie Olivii, lecz policjantom, oświadczając, że nie pracuje na etacie. A ponieważ nie miał stałej pracy, nie mógł przebywać na urlopie.

– Mówiłeś tylko, że jesteś nauczycielem matematyki – przypomniała mu Olivia. Jej oczy nadal kryły się w cieniu, więc nie mógł zobaczyć wyrazu twarzy kobiety. Jednak jej głos brzmiał miękko i cicho.

Klienci restauracji siedzący najbliżej nich zajmowali sąsiedni stół. Siwowłosa mężczyzna i brunetka. Oboje w wełnianych swetrach i otuleni grubymi szalami na wypadek wieczornego chłodu. Mądrze, pomyślał Nyman, który mimo ostrzeżeń ubrał się zdecydowanie zbyt lekko.

– No tak – rzucił, chcąc skierować rozmowę na inny, nie dotyczący go temat. – Obecnie nie mam ani stałej, ani tymczasowej pracy. Ale jestem

gotów uczyć, gdy tylko mnie o to poproszą.

– Dodawanie? Dzielenie? Całkowanie? Nigdy tego nie lubiłam. Oczywiście obliczanie procentów się przydaje. I na pewno reszta też. Życie i codzienność pełne są matematyki. Wszystko trzeba liczyć. Czas, pieniądze, kalorie. Ale czemu ja ci to mówię. Wiesz o tym oczywiście.

Nyman obserwował Olivie, która jakoś tak...

– Uczysz w liceum czy w szkole podstawowej? – spytała.

Co on zapamiętał z matematyki w liceum? Właściwie tylko to, że miał ją na poziomie podstawowym. I nie odnosił w niej specjalnych sukcesów. Najlepiej będzie, jak powie, że uczy w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Wprawdzie nie przypominał sobie nic z tamtych lekcji, ale nie mogą być przecież zbyt skomplikowane. Jednak nie zdążył odpowiedzieć.

– Może deser? – usłyszał głos dochodzący z boku. Uniósł wzrok, zobaczył kelnera zabierającego ich talerze i czekającego na zamówienie. Był to wysoki, ciemnowłosy i barczysty mężczyzna. Nyman spojrzał pytająco na Olivie.

– Oczywiście – odparła.

– Oczywiście – potwierdził Nyman i zerknął na kelnera.

Ten pokiwał głową i odszedł. W restauracji podawano tylko jeden deser. Jakże wygodnie. Nyman nie wiedział co, ale to nie miało znaczenia. Pomyślał, że jeśli deser jest słodki, to będzie mu smakował. Nalał sobie do szklanki piwa, wypił łyk i uznał, że wystarczy już rozmowy o matematyce.

– A jak tobie minął dzień? – spytał, odstawiając szklanę.

– Mam wrażenie, że wiesz – odparła Olivia nadal łagodnym, przyjaznym tonem.

Nyman nie chciał zadawać po raz trzeci pytania: „Co przez to rozumiesz?”. Prawdopodobnie w świetle latarni miał i tak wystarczająco pytający wyraz twarzy.

– Spotkaliśmy się na plaży. Pamiętasz?

– Oczywiście – przyznał.

– Byłam tam cały dzień, zastępowałam Chica, który zadzwonił, że jest chory.

– A Chico to kto?

– Ratownik. Wygląda jak Patrick Swayze. Sam ci to powie, jeśli nie zauważysz.

Kari Korhonen, domyślił się Nyman, człowiek, który chwycił za swoje genitalia, gdy tylko nadarzyła się okazja.

– Jaki on jest?

– Chico? Dlaczego pytasz?

Nyman był przekonany, że Olivia uśmiechnęła się lekko. Włosy jeszcze bardziej ocieniały jej twarz.

– Tak z ciekawości – odparł. – Po prostu widziałem go na plaży i...

– Pewnie w moim towarzystwie?

Co ona ma na myśli? Czyżby uważała, że jest zazdrosny? Nyman czuł zazdrość, ale to było bez znaczenia. Chociaż trochę znaczenia jednak miało. Podobnie jak w przypadku wszystkich innych spraw. Starał się zrobić minę świadcząca o tym, że udało się jej trafić w sedno. Co oczywiście było prawdą, a Olivii to wystarczyło.

– Jak by tu... Jeśli mam być szczerą, to Chico... Powiedzmy, że Chico nie byłby w stanie zakwestionować teorii względności. Mimo to jest całkiem fajny. Zasadniczo uprzejmy, gdy o tym pamięta. W żadnym wypadku pilny pracownik i często choruje na gripę. Nawet latem. Zwłaszcza latem.

W krótkim czasie Nyman usłyszał to samo od dwóch osób. Policja również chętnie zaczęłaby podejrzewać Korhonenę, gdyby choć trochę nadawał się na podejrzanego. Właśnie dlatego Nyman uważał Chica za znakomitego kandydata. Lubił takich, którzy nie byli faworytami.

– I jak, zadowolony z odpowiedzi? – spytała Olivia.

Nyman nie zdążył się odezwać, bo przyniesiono deser. Ciastko z rabarbarem i domowe lody. Chwycił łyżeczkę i poczuł, że jest bardzo zimna. Nie wiedział, jak zadać następne pytanie, bo obawiał się, że znów zaczną rozmawiać o zazdrości.

– Zauważyłem, że mój sąsiad z domku obok był dzisiaj na plaży – powiedział tak, jakby dotyczyło to jego przyjaciela. Którego nie miał. – Polecilibym mu windsurfing, ale nie zdążyłem z nim porozmawiać. I nie widziałem go później. Chciałem mu zaproponować, żeby przyszedł rano na plażę, bo może jeszcze do nas dołączyć. Wygląda na wysportowanego faceta. Windsurfing by mu się spodobał.

Wyraz twarzy Olivii się zmienił, Nyman był o tym przekonany.

– Musisz go o to zapytać – zaproponowała.

I to wszystko. Nyman stwierdził, że ciastko z rabarbarem wymaga towarzystwa kawy. I że między jego sąsiadem a Olivią coś zaszło. Ale co?

- Pomyślałem sobie, że może przyszedł, żeby zapytać o coś związanego z plażą – powiedział. – Chyba jednak nie.
- Przyszedł, żeby mi wyjaśnić, co dręczy społeczeństwo.
- I co to takiego?
- Lumpy, takie jak ty, które surfują.
- To największy problem?
- Wyraźnie mu to przeszkadza.

Oboje uznali, że ciastko wprost rozplywa się w ustach. Nyman wspomniał o kawie, więc ją zamówili.

– Nie martwi cię, że nie masz pracy? – spytała Olivia. – Chociaż teraz sobie przypominam, jak mówiłeś, że dostałeś trochę pieniędzy, gdy twoja żona sprzedała wasze mieszkanie. Pewnie dlatego mogłeś wziąć urlop i surfować nawet przez całe lato. Ale co potem?

- Chcę wziąć sobie trochę wolnego.
- To znaczy, że trochę więcej wolnego?
- Może chciałbym robić coś innego.
- I może matematyka to nie twoja dziedzina. Zazwyczaj nauczyciele matematyki umieją dodawać – powiedziała Olivia.

Jadła deser, unosząc powoli łyżeczkę do ust. Nyman miał wrażenie, że ciasto i roztopione waniliowe lody jej smakują. Czekał na dalszy ciąg. Olivia przełknęła.

– Raz człowiek może się pomylić – oświadczyła. – To dotyczy każdego. Ale nauczyciele matematyki nie robią błędów za każdym razem.

- Jestem w urlopowej formie.
- Być może. Ale nauczycielem matematyki nie jesteś.

Nyman starał się zorientować w jej myślach, lecz na próżno. Zobaczył wyłaniającego się z ciemności kelnera z dzbankiem kawy i filiżankami, parę siedzącą przy sąsiednim stole, latarnię i długie cienie. Usłyszał dźwięk dzwoniącego telefonu, najpierw głuchy, a później wyraźny, gdy Olivia podniosła torebkę. Kelner dotarł do ich stolika i zaczął ustawiać filiżanki.

Olivia spojrzała na wyświetlacz, przeprosiła i wstała.

Znała numer telefonu, ale zdziwiło ją, że dzwonią do niej o tej porze. Odeszła trochę dalej od tarasu, na którym znajdowało się sześć stołów, i wspięła się na pobliski pagórek. Stamtąd widziała zarówno restaurację,

jak i czarne morze rozciągające się w tle. Przy jednym ze stołów, w złotym świetle latarni, kelner nalewał kawę Janowi Kaunistowi.

Ten drugi sprawiał wrażenie, jakby wcale nie zauważył jej odejścia. Nie wiedziała, co ma myśleć o tym mężczyźnie; wydawało się, że jest nią szczerze zainteresowany, ale coś tu nie pasowało. Próbowwała podejść go i zaskoczyć, lecz on cały czas zachowywał spokój. A przed chwilą, gdy oznajmiła mu wprost, że nie sądzi, aby był nauczycielem matematyki, stwierdził tylko, że jest w urlopowej formie.

Olivia rozpoznała dzwoniącego po głosie, który był tak charakterystyczny, że zaraz ujrzała w wyobraźni twarz z siwą brodą. Mężczyzna przedstawił się jako Reijo Pitkänen, starszy posterunkowy z miejscowej policji. Spytała go, czy coś się stało.

– Właściwie to nie wiem – odparł policjant. – Chciałbym panią o to zapytać.

– Panią?

– Mogę przejść na ty?

Byłeś ze mną na ty, gdy podejrzewałeś, że uprawiam seks z piromanem, pomyślała i powiedziała, że się zgadza.

– Dobrze – rzucił policjant tak obojętnie, że mogło to oznaczać cokolwiek. – Proszę też o wybaczenie, jeżeli wcześniej zachowałem się trochę niegrzecznie. Nie miałem takiego zamiaru. Czasem to wina tej pracy. Dzwonię dlatego, że przydarzył nam się pewien przypadek. Mianowicie zajechaliśmy pod twój dom, żeby obejrzeć jeszcze raz resztki sauny, i kiedy tam się pojawiliśmy, zobaczyliśmy, jak po ogrodzie chodzi sobie pewien mężczyzna.

– Tak?

– Ten sam, który towarzyszył ci tego dnia, gdy spaliła się sauna. A właściwie gdy ją podpalono.

Olivia spojrzała na taras. Jan Kaunisto popijał kawę i jadł deser, powoli, ale zdecydowanie.

– Ten mężczyzna powiedział, że chciał się spotkać z tobą – ciągnął policjant. – Zapytaliśmy oczywiście, w jakim celu. Odparł, że to sprawa między wami. Z pewnością tak jest, jeśli to prawda.

Olivia nadal patrzyła przed siebie. Jan spojrzał w jej stronę, wskazał łyżeczką na swój talerzyk. Była przekonana, że się uśmiecha. Wyglądał jeszcze sympatyczniej niż zwykle.

– Właściwie to chciałbym zapytać – dodał policjant – czy to prawda? A jeżeli nie, to czy zauważyłaś w domu coś niezwykłego?

Jan dolał sobie kawy i zerknął na nią. Olivia uniosła wskazujący palec, dając mu do zrozumienia, że rozmowa potrwa jeszcze minutę, i pomyślała o dziesięciu tysiącach euro. Do diabła z tym wszystkim. Czemu zawsze wtedy, gdy dostaje coś od życia, musi się z tym wiązać jakiś moralny dylemat nie do pokonania? Przecież ona chce jedynie łazienki z bieżącą wodą. Naprawić coś, co zaniedbywały całe pokolenia. Upewniła się ostatecznie, że poszukiwanym przez adwokata mężczyzną jest właśnie Jan Kaunisto. Dlatego wybrała trasę krajobrazową, bo jeździło nią więcej ludzi.

Jeśli chodzi o chronologię, to Jan Kaunisto pasował do wszystkich zdarzeń: pojawił się w mieście tuż przed pożarem, który zaczął się eksplozją. Tak powiedział dowódca strażaków. Olivia nie знаła się na bombach zegarowych ani zapalnikach, ale uważała, że sporządzenie czegoś takiego nie jest zbyt skomplikowane. No i sposób, w jaki Jan nawiązał z nią znajomość – zaczął się kręcić przy niej od razu. A teraz wypytywał o różnych ludzi z jej otoczenia. I nauczycielem matematyki nie był, co do tego miała pewność.

Nie rozumiała jedynie, czemu wrócił tutaj po tym, jak zabił mężczyznę w jej domu. Oczywiście na to też istniało wytłumaczenie – jeżeli ktoś jest wystarczająco pokrecony, żeby kogoś zabić, to jest gotów na wszystko. Prawda?

Olivia musiała zrobić to, co musiała. Jan sam sobie pościelił, więc niech się teraz w tym łóżku wyśpi. On może być niebezpieczny. Poza tym adwokat przekazał jej dziesięć tysięcy euro w zamian za nazwisko mordercy. Olivia złożyła mu obietnicę. Wcześniej obiecała sobie, że zrobi wszystko, aby zdobyć pieniądze na remont. Nic z tego nie wydawało się jej dobre ani właściwe, ale to nie znaczyło, że decyzja nie miałaby być dobra i właściwa. Nauczyła się, że czasem sprawiająca przykrość decyzja przynosi coś dobrego.

Wróciła myślami do pytania policjanta. Czy zauważyła w domu coś niezwykłego?

Jeśli pomyśleć, że ostatnie trzy tygodnie przyniosły ze sobą nową normalność, i biorąc pod uwagę, jak zmieniło się jej codzienne życie, to nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło.

– Wydaje się, że w domu wszystko jest w porządku – powiedziała. – Nie licząc konieczności wielkiego remontu.

– Zgadza się – uznał policjant. – To znaczy dobrze by było go zrobić. Jeszcze jedna sprawa. Jeżeli usłyszysz albo coś zobaczysz, daj nam znać.

Olivia odwróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i spojrzała w ciemny las.

– Nic szczególnego nie widzę.

Przekazali sobie życzenia dobrej nocy i zakończyli rozmowę. Olivia wyjęła z kieszeni wizytówkę adwokata, wybrała numer i zadzwoniła. Odezwał się automat. Zostawiła wiadomość i wróciła do deseru, kawy i Jana Kaunista.

## 4

Operacja przeniesienia okazała się piekielnie trudna. Leivo ważył sto kilo, Robin i Chico z wysiłkiem wlekli jego ciało pod górę, po piaszczystym podłożu. Ciągnęli go za skrępowane w pośpiechu ręce. Szli z trudem i za każdym razem, gdy przystawali, owiewał ich wiatr, a wtedy robiło się im niedobrze.

Do wyboru mieli więc albo transportowanie Leiva, albo wymioty.

Zastanawiając się nad tym, Chico uznał, że tej części plan Robina wcale nie obejmował. On też o tym nie pomyślał. Skupił się tylko na jednym miejscu i jednym zadaniu, a zapomniał całkiem o tym, co będzie się działo potem. Ciągnąc teraz ciało, pojął, że to stanowiło słabą stronę jego planów. Wcale nie uwzględnił tego, że między wszystkimi najważniejszymi wydarzeniami wykonywał po prostu brudną robotę i że w gruncie rzeczy większość jego życia polegała właśnie na tym.

To, o czym zawsze marzył – że oto stoi z gitarą w świetle reflektorów – było tylko szybko mijającym obrazem, mgnieniem oka. Teraz znów wlecze ciężar w sosnowym lasku. Może więc tym razem tak powinno być? Ta myśl wywołała w nim jednocześnie wdzięczność i niepokój. Uczucia te połączyły się i spowodowały w jego głowie duże zamieszanie. Chyba musi podziękować za to Robinowi. Nie był pewien.

Tak czy owak, dotarli już tutaj, w pobliże morza, do pogrążonego w ciemności sosnowego lasku i szykowali się do drugiej fazy planu.

Ciągnęli Leiva, trzymając łopaty. Szef miał zawiązane oczy na wypadek, gdyby odzyskał przytomność. Usta zakneblowali mu szalikiem, by nie mógł krzyczeć. Ale Leivo nie próbował zrobić ani tego, ani tego. Gdy zwolnili i zrobiło się cicho, Chico usłyszał, jak chrapie, co wpłynęło na niego uspokajająco, choć nie umiał powiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

Przenieśli ciało przez płaskie skaliste podłoże, zatrzymali się na chwilę na plaży, a potem dociągnęli je do wody i zaczęli kopać. Okazało się to niezwykle ciężką pracą. Powolną i trudną. Od czasu do czasu



trzonkiem szpadla brali miarę z leżącego mężczyzny i za każdym razem stwierdzali, że dół nie jest dość głęboki. Chico musiał robić sobie przerwy. W ramionach czuł ból i pieczenie, otarł sobie dłonie do krwi, z wysiłkiem prostował plecy. Natomiast Robin pracował w niezwykłym tempie, bez przerwy, to mu trzeba było przyznać. Jego łopata uderzała rytmicznie w ziemię i unosiła się niczym tłok w cylindrze, dokładnie i skutecznie.

W końcu pomiar szpadlem wykazał, że osiągnęli wystarczającą głębokość. Chico pomógł Robinowi wydostać się na brzeg dołu i stanęli obaj nad nim, oświetleni księżycowym blaskiem. Nieco dalej pochrapywał Leivo. Fale morskie łaskotały krawędź dołu. Chico rozejrzał się, ale okolica była całkiem pusta. Ta część Palm Beach Finland leżała na terenie rezerwatu przyrody i nawet za dnia nie cieszyła się specjalną popularnością. Brzeg, stanowiący jej granicę od strony morza, był zamknięty z obu stron lasem.

Znów chwycili szefa za ręce i podciągnęli go w pobliże jamy, a następnie odwrócili i ostrożnie przerzucili jego nogi nad krawędzią. Najpierw w dole zniknęły stopy, później łydki i kolana, które się ugięły. I wtedy Chico zrozumiał, że mają problem. Zatrzymał się i wyjaśnił wszystko Robinowi. Jeżeli po prostu wrzucą Leiva do dołu, to on spadnie na dno niczym galareta.

Robinowi przyszedł do głowy pomysł. Przewiązał szefa sznurem i pełniąc funkcję hamulcowego, opuszczał ciało, utrzymując je sztywno w pozycji pionowej, choć trudno to było nazwać sztywnością, gdyż Leivo dyndał na sznurze ze zwieszoną głową i przypominał pusty worek.

Gdy jego stopy dotknęły dna, za sznur chwycił Chico, a Robin wziął łopatę. Zасыpywanie dołu szło mu szybko. Chico miał coraz mniejszy ciężar do podtrzymywania i poczuł ulgę, ponieważ jego barki i plecy wyły z bólu.

Przyjaciele nie mieli zamiaru zakopywać ciała w całości. Nie, ich plan był w gruncie rzeczy genialny. Chico musiał to przyznać właśnie teraz, gdy kończyli pracę. Właściwie wystarczał im tylko dół, który rozwiązywał problem.

Robin nasypał piasku aż po ramiona Leiva. Teraz przyszedł czas na wykończenie, a to wymagało dokładności, więc ukląkł i zaczął pracować rękami, zachęcając Chica do pójścia w jego ślady. Ten się jednak wahał. Nie chciał podchodzić bliżej, nie czuł się z tym wszystkim dobrze. Ale przyjaciel naciskał, więc się zgodził. Nałożył piasku tyle, by sięgał aż pod

brodę szefa. Nie uklepywał jednak zbyt mocno; czuł, że musi to być zrobione z dokładnością co do milimetra, zrobione prawidłowo, musi...

Chico pracował właśnie po prawej stronie głowy, gdy Robin powiedział, że chce, aby Leivo widział, jak poziom wody się podnosi. Zerwał zakrywający jego oczy szalik i odrzucił go na bok.

Równomierny oddech się zatrzymał. Leivo otworzył szeroko oczy, rozejrzał się i spojrzął na Chica, a ten na niego. Dzielił ich niecały metr. Chico przypomniał sobie, że ściągnął kominiarkę, ponieważ bardzo się spocił podczas kopania. W tej samej chwili Leivo zorientował się, co się dzieje, i zaczął niemiłosiernie wyć.

Na szczęście usta miał nadal zakneblowane.

Chico mało nie zemdlął z przerażenia. Pomyślał, że szef zaraz wyskoczy z piasku, ale oczywiście tak się nie stało. Leivo nadal tkwił w tym samym miejscu. Chico także stał jak sparaliżowany. Obaj patrzyli sobie w oczy. W końcu Chico się otrząsnął i wstał.

Przeszedł za unieruchomionego w piasku Leiva, który kiwał głową na wszystkie strony. Jego sterczące w nieładzie włosy były jeszcze bardziej zmierzwiłone niż zwykle. Chico pomyślał, że taka szarpiąca się głowa wygląda jak obłąkany ananas. Z gardła ofiary wydobywały się głębokie pomruki przywodzące na myśl lwa lub psa albo jakieś prehistoryczne zwierzę.

Zaczęli biec, oddalając się od morza, gdy Robin szepnął, że trzeba zabrać leżące koło szefa łopaty, a ponieważ Chico odkrył już twarz, więc on to powinien zrobić. Zatrzymali się. Chico spojrzął na przyjaciela. Chwilę później pomyślał, że właśnie wtedy powinien był zrozumieć, co zaraz nastąpi. Ale pomyślał także, że sam by w to nie uwierzył. Więc przyznał rację Robinowi co do faktów i zgodził się głównie dlatego, że chciał jak najszybciej opuścić plażę.

Jeszcze raz podszedł do Leiva, przed którym leżała jedna z łopat. A właściwie leżała przed jego głową, gdyż ze względu na to, że reszta ciała znajdowała się w piasku, Chico nie mógł sobie wyobrazić szefa jako całości i widział jedynie złowrogą, kołyszącą się na boki piłkę, która z jakiegoś powodu tkwiła w miejscu.

Przyciągnął do siebie łopatę, chwycił ją mocno, obszedł głowę od tyłu i stanął po drugiej stronie. Pomyślał, że mógłby teraz szybko złapać drugi szpadel od razu za stylisko, tak by mu było łatwiej go nieść. Ale nie miał już odwagi spojrzeć szefowi w oczy. Postanowił, że popatrzy na morze i wymaca łopatę. Pochylił się, wyciągnął rękę, odwrócił głowę

w stronę połyskujących w świetle księżyca fal i poczuł, jak Leivo go gryzie.

Ugryzł mocniej, niż byłby to w stanie zrobić jakikolwiek pies. Być może kneblujący go szalik wypadł lub udało mu się wypchnąć go językiem. Wszystko jedno, pomyślał Chico, gdy zęby zagłębiały się coraz bardziej w krawędź jego dłoni. Próbował ją wyrwać, ale Leivo zaciskał mocno szczęki, mruczając przy tym, i widać było, że całą jego głowę ogarnia napięcie. Chico poczuł paraliżujący ból w ręce i wrzasnął, chociaż mieli się porozumiewać jedynie szeptem. Robin stał w miejscu. Chico odpychał głowę Leiva od siebie wolną dłonią, ale na próżno, bo przecież ten był unieruchomiony aż po szyję i nie mógł odskoczyć. Chico uznał, że nie pozostało mu nic innego jak tylko uderzyć. Wymierzył szefowi dwa kuksańce w czoło, ale wydały mu się one niewłaściwe i kompletnie niesprawiedliwe.

W końcu Robin ruszył na pomoc. Trwało to wieczność. Leivo walczył niczym doberman, a z oczu Chica płynęły łzy spowodowane fizycznym bólem.

Robin ukląkł i zaczął rozwiązywać węzeł knebla. Gdy udało mu się wyszarpnąć szalik, zaczął ciągnąć Leiva za uszy. Chico musiał zamknąć oczy. W końcu, po nieznośnie długiej chwili, szef wrzasnął, być może pod wpływem bólu, i rozchylił lekko szczęki.

Chico wyrwał dłoń, rzucił się do tyłu i wstał gwałtownie. Machał ręką, wydawało mu się, jakby miał złamaną lub przynajmniej zwichniętą którąś z kości. Ujrzał, jak przyjaciel ponownie wpycha szefowi szalik do ust i zawiązuje węzeł z tyłu mimo oporu szefa. Jednak Robin był silny i zręcznie unikał zębów. Leivo kołysał i szarpał głową, wydawał przerażające dźwięki, nie zważając na knebel. Potem się uspokoił i w końcu znieruchomiał. Sprawiał wrażenie, jakby znów stracił przytomność.

Robin wstał, zabrał łopaty i skierował się w stronę lasu. Chico podążył za nim, próbując schłodzić zimnym powietrzem pulsującą i obolałą dłoń. Weszli między sosny i wędrowali w odwrotnym kierunku niż ten, z którego przyszli, gdy Chico uświadomił sobie istotną rzecz, o której nie wspomnieli. W każdym razie on nie pamiętał, aby poruszali ten temat.

– Zaczekaj – powiedział do pleców Robina.

Przyjaciel się zatrzymał i odwrócił powoli. Chico nie widział dokładnie wyrazu jego twarzy, ponieważ przypominała białe złoto

księżycowa poświata, owszem, oświetlała dobrze niektóre miejsca, ale teraz znajdowali się wśród drzew i wszystko zakrywały czarne cienie. Chico stanął tyłem do Robina i spojrzął na morze.

W świetle księżycy głowa Leiva przypominała mały przedmiot wyrzucony przez fale na brzeg. Chico zastanawiał się nad tym widokiem; miał wrażenie, że czegoś mu brakuje. Czegoś istotnego, czego nie rozumiał. Wtem pojął, co to takiego. Odwrócił się do Robina i w tym samym czasie, w którym słowa popłynęły mu z ust, ujrzał zbliżającą się do niego łopatę.

– Czy tutaj w ogóle są przyływy... – zaczął i poczuł uderzenie w skroń, ale nie od razu to do niego dotarło. Cios był dziwnie tępy, lecz Chico miał pewność, że w ustach wyłowił smak metalu, krwi i wilgotnego piasku.

A może jednak posmakował tego dopiero na ziemi, na której miękko wylądował. Jako ostatnia przyszła mu do głowy myśl, że plan okazał się znakomity. Z wyjątkiem oczywiście tego, że opierał się na czymś, co nie istnieje. W każdym razie akurat nie tutaj.

I pomyślał jeszcze, że Robin nie jest być może najjaśniejszym promykiem słońca, ale za to godnym zaufania przyjacielem. Czy aby na pewno?

## 5

– Wszystko w porządku? – spytał Nyman, gdy Olivia Koski wróciła do stołu i od razu usiadła na krześle. Zauważył, że zjadł niemal całą porcję deseru, a ona zdążyła jedynie spróbować. Poczuli się trochę głupio.

– Dlaczego pytasz? – spytała. – A, masz na myśli telefon. Chodziło o dom.

Nyman zobaczył, że patrzy na niego jakby wyczekująco i wydaje się znacznie czujniejsza niż przed chwilą.

– Mam nadzieję, że to nic nieprzyjemnego – powiedział.

– Dzisiaj się okazało, że remont będzie znacznie większy, niż początkowo się spodziewałam.

– Większy remont oznacza zapewne większe pieniądze.

Olivia nie odezwała się, nie zwracała też uwagi na niedokończony deser. Nyman odczekał kilka sekund, starał się odgadnąć wyraz jej twarzy. Olivia wydawała się poważna i zdenerwowana.

– Interesują cię moje finanse – przerwała w końcu milczenie. – Zauważyłam to. Ja nie mam pieniędzy. Uganiaś się za niewłaściwą kobietą. Przez cały ten czas. Jestem goła jak święty turecki. Nie dostaniesz ode mnie żadnych pieniędzy, bo ich nie mam.

Nyman odłożył łyżeczkę na talerz. Otarł serwetką usta i oparł się o krzesło.

– Nie chcę od ciebie pieniędzy – powiedział. – Nawet gdybyś je miała, tobym ich nie chciał.

Olivia wpatrywała się w niego. Nyman zauważył, że nadal trzyma kurczowo telefon. Jak na rozmowę dotyczącą remontu domu, to została przeprowadzona o zbyt późnej porze. Nie wierzył w nią ani przez chwilę. Wnioskując ze zmiany w zachowaniu Olivii, uznał, że dzwonił miejscowy policjant.

Spojrzał na całą sytuację także oczami Muurli, swojego zwierzchnika i osoby kierującej całą operacją. To, że Nyman był zdany tylko na siebie, mogło się okazać dla niego interesujące. Od czasu do czasu postępowano

tak z agentami celowo: kazano im wchodzić w środowisko coraz głębiej i głębiej i sprawdzano, kto wróci na powierzchnię i z jakimi rezultatami. Nyman nie uważał tego za niesprawiedliwe, traktował to jako element swojej pracy. Najlepsza w tym wszystkim była jednak druga strona tej sytuacji, która została przypieczętowana zaledwie kilka godzin wcześniej. Teraz nic go już nie ograniczało. Mógł działać swobodnie – stosując również takie sposoby, które wcześniej nie wchodziły w grę.

– Nie chcesz pieniędzy? – spytała Olivia.

– Nie.

– Właściwie to cię rozumiem. Bo pewnie nie umiałbyś ich policzyć, gdyby suma przekroczyła dwa euro.

– Nie musisz mnie obrażać.

– Rany! W czasie naszej krótkiej znajomości nie udało ci się wykonać prawidłowo ani jednego dodawania. Wszystko ci wyszło źle: czas wynajmu deski surfingowej, moja teoria męskich przypadków, dosłownie wszystko. Już ci mówiłam, że nie jesteś nauczycielem matematyki, i teraz jestem tego pewna.

Patrzyli na siebie. Dobiegała do nich rozmowa, którą prowadziła siedząca przy sąsiednim stoliku para. Nyman nie mógł wychwycić słów, ale słyszał ton głosów i wyczuwał bliskość tych dwojga. Na szczęście kelner nie podchodził. Nyman położył serwetkę na stole i wcisnął ją pod talerz. Zastanawiał się przez chwilę. Olivia musi wyremontować dom, ale nie ma na to środków. W kuchni znajdują trupa. Sauna się pali. Pieniądze się pojawiają.

Przechylił się do przodu i spytał cichym, przyjaznym głosem:

– Czy ktoś lub coś ci grozi?

Spojrzała na niego tak jak podczas pierwszego spotkania przed wypożyczalnią desek surfingowych. Mierzyła go wzrokiem, oceniała. Nyman zadrżał z czysto fizycznego powodu, po prostu ubrał się zbyt lekko. Sąsiedztwo morza okazało się zdradliwe; początkowo czuł się świeżo i przyjemnie, a gdy ogarnął go chłód, uświadomił sobie, że towarzyszy mu on przez cały czas. Z jakiegoś powodu dotarło to do niego z opóźnieniem.

– A kto pyta?

– Ja.

– No tak, ale nie wiem, kim jesteś. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: może. Nie wiem. Czy ty mi grozisz?

Zdał sobie sprawę, jak bardzo Olivia działa na jego zmysły. Ogromnie go pociągała. Myśl o tym przytłumiła uczucie chłodu.

– Nie sądzę – rzucił i od razu tego pożałował.

Ale cóż innego mógł powiedzieć? Jeżeli była zamieszana w niezgodną z prawem działalność, to oczywiście stanowił dla niej zagrożenie. A jeżeli była niewinna, wtedy ta odpowiedź...

– To zabrzmiało okropnie – oświadczyła Olivia. – Do twojej wiadomości, policja wie o tobie. A ja wiem, że zakradłeś się dzisiaj do mojego domu.

– Tak mi się wydawało – odparł Nyman, przyznając przed samym sobą, że powinien jej powiedzieć prawdę. Co go powstrzymywało? Właśnie Olivia Koski, którą podejrzewał. Przewidywał, co się stanie, gdy jej wyjawia, że jest policjantem działającym pod przykryciem. Możliwe, że ona wyciągnie jedyny logiczny dla niej wniosek: otóż Nyman nawiązał z nią znajomość, oszukując ją, kłamiąc i udając kogoś innego. To nie jest najlepszy początek bliskich kontaktów. A Nyman żywił nadzieję właśnie na to, na bliskie kontakty. Jeżeli miał być szczery wobec samego siebie. Doszedł w życiu do pewnego etapu, wkrótce skończy czterdzieści lat, być może teraz stanie się coś przełomowego.

– Kim jesteś? – spytała Olivia.

Jej głos się zmienił.

– Nie jestem nauczycielem matematyki – odparł Nyman i postanowił podjąć największe jak do tej pory ryzyko. – Jestem policjantem.

– Policjantem?

– Tak.

– Policjantem, który nazywa się Jan Kaunisto?

– Niezupełnie.

– Niezupełnie?

– Nazywam się Jan Nyman.

– Możesz to udowodnić?

– Tak.

Oczy Olivii zabłysły niczym hartowane szkło. Nyman rozpostarł ręce.

– Właściwie w tej chwili nie mogę. Mam przy sobie tylko paszport na nazwisko Jan Kaunisto. Ale mogę to zrobić później. Potrzebuję trochę czasu. I odpowiedzi. Od ciebie.

Nie wiedział, co myśleć, gdy Olivia spojrzała na niego twardo, a potem spuściła wzrok. Siedziała nieruchomo być może cztery lub pięć sekund, a kiedy się ożywiła, na jej twarzy pojawiła się odraza. Wzięła

kawałek ciasta z talerza i rzuciła nim dokładnie między oczy Nymana, a następnie wstała.

– Za kogo ty się uważasz? – spytała zdenerwowanym, urażonym głosem.

– Jeżeli jesteś niewinna, to z pewnością mogę ci pomóc.

– Niewinna? – powtórzyła, niemal krzyżąc.

Siedząca obok para odwróciła się. Rzuciwszy na nich szybkie spojrzenie, wrócili do rozmowy. Nyman siedział nieruchomo.

– Jeżeli nie zrobiłaś niczego...

– Chwileczkę – przerwała mu gwałtownie Olivia i uniosła dłoń, aby mu przerwać. – Chwileczkę. Załóżmy, że faktycznie jesteś policjantem...

– Jestem policjantem.

– Niech będzie. – Pokiwała głową. – Czyli podejrzewasz mnie o coś. O co?

Czekała na jego odpowiedź. Nyman widział to wyraźnie, nie miał innego wyjścia jak tylko szczerze jej wszystko opowiedzieć.

– O morderstwo. Zabójstwo. Podpalenie. A co najmniej o współudział w tych czynach.

Olivia nadal trzymała uniesioną rękę i patrzyła na niego twardo. Nyman słyszał szum morza, lecz nie pojedynczych fal; wydawało mu się, że wyczuwa jego obecność. Czy to latarnie kołyszą się na wietrze? Cienie na twarzy Olivii na zmianę wydłużały się i skracały. Wtem opuściła rękę, chwyciła kieliszek i wylała na niego resztkę wina. Nyman wziął serwetkę i wytarł twarz. Pomyślał, że teraz nie będzie miała już niczego, czym mogłaby w niego rzucić, bo deser został zjedzony, a wino wypite. Chyba że użyje zastawy. To także jest lepsze, niż gdyby odeszła, pomyślał, wycierając ostatnie krople wina. Olivia oddychała głęboko i pośpiesznie. Odniósł wrażenie, że podjęła decyzję; usiadła i milczała przez chwilę. Postanowił dać jej trochę czasu.

– Z drugiej strony to wyjaśnia wiele kwestii – odezwała się już trochę bardziej opanowanym głosem, w którym nadal wyraźnie było słycać czystą wściekłość. – Wiedziałaś, o co pytać, gdy w moim ogrodzie spaliła się sauna. I pojawiałaś się wszędzie jak na zamówienie. Ciągłe interesowałaś się moimi sprawami. Dobrze grałaś swoją rolę.

Teraz kolej na niego.

– Tak się zaczęło. – Nyman usłyszał swoje słowa, a potem pomyślał, że mógłby jeszcze coś dodać. – Ale to się zmieniło. Natychmiast gdy cię spotkałem.



– Co się zmieniło? Podejrzewałeś mnie już tylko o podpalenie?

Olivia położyła rękę na stole. Nyman miał ochotę jej dotknąć. Ich dłonie dzieliło jedynie kilkadziesiąt centymetrów.

– Zaciekawiałaś mnie. Ale inaczej... Nie jako podejrzana.

– Czy można kobiecie powiedzieć coś piękniejszego? – spytała.

Nie był już pewien niczego. A właściwie to miał pewność co do wielu rzeczy. Natomiast niektóre sprawy podzieliły się na takie, o których był przekonany, i na takie, w które powątpiewał, a kilku nie potrafił wcale dopasować...

– Moja przyjaciółka powiedziała mi, że policja nigdy nie kończy śledztwa.

– To prawda, jeżeli chodzi o poważne przestępstwa – oświadczył Nyman.

– Mówisz jak policjant.

– Bo nim jestem.

– Powinnam była posłuchać przyjaciółki.

– Jeżeli jesteś niewinna, to nic ci...

– Kiedy miałaś zamiar powiedzieć mi, że jesteś policjantem? I myślałaś, że co się wtedy stanie?

Nyman nie miał na to odpowiedzi. Znalazł się w nowej, nieznannej mu wcześniej sytuacji.

– Myślałaś, że powiem, że to nic takiego? – ciągnęła Olivia. – Fajnie, teraz czuję się bezpiecznie, no bo trochę mnie szpiegowaleś, podglądałaś, kłamałaś.

– Oczywiście nie był to najlepszy początek...

– Początek! – zawołała wzburzona. Potem spytała poważnym tonem: – Przepraszam, że co? Początek czego?

Przytrafiło mu się coś, czego wcześniej nie doświadczył w czasie całej swojej kariery. Mianowicie zaczerwienił się. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce. Czemu morski wiatr ich nie chłodzi? Czuł się, jakby został zdemaskowany pod wieloma względami, jakby za jednym razem zdarto z niego mnóstwo warstw. Z niego, który zachowywał spokój podczas spotkań z zatwardziałymi zbrodniarzami, przesiadywał wieczorami w ich towarzystwie, chodził z nimi do sauny i nie zdenerwował się nawet wtedy, gdy przystawiono mu do gardła nóż i spytano wprost, bez ogródek, kim jest, do diabła. Teraz sytuacja była inna. Otóż to. Punkt zwrotny. Olivia Koski.

– Początek związku z drugim człowiekiem? – spytała uszczypliwie, a Nyman miał wrażenie, że wbija szpilki w jego wrażliwą skórę.

– Nie wiem, czy użyłbym akurat tych słów – powiedział szczerze. – Brzmią trochę banalnie. Myślałem, że się lepiej poznamy.

– A kogo ja miałam poznać? – W pytaniu Olivii brzmiało wyraźne niedowierzanie. – Tego, kim chyba byłeś, czy tego, kim podobno jesteś? Muszę powiedzieć, że jeżeli mam taką alternatywę, to powinnam się mocno zastanowić nad ewentualną randką. I druga sprawa. Czemu miałabym mordować kogoś we własnym domu i dlaczego, do cholery, chciałabym spalić własną saunę?

Nyman nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Rysowały się przed nim dwie wykluczające się ewentualności – albo wszystko wyjaśni, albo nastąpi całkowita katastrofa.

## 6

W głowie Robina iskrzyło i trzeszczało, małe wyładowania następowały jedno po drugim. Starał się, jak tylko mógł, zapomnieć o wszystkim, zwłaszcza o tym, co przed chwilą zrobił, lecz jego mózg tworzył z zapalem nowe połączenia. Raz po raz przypominał sobie minę Chica, czuł uderzenie przechodzące po stylisku na ramiona, ręce i końce palców. Nie mógł się pozbyć tego wrażenia, choć usilnie próbował.

Szedł, a właściwie niemal biegł przed siebie. W księżycowej poświacie wszystko wydawało mu się zastygłe, jakby świat się zatrzymał. Miał wrażenie, że pędem przemierza okolicę.

Co chwila ukazywała mu się twarz Chica. Robin był przekonany, że Chico zdążył sobie uświadomić, kto wymierza mu cios łopata. Uznał, że jest to jeszcze gorsze niż sam czyn. Jego najlepszy przyjaciel. Ale, pomyślał, Chico w końcu zrozumie; zrozumie, o jak wielkie sprawy teraz chodzi. Przecież nie jest jedynym, który o czymś marzy. Robin także ma marzenia. Może nie pragnie zostać gwiazdą rocka, ale jego dążenia są równie wielkie i ważne.

Postanowił wysłać Chicowi list, w którym miał zamiar wszystko wyjaśnić, jednak przebiegając obok ogromnej błyszczącej tablicy w neonowych kolorach z napisem „Palm Beach Finland”, która teraz wyglądała niczym własne zdjęcie rentgenowskie, stwierdził, że to będzie niemożliwe; nigdy nie wysłał żadnego listu przyjacielowi, ponieważ nie miał on stałego adresu. Jeżeli Chico kiedyś dołączy do Facebooka, to Robin będzie mógł go zaprosić do grona znajomych. Nie, to także brzmiało nie tak jak trzeba.

Poza tym sytuacja Chica wydawała się bardzo dobra. Było lato, więc nie zamarznie w lesie. No i ma pracę aż do jesieni. Naprawdę? Co się teraz stanie z Palm Beach Finland? Robin nie chciał o tym myśleć. Lecz mózg nie był mu posłuszny. I znów ujrzał twarz przyjaciela na chwilę przed stalowym pocałunkiem. Co dziwne, Chico wcale nie miał zdziwionej ani gniewnej miny, nie mówiąc już o wściekłości. Wprost

przeciwnie, wyglądał, jakby zaakceptował sytuację, jakby... Osiągnął cel. Ale co to mogło znaczyć? Przecież nie osiągnęli jeszcze celu, zakopali szefa w piasku i właśnie mieli odejść. I wtedy on to zrobił, uderzył najlepszego przyjaciela łopata.

Może mózg mu się przegrzał? Robin czynił wszystko, żeby spowolnić jego pracę. Próbował liczyć do dziesięciu, ale na koniec dodał tysiąc, nadprogramowe słowo, które wcale nie schłodziło zwojów. Starał się skupić myśli na sprawach, które teraz musi wykonać. Usiłował także sformułować w głowie to, co zamierzał powiedzieć, sposób, w jaki chciał przedstawić swoją opowieść, to, czego się spodziewał, że się wydarzy. W efekcie iskrzenie i trzaski tylko się wzmogły.

Dotarł do osiedla niskich piętrowych domów. Musiał się zatrzymać i spojrzeć na swoje dłonie. Czemu wydawało mu się, że nadal trzyma w nich łopate? Były puste. I prawie czarne od kopania. Jego ubranie, dżinsy, T-shirt i buty do biegania wyglądały, jakby tarzał się godzinami na ziemi. Co oczywiście było prawdą, ale w tej chwili stało się niewygodne. Robin pomyślał, że powinien był zweryfikować plan, od początku do końca. Na pewno wtedy by się przygotował i zabrał zapasowe ubranie. Ale to drobiazg. Jak wszystko pójdzie dobrze, wkrótce je wyrzuci.

Mrowienie, które pojawiło się w jego brzuchu, rozeszło się na całe ciało. Potem poczuł spływającą coraz niżej falę gorąca. Wydało mu się to niestosowne, gdy tak czekał skulony za wiatą śmietnika. Uświadomił sobie, że oddycha szybko. Oddech stawał się coraz cięższy, jakby troszkę chrapliwy. Robin opanował się jednak i zaraz potem przeszedł zza wiaty pod dużą brzozę.

Chciał, żeby wszystko już minęło. Chciał znaleźć właściwe słowa, gdyż nadchodziła ważna dla niego chwila i musiał podjąć decyzję. Zaczął to sobie powtarzać, szukając wzrokiem jednego z okien. Ujrzał w nim przytłumione różowe światło. To znaczyło, że Neea jest w domu.

Holma nie lubił niespodzianek. A teraz miał ich pod dostatkiem.

Siedząc w fotelu, podrzucał już od kwadransa nagą Neeę, która początkowo była zwrócona do niego twarzą. Ale ponieważ tylko gadała i gadała, obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i teraz wysłuchiwał, obok miliona innych spraw, jak to ona jest chyba trochę w nim zakochana i nawet znalazła własnego agenta *undercover*, który ma załatwić

wszystko za nich, i że pomachała mu przed nosem tymi dziesięcioma tysiącami euro. Holma nie wiedział, co o tym myśleć.

Z drugiej strony Neea mu się podobała.

Plecy kobiety, znajdujące się teraz przed jego oczami, były umięśnione i opalone i lśniły od potu, pośladki przypominały miękkie, a jednocześnie jędrne półkule zachęcające do tego, żeby je chwycić, a owłosienie miała jedynie na głowie. I w zasadzie wykonywała swoją robotę dobrze, chociaż wydawała się trochę roztargniona.

Tempo jej ruchów zależało od toku mowy. Pośladki uderzały o jego biodra z prędkością, która malała, gdy rozpoczynała się część zawierająca wyjaśnienia, i w obliczu zbliżającej się konkluzji Neea nieruchomiała i siedziała tak na kolanach Holmy dopóty, dopóki pot na jego ciele nie wysechł, aż w końcu ogłaszała jakiś niepojęty wniosek albo myśl. Potem milczała przez chwilę, a on nie wiedział, co ma robić. Siedział tylko, trzymając ją w objęciach, a przecież w takiej pozycji jego, i każdego innego mężczyzny, zadaniem było stworzenie solidnej platformy do działania. I gdy zaczynał się już obawiać, że jego dzielna wojowniczką się wycofa i polegnie, rajd znów się rozpoczynał, okraszony nowymi myślami i monologiem. Według Holmy najprzyjemniej było wtedy, gdy Neea dopiero komponowała swoją opowieść, zbierała wątki, włączała w to różne osoby, wydarzenia i czasy. Wówczas tempo jej ruchów było przyspieszone i naturalne. Lecz chwilę później wszystko się komplikowało. Holmie trudno się było skupić, miał wrażenie, że męczy go to zarówno na górze, jak i w dole. Na żadnym z frontów nie było widać końca.

Uzmysłowił sobie, że prowadzi wojnę na wyczerpanie. Na tym etapie nie miał jeszcze odwagi typować zwycięzcy.

Wiedział dobrze, co wywołało potok słów i sprawiło, że Neea zdjęła skąpe odzienie i cisnęła je w kąt. Dziesięć tysięcy euro potrafi człowieka zainspirować. Tak po prostu jest. To ludzka natura, Holma się tego nauczył. Nauczył się także tego, że gdy człowiek otrzyma dziesięć tysięcy euro, to nagle zaczyna myśleć dwukierunkowo – cóż takiego można by kupić za tę sumę i że trzeba zdobyć jeszcze więcej pieniędzy.

Holmie sprawiało przyjemność obserwowanie min ludzi, ich twarzy, na których chciwość zapalała się niczym jasna lampa. Sprawiała, że oblicze robiło się wąskie i ostre, i powodowała pierwotne reakcje jak w przypadku żądzy i głodu: przyspieszony oddech, zwiększone

wydzielanie śliny, wyraźnie słyszalne przełykanie, a w końcu – co najlepsze ze wszystkiego – działanie, a dopiero potem myślenie.

Wyjątek stanowiła Olivia Koski. Holma obserwował ją dokładnie, gdy podawał jej torbę z pieniędzmi, chcąc zobaczyć, jak ona się zmieni. Lecz żadna zmiana nie nastąpiła. Wyraz jej twarzy, który pozostał taki jak wcześniej, nie dawał mu spokoju. Olivia zachowała się tak, jakby odbierała kopertę z wynagrodzeniem za pracę. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie za mało pieniędzy jej zaproponował. Może większa suma zrobiłaby na niej wrażenie?

Zauważył, że Neea przestała mówić. Dało mu to pole do działania. Przejął lejce i zwiększył tempo, zarówno jeśli chodzi o fizyczny ruch, jak i myślenie. Jeżeli dobrze zrozumiał, Neea opowiedziała jakiemuś człowiekowi albo nawet kilku osobom o dziesięciu tysiącach euro oraz o nim. Nie był z tego zadowolony. A najmniej podobała mu się informacja, że Neea zleciła zadanie podwykonawcom. W takim wypadku do czego ona jest mu potrzebna, nie licząc tego, co robi w ciągu najbliższych trzech minut? Do niczego.

Holmie przyszła do głowy książka, którą pisał. A właściwie to nie pisał jej dosłownie, bo nie uważał, żeby w tych czasach miało to sens. Pisarze też przecież dyktują swoje historie sekretarkom albo innym osobom w okularach, które później wykonują nudną pracę polegającą na spisywaniu tych opowieści, może dodają jakieś kropki albo przecinki czy coś podobnego, co właściwie tylko przeszkadza w pracy twórczej. Jego książka powinna bezwzględnie zawierać rozdział dotyczący zarządzania. On jest dyrektorem. Urodzonym dyrektorem. Gdy kierujesz, powiedział do siebie, to kieruj. Wspaniale, uznał. Właśnie tak. Przypomniały mu się podręczniki zarządzania, które czytał w więzieniu.

Neea poruszała się teraz w zawrotnym tempie, pośladki uderzały o jego biodra niczym maszyna do szycia. Holma wygiął się w lekki zygzak. Zapalił się do nowych myśli. Dyrektorem człowiek się rodzi, zaczął układać zdanie, więc się zastanów, jak się rodzisz. W górnej i dolnej końcówce ciała Holmy zaczęło iskrzyć, nieuchronnie zbliżało się szczytowanie.

Skurcz i wyprost. Skurcz i wyprost. Właśnie tak. Teraz.

Przycisnął do siebie Neeę, pomyślał o tym, jaki jego książka będzie miała odbiór, i wyobraził sobie, że poczuje wówczas to samo co teraz, tylko oczywiście wielokrotnie silniej, ponieważ dzieło będzie skierowane

do każdego Fina, co oznaczało, że uczucie trzeba pomnożyć przez pięć i pół miliona. Chociaż, rzecz jasna, będzie ono jednak inne.

Spojrzał na plecy Neei.

Każda firma pozbywa się pracowników, którzy nie są potrzebni. W łazience albo w kuchni na pewno znajdzie się coś, czym będzie można to zrobić i sprawić sobie przy okazji dodatkową przyjemność.

Holma zepchnął, a właściwie zrzucił z siebie Neeę, wszedł do łazienki i zamknął drzwi. Nie słyszał już, co dziewczyna do niego mówi. Jak się domyślał, musiała być zła i rozczarowana.

Dyrektor słucha tylko siebie, powiedział Holma, puszczając wodę pod prysznicem.

Miłość czy śledztwo? Nyman pomyślał, że ma dwa wyjścia.

Albo będzie dalej prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa, albo postara się naprawić swoje stosunki z Olivią Koski. Te dwa cele wydawały się wzajemnie wykluczać.

Był przekonany, że w łagodnym świetle lampy jego twarz lśni niczym pokryta świeżą farbą. To sprawiało, że czuł się jeszcze bardziej niezręcznie. Olivia Koski siedziała plecami do lampy. Księżycowy blask nie wystarczał, by odkryć, co działo się w jej ciemnych oczach. Nymanowi przychodziły do głowy jedynie nijakie, choć prawdziwe komentarze w rodzaju: „Chcę ci pomóc”, „Jeżeli wpadłaś w kłopoty, to musisz mi o nich powiedzieć” i „Chyba się w tobie zakochałem”. Boże broń przed tym ostatnim.

– Jestem gotów ci uwierzyć – oświadczył.

– Ty jesteś gotów uwierzyć mnie? Dlaczego w ogóle to kwestionowałeś? To przecież ty mówiłeś tylko kłamstwa.

– Nie tylko – zaprzeczył. Zabrzmiało to źle, więc dodał: – Właściwie to wcale nie kłamałem. Nie powiedziałem ci o niektórych sprawach albo świadomie używałem wieloznacznych wyrażen. A kilka rzeczy przedstawiałem z punktu widzenia innych osób.

– Mówiąc prosto, kłamałeś.

– Wykonywałem swoją pracę.

– Teraz to nazywasz pracą.

– Bo wtedy naprawdę pracowałem.

– A gdy nie pracowałeś?

Czas prawdy.

– Podobasz mi się.

– To wieloznaczne wyrażenie czy mówisz to z punktu widzenia innych osób?

Nyman wyłowił w jej głosie cień zrozumienia, choć nadal brzmiał on gniewnie i uszczypliwie. Ale chyba była jakaś nadzieja.



– Gdybym wiedział, że jest tu ktoś taki jak ty, przyjechałbym nawet bez zabójstwa.

– Jak pięknie. Trzeba przyznać, że potrafisz rozmawiać z kobietą.

– Mówię prawdę – podkreślił Nyman.

Olivia milczała przez chwilę.

– Opowiedziałam o tobie przyjaciółce, która twierdzi, że policja nigdy nie kończy śledztwa. Ona chyba się domyśliła, że mnie zainteresowałeś, i dodawała mi zachęty. Zastanawiam się tylko, jak by zareagowała, gdyby usłyszała, że jesteś policjantem.

– A co ty o tym myślisz?

– Chyba doradziłaby mi, żebym zachowała ostrożność.

– I?

– Może doradziłaby też, żebym spróbowała i przekonała się, dokąd nas to zaprowadzi, jeżeli naprawdę mnie interesujesz.

– Mam nadzieję, że właśnie tak postąpisz – powiedział Nyman.

– A morderstwo?

– Jestem przekonany, że go nie popełniłaś.

– Oczywiście, że nie. Ale co zamierzasz z tym zrobić?

Nyman zmienił pozycję, oparł się łokciem o poręcz krzesła.

– Czy ktoś chce czegoś od ciebie? – spytał. – Właśnie teraz?

Nie potrafił stwierdzić, co maluje się na twarzy Olivii. Zmiana, jaka w niej zaszła, była niewielka i prawie niezauważalna.

– Z wyjątkiem szpiegującego mnie policjanta? Nie wiem, czy ktoś chce czegoś specjalnie ode mnie, ale moja działka budzi zainteresowanie.

– Czyje?

– Jorma Leiva. Samego pana Palm Beach Finland. Na pewno o tym wiesz. On chce ją kupić. Za bezcen.

Czemu nie ma o tym nigdzie żadnej wzmianki? – pomyślał Nyman.

– Mówiłaś już o tym policji?

– Nie. – Olivia pokręciła głową. – Bo to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Coś takiego nie wchodzi w rachubę. Ja nie sprzedam działki. Ani teraz, ani nigdy. Kropka.

Jorma Leivo oczywiście także nie poruszył tego podczas rozmowy. Nyman przypomniał sobie jego ambitne pomysły na rozwój firmy, potok zdań i to, że musiał się przysłuchiwać uważnie, żeby je zrozumieć. Przyszła mu do głowy nowa myśl.

– A ten kolega podobny do Patricka Swayze?

– Kari Korhonen – podpowiedziała Olivia. – A właściwie Chico, jak go teraz nazywają. Ale on nie...

– Jaki jest jego stosunek do Leiva?

– Strachliwy.

– Co przez to rozumiesz?

– Jeśli sądzić po tym, w jaki sposób Kari, to znaczy Chico, o nim mówi. Dzisiaj, gdy zapytałam o Leiva, to aż podskoczył.

– Naprawdę?

– Leivo jest oczywiście jego szefem. A Chico nie jest najpracowitszą mróweczką na świecie.

Nyman to zastanowiło.

– A inni. Ma jakichś przyjaciół?

– Jednego. To Robin, kucharz z nadbrzeżnej restauracji. Przyjaźnią się już od dzieciństwa. Są nierozłączni jak bracia, podobni do siebie także pod względem umysłowym. Znasz na pewno powiedzenie „Wiódł ślepy kulawego”? Nie chcę być złośliwa, ale kiedy byliśmy dziećmi, nazywaliśmy ich obu kulawymi.

– Okrutne – uznał Nyman.

– Nie mam pojęcia, jak go przeprosić, nie mówiąc mu o tym.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Nymana dręczyło pytanie, dlaczego nie zauważono tego wątku, czyli przyjaźni między Chikiem a Robinem, ale chyba znał odpowiedź. Ktoś na pewno ich poinstruował, jak mają się zachowywać. A jeżeli Chico bał się osoby, która dała im instrukcje, to na pewno ich przestrzegał. Oprócz tego martwy mężczyzna nie pochodził stąd, nie miał żadnych związków z wyżej wspomnianymi osobami, więc nie stwierdzono korelacji również pod tym względem. Wyszło to na jaw dopiero teraz, gdy Nyman ujrzał wszystkie nowe elementy w innym świetle. Cały ten łańcuch wydarzeń można podzielić na dwa wątki śledztwa, które prowadzono osobno; była to niezła mieszanka czystego przypadku i ambitnego planu i w obu sprawach chodziło o działalność zupełnych amatorów. W każdym razie jeśli wierzyć pogłoskom i historii przestępstw popełnionych przez martwego mężczyznę.

Nyman spojrział na Olivię, na jej długie ciemne włosy i brązowe oczy. Twarz ukryta w cieniu, gotowa do wyrażenia ostrej opinii w razie potrzeby. Miłość czy śledztwo? Znał już odpowiedź.

– Wydaje mi się, że powinienem prosić cię o wybaczenie.

Jorma Leivo ocknął się i pomyślał, że ma ciężkiego kaca. Pomnożonego przez dziesięć tysięcy. Głowa bolała go okropnie, jakby ktoś wiercił w niej zarówno od zewnątrz, jak i od środka. Czuł się tak źle, że nie mógł nawet ruszać nogami. Ani rękami. Ani odwrócić się na tym niewygodnym łóżku. Zmienić tej niewygodnej pozycji. Ani... W ogóle nie mógł się ruszać. Było mu jednocześnie gorąco i zimno. Oczy go szczypały, gdy próbował je otworzyć. Co w nich jest takiego? W ustach czuł bardzo specyficzny smak, jakby zjadł piasek wymieszany z surowym mięsem.

Wtem przypomniał sobie wszystko i otworzył oczy.

Zobaczył morze wygładzone blaskiem księżyca. Odwrócił głowę w lewo tak bardzo, jak tylko się dało. Oczywiście nie było nikogo. Wokół niego rozciągała się tak zwana stara plaża, jakiś niepotrzebny rezerwat przyrody, idealne miejsce na tematyczny park wodny i centrum handlowe. Wypchnął językiem szalik tkwiący między zębami, rozciągnął wargi i szczęki, potrząsnął głową. Po kilku minutach knebel wypadł. Krzyknął, a właściwie spróbował krzyknąć. Usta miał wysuszone, otarte piaskiem, jakoś tak ociążałe, że nie mógł wydobyć żadnego głosu. Jedynym dźwiękiem, który udało mu się wydać, był niski pomruk. Ale jak głośno człowiek może mruścić? Niespecjalnie głośno, stwierdził Leivo.

Musiał trochę pomyśleć.

Oczywiście znalazł się w pułapce. To duży cios w plecy, ale on przecież rozwiązywał gorsze problemy. Przetrwał bankructwa, żony i sytuacje stanowiące połączenie obu tych elementów. Teraz także sobie poradzi. Wyrównał oddech.

Potem zrobił szybki przegląd sytuacyjny: zaskoczyło go dwóch facetów, których zatrudnił do czarnej roboty. Zakopali go i Leivo wiedział dlaczego. Chcieli, żeby przyływ go załatwił. Tylko że tutaj nie było ani przyływów, ani odpływów. Leivo stwierdził, że pod tym względem postępowanie tej dwójki stanowiło kontynuację tego, co już zrobili. Do czegokolwiek by się zabrali, natychmiast powodowali eksplozję, zabijali nie tego człowieka co trzeba albo nie zabijali tego co trzeba. Jednak on – z natury optymista dostrzegający raczej szanse niż zagrożenia – pomyślał z uznaniem o tej całej zaciekłości, energii i braku uprzedzeń, które cechowały obu przyjaciół. To po prostu zrobiło na nim wrażenie.

Jorma Leivo nie mógł nie docenić takiej ambicji. A czyn, którego był świadkiem całym swoim ciałem, stanowił godną podziwu próbkę ich umiejętności. Leivo uważał tę dwójkę za leniuchów i nieudaczników. Teraz musiał jednak przyznać najpierw przed sobą, a później przed błyszczącym księżycem, że się mylił.

Tych dwóch pokazało mu, co potrafią.

Jan Nyman długo się zastanawiał i wahał, ale w końcu to zrobił. Położył dłoń na stole, a potem chwycił Olivię za rękę. Pozwoliła mu ją przytrzymać. Pomyślał, że poprosił o wybaczenie, wyjaśnił jej, kim jest i co się wydarzyło, a także o tym, do czego to wszystko prowadzi, zarówno konkretnie, jak i w przenośni. Właśnie do tego, co się dzieje teraz. Do dotyku.

Spojrzał Olivii w oczy i poczuł się młodszy niemal o trzydzieści lat. Może w życiu tak się dzieje, że trzymasz kogoś za rękę i czujesz się tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy otworzył się w twoim ciele jakiś świat, i że kluczem do niego jest właśnie dłoń drugiego człowieka, dłoń tego chłopca lub dziewczyny, którą zachwyciłeś się na szkolnym podwórku, a po kilkudziesięciu latach zauważasz, że uczucie jest to samo i ma ono większe znaczenie niż wszystko, co nastąpiło potem.

Olivia Koski milczała. Choć Nyman nie potrafił i nie chciał zgadywać, co kryje się pod jej miną, to jednak postanowił, że spróbuje się domyślić. Wyglądała na kogoś, kto podjął już decyzję. Takie właśnie sprawiała wrażenie. Uświadomił sobie, że żywi nadzieję, że ta decyzja dotyczy jego i że jest pozytywna. Tak myśli wyłącznie zakochany człowiek, przyznał. Nie chciał zakłócać panującej ciszy, ale cóż mógł poradzić, był przecież policjantem. Być może zakochanym i być może mającym pewność, że Olivia Koski nikogo nie zamordowała i nie spaliła swojej sauny, ale musiał wykonać zadanie. W końcu to jego praca.

– Mogę do ciebie zadzwonić? – zapytał.

– W jakim celu?

– W takim, w jakim ludzie do siebie dzwonią. Tak po prostu.

– A czemu pytasz? Wyjeżdżasz stąd?

– Właściwie tak – odparł. – Muszę. Ale później chciałbym się z tobą spotkać.

Olivia milczała przez chwilę.

– Zadzwon. Założę się, że masz mój numer telefonu.

Nyman nie umiał ocenić, czy jej głos brzmi neutralnie, czy też kryje się w nim cień uśmiechu. Śpieszył się, rower go wzywał.

Zjechał pędem po zboczach pagórka, pokonał zakręty i przemknął przez centrum małego miasteczka. Minął tablicę z napisem „Palm Beach Finland”; gdy się na nią patrzyło w blasku księżyca, można było uwierzyć, że to miejsce jest prawdziwe. Ta uwaga oraz prędka jazda i gorączkowe myśli sprawiły, że się ocknął. Przez sekundę zwątpił nawet w swój zdrowy rozsądek. Czyżby Jorma Leivo miał jakieś informacje, o których inni nie wiedzieli? Na pewno tak jest, i to takie informacje, które dotyczą tego skądinąd zaskakującego projektu plażowego. Wydawało mu się, że przejazd obok tablicy trwał dłużej, niż wynikałoby to z praw fizyki.

Nadal pedałowal i już z daleka dostrzegł terenówkę. Dobrze, uznał, Leivo jest w domu. Zeskoczył z roweru i obejrzał samochód. Szyby były porozbijane, blacha porysowana, niski biały płot przewrócony. W domku panowała ciemność. Za pojazdem dostrzegł piaskowe wzniesienie, a także ślady stóp należące do dwóch osób, a między nimi długie wgłębienie, jakby kogoś ciągnięto po ziemi. Coś takiego widział w Afganistanie. Tam oznaczało tylko jedno. Transport rannego albo porwanie. Nyman ruszył po śladach.

Od czasu do czasu gubił je w ciemnym lesie, lecz prędko odnajdywał, gdy powierzchnia znów stawała się piaszczysta. Zostawiwszy za sobą drzewa, dotarł na plażę, o której istnieniu nic nie wiedział. Przy brzegu morza dostrzegł piłkę, która gwizdała.

Nyman nie miał ze sobą nic do picia. Nie był przygotowany na to, że znajdzie spragnioną głowę wypowiadającą bełkotliwie jakieś słowa, najwyraźniej dlatego, że wyschły jej usta. W blasku księżyca zauważył, że ktoś przynajmniej raz uderzył Leiva w potylicę. Z całej tej sytuacji wyciągnął też inne wnioski. Na przykład taki – i to wydawało mu się raczej pewne – że właściciel ośrodka urlopowego sam siebie nie zakopał. Jego zachowanie było jednak zastanawiające. Leivo syczał i pomrukiwał, a gdy Nyman oświadczył uspokajająco, że jest policjantem, zupełnie się

zmienił, nawet się uśmiechnął i wydawał dźwięki przypominające chichot.

Nyman stał tuż przy linii brzegowej. Postanowił przejść w miejsce, gdzie piasek jest twardy, i przykucnął. Czuł się nieswojo, patrząc na głowę z góry, ponieważ różnica wysokości była bardzo duża i miał wrażenie, że rozmawia z najniższym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Nachylił się jeszcze bardziej i teraz mógł już zrozumieć, co Leivo mówi. Spytał więc, kto go tutaj zakopał.

– Koledzy – szepnął Leivo. – Dla żartu.

– To miał być żart?

– Taki kawał. Zrobili mi to nie po raz pierwszy.

– A gdzie są teraz ci twoi koledzy?

– Przynieś łopatę.

Nyman rozejrzał się. Pusta plaża, srebrne morze, najciemniejszy z ciemnych las. Leivo oczywiście kłamał. Nyman popatrzył na niego; nie wyglądało, żeby groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Jego włosy powiewały na łagodnym nocnym wietrze.

– Zaraz po nią pójde – rzucił Nyman. – Jeżeli powiesz mi, kto cię tutaj zakopał i dlaczego.

Leivo spoglądał uparcie na morze i nie odzywał się.

– Tkwisz w piasku po uszy, a ja jestem jedynym człowiekiem na plaży.

Leivo nadal nie odpowiadał; Nyman odczekał, aż kilka fal dopłynie do brzegu.

– To nie ma żadnego sensu – stwierdził po chwili. – Kto i dlaczego? Jak mi powiesz, to cię odkopię.

– Dobrze mi tu – szepnął Leivo. – Zaczekam na kolegów.

– Tutaj nie ma nikogo. Nikt tu nie przychodzi. Ja nawet nie wiedziałem, że ta plaża istnieje. Domyślałem się, że jest ona częścią rezerwatu przyrody. Wcześniej widziałem oznakowanie. Jak będziesz miał pecha, to przez dłuższy czas nikt się nie pojawi.

Leivo spojrział na Nymana, najwyraźniej zastanawiał się nad jego słowami. Fale obmywały brzeg, policjant przeniósł ciężar ciała na drugą stronę, nogi go zaczęły boleć od siedzenia w kucki. Pomyślał, że zbliżająca się czterdziestka daje się odczuć przede wszystkim w sercu i kolanach.

– Podejrzewam tego twojego sąsiada – powiedział w końcu Leivo.

Czyli już nie koledzy, nie żarty. Nymanowi przyszedł na myśl mężczyzna z bmw.

– Dlaczego cię tu zakopał?

– Bo chce przejąć to miejsce.

– To?

– Palm Beach Finland.

– A czemu miałyby to robić?

– To miejsce z przyszłością.

No dobrze, stwierdził w duchu Nyman, tego tematu nie warto kontynuować.

– Widziałeś go?

– Nic nie widziałem.

– Dlaczego więc sądzisz, że to on?

– Zaproponował mi pieniądze, ale ich nie wziąłem.

Nyman przypomniał sobie dwadzieścia pięć tysięcy euro znalezione w mikrofalówce. Być może coś się za tym kryje.

– I co potem?

Leivo przyglądał mu się, sprawiał wrażenie rozzłoszczonego.

– Potem policjant mnie odkopie.

Nyman się odwrócił. Noc była w gruncie rzeczy piękna. Wiatr wiał delikatnie, gładząc lekko zauważalnie skórę, poświata księżycyca spływała srebrem na wszelkie kształty: płaską plażę, iskrzące się morze, nieruchomo stojące drzewa, a zwłaszcza na głowę Leiva, która sprawiała wrażenie wyjątkowego, żywego dzieła sztuki. Nyman zastanawiał się nad człowiekiem, który podobno to zrobił. Człowiekiem, który miał dużo pieniędzy.

– Jak długo tu już jesteś?

– Trudno powiedzieć. Zegarek jest w dole.

Trafna uwaga.

– Ale niedługo – szepnął Leivo. – Do domu wróciłem dopiero po dziesiątej.

Nyman przypomniał sobie wszystkie swoje spotkania i rozmowy z człowiekiem z bmw. Jeżeli ten mężczyzna jest gotów na coś takiego, jest także w stanie...

Przyszła mu na myśl Olivia i wstał. Ogarnął go pośpiech.

– Przynieś łopatę – wyszeptał Leivo.

Nyman spojrział na niego. W Finlandii nie ma przyprawów. Noc jest dość spokojna, raczej ciepła. Zaczął biec w stronę roweru. Nie był

pewien, ale bardzo możliwe, że Leivo, którego zostawił na plaży, znów mruczał ponuro.

Robin próbował strząsnąć piasek z koszuli, lecz bez skutku. Ale nie ma się co tym przejmować. Przecież on przynosi upragnione nowiny. Zrobił to, czego od niego oczekiwano i o co – jak zrozumiał – go proszono. Oddychał głęboko, wciągał i wydychał chłodne, zatechłe powietrze nagromadzone w ciemnej klatce schodowej i naciskał dzwonek u drzwi. Nikt nie podchodził. Robin widział światło w oknie, więc Neea musiała być w domu. Miał zamiar ponownie nacisnąć dzwonek, gdy usłyszał stukot drzwi wewnętrznych. Minęła chwila i zorientował się, że ktoś przygląda mu się przez wizjer. Potem otworzyły się też drzwi zewnętrzne.

Czuł, jak jeżdżący w jego głowie tramwaj łomocze na zakręcie. Dźwięk ten jeszcze się wzmocnił. Neea miała na sobie bluzę z kapturem i dresowe spodnie i sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą intensywnie ćwiczyła.

Słabe światło w przedpokoju padało na nią od tyłu, ale mimo to Robin widział ją wyraźnie; jej twarz błyszczała, włosy miała zmierzwione, szminkę rozmazaną na ustach, makijaż spływał jej z powiek. Wtem usłyszał szum wody.

Robin nie pojmował, co się dzieje. Miał tyle do powiedzenia, wyobrażał sobie tę sytuację zupełnie inaczej. Z jakiegoś powodu sądził, że zostanie przyjęty niczym bohater i będzie mógł opowiedzieć o wszystkim na spokojnie, jak zgromadzonym przy ognisku, którzy czekają na każde jego słowo. Lecz sytuacja tutaj była dla niego niezrozumiała i trudna. I mózg nie chciał współpracować.

– Widać tylko głowę Leiva – oznajmił Robin, uświadamiając sobie, że dyszy. – Pieniądze są nasze.

Neea spojrzała na niego, jakby przybył z kosmosu. Nie wiedział, co robić, więc wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i dalej opowiadał, co się wydarzyło.

– Chico ma pracę – tłumaczył. – A od ciosu łopata nikt jeszcze nie zginął.

Wszystko szło nie tak. Neea wyglądała, jakby miała wybuchnąć płaczem.



Robin stał bezradnie. Usłyszał, jak ktoś się kąpie. Tak. Plusk wody, jakiś człowiek brał prysznic. Zajrzał do salonu i zobaczył czarny garnitur leżący na krześle przy stole. Jeżeli wcześniej w jego głowie słychać było wystrzały, to teraz coś wybuchło. Były to oszalamiające, wielkie eksplozje. Różowy pokój stał się ośrodkiem erupcji wulkanu, jego jądrem.

– Dziwka – wyrwało się Robinowi.

Sam się tego przeraził. Neea coś krzyknęła i uderzyła go w twarz. Zachwiał się, bo jego zmęczone ciało nie mogło zachować równowagi. Zaczął się przewracać i w wąskim przedpokoju próbował wymacać jakiś przedmiot, którego mógłby się przytrzymać, lecz pochwycił jedynie duże i wysokie lustro. Pociągnął je ku sobie i gdy upadał, uderzył nim o wieszak, aż zadźwięczało. Lustro się rozbiło, ale Robin nadal mocno trzymał pękniętą ramę.

Wtedy drzwi łazienki się otworzyły.

Wyszedł z niej mężczyzna w białym kasku. Chociaż nie, była to piana z szamponu nakrywająca głowę niczym gruba czapka.

Wściekła twarz, wściekły głos.

Mężczyzna rzucił się ku niemu.

Zrobił krok naprzód, ale najwidoczniej się poślizgnął. Robin nadal trzymał lustro w szerokiej ramie, unosząc je tak, że przypominało tafłę jasnego lodu z ostrymi brzegami. Gdy mężczyzna zanurkował ku niemu, Robin uświadomił sobie, że musi odłożyć je na bok.

Wszystko było w ruchu, lustro połykiwało, głowa otoczona białą pianą zbliżała się do niego.

Potem ruch zamarł, górna listwa zniknęła i ostry kawałek stłuczonego szkła wbił się w szyję nieznanego. Jednocześnie dolna listwa ramy utrzymywała lustro w pozycji pionowej.

Czubek szkła zagłębiał się coraz bardziej w ciało mężczyzny, który wydał z siebie dźwięk przypominający godowe zawołanie wielkiego wodnego ptaka. W końcu napastnik znieruchomiał i zawisł, klęcząc nad Robinem, który ujrzał jego głowę jakby podwójnie: z góry i od dołu. W niebieskich oczach nieznanego malowało się wyraźne zdziwienie.

Po powierzchni lustra zaczęła spływać ciemna krew, rozlewając się niczym syrop klonowy po przechylnym gofrze.

Nyman zbliżał się do pogrążonych w ciemności domków. Czarnego bmw nie było widać, ale nie chciał ryzykować, więc zsiadł z roweru i ukryty w cieniu nasłuchiwał. Dobiegały go te same dźwięki, co przed chwilą na plaży. Słyszał szum stanowiący mieszankę odgłosów wiatru, morza, drzew i hałasu docierającego z oddalonego miasta. Już miał zrobić krok do przodu, gdy wyłowił jakiś dźwięk. Był on bardzo słaby i niemal od razu zaniknął. Nie potrafił go zidentyfikować. Przypominał trzeszczenie żwiru pod kołami samochodu, ale nie towarzyszył mu warkot silnika. Nyman odczekał chwilę, lecz dźwięk się nie powtórzył, więc poszedł do swojego domku.

Nikt tam się nie czaił na niego z bronią albo bez. Czemu w ogóle spodziewał się czegoś takiego? Nie było ku temu żadnego powodu, choć instynkt mu podpowiadał, że to możliwe. Wszedł po schodach na ganek i nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

Zszedł z powrotem po schodkach, zbadał wzrokiem okolice i udał się do sąsiedniego domku. Już przy furtce jego uwagę zwróciły drzwi. Futryna tuż przy zamku wydawała się lekko naruszona, na milimetr lub dwa.

Wspiął się po schodach, idąc bokiem, aby nie spowodować skrzypienia. Na ganku wyszukał wzrokiem podłogowe deski przybite gwoździami do podłoża, żeby nikt nie usłyszał jego kroków. Podszedł do drzwi i – przyłgnąwszy do ściany – pchnął je lekko. Nie były zamknięte na klucz. Zerknął na zamek, ale nie zobaczył żadnych śladów włamania.

Otworzył drzwi na oścież. Ze środka dochodził jedynie niski elektryczny szmer miniaturowej łódki. Odczekał trochę i zajrzał do wnętrza domku. Nikt do niego nie strzelał, nikt się na niego nie rzucał. Powiódł wzrokiem po pokoju, lecz nie zobaczył nikogo.

Wszedł do środka. Jego oczy szybko przywykły do panującego mroku. Z zewnątrz docierał silny blask księżyca, przenikający nawet przez najmniejszą szparę. Znów rozejrzał się wokół siebie. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, jak poprzednio, z wyjątkiem T-shirtu, który zwisał z oparcia krzesła, pozostawiony tam do wysuszenia. Poza tym nie zauważył żadnej zmiany. Zastanawiał się przez chwilę.

Wszedł do małej wnęki kuchennej, chwycił z kranu ścierkę do wycierania naczyń i owinąwszy nią dłoń, nacisnął przycisk drzwiczek kuchenki mikrofalowej.

Kuchenka była pusta.

## 8

Robin się bał. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Dodał gazu i jechał z wielką prędkością przez dziwny, czarno-biały, ogarnięty nocą świat, czując, że umysł i serce wkrótce mu eksplodują, i miał tylko nadzieję, że zdąży na czas. Ostatni odcinek drogi pokonał biegiem. Nurkował pod gałęziami sosen, przeskakiwał przez skały, jakby frunął. W końcu dotarł do celu.

Chico leżał pod drzewem w pozycji embrionalnej, z rękoma między nogami, i wyglądał niczym mały chłopiec. Tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy się spotkali i zaprzyjaźnili, gdy założyli tajny klub, do którego nie chcieli przyjąć nikogo innego. Ani wtedy, ani później.

Robin uklęknął przy nim, łzy płynęły mu po policzkach. To było gorsze niż wszystko inne, co się wydarzyło. Ta niepewność. To, co zrobił. Co być może zniszczył.

– Co się stało? – wybełkotał Chico, zwracając się w jego stronę. Mrugał, jakby chciał wyostrzyć wzrok. – To ty – powiedział.

Robinowi zadrżała broda, nie panował nad nią. Milczał, w jego gardle tkwiła gula wielkości jabłka. Czuł, że szczęka zębami, a z oczu leją mu się łzy, jakby ktoś wyciskał mokrą szmatę. Chico usiadł, uniósł lewą rękę i dotknął skroni.

– Uderzyłeś mnie łopata.

– Pomieszało mi się w głowie – wydukał Robin.

– Niech zgadnę. Neea.

– Tak jakoś wyszło... Wszystko mi się pomieszało.

Chico położył dłoń na ziemi, przysunął się do drzewa i oparł o nie. Robin obserwował go, lecz przyjaciel unikał jego wzroku i nie odzywał się.

– Mnie chyba też się pomieszało – oznajmił.

Robin nie wiedział, co to ma znaczyć.

Ale Chico dodał:

– Myślałem, że będzie ze mnie Bruce Springsteen. Ale nie będzie. Nijak, nigdy. To tak nie idzie. I nigdy nie spotkałem Bruce'a.

– Nie?

– Nie. To była halucynacja. Dlatego nie mogłem powiedzieć, gdzie i kiedy się z nim spotkałem. Twierdziłem tylko, że się z nim oczywiście widziałem. A ty mi uwierzyłeś.

– Bo tak mówiłeś. Bo jesteś moim najlepszym przyjacielem. I ja ci ufam.

W lasku panowała zupełna cisza. Wiatr się uspokoił, szum ucichł. Robin usiadł na ziemi naprzeciwko przyjaciela. Ten uniósł wzrok.

– Najlepszym przyjacielem?

– Absolutnie – potwierdził Robin. – Nigdy nie miałem lepszego.

– A ilu ich miałeś?

Robin spojrzął przed siebie. Ciemny leśny grunt, zarośla. Do jego oczu znów napłynęły łzy.

– Przepraszam, nie chciałem być złośliwy. Ale walnąłeś mnie łopata i jestem trochę zły.

Robin popatrzył na Chica i zobaczył, że ten się uśmiecha.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem – powiedział.

Otarł oczy i nos, zaśmiał się. To, czego najbardziej się obawiał, nie ziściło się. Chico też się śmiał. Robin nachylił się i go objął. To ostatecznie przełamało lody. Poczul, że przyjaciel klepie go po plecach. Sprawilo mu to przyjemność. Potem puścił go i obaj wstali, zwracając głowy w stronę plaży.

– Nie możemy go tam zostawić – oświadczyli jednocześnie.

Chwycili leżące na ziemi łopaty i ruszyli przed siebie.

– Podejdźcie bliżej – wyszeptał Jorma Leivo.

Chico starał się usłyszeć, co on mówi. Było to trudne, ponieważ głos szefa nie rozchodził się zbyt daleko. A Chico nie miał odwagi zbliżyć się do niego. Nadal bolała go dłoń, na której widniał ślad jego zębów.

– Nie będziesz gryzł? – spytał.

Leivo pokręcił głową. Przyjaciele popatrzyli na siebie i uklękli przed nim. Leivo spojrzął najpierw na jednego, potem na drugiego.

– Niezła robota – stwierdził.

Chico nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Za inicjatywę, innowacyjność, silną wolę i szybkość daję wam dziesięć punktów – szepnął Leivo.

Chico zerknął na Robina, który kiwał głową w takt słów szefa.

– Jedynym minusem jest końcówka tej roboty – kontynuował Leivo. – Ale oczywiście cieszę się na wasz widok.

Chico znów rzucił szybko okiem na Robina, a ten wzruszył ramionami.

– Nie jesteś na nas zły? – spytał.

– Wprost przeciwnie. Jestem pod dużym wrażeniem.

– To może cię odkopiemy...

– Zatrudnię was. Przemyślałem to. We trójkę osiągniemy to, czego nie potrafilibyśmy w pojedynkę.

Chico nic nie odpowiedział. Leivo popatrzył na nich kolejno. Chico chwycił Robina za rękę, pomógł mu wstać i odprowadził kilka metrów na bok. Potem zwrócił się w stronę morza, a przyjaciel domyślnie zrobił to samo. Tafla wody była ciemna, lecz jednocześnie połyskująca.

– Wierzysz mu? – spytał Chico.

– Ja chyba chciałbym nową robotę.

Ta odpowiedź zaskoczyła Chica. I nie chodziło o to, co Robin stwierdził lub pomyślał o sobie, lecz o wrażenie, jakie jego słowa wywarły na nim samym. Chwilę wcześniej Chico zrozumiał – nieodwołalnie i ostatecznie – że pociąg z Bruce'em Springsteenem odjechał. Opuścił stację kolejową tak dawno temu, że aż zarosła trawą. Tylko że on tego nie zauważył. Nie wiedział, czy to było spowodowane uderzeniem łopata, wydarzeniami ostatnich dni, czy tym, co wyznał Robinowi, ale czuł się pod każdym względem lżejszy. Pomyślał, że marzenia są czasem tak ciężkie, że stają się niepotrzebne niczym głupi, zawiązany, ważący sto kilo plecak z uwierającymi, duszącymi paskami. I że pozbycie się marzeń oznacza niekiedy to samo co wyjście z więzienia na wolność. To stwierdzenie oczywiście sprawiło, że wrócił do codzienności.

– Ja chyba też potrzebuję pracy.

Przyjaciele kopali, a Jorma Leivo mówił.

Właściwie to szeptał i chrypiał. Chico i Robin kontynuowali pracę, zachowując ostrożność. Ten pierwszy słuchał słów szefa, starając się wyłowić jakąkolwiek różnicę w tonie głosu lub chwilę, w której umilknie

i zmieni się mu wyraz twarzy, lecz tak się nie stało. Gdy odkopali jego tułów, natychmiast uścisnęli sobie ręce na znak partnerstwa. Oswobodzenie bioder i nóg szło już szybko, gdyż atmosfera była niezwykle optymistyczna.

Leivo nie przestawał ich chwalić. Podobały mu się pomysł zaatakowania go niespodziewanie, pełne zapału działania niczym w firmie start-upowej. Szczególnie podkreślił, że ten kraj potrzebuje innowacyjnych pionierów takich jak oni i on sam wraz z ośrodkiem Palm Beach Finland. Wychwalał ich umiejętność szybkiego reagowania, a przede wszystkim elastyczność, co widać było w tym, że gdy plan A nie zadziałał, bez zwłoki przystąpili do realizacji planu B. Duch przedsiębiorczości – uszczegółowił Leivo. Lecz przypomniał także, że odtąd wszystkie projekty muszą przechodzić przez niego, ponieważ najważniejsze jest wykończenie. Chico pomyślał, że głos szefa bardziej przypomina szum niż jakiegokolwiek inne dźwięki.

Leivo zeszywniał od długiego przebywania nieruchomo w dole, więc przyjaciele musieli go stamtąd wyciągnąć. Gdy znalazł się na powierzchni, pomogli mu utrzymać się w pionie, a on objął ich ramionami. Stali tak we trójkę, nad czarną, głęboką dziurą w ziemi. Chico stwierdził w duchu, że w ciągu jednej nocy wykonał więcej fizycznej roboty niż przez całe swoje życie. Sprawilo mu to przyjemność, chociaż całe ciało go bolało, czuł napięcie i rwanie w mięśniach, dłonie miał pokryte bąblami, a głowa pulsowała mu w takt mocno bijącego serca. Jednak czegoś dokonał, on coś...

– Dół trzeba zasypać – oznajmił Leivo, wypuszczając ich z objęć.

Chico także zwolnił uchwyt, żeby szef mógł stanąć swobodnie, ale Robin wzmacnił uścisk.

– Jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia – oznajmił.

Dwaj przyjaciele milczeli, czekając na ciąg dalszy.

– I ten dół się nam przyda.

Nadal milczeli.

– Facet mnie zaatakował – oświadczył Robin.

Wyciągnęli trupa z bagażnika bmw i wrzucili złożone wpół ciało na dno dołu, a potem nasypali na nie piasku tyle ile trzeba. Warstwa miała metr grubości, co Leivo określił jako oficjalne minimum. Stwierdził ponadto, że częstokroć inwestorzy z sektora wysokiego ryzyka są

agresywni, może przemawiają pięknie, ale w rzeczywistości to wrogo nastawieni osadnicy, którzy nigdy nie biorą pod uwagę długofalowych korzyści dla firmy, w przeciwieństwie do gotowego do poświęceń właściciela. Chico nie miał pojęcia, o czym Leivo mówi, ale postanowił nie pytać. Szef krążył wokół nich i dalej perorował, kierując operacją. Chico zauważył, że mu się to podoba. Dobrze mu się pracowało z Robinem, lubił jasne polecenia, które wydawał sterujący akcją Leivo. Szef robił wrażenie zupełnie innego człowieka, traktował ich inaczej niż wcześniej, chociaż był tak zwanym bossem. Ale takim, który ceni swoich ludzi.

Wygladzili ziemię łopatami i na wierzch nasypali jeszcze drobnego piasku. W końcu miejsce wyglądało tak, jakby nic się tutaj nie wydarzyło. Zabrali narzędzia i ruszyli w drogę. Leivo znów stanął między nimi, objął ich, przyciskając do siebie, i tak szli w stronę lasu.

– Chico, Robin – powiedział kolejno do każdego z nich. – Wydaje mi się, że to początek pięknej przyjaźni.

Jan Nyman siedział przy stole w swoim domku oświetlonym księżycowym blaskiem i czekał, aż jego telefon obudzi się do życia. Świat w tym miejscu wydawał się tak cichy, że jego własny oddech brzmiał niczym warkot samochodu, który to się zbliżał, to dokądś odjeżdżał. Jorma Leivo mógł kłamać. To wydawało się bardzo możliwe, nawet prawdopodobne. Ale Nyman musiał się upewnić.

W końcu telefon zgodził się, by go włączyć. Nyman znalazł szybko numer Olivii i zadzwonił do niej.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Z wyjątkiem tego, że uciekłeś z kolacji.

– Przepraszam – usprawiedliwiał się. – Myślałem, że wyraziłem się jasno...

– Żartuję.

– No tak – rzucił.

Zastanawiał się, co ma teraz powiedzieć. W słuchawce słyszał szum, daleki i jednostajny. Najwidoczniej Olivia znajdowała się na dworze. Może w ogrodzie, może patrzyła na pogrążone w nocy, pomalowane srebrem przez księżyc morze.

– Więc wszystko jest w porządku – upewnił się Nyman.

– W najlepszym.

- W takim razie dobranoc.
- Dobranoc. Jan?
- Tak?
- Dziękuję za interesujący wieczór.
- Dziękuję...

Ale Olivia już się rozłączyła.

Nyman przełknął ślinę, czuł się trochę nieswojo, lecz szybko sobie przypomniał, że na szczęście ona jest bezpieczna.

Cóż więc go tak dręczyło?

Nierozłączna dwójka.

Surfer i jego najlepszy przyjaciel.

Nyman wiedział, gdzie znajduje się Leivo, i teraz starał się odnaleźć tajemniczego mężczyznę, swojego sąsiada. A gdzie jest ta dwójka?

Stukał w ekran telefonu i jednocześnie zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Olivii Koski. Otwierał rozmaite dokumenty, wrzucał hasła w przeglądarkę. Kari Korhonen nie miał stałego adresu, natomiast Robin mieszkał po drugiej stronie zatoki. Żeby się tam dostać, wystarczyło zaledwie dziesięć minut szybkiej jazdy rowerem.

Nyman znów wskoczył na siodełko i pokonał dystans w ciągu siedmiu minut, pedałując przez pogrążone w ciszy miasteczko. Ostatnie metry jechał słabo oświetloną zwirową drogą. Zwolnił tempo, bo usłyszał, jak grzechoczą błotniki, i nie chciał zniszczyć całkiem roweru. Nie wiedział, czy nie obchodzi się zbyt surowo ze starym pojazdem. Jeszcze bardziej zwolnił, a potem zeskoczył z siodełka tuż przed tylną ścianą domu szeregowego.

Mieszkanie było pogrążone w ciemności. Kucharz spał albo przebywał gdzieś indziej. Nyman założył raczej tę drugą ewentualność. Rozejrzał się, a ponieważ nikogo nie dostrzegł i światła paliły się jedynie w oknach wychodzących na drugą stronę, wyciągnął z kieszeni wytrych i podszedł do drzwi.

Były zaopatrzone w zamek marki Abloy Classic, najłatwiejszy do otwarcia. Nyman dostał się do środka w ciągu dwóch minut. Zatrzymał się w przedpokoju i nasłuchiwał. Panowała cisza. Wszedł dalej i stanął w butach do biegania na dywanie, aby nie spowodować skrzypienia wyłożonej panelami podłogi. Nie widział nikogo. Odniósł wrażenie, jakby przed chwilą wydarzyła się tu jakaś większa katastrofa, tak jak w jednym z tych filmów, w których samotny człowiek szuka wyjścia z pustego miasta dotkniętego zniszczeniami.



Szybko zapoznał się z rozkładem mieszkania, zwrócił uwagę na miejsca, w których można było coś schować, cokolwiek. Odetchnął i nasłuchiwał. Ponieważ nadal panowała cisza i nie dostrzegł żadnego ruchu, włożył lateksowe rękawiczki, opuścił żaluzje i zapalił światło.

Od razu zobaczył na skórzanej kanapie dwie komórki. Patrzył na nie przez chwilę, rozważając różne scenariusze. Sprawdził oba telefony; działały i były używane. Odłożył je na kanapę. Pomyślał, że to może być interesujący szczegół albo i nie. Jeśli komórki zostawiono tu celowo, mogło to oznaczać, że właściciele nie chcieli zabierać aparatów ze sobą, obawiając się, że ich namierzą. Nieważne, nie była to sprawa na tę chwilę.

Nyman zabrał się do roboty. Pracował szybko i starannie. Przejrzał sypialnię, salon i kuchenną wnękę, lecz niczego tam nie znalazł. Mikrofalówkę pozostawił sobie na koniec. Akurat w tej nie przechowywano pieniędzy, ale w głębi znalazł wielokrotnie podgrzewaną parówkę, przypominającą teraz czerwono-czarną gałązkę. Włożył z powrotem zmumifikowany kawałek do mikrofalówki, rozejrzał się jeszcze raz wokoło i spytał samego siebie, czy wyciągnął, przesunął, poruszył, przeniósł lub podniósł wszystko, co się da.

Powiódł wzrokiem po pokoju, meblach, kątach, kształtach. Właśnie miał sobie udzielić twierdzącej odpowiedzi, gdy uznał, że jednak nie.

Podszedł do zmywarki, otworzył ją i mało nie zakreśliło mu się w głowie od buchającego z niej smrodu. Stały w niej od dawna szklanki, z których pito mleko; tej maszyny na pewno nie używano na darmo. Nyman wstrzymał oddech, zaczął przeglądać wewnątrz i niemal od razu natrafił na coś, co go zastanowiło.

Odwrócił się, wyciągnął z górnej półki szafki dużą przezroczystą torebkę plastikową i chwycił nią znaleziony przedmiot. Wsunął go do środka torebki, zawiązał ją, poszedł do salonu i stanął pod wiszącą na suficie lampą. Obejrzał dokładnie przedmiot, milimetr po milimetrze, i poczuł, że serce zatrzymuje mu się na chwilę, gdy na powierzchni zobaczył – tak wyraźnie jak w podręczniku – krwawe ślady palców, w sumie pięć sztuk. Jakby tego było mało, na pokrytym patyną uchwycie narzędzia przypominającego widelec odczytał wyryty napis, który brzmiał „Samuel Koski”.

Olivia Koski jechała bezszelestnie nocną porą na rowerze, pozwalając, by toczył się siłą rozpędu. Pomyślała, że czasem tak się dzieje: wystarczy tylko utrzymać się w pionie. Siedziała spokojnie na siodelku i kierowała pojazdem. W końcu dotarła tam, dokąd chciała.

Zbliżyła się do łuku, z którego ponownie ujrzała ośrodek wczasowy. Znajdowała się daleko od niego, więc nie rozróżniała szczegółów. Jarzący się księżyc wisiał nad wszystkim niczym nocna lampa. Zobaczyła plażę należącą do Palm Beach Finland, ogromną tablicę, budynki biurowe i kąpieliskowe, a także domki letnie. Księżyc splekał z kolorów ostrość, ale i tak były jaskrawe.

Noc wydawała się najcieplejsza tego lata. Olivia odniosła wrażenie, jakby w pogodzie nastąpiła zmiana, i to dopiero kilka minut temu. Wiatr się uspokoił, zrobił sobie przerwę, gdzieś ktoś przekręcił termostat. To się czuło. Morze także połyskiwało inaczej.

Olivia stała w miejscu. Wróciła myślami do wydarzeń, które sprawiły, że się tu znalazła.

W końcu wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Obserwowała, jak Jan Nyman odjeżdżał. Nie mogła ot tak uwierzyć w jego słowa, chciała dowiedzieć się prawdy, o co właściwie chodzi. Policjant zniknął w lesie otaczającym domek Jormy Leiva. Olivia postanowiła poczekać. Po chwili zauważyła znajomy samochód zbliżający się z drugiej strony. Poprowadziła rower głębiej w las. Dostrzegła, że za kierownicą bmw nie siedzi mężczyzna, który przedstawił się jako adwokat, lecz Robin. Zatrzymał pojazd na skraju drogi i zaczął płakać. Szlochając, wciągnął powietrze w usta i wytarł sobie nos. Przez otwarte okno auta wyleciała zużyta chusteczka i spadła niemal pod jej nogi.

Olivia wywnioskowała, że zdarzyło się coś poważnego. Jeżeli samochodu nie prowadził ten dziwny człowiek, tylko płaczący Robin... Przypomniała sobie słowa mężczyzny, gdy wręczał jej dziesięć tysięcy euro. Powiedział, że tam, skąd pochodzą pieniądze, jest ich więcej.

Mógł ją okłamać w innych sprawach, ale co do tej mówił prawdę.

Olivia znalazła pieniądze w ciągu kilku minut. Tyle samo czasu potrzebowała na wejście do domku. Drzwi były oczywiście zamknięte, ale już wcześniej zauważyła, że jeśli chodzi o remonty i modernizację, to Leivo inwestował więcej w poprawę wyglądu zewnętrznego niż w elementy konstrukcyjne. Domek lśnił jaskrawą, świeżą farbą, lecz wszystko inne było stare, włączwszy okna. Przypomniała sobie widok

z dzieciństwa. Stała przed oknem i pchnęła je mocno od tej strony, która się otwierała. Rama z pojedynczą szybą zrobiona była z miękkiego i taniego materiału. Olivia pchnęła jeszcze raz, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Rama skrzydła zaczęła się wyginać, z każdym pchnięciem coraz bardziej. Olivia zobaczyła w blasku księżyca, że klamka się poruszyła. Włożyła całą swoją siłę w ostatnie pchnięcie i okno otworzyło się z trzaskiem. Dźwięk nie był zbyt głośny, lecz na wszelki wypadek odczekała chwilę. Ponieważ nic się nie działo, wdrapała się do środka, zamknęła okno za sobą i rozejrzała się. Przez moment czuła, że chyba nic z tego nie będzie, ale potem postanowiła, że pomyśli tak jak mężczyzna. Gdzie schowałby pieniądze? Zajrzała w kilka miejsc i bingo! Jedynie przy wyjściu popełniła drobny błąd, sądząc, że teraz wyjdzie bezpiecznie drzwiami. Jednak zamek nie działał prawidłowo i można go było zamknąć tylko kluczem. Pozostawiła więc drzwi lekko otwarte.

Ściągnęła plecak i zajrzała do środka. Jeszcze nie policzyła pieniędzy, nie chciała tego robić tu i teraz. Szybko przesunęła palcem po zworku banknotów i uznała, że jest ich na pewno więcej niż dziesięć tysięcy euro, czyli otrzymana wcześniej zaliczka. Pomyślała, że jak się trochę potarguje, to wystarczy jej na całkowity remont.

Zaciągnęła zamek plecaka i zarzuciła sobie go ponownie na ramię. Chwyła kierownicę roweru i postawiła stopę na pedale. Po chwili pojazd znów pędził, koła kręciły się lekko, a jej nie pozostawało nic innego jak tylko siedzieć i utrzymywać mniej więcej dobry kierunek.

Pomyślała o obietnicy, jaką sobie złożyła. Żaden mężczyzna nie będzie się mieszał w jej sprawy finansowe. Tej obietnicy na pewno dotrzyma. Podobnie jak drugiej, czyli tego, że wyremontuje willę.

Zastanawiała się, czy Jan Nyman pasowałby do tej układanki.

Koła roweru się kręciły, a ona się uśmiechała.

Robin chciał koniecznie prowadzić samochód i Chico to rozumiał. Przyjaciel przejmował odpowiedzialność. To było coś nowego. Chico widział na własne oczy, jak Robin się zmieniał. Jakby rósł od środka i potężniał zewnątrz: jego plecy się wyprostowały, roztargniony i pełen pokory wzrok nabrał zdecydowania i pewności siebie, pozbawionej jednak hardości czy chępliwości; mówił dokładniej i z większym sensem, wykorzystując nowe i trafniejsze słowa. A wszystko dlatego, że zasiadł za kierownicą.

Bmw jechało przez wymarły, ogarnięty nocą teren, wioząc milczących, brudnych pasażerów. Na wszelki wypadek Robin przestrzegał ograniczeń prędkości. Wcześniej Leivo kazał im załatwić pewną sprawę, a sam powiedział, że musi wziąć prysznic i zmienić ubranie przed poranną naradą. Właśnie z nimi.

Zboczyli z szosy, żwir zaczął uderzać z trzaskiem o podwozie. Znajdowali się na ciemnej, otoczonej świerkami drodze. Na skrzyżowaniu wybrali jeszcze węższą gruntową dróżkę, a potem z niej także zjechali. Dotarli pod znajomą skarpe. Robin zwolnił i przednie reflektory bmw oświetliły dno wyrobiska. Powierzchnia jeziora przypominała czarny lód. Podjechali do brzegu, aż do granicy wody.

Jezioro nie było zbyt duże, ale za to głębokie. Chico słyszał, że powstało wtedy, gdy osunęła się ziemia, tak jak to widział kiedyś w telewizji, gdy grunt zapadł się nagle i pogrążył w głębokiej czeluści. Nie wiedział, czy to prawda w przypadku akurat tego jeziora, lecz to nie miało teraz znaczenia. Najważniejsze było to, co mogło połknąć.

Robin odwrócił się, by spojrzeć na Chica. W poświacie bijącej od deski rozdzielczej i księżycy jego twarz wydawała się twarzą dorosłego człowieka, mężczyzny, a nie ogromnego dziecka ani leśnego zwierzęcia. Chico nic nie powiedział, widząc, jak Robin przesuwając drążek automatycznej skrzyni biegów na literę P i pozostawia samochód na luzie, gdy wysiadali.

Chico nie zamknął za sobą drzwi. Obszedł auto od tyłu i stanął w odległości dwóch metrów, gdy Robin zajrzał do środka i przesunął drążek na D, a potem szybko odskoczył do tyłu. W tej samej chwili pojazd drgnął, a następnie ruszył do przodu.

Bmw toczyło się do wody niczym wielki czarny chrząszcz z błyszczącą skorupą. Najpierw z trudem posuwało się przez kilka metrów w pozycji poziomej, później się przechyliło i zanurkowało maską w dół. Bagażnik sterczał przez chwilę w górze; wyglądało, jakby pojazd zastygł w takiej pozycji. Woda kipiała, coś syczało, skądś dochodziło zawzięte bulgotanie. Potem światła zgasły i samochód zaczął szybko tonąć. W niedługim czasie bmw całkiem zniknęło pod wodą, wywołując równomierne bulgotanie, które trwało jeszcze trochę. W końcu i ono ustało, a powierzchnia jeziora wygładziła się i w wypełnionym blaskiem księżycy wyrobisku pozostała tylko dwójka przyjaciół.

Chico nie mógł oderwać wzroku od ciemnej wodnej płaszczyzny. Zatopili bmw, zrobili to, co musieli. Zrozumiał, że kiedyś nie potrafiliby tego uczynić, a już na pewno nie wtedy, gdyby zasiedli na skórzanych fotelach i poczuli moc potężnego silnika. Zatrzymaliby samochód dla siebie, nawet jeśli oznaczałoby to nie wiadomo jakie problemy. Nie mogliby się powstrzymać. Lecz teraz postąpili inaczej.

Chico uświadomił sobie, że pozbył się także czegoś innego. Czegoś ciężkiego, co go przygniatało, co mu stale towarzyszyło. Przypomnił sobie o czymś, na co zwrócił uwagę, gdy siedział w bmw obok przyjaciela. Przypomnił sobie cyfrę widoczną na desce rozdzielczej.

– Robin.

– Nie martw się – odparł przyjaciel. – Łopaty też zatonęły.

– Nie o to mi chodzi – rzucił Chico. – Chociaż to dobrze. Przyszło mi do głowy, która jest teraz godzina. Trzecia.

– I co z tego?

– Jest dwunasty lipca. Dzisiaj są moje urodziny. Kończę czterdzieści lat.

Robin się odwrócił.

– Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję.

– Jak zamierzasz świętować?

Chico się zastanawiał. Potem spojrzał na przyjaciela, a następnie na jezioro.

– Wydaje mi się, że tak jak teraz.

– Długo jeszcze?

Chico zrozumiał, co Robin chciał powiedzieć. Musieli ruszać. Mieli przed sobą daleką drogę do przejścia.

Ale to mu nie przeszkadzało. Nawet to, że wydawała się ciężka.

Bo nic nie przeszkadza, gdy podróż jest właściwa.

## 9

Jan Nyman pomyślał, że pewnego dnia Muurla naprawdę zamieni się w mebel, który tak bardzo przypomina. W ciągu kilku dni jeszcze bardziej się opalił, co pogłębiło podobieństwo do angielskiej zabytkowej sofy.

Muurla siedział za biurkiem, a Nyman po drugiej stronie na plastikowym krześle. Był pierwszy prawdziwie letni dzień, więc miał na sobie tylko dżinsy i T-shirt.

Przyjechał do Helsinek autobusem, potem lokalnym pociągiem na stację Tikkurila i z dworca przeszedł do budynku policji kryminalnej, rozkoszując się letnim porankiem. Z każdym jego krokiem słońce wspinało się wyżej, promienie wydawały się ciepłe i łagodne, niebo było bezchmurne i wyjątkowo błękitne. Takiego nikt jeszcze nie potrafił namalować. Trawa na pustej działce pachniała, liście drzew bawiły się na łagodnym wietrze.

Nyman położył na biurku plastikową torebkę oraz naprędce napisany w autobusie wstępny raport. Uznał, że skoro on zobaczył krwawe ślady na ręczce drapaczki, to i Muurla je zauważy. Ponieważ szef oglądał torebkę i drewniany przedmiot, on mógł w tym czasie złożyć wyjaśnienia.

– Niektóre rzeczy możemy udowodnić, nawet dość łatwo – oświadczył. – A niektórych nie, chyba że ktoś zacznie mówić. Choć ja w to nie wierzę. Nikt się do tej pory nie odezwał i nie sądzę, żeby się to zmieniło. No więc wszystko odbyło się mniej więcej tak. Ci dwaj przyjaciele, surfer i kucharz, nazwiska są w raporcie, zostali wynajęci albo zwerbowani, żeby utrudnić życie Olivii Koski. Chodziło o to, żeby sprzedała swoją willę albo żeby dokuczyć kobiecie tak w ogóle. Faceci idą do jej domu i nie orientują się albo się orientują, że ktoś w nim jest, i przystępują do działania. Myślę, że rzucali z ogrodu kamieniami w okna i trafili w Antera Väänänen. To by wyjaśniało rozbite szyby i wypadki, które potem nastąpiły. Kamieni nie znalazłem, ale przecież

mogli je zabrać ze sobą. Nieważne, trafili w Väänäneną i uznali, że muszą dokończyć robotę. Co do tego nie mam całkowitej pewności. Mogło też być inaczej. Koledzy weszli do środka i rozpętała się tam bezsensowna bijatyka, co da się wywnioskować ze zdjęć. Dla Väänäneną skutek bijatyki okazał się opłakany. Jeden z koleś albo obaj ukradli ten drewniany przedmiot. Nie wiem po co. Należy on do Olivii Koski, stanowi jej własność, przedmiot pierwszej potrzeby jej dziadka i ojca. Ale najważniejsze jest to, że znajdują się na nim liczne odciski palców i jak sądzę, ślady krwi Väänäneną. Jestem całkowicie przekonany, że odciski palców należą do kucharza. A kucharz i surfer robią wszystko razem. Wszystko. Jestem też całkowicie przekonany, że to oni spalili budynek z sauną należący do Olivii Koski. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że tego samego dnia kupili gdzieś środki do rozpalania ognia. Nie wiem, czy sauna ma tu jakieś znaczenie poza kwestiami ubezpieczeniowymi, bo w szerszym aspekcie mówimy jednak o śledztwie dotyczącym zabójstwa. Mój raport zawiera informację o miejscu pobytu koleś, a mejlem przesłałem zdjęcia mieszkania, w którym znajdował się ten przedmiot. Na tym etapie przekazuję śledztwo komuś innemu. W każdym razie tu masz wszystko, czego potrzebujesz.

Muurla nadal przyglądał się leżącemu na biurku przedmiotowi.

– A ta kobieta?

Nyman pokiwał głową, chociaż szef nie patrzył na niego.

– Olivia Koski. Ona nie ma nic wspólnego ze śmiercią Väänäneną.

– Jesteś pewien? Nawiązałeś z nią znajomość?

Nyman zastanawiał się przez chwilę.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Muurla uniósł wzrok, popatrzył prosto przed siebie, jego oczy znieruchomiały. Siedzieli tak w milczeniu przez jakiś czas.

– Powiedziałeś, że ta dwójka dostała zlecenie od kogoś. Jeżeli nie od tej kobiety, to w takim razie od kogo? – zapytał Muurla.

– Stawiam na właściciela ośrodka urlopowego Palm Beach Finland, Jormę Leiva. Dowodów nie mam. I nie sądzę, aby on sam się do tego przyznał. Twardy orzech do zgryzienia. Właściwie pod tym względem chylę przed nim czoło. Spotkałem go w takich okolicznościach, w których ktoś inny przyznałby się do wszystkiego. Został zakopany w piasku po szyję. Jak wróciłem, już go nie było. Może chodziło o żart, jak twierdził na początku. Jest w nim jakiś upór. Ale nie mogę udowodnić, że brał

udział w sprawie. Jak wiesz, poprosiłem wydział przestępstw gospodarczych o pomoc w rozpracowaniu kont Leiva. Wiemy także, że działaliśmy nielegalnie i gdyby coś się znalazło, to i tak nie moglibyśmy tego wykorzystać. Dowiedziałem się jednak pośrednią drogą, że na kontach nie działo się nic specjalnego. Jakiś czas temu Leivo dostał spadek i zainwestował pieniądze w projekt Palm Beach. Nie wiem, czy uda się go powiązać z naszą sprawą. Ale świat się nie zawali. Najważniejsze, że mamy osoby, które zabiły Väänäneną albo przypadkowo, albo celowo.

Wydawało się, że Muurla przyjął wyjaśnienie Nymana. Wszystkie wyjaśnienia. Jego spojrzenie wróciło do spoczywającego na biurku przedmiotu z ciemnego drewna z czterema zębami.

– Czasem narzędzia sprawiają, że człowiek nabiera energii – oznajmił w końcu. – Ja miałem trochę gorszy okres w swoim życiu, zanim spotkałem Leenę, a gdy ona otworzyła walizkę, która stała pod jej łóżkiem...

– Przepraszam, że przerywam – powiedział Nyman. – Ale mam jeszcze drugą sprawę.

Muurla spojrział na niego, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że zdążył się już przenieść gdzieś indziej, do innych zajęć. Nyman czekał, aż stamtąd powróci. Dowiedział się o tym z oczu szefa, które znów nabrały ostrości.

– Chcę wziąć urlop – oświadczył Nyman. – A właściwie nie urlop, tylko wolne.

– Na jak długo?

– Aż morze zamarznie.

Muurla spojrział na niego ponownie. Nyman przypomniał sobie, co powiedział Olivii i swojej byłej żonie: że on nie ma marzeń.

Myślał o tym już wcześniej w autobusie, w którym był jedynym pasażerem, gdy przyglądał się pustym krajobrazom biegnącym w przeciwnym kierunku. To, że nie miał marzeń, nie oznaczało, że nie istnieją rzeczy, które by chciał osiągnąć. I po raz pierwszy w życiu wiedział dokładnie, czego chce. Uczucie to było zaskakujące w swojej prostocie. Tak chyba czuje się człowiek, który pracuje, by spełnić swoje marzenia. Nyman stwierdził, że w tej krótkiej niczym mgnienie oka chwili, gdy zamieniają się one w konkretny cel, jest coś pierwotnie wyraźnego i potężnego. I nie dotyczy to tylko marzenia przekształcającego się w działanie, ale także człowieka, który zmienia się



wraz z nim. Czy w końcu nie po to marzymy o czymś? Bo chcemy się zmienić? Bo przecież życie nie stanie się inne, jeśli my sami się nie zmienimy.

A czasu na zmarnowanie nie miał.

– Na jakiej podstawie? – spytał wreszcie Muurla.

– Chcę się nauczyć windsurfingu – oświadczył Nyman i mówił prawdę. Może niezupełnie. Ale na pewno częściowo.

– Myślałem, że nie lubisz surfować.

– Ja też tak myślałem – odparł Nyman i po chwili dodał: – Całkowicie się myliłem.

PIĘĆ TYGODNI PÓŹNIEJ

Jorma Leivo uniósł naszkicowany własnoręcznie rysunek i trzymał go na odległość wyciągniętego ramienia, a następnie przysunął go do twarzy i dopasowywał do otoczenia. Tak – powiedział wreszcie do siebie.

Stał na skale położonej między plażą Palm Beach Finland a sosnowym laskiem rezerwatu przyrody i spoglądał na wybrzeże, na jego najpiękniejszą część. Opuścił rysunek o kilka centymetrów i znów ujrzał pomosty, parę jachtów i mały budynek należący do klubu żeglarskiego. Po chwili uniósł go ponownie i zobaczył coś o wiele lepszego.

Na rysunku widniał różowy flaming, który po wykonaniu będzie miał około trzydziestu metrów. Na jego głowie będzie się znajdował taras z widokiem na Helsinki, a przy dobrej pogodzie nawet na Estonię. Z tarasu pobiegnie także najdłuższa w Finlandii zjeżdżalnia wodna, wijąca się się we wnętrzu flaminga i wychodząca na zewnątrz przy łapach. Być może potrzebne będą dwie zjeżdżalnie. Jedna dla rodzin z małymi dziećmi, a druga dla najodważniejszych ludzi. W środku będzie można podziwiać krajobrazy, ale także relaksować się na różne sposoby. W tej części Jorma Leivo zaplanował bar koktajlowy z motywami z filmu *Policjanci z Miami*. Wystrój będzie w kolorach Florydy, kanapy obite białą skórą, koktajle z parasolkami, słomkami i bąbelkami. Nazywałyby się na przykład Sonny's Special, Rico's Arrest czy Castillo Cool – Leivo miał nawet gotowe przepisy: Sonny były wzbogacony mocną whisky dla prawdziwych facetów, do Rica doda się podnoszący nastrój rum, a do Castilla zimną z najzimniejszych, mrożoną wódkę. I klienci będą mogli pić tyle, ile zechcą, bo przez wyprostowaną nogę flaminga będzie jeździła winda. Rozczapierzona pletwa na uniesionej nodze ptaka to idealny taras do skoków do wody. Wprawdzie do baru koktajlowego stamtąd się nie przejdzie, ale za to będzie na nim prowadzona sprzedaż napojów energetyzujących.

Leivo zmrużył oczy, chcąc wyostrzyć obraz.

Flaming stanie się ponadto punktem orientacyjnym. Takim, którego te czasy i ten kraj potrzebują. Będzie symbolizował odwagę, innowacyjność, otwartość. Ludzie zobaczą go już z daleka, nawet z samolotów latających nad Bałtykiem. Leivo nigdy nie rozumiał,

dlaczego wznosi się takie bezbarwne kolosy jak budynek Finlandia w Helsinkach. Gdzie tu oryginalność, pomysłowość i umiejętność innowacyjnego myślenia? Gdzie kolory, życie, radość? Jednak wystarczy opuścić dłoń i skrócić głowę trochę na bok, a już się ma odpowiedź.

Choć była dopiero jedenasta w sobotę, to wynajęto wszystkie sto sześćdziesiąt plażowych foteli. Mecz siatkówki trwał właśnie w najlepsze. Dalej na brzegu stały nowe domki, osiem sztuk. Przed kioskiem z lodami zakręcała kolejka młodszych obywateli. Jorma Leivo miał rację. Wieść o Palm Beach Finland zaczęła krążyć.

Teraz temperatura wynosiła chyba tylko szesnaście stopni, wiatr chłodził powietrze, a prognoza pogody zapowiadała oziębienie. Pod koniec tygodnia może nawet padać grad. Wspaniale, pomyślał Jorma Leivo.

Przypatrywał się jeszcze przez chwilę temu, co się działo na plaży. Potem się odwrócił, znów uniósł rysunek i z zastanowieniem opuszczał go milimetr po milimetrze. Maszty żaglówek ukazywały się jako pierwsze, a za nimi błyszczący, dopiero co pomalowany na biało budynek klubowy, następnie białe burty łodzi, a na samym końcu stojące na drodze rozwoju ośrodka pomosty. Jachtów było chyba ze dwadzieścia. Trzech lub czterech członków klubu żeglarskiego nadal nie chciało sprzedać swoich działek z dostępem do morza. To mała grupka, lecz stawiała zaciekle opór.

Jorma Leivo znów uniósł rysunek i spojrzał na niego. Trzech lub czterech żeglarzy jest zdania, że on nie powinien realizować marzeń, wydobywając przy okazji Finlandię z bagien. To nie wchodzi w rachubę. Nie to nie. Ale oni zmienią zdanie najpóźniej, gdy...

Leivo wyciągnął z kieszeni telefon, jeszcze raz spojrzał na rysunek i wybrał numer.

Chico stroił nowe struny w swojej gitarze, robiąc to z namysłem. Instrument po wczorajszym występie był jak pacjent chory na grypę, stracił głos i sprawiał wrażenie wyczerpanego. Chico grał na nim ostro. Dał z siebie wszystko.

Granie znów wydawało się takie jak dawno temu, choć nie tęsknił już za czymś innym, nie marzył o coraz większych estradach, nie mówiąc o absurdalnych dla niego teraz sprawach jak mówiąca po angielsku, wytatuowana kobieta o błyszczących piersiach, której obraz dręczył go

od lat – nie dlatego, że naprawdę jej pragnął, lecz raczej z tego powodu, że ona właściwie nigdy nie istniała. Tak jak wszystko inne, co zaprzętało jego myśli przez ten cały czas. Zupełnie jakby zapominał, że ma w rękach gitarę.

A przecież jeżeli chwyta się za instrument, to trzeba na nim grać, a nie zastanawiać się, co dzięki temu można osiągnąć.

Wczoraj, gdy zakończył burzliwy kawałek na bis, otrzymał takie owacje, jakich zawsze pragnął. Słuchacze klaskali głośno, ogarnięci prawdziwym zachwytem.

Właśnie podciągał wyższe struny, gdy w drzwiach pojawiła się głowa Robina.

– Rozmawiałem z Neeą.

Chico spojrział na przyjaciela. Przyjaciela, który ostatnimi czasy mocno go zaskakiwał. Wydawało się, że coraz lepiej panuje nad sytuacją. Chico na przykład nie miał pojęcia, co wywarło na Neei takie wrażenie, że chciała wyjść za mąż za Robina natychmiast, gdy tylko będzie to możliwe. Podejrzewał, że wiązało się to z trupem spoczywającym w piasku na tak zwanej starej plaży, ale szczegółów nie znał, a Robin nie kwapił się z wyjaśnieniami. To Chicowi nie przeszkadzało. I tak tematów do rozmowy było wiele. Bo przyjaciel pracował obecnie jako jego menedżer.

– A Neea rozmawiała z Leivem – oznajmił Robin i usiadł na łóżku.

Chico odłożył gitarę.

– I?

– On nas stąd wyciągnie. Dostaniemy najlepszego prawnika, jakiego można mieć za pieniądze. Prawnik powiedział, że są duże szanse na przypadkowe albo nieumyślne spowodowanie śmierci, a w najlepszym wypadku w grę może wchodzić tylko zagrożenie życia. A to oznacza, że – ponieważ nie jesteśmy recydywistami – wychodzimy do cywila jeśli nie w tym roku, to w następnym. Podobno to ten sam prawnik, który w trzy tygodnie załatwił wyjście na wolność seryjnemu gwałcicielowi z drugiego bloku.

– A czego chce Leivo? – spytał Chico.

– On powiedział, że ma kilka łodzi, na których trzeba opuścić żagle.

Chico zastanawiał się przez chwilę.

– Pewnie chce też jeszcze czegoś innego.

– Ja powiedziałem, że jesteśmy chętni do tej roboty.

– Zgadza się – potwierdził Chico. – Zwłaszcza razem.

Chwycili się za dłonie, uścisnęli je sobie, wykręcili i na koniec przybili żółwika.

Potem siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Jutro masz występ w zakładzie otwartym – oznajmił Robin. – Tam jest dobra widownia. Świeży nabytek. Pijani kierowcy, narkomani. Oni lubią balangować.

Chico spojrział na niego.

– Jak ci się udało zorganizować to tak szybko?

– Powiedziałem, że robimy też grilla.

– No i co będziesz smażył?

– Co się da. Oni zjedzą nawet papier toaletowy, jak go posmaruję marynatą własnej roboty. Jest tak dobra.

– Prawda.

– Impreza nazywa się Bruce Springsteen Barbecue.

– Znowu?

– Najlepiej ci idzie granie Bruce'a. Tak jakbym go słyszał. To na pewno dlatego, że go spotkałeś.

Chico pokręcił głową.

– Ja nie...

Robin przyłożył do ust palec i wydał z siebie długi syczący dźwięk.

– Już wszystkim o tym powiedziałem. Na początek zagrasz *Working on a Dream*.

Jan Nyman postawił wiadro na ziemi, usiadł na dwuosobowym fotelu ogrodowym i popatrzył na dom. Stara willa sprawiała wrażenie, jakby rozrywano ją jednocześnie na wszystkie strony: do góry, na dół i na boki. Z jednej strony ziała ogromna i niczym niezastłonięta dziura, w ścianach brakowało fragmentów tynku, łazienka była całkowicie opróżniona, a w betonowej podłodze ział wielki otwór. Remont przebiegał zgodnie z harmonogramem. Nyman wiedział dokładnie, dlaczego tak się dzieje. Odwrócił wzrok.

Dzień znów był znajomo chłodny. Pogodny, lecz niezbyt ciepły. Kiedy promienie słońca padały pod tym kątem, wydawało się, jakby płaszczyzna morza się przechylała. A gdy się zmrużyło oczy i puściło wodze fantazji, to można było sobie wyobrazić, że cały świat odwraca się do góry nogami. Nyman coś wiedział na ten temat.

Pracował od siódmej rano, teraz minęła piąta po południu. Resztki spalonej sauny zostały rozebrane i wywiezione, więc powstało wolne miejsce pod nowe fundamenty. Te Nyman wykonał najpierw, ale już nie pamiętał, co zrobił w następnej kolejności. Dni i prace zaczęły się zlewać w jedno.

– Przerwa?

Odwrócił głowę. Stała za nim Olivia, trzymając duży młot.

– Czy chcesz mi dać do zrozumienia, że nie powinienem jej robić? – spytał Nyman, wskazując brodą narzędzie.

Olivia machnęła młotem.

– Tam leżą deski. Trzeba je zanieść za fundamenty sauny i zakryć brezentem.

– Zajmę się tym za chwilę – odparł Nyman i znów popatrzył na morze.

Czuł stojącą za nim Olivie. Zarówno fizycznie, jak i duchowo. Tak było od samego początku, zrozumiał to natychmiast po powrocie. Teraz także niemal wyczuwał za sobą zimną stal młota, kołyszącego się w ręce Olivii niczym metronom. Nie musiał nawet oglądać się za siebie.

– A co, jeśli nie wstanę i nie zaniosę tych desek ani nie zrobię nic innego? – spytał.

Olivia milczała.

– Jeśli sobie po prostu posiedzę – ciągnął Nyman – i popatrzę, jak ty pracujesz? Będę się cieszył latem, pójdę posurfować. Co ty na to?

Olivia nadal milczała.

– Kupiłem tę deskę windsurfingową, którą mi poleciłaś – oznajmił. – Nie wiem, co się stało, ale wydaje mi się, że mnie słucha. Albo osiągnęliśmy porozumienie. Zauważyłem to wczoraj. Już nie szarpała w różne strony.

Po kilku sekundach poczuł dotyk na głowie.

Usta Olivii, która obeszła fotel i usiadła obok niego. Nyman zerknął na nią. Ten profil – trochę przydługi nos, ostro zarysowane wargi, brązowe oczy, ciemne włosy. Mógłby długo na nią patrzeć, przynajmniej do końca tego powoli tracącego światła dnia.

– Chyba już wystarczy na dzisiaj – oświadczyła Olivia.

– A Esa?

Nyman słyszał, jak hydraulik boruje hałaśliwie po drugiej stronie domu.

– Esa skończy, gdy robota będzie gotowa.

Nyman spojrział na Olivię, ale wyraz jej twarzy nie zdradzał niczego.

– Poza tym – powiedziała – płacę mu za wykonaną pracę.

– Racja.

Ani razu nie spytał, jak to się stało, że nagle zdobyła pieniądze na remont. Nie pytał, czy wie, że w miasteczku przebywał i nagle je opuścił mężczyzna, który trzymał w mikrofalówce stos banknotów o wartości dokładnie odpowiadającej sumie pieniędzy, jakich Esa Kuurainen zażądał za wymianę rur. Nyman miał oczywiście swoje podejrzenia, ale pozwolił, by spłynęły po nim i zniknęły tam, gdzie było wspomnienie, w jaki sposób poznał Olivię Koski. Ta druga kwestia, gdy się nad nią zastanawiał, doskwierała mu właściwie o wiele bardziej. Oczywiście, wykonywał swoją pracę, ale mimo wszystko. Znowu pozwolił, by ta myśl się oddaliła i przez chwiejące się korony drzew dotarła gdzieś na morze, chwytając większy wiatr.

– Leivo jest ostatnio bardzo miły – oznajmiła Olivia.

Nyman nic nie odpowiedział.

– Po tym, jak zrobił mnie szefową ratowników i dał podwyżkę, to nawet pyta mnie o zdanie. Wczoraj też tak było.

– Tak?

– Miałam już iść do domu, gdy pojawił się na plaży i spytał o hobby prezesa klubu żeglarskiego, który jest dobrym znajomym panny Simoli. Powiedział, że chce mu kupić prezent na urodziny.

– Tak? – zapytał ponownie Nyman, przysłuchując się teraz z uwagą.

– Tak – potwierdziła Olivia. – I zanim zaczniesz udzielać mi rad albo ostrzeżeń, wiedz, że umiem się o siebie zatroszczyć.

– Wiem.

Nyman zastanawiał się raczej, co to oznacza dla niego. Miał nadzieję, że nie to, czego się obawiał. Poważnie traktował zamiar, o którym powiedział Muurli. Chciał mieć wolne. Oznaczało to pracę od wczesnego rana do późnego wieczora i wydawało się o wiele lepsze niż cokolwiek innego od dłuższego czasu. Albo niemal o wiele lepsze niż cokolwiek innego od dłuższego czasu.

– Jutro mam poranną zmianę – oznajmiła Olivia.

Nyman odwrócił się i objął jej ramiona. Były opalone i umięśnione. Przesunął dłonią po gołej skórze, jej ciepło przeniknęło przez koniuszki jego palców i dotarło do podbrzusza.

– W takim razie musimy iść wcześniej do łóżka – powiedział.



Olivia się uśmiechnęła, odrzuciła włosy z oczu, a potem znów pozwoliła, żeby opadły, ocieniając jej twarz. Ten gest robił wrażenie i Nyman chętnie mu się przyglądał.

– Masz na myśli, że musimy iść spać? – spytała Olivia.

– Mam na myśli łóżko.

Nachyliła się i pocałowała go w usta. Jakżeż Nyman uwielbiał dotyk jej warg, ciepły, gorący, chłodny, orzeźwiający, lekki niczym piórko.

– Esa będzie jeszcze długo pracował w łazience – powiedziała.

– Zostawimy go w spokoju. Pójdziemy na górę.

– Sypialnia jest nad łazienką.

– Będziemy cicho.

Olivia pocałowała go w policzek i szepnęła mu do ucha:

– Kiedy ty zachowywałeś się cicho przy czymś takim?

Poczuł dotyk języka na swojej skórze.

Gdyby potrafił, to marzyłby właśnie o tym. Lecz teraz nie musiał już umieć marzyć.

Teraz to była rzeczywistość.

# Przypisy

- [1] Bohater amerykańskiego filmu *Surfer*.
- [2] *Miljoona voltin* – tytuł albumu fińskiej piosenkarki Miry.
- [3] Historyczna dzielnica Sztokholmu.